TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 30 września – 6 października 2026 | nr 40 (4030)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Nowa felietonistka: Justyna Kowalczyk-Tekieli

Festiwal w Gdyni: tak się zmienia nasze kino

Gdy Polak w Niemczech popiera AfD

Franciszek, święty dla skłóconego świata

Łukasz Lamża: nie boję się AI

DODATKI: 500 lat Mazowsza i Włóczykij Kulturalny



DLACZEGO ŚWIATA JEST ZA DUŻO

OLGA TOKARCZUK O NOWEJ POWIEŚCI, PRAWIE DO ZAPOMINANIA I EPIDEMII GŁUPOTY

ROZMOWA STR. 10 – 17

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

prasa.pl 849bad8b12

CO DALEJ Z INTELIGENCJĄ?

17-24 października 2026

FESTIWAL NOWE OŚWIECENIE

GOŚCIE

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI | STEFAN CHWIN | ELIZA KĄCKA | CHRIS NIEDENTHAL
TOMASZ NAŁĘCZ | PIOTR AUGUSTYNIAK | JUSTYNA BARGIELSKA | EDWIN BENDYK
AGATA BIELIK-ROBSON | MAREK BIEŃCZYK | PIOTR CYWIŃSKI | KRZYSZTOF CZYŻEWSKI
ARTUR DOMOSŁAWSKI | OLGA DRENDA | PAWEŁ GUŻYŃSKI | MACIEJ JANOWSKI
JANUSZ KAPUSTA | MAGDALENA ŚRODA | JANUSZ MAJCHEREK
MAŁGORZATA REJMER | KRZYSZTOF SIWCZYK | JAN SOWA
KAZIMIERA SZCZUKA | KAROLINA WIGURA | BARTOSZ WĘGLARCZYK I INNI

SPEKTAKLE

„KOPENHAGA”
(RENATA DANCEWICZ, WOJCIECH KALARUS, KAROL WRÓBLEWSKI)

„KSIĘGA ZIÓŁ, CZYLI *STAND-UP* NA SIEDZĄCO
W WYKONANIU ANNY SENIUK”

KONCERTY

MAZOLEWSKI QUINTET

ANDRZEJ PONIEDZIELSKI

WYSTAWA

„JERZY SKOLIMOWSKI – REŻYSER, MALARZ”



**URSYNOWSKIE CENTRUM KULTURY
„ALTERNATYWY”
UL. INDIRY GANDHI 9, WARSZAWA
(KOŁO METRA IMIELIN)**

WWW.FESTIWALNOWEOSWIECENIE.ART

Organizator

Partnerzy

Patroni honorowi

Patroni medialni

REKLAMA

eprasa.pl 849bad8b12

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Inni ludzie
MAREK RABIJ

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

18 Egzamin z odporności
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
Nie jesteśmy gotowi na rosyjską wojnę hybrydową. Pora się obudzić

22 Konflikt karmiony algorytmem
MARCIN KĘDZIERSKI:
A może to jakość naszych związków odpowiada za niską dzietność?

25 Cywilna kontrola nad lasem
ROZMOWA Z MIKOŁAJEM DOROŻAŁĄ, BYŁYM WICEMINISTREM
o lasach, o myśliwych i o tym, dlaczego musiał odejść

■ ■ ŚWIAT

30 Referendum nad Trumpem
MARTA ZDZIEBORSKA:
Witamy w wyścigu, który za miesiąc zdecyduje o przyszłości USA

33 Rozczarowani nową ojczyzną
IWONA WEIDMANN:
Dlaczego Polacy z niemieckim obywatelstwem głosują na AfD?

35 Kobiety z Hebronu
JAN POCHEĆ:
Trzy Palestynki próbują żyć w mieście zdominowanym przez checkpointy i osadników

■ ■ WIARA

40 Święty bez zmarszczek
MAREK ZAJĄC:
Kim był i co dziś do nas mówi zmarły 800 lat temu Franciszek z Asyżu

44 Matka Boża pod płaszczem
STANISŁAW ZASADA
o „aresztowaniu" obrazu jasnogórskiego, czyli śląskiej tajemnicy sprzed 60 lat

47 Bariera jest kulturowa



MAT. PRASOWE HOFSTRA UNIVERSITY

ROZMOWA Z TEOLOŻKĄ PHYLLIS ZAGANO: *Lud Boży zdecydował już o diakonacie kobiet, choć wielu hierarchów tego nie akceptuje*

TEMAT TYGODNIKA

10
Dlaczego świata jest za dużo
Rozmowa z OLGĄ TOKARCZUK:
Epoka, która się rodzi w bólach na naszych oczach, będzie epoką syntezy. Prób nadania światu i jego narracjom sensu.



ŁUKASZ GIZA

■ STRONY SPECJALNE ■

61 PIĘĆSETLECIE MAZOWSZA

77 FESTIWAL PRZEMIANY

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
o wyborach w Krakowie

28 OLGA DRENDA
o ludziach zmęczonych

39 JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI
o dopaminie i serotoninie

60 WOJCIECH BONOWICZ
o poezji

92 PAWEŁ BRAVO
o grzybach z lasu i winnicy

98 TOMASZ STAWISZYŃSKI
o aplikacji dla umarłych

NA OKŁADCE:
OLGA TOKARCZUK
FOTO: ŁUKASZ GIZA

REDAKTOR PROWADZĄCY:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

50 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ OPINIE

52 Uniwersytet, czyli wspólnota
MATEUSZ MAZZINI:
Czy wyższe uczelnie mają przyszłość?

■ ■ HISTORIA

56 Slajdy pamięci
JOANNA SZCZĘSNA
o młodości Marka Edelmana

■ ■ NAUKA

70 Suma wszystkich strachów
ŁUKASZ LAMŻA:
Nie bójcie się AI

74 Nowa mapa świata
PAULINA ROWIŃSKA:
Czy czeka nas rewolucja w odwzorowaniach powierzchni globu?

■ ■ KULTURA

80 Pod znakiem zmiany
ANITA PIOTROWSKA
Podczas festiwalu w Gdyni nastroje były nienajlepsze. Mówiono o czarnych scenariuszach dla kina i kultury

84 Polecamy
JAN BŁASZCZAK, MACIEJ SZKLARCZYK

86 Bajki dla wapniaków
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI:
Od „Flintstonów" po „BoJacka Horsemana": animacje rozbrajają tabu, społeczne lęki i nasze wyobrażenia o dorosłości

88 Poza światem



RUBEN HOLLINGER / MAT. PRASOWE

ROZMOWA Z PISARZEM NELIO BIEDERMANNEM:
Fikcja może pokazać, jak było naprawdę

90 Trzy siostry
LEKTOR *o książce „Muzy Młodej Polski" Moniki Śliwińskiej*

■ ■ ZMYSŁY

94 Z widokiem na galaktykę
ROZMOWA Z MARZANNĄ BOGUMIŁĄ KIELAR, POETKĄ:
Zachwyt rodzi się z zadziwienia, z uważności i ciekawości świata. I można go odzyskać nawet po trudnym doświadczeniu

eprasa.pl 849bad8b12

KS. ADAM

Boniecki: *Zaraz po wojnie*



GRAŻYNA MAKARA

W ostatnich dniach wojny siedzieliśmy w piwnicach. Pałac (tak się powszechnie określało ten dom) był zbudowany na pochyłości i połowa suteren była właściwie parterem, a druga połowa piwnicami. Zeszliśmy tam wszyscy: mieszkańcy domu, do których dołączyli ludzie ze wsi. Było tłoczno, z zewnątrz słychać było strzały, tupot, czasem ciszę. Leżeliśmy, kto mógł, siedział, wielu stało. Wszystko w mroku i perspektywie, że nas tu zasypie, że zginiemy. Wejście zwycięskich Rosjan to był upragniony koniec.

Gdy wyszliśmy, pełno było wojska, rosyjskiego oczywiście. Byli też żołnierze w polskich mundurach, i byli jacyś biedni, obszarpani ludzie, na wozach i bez, również należący do armii zwycięskiej. Niemców widziałem nieżywych, leżących obok czołgu w alei wiodącej do głównej bramy.

Polak, oficer – pamiętam – tłumaczył mamie, że nie ma się z czego cieszyć, bo tych ruskich jeszcze nie znamy. Ale myśmy się cieszyli. Nawet jeśli wkrótce mieliśmy stracić cały dom i dobytek, zaczynało się coś nowego. Osiedliśmy w pobliskim miasteczku – władze pozytywnie się odniosły do pisma mamy, że ze względu na małe dzieci chce się tam na chwilę zatrzymać. Mieliśmy pokój z kuchnią, tak mały, że na noc rozkładało się na podłodze legowiska. Jacyś zacni ludzie przyprowadzili jedną z naszych krów i chyba dwie świnki. Mama, jeszcze niedawno „wielka pani", sama je oporządzała.



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MICHAŁ

Okoński: *W opiece Apofenii*

W „Tygodniku powszechnym" – **OLGA TOKARCZUK**. W sumie gdzie miałaby być? Kiedy w rozmowie, którą przeprowadziliśmy z nią wraz z Tomaszem Stawiszyńskim, mówiła o poczuciu, że świata nie da się dogłębnie opowiedzieć tylko w realistyczny sposób, że „realistyczna forma, w którą usiłujemy wcisnąć nasze doświadczenie, ma za wiele frędzli, za dużo z niej wystaje", przyszło mi do głowy, że nie tylko o swojej twórczości mówi, ale także o robieniu pisma takiego jak nasze. Przyznam zresztą, że długo miałem ochotę umieścić w tytule wywiadu Apofenię, pojawiającą się w nowej powieści noblistki jej ulubioną (cóż z tego, że nieistniejącą!) świętą.

Apofenia jest patronką zbiegów okoliczności, sekretnych relacji i dziwnych powiązań między zdarzeniami w czasie. „Należało ją w końcu wymyślić, może być nam bardzo pomocna w świecie, który kpi z prostych przewidywań i w którym wszystko się zmienia z godziny na godzinę" – mówi nam autorka „Świata jest za dużo". „Wierzę za

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 51

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 849bad8b12

I nawet w tej roli pamiętam ją elegancką, ładnie uczesaną i ubraną. I pogodną, choć sytuacja z pewnością nie była różowa.

Dla mnie pobyt w tym miasteczku był czasem poznawania „prawdziwego życia". Pamiętam, że uczyłem się brzydkich słów i że znacznie trudniejsze od ich opanowania było ustalenie, co właściwie znaczą. Pamiętam też, że jeden ze szkolnych kolegów zaczął się na mnie złościć, a nawet chyba mnie uderzył, nazywając „zbankrutowanym dziedzicem", czym bardziej mnie zresztą zdumiał, niż obraził. „Zbankrutowany"?!

A potem przenieśliśmy się do Warszawy. Tego chyba nikt dziś nie jest w stanie sobie wyobrazić. Morze ruin, aż po horyzont, zgliszcza miasta, które pamiętałem jako okupowane, niebezpieczne, ale jednak piękne. Tylko na Marszałkowskiej, przy skrzyżowaniu z Alejami, zbudowano jakieś prowizoryczne budy. Nowy Świat, ulica, przy której stał nasz dom? Pas gruzów. Katedra? Kupa gruzu. Zamek? Nie ma. Kościoły, domy, mieszkania krewnych i znajomych? Nie ma. Pod nogami gruz, w powietrzu zapach gruzu. Wśród ruin miejsca egzekucji, takich jak ta, w której zginął mój ojciec.

Nowa powieść Olgi Tokarczuk (rozmowa z nią otwiera ten numer „Tygodnika") rozgrywa się właśnie w tych czasach, m.in. w równie zrujnowanym Wrocławiu. Pisarka mówi o „prawie do zapominania", ale dla mojego pokolenia nie jest to proste. Czasów wojny i tych (także strasznych) lat tużpowojennych się nie zapomina, nawet jeśli zagrzebuje się je w głębi pamięci. Ci, którzy wtedy byli już na świecie, od przeszłości nie uciekną. Nawet jeśli wiedzą, że nie można nią żyć. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

Jamesem Hillmanem, że nasz umysł ma raczej poetycką naturę, wcale nie logiczną, wcale nie racjonalną, a literatura i sztuka są obszarami, w których można do woli używać tego potencjału" – dodaje, i oczywiście nie jest przypadkiem, że w tym samym numerze **WOJCIECH BONOWICZ** pisze właśnie o sile poezji, a inna poetka, **MARZANNA BOGUMIŁA KIELAR**, mówi o zachwycie, którego można doświadczyć także mimo potężnych ciosów od losu.

I nie jest przypadkiem także to, że w roli felietonistki debiutuje na naszych łamach **JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI**. W sumie gdzie miałaby być? Czytając, zwróćcie uwagę, jak diagnozy dwóch medalistek, noblowskiej i olimpijskiej – diagnozy „zachowań rojowych", prowadzących w wirtualnej rzeczywistości do kampanii nienawiści czy uprzedmiotawiania – ze sobą rozmawiają. „Nasze mózgi są tak neuroplastyczne, że odnajdą drogę do samoobrony" – pisze z właściwym sobie optymizmem mistrzyni (nie tylko) nart, a ja przypominam sobie, że kilka lat temu rozmawialiśmy o ikonce, którą podarowała jej jakaś pani przy okazji zawodów nad dalekim Bajkałem. Nie zapytałem wtedy, co przedstawia, ale gdyby była na niej Apofenia, nie byłbym wcale zdziwiony. ©℗

Michał Okoński, zastępca redaktora naczelnego „TP", autor książek o futbolu

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

ANNA GOC
Polska psychiatria jest niedofinansowana, ale skończył się czas, gdy jedynym miejscem dla chorych były szpitale. Skąd więc rozłam w środowisku i jaka będzie przyszłość leczenia?

MONIKA OCHĘDOWSKA
Czy naprawdę lubiliśmy „Lalkę" Hasa? Czy nowe adaptacje powieści Prusa mówią nam coś o świecie, w którym żyjemy? Dlaczego przepisujemy stare historie zamiast pisać nowe i co ma z tym wspólnego... fizyka kwantowa?

MARIUSZ KAPROŃ Z BOLIWII
O tym, jak katolicy z Globalnego Południa ewangelizują misjonarzy, czego przykładem jest Leon XIV. O papieżu z Peru i odwróconej geografii misji.

PAWEŁ BRAVO
Futuro Nazionale, czyli skrajna prawica po włosku. Czy nowe ugrupowanie wywróci i tak chybotliwy stolik tamtejszej polityki?

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 849bad8b12

OBRAZ TYGODNIA

21–27 WRZEŚNIA 2026

OBYWATEL UKRAINY, cierpiący – jak orzekli psychiatrzy – na zaburzenia psychotyczne, wpadł z nożem na teren klasztoru benedyktynek w Jarosławiu, gdzie zabił próbującego go powstrzymać księdza i zranił kilka innych osób. Atak potępił m.in. prezydent Zełenski, a inny zraniony duchowny zaapelował o przebaczenie i o to, by „nie winić narodu, z którego był oprawca". ■■■ **AKT DYWERSJI** i terroryzmu przeprowadzony z inspiracji rosyjskich służb specjalnych – tak nazwał pożar stacji bazowej Starlinków na Mazowszu prokurator generalny Waldemar Żurek. Celem działania dywersantów miało być zakłócenie ruchu i łączności internetowej systemu w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. ■■■ **ROSYJSKIE PROWOKACJE** nasilają się nie tylko w naszym kraju (gdzie m.in. polskie myśliwce przechwyciły zbliżający się do wybrzeża samolot Ił-20), ale także w Rumunii i Mołdawii, gdzie wleciały kolejne atakujące Ukrainę drony. ■■■ **BRYTYJSKA POLICJA** zatrzymała pięć osób pod zarzutem przygotowywania ataku terrorystycznego na bazę RAF, wykorzystywaną przez amerykańskie lotnictwo do bombardowań Iranu. W pobliskiej wsi ewakuowano ludzi z 85 domów, na miejsce przybyli saperzy. ■■■ **SZCZYT AMERYKAŃSKO-CHIŃSKI** w Waszyngtonie trwał 3 dni, prezydenci Xi i Trump przedłużyli do stycznia rozejm w wojnie handlowej między ich krajami i umówili się na dwa kolejne spotkania jeszcze w tym roku. ■■■ **ZGROMADZENIE OGÓLNE ONZ**: Donald Trump mówił o perspektywach zakończenia konfliktu z Iranem i wojny na Ukrainie (nie wykluczając zaostrzenia sankcji i ceł przeciwko Rosji, o co apelował Wołodymyr Zełenski), a także sprzeciwił się wprowadzeniu globalnych regulacji rozwoju AI. ■■■ **KORPORACJA OPENAI** przyznała, że jej boty dokonywały nieuprawnionych ingerencji w witryny i systemy wielu globalnych instytucji, w tym agencji rządowych USA i Australii. Według firmy żadne ze zdarzeń nie stanowiło skutecznego włamania, choć było przykładem „nieoczekiwanego i niepokojącego" zachowania technologii. ■■■ **LEON XIV** odbył pielgrzymkę do Francji, gdzie w spotkaniach z nim uczestniczyły setki tysięcy wiernych. Podczas odwiedzin w ośrodku pomocy dla migrantów papież powiedział, że historii ludzkości nie piszą ci, którzy sprawiają wrażenie zwycięzców, lecz ci, którzy uruchamiają procesy pokojowe. ■■■ **POLSKI RZĄD** przyjął pakiet projektów ustaw mających zreformować ochronę zdrowia. Wśród nowych regulacji są m.in. limity wynagrodzeń dla medyków. ■■■ **W KRAKOWIE** odbyły się przedterminowe wybory na prezydenta miasta. Przy 43,5 proc. frekwencji do II tury weszli lokalny radny i przedsiębiorca Łukasz Gibała (36,38 proc. głosów) i popierana przez KO senator Monika Piątkowska (29,91 proc.). ■■■ **W GDYNI** odbył się 51. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych. Złote Lwy 2026 zdobył film Macieja Sobieszczańskiego „Przez ścianę", nagrodę za najlepszą reżyserię otrzymał Paweł Pawlikowski („Ojczyzna"). ■■■ **POLSCY SIATKARZE** zdobyli mistrzostwo Europy. ©℗



PIOTR POLAK / PAP

POWYŻEJ:
Marsz milczenia w Jarosławiu, 26 września 2026 r.

INNI LUDZIE

Jeśli ktoś liczył, że po wydarzeniach w Jarosławiu głos polskich duchownych będzie iskrą inicjującą wybuch agresji wobec Ukraińców, srodze się zawiódł. Egzamin zdali też politycy.

MAREK RABIJ

Wybaczam. Słowo, do którego można w zasadzie sprowadzić całe chrześcijaństwo, ma zgoła inną konsystencję, kiedy pada z ust człowieka, który nosi jeszcze na twarzy ślady niedawnej napaści. Sobotnie kazanie księdza Adama Mantykiewicza, niedoszłej ofiary nożownika z Jarosławia, poruszyło nawet tych, którym z religijnością na co dzień zupełnie nie po drodze. Z kolei ci, którzy wciąż cenne dla nich poczucie przynależności do wspólnoty Kościoła katolickiego okupują wysłuchiwaniem kolejnych impertynenc-

eprasa.pl 849bad8b12



Lepiej, niż się wydaje

Już na początku 2022 r., gdy Polskę zalała fala uciekinierów z Ukrainy, pojawiły się pierwsze obawy, że tak duża migracja z kraju ogarniętego wojną może przynieść do nas wzrost przestępczości. Nic takiego nie miało na razie miejsca. W policyjnych statystykach za rok 2025 obywatele Ukrainy pojawiają się rzadziej niż Polacy. Na każdy tysiąc Ukraińców zameldowanych w kraju przypadają średnio trzy osoby, które dopuściły się przestępstwa (w przypadku obywateli polskich ta sama proporcja wynosi cztery osoby na 1000). Powód? Ukraińska migracja po 2022 r. przyniosła do Polski głównie kobiety i dzieci.

Z danych MSWiA wynika również, że podsycane przez prawicę obawy o wzrost liczby przestępstw wywołany rosnącą liczbą migrantów nie mają na razie pokrycia w liczbach. Przestępczość w Polsce nadal maleje. Maleje także liczba przestępstw, których dopuszczają się sami cudzoziemcy (w połowie br. w porównaniu z połową 2025 r. spadła z 18,5 do 16,9 tys.) ©℗ MR

kich wystąpień polskiego duchowieństwa, mogli sobie z ulgą przypomnieć, że księża potrafią także łączyć.

„Jako uczeń Jezusa Chrystusa pragnę w swoim imieniu, w imieniu księdza Marka i w imieniu księdza Stanisława powiedzieć bardzo dobitnie, że wybaczamy! I prosimy o modlitwę za nas" – mówił ksiądz Adrian, dodając, że prosi, by nie winić za zbrodnię „narodu, z którego jest oprawca. (...) Nie dokonali tego inni ludzie. To była jedna, jedyna osoba. (...) Dlatego proszę was, abyście nie odpowiadali złem za zło, abyście odpowiadali miłością, wsparciem i zrozumieniem. (...) Proszę was, abyście się wzajemnie szanowali i wspierali" – zaznaczył duchowny.

Apel o powściągnięcie emocji popłynął nie tylko z klasztoru Sióstr Benedyktynek w Jarosławiu, w którym 24 września 31-letni Ihor M. zaatakował przypadkowe osoby. Ofiarą nożownika padł ksiądz Stanisław Zbojnowicz. Cztery inne osoby odniosły rany. Nazajutrz po tych tragicznych wydarzeniach Rada Konferencji Episkopatu Polski ds. Migrantów i Uchodźców wystosowała komunikat, w którym ze stanowczością przypomniała polskim katolikom, że „każdy akt wrogości wobec obcokrajowca, pochodzącego z Ukrainy czy jakiegokolwiek innego kraju, jest poważnym naruszeniem podstawowych zasad religii chrześcijańskiej. Dotyczy to także ataków słownych, znieważających wypowiedzi w codziennych kontaktach. Promowanie tego rodzaju treści jest nie do pogodzenia z chrześcijańską postawą, która obliguje nas do budowania kultury spotkania, a nie wrogości".

JEŚLI BYLI W POLSCE TACY, którzy liczyli, że po wydarzeniach w Jarosławiu to właśnie głos polskich duchownych będzie iskrą inicjującą wybuch agresji wobec Ukraińców, a może nawet falę linczów, to zawiedli się srodze. Kościół zdał ten egzamin. Powyżej oczekiwań zaprezentowali się zresztą także polscy politycy, być może zdający sobie sprawę, że tym razem nie czas i miejsce na zabawę zapałkami polaryzacji.

Prezydent Karol Nawrocki, którego w kwestii relacji polsko-ukraińskich trudno nazwać gołębiem, tym razem ograniczył się do przypomnienia, że „zasady i wartości naszej wspólnoty muszą być respektowane przez wszystkich przebywających w naszym kraju. Dzisiejszy atak wstrząsnął nami wszystkimi i wymaga stanowczej odpowiedzi państwa. Oczekuję, że właściwe służby szybko i dokładnie wyjaśnią wszystkie okoliczności tej tragedii". Krzysztof Bosak z Konfederacji, która na karmieniu resentymentów wobec Ukraińców zna się jak mało która partia w Polsce, nazwał zdarzenie „koszmarną zbrodnią", ale zaapelował jedynie o coś, czego oczekują chyba dziś wszyscy – czyli o ujawnienie motywów sprawcy oraz okoliczności ataku zaraz po ich ustaleniu. Jarosław Kaczyński w podobnym tonie zażądał wyjaśniania, czy sprawcą nie interesowały się wcześniej polskie służby.

Histeryczny głos Janusza Kowalskiego, który tuż po tragedii wystąpił z propozycją deportacji wszystkich ukraińskich mężczyzn w wieku poborowym, zabrzmiał na tym tle jak polityczny falstart. Były poseł PiS ewidentnie nie spodziewał się, że polska klasa polityczna nie rzuci się na taką gratkę.

„SPRAWCA TO OBYWATEL UKRAINY" – zdradził tuż po ataku premier Tusk, mimo że narodowość napastnika na tym etapie postępowania, bez znajomości motywów jego działania, nie miała większego znaczenia. Nie trzeba jednak być partyjnym spindoktorem, by rozumieć, że przy aktualnej temperaturze antyukraińskich nastrojów w Polsce samo przemilczenie tej informacji bardziej by zaszkodziło, niż pomogło. Kryzys relacji polsko-ukraińskich wybuchł w twarz zarówno tym, którzy od początku grali tą kartą, jak i tym, którzy usiłowali mu zapobiec. Odpowiedzialność jednostek – czy to w bieżącej polityce, czy to w bolesnej polsko-ukraińskiej przeszłości – myli się z odpowiedzialnością zbiorową. W Jarosławiu te nastroje mogły łatwo przekroczyć swój Rubikon.

CO DALEJ? Ukrainę czeka kolejna trudna zima. W Polsce na pierwsze oznaki spowolnienia na rynku pracy nakładają się rosnące obawy o rosyjską dywersję. Od wywiadów kolejnych krajów NATO płyną ostrzeżenia, że tej jesieni lub zimy Rosjanie mogą sobie pozwolić w Europie na „coś naprawdę dużego". A przy tym Moskwa nieustająco sufluje narrację, że tego wszystkiego można by uniknąć, gdyby nie pomoc dla sąsiadów, którzy nas cynicznie wykorzystują.

Pozostaje powtórzyć apel księdza Adriana. Oby codzienne problemy nie sprawiły, że zapomnimy, kto wykorzystuje tu nas naprawdę. ©℗

eprasa.pl 849bad8b12



Wybór na ciężkie czasy

MAREK KĘSKRAWIEC

Pierwszą turę wyborów w Krakowie wygrał Łukasz Gibała (36,4 proc. głosów), który za dwa tygodnie zawalczy z Moniką Piątkowską (29,9 proc.) z KO. Nominaci PiS i Korony zebrali ledwie 22 proc., bo wyborcy Konfederacji, której kandydat nie zarejestrował listy, poszli głównie za Gibałą, byłym posłem PO i Ruchu Palikota. Widać wyraźnie, jak daleko mają dziś do siebie główne prawicowe elektoraty.

Powodów do radości nie ma też lewica, która w uniwersyteckim Krakowie dostała tylko 12 proc., i to z przewagą pozaparlamentarnego Razem. Fakt, zwycięzca pierwszej tury jest od lat liderem części ruchów miejskich kojarzonych z lewicą, jednak w ostatnich latach zdarzało się Gibale mieć wspólne, taktyczne interesy z PiS – zarówno w epoce Jacka Majchrowskiego, jak też podczas przerwanej kadencji Aleksandra Miszalskiego z KO. W tym kontekście wynik partii lewicowych to klęska.

Jednak przenoszenie sytuacji w Krakowie na sprawy krajowe byłoby błędem. Miszalski poległ z powodu lokalnego gniewu, a nie rozczarowania Tuskiem. Objął 60 proc. miasta Strefą Czystego Transportu, jednocześnie podwyższając ceny za parkowanie i za bilety komunikacji miejskiej, a na dokładkę przesadził z nominacjami kolegów partyjnych w spółkach i nie potrafił zastopować wzrostu długu. Pod koniec ery Majchrowskiego wynosił on 6,5 mld zł, dziś dobija do 9 mld. Kraków w przeliczeniu na mieszkańca jest najbardziej zadłużonym z dużych polskich miast i ma mniejsze od nich wpływy z podatków.

To będzie największy problem przyszłego prezydenta. Miasto od dawna nie jest już ważnym ośrodkiem przemysłowym; światowe korporacje wolą zakładać tu centra usług wspólnych, z których jest mniej podatków niż z produkcji. I dlatego rządy w Krakowie będą wyjątkowo trudne. Gibała nie zapowiada żadnych fajerwerków poza nowymi liniami tramwajowymi: uważa, że najpierw trzeba opanować dług i odpartyjnić spółki.

Piątkowska ma więcej planów związanych z inwestycjami, komunikacją i rynkiem pracy, ale nie wiadomo, skąd weźmie pieniądze. Przez najbliższy rok kandydatka KO może liczyć na rząd, ale z drugiej strony – Kraków ugina się pod ratami za wiele inwestycji jeszcze z czasów Majchrowskiego, niepotrzebne mu nowe długi. Kłopot również w tym, że Piątkowska przez lata była częścią jego ekipy; dla wielu wyborców to może być oznaka powrotu do przeszłości.

Inna sprawa, że faworyt, niegrzeszący charyzmą i sukcesami w biznesie, to w ratuszu wielka niewiadoma. Gibała startuje już czwarty raz, ale choć stoi za nim kilku poważanych ekspertów, nie wiadomo, czy złożą się w sprawną ekipę, zwłaszcza przy niechętnej radzie miasta. A czasu ma mało. Za dwa lata kolejne wybory. ©℗



ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

Łukasz Gibała podczas wieczoru wyborczego. Kraków, 27 września 2026 r.



Globalny tydzień

JACEK STAWISKI

Co roku we wrześniu można przyglądać się globalnemu przedstawieniu na forum ONZ, gdzie światowi przywódcy prezentują swój punkt widzenia na różne sprawy.

Najwięcej uwagi poświęca się zwykle wystąpieniu prezydenta USA. W tym roku Trump nie powiedział nic nowego; znów groził Iranowi, z którym jest w stanie „dziwnej wojny". Ale irański reżim nie jest skłonny do uległości, gra na czas. Nie jest jednak tak, że to on wygrywa. Irańczycy są świadomi, że przedłużając konflikt, komplikują Trumpowi sytuację w kraju: wysokie ceny paliw sprawiają, że rosną koszty życia i 3 listopada Republikanie mogą przegrać wybory do Kongresu.

Najważniejszą sceną globalnego teatru był jednak w tym roku nie wieżowiec ONZ, lecz Biały Dom, gdzie spotkali się przywódcy USA i Chin. Charakter stosunków obu krajów definiuje politykę światową. Obie potęgi korzystają na wzajemnych relacjach, ale zarazem Pekin i Waszyngton dzielą kardynalne różnice. Zarządzanie nimi tak, by rywalizacja nie przerodziła się konflikt zbrojny, to łamigłówka dyplomatyczna. Trump przyjął Xi Jinpinga nadzwyczaj gościnnie. Może liczył, że etykieta i szczególny protokół pozwolą zbudować osobiste relacje z chińskim autokratą. To *modus operandi* Trumpa: osobiste układy z „silnymi" liderami państw, które są rywalami lub wręcz wrogami Stanów – jak Rosja, Chiny, Północna Korea.

Jednak legendarne wyrachowanie i cierpliwość chińskich polityków nie dają chyba szansy na to, by strategiczne różnice między Chinami i USA można było przezwyciężyć pompą. Te różnice to: status Tajwanu, globalny handel i rywalizacja w obszarze technologii. Z obawy o chińską przewagę w sektorze AI, Trump odrzuca apele o regulację tego sektora w Stanach. Chińczycy na obawy wobec AI odpowiadają, że systemy sztucznej inteligencji powinny być kontrolowane przez ludzi. Co to oznacza w praktyce, trudno odgadnąć.

Z naszego europejskiego podwórka ten tydzień globalnej polityki odnotować warto w dwóch sprawach. USA, Dania i Grenlandia zawarły nowy układ o bezpieczeństwie tej największej wyspy świata, co kończy absurdalny i groźny spór. Za to w sprawie wojny w Ukrainie nie ma postępu: Trump drepcze w miejscu. Ukraińcy mają dostać licencję na produkcję antyrakiet Patriot, ale ich produkcja to kwestia odległej przyszłości. Z kolei Rosja dostała „marchewkę" w postaci zaproszenia Putina na szczyt G20 na Florydzie, co Europa przyjęła z nieukrywanym rozczarowaniem. ©℗

eprasa.pl 849bad8b12

Czy to pokolenie Leona XIV?

KOŚCIÓŁ ▪ Na okładce popularnego tygodnika „Paris Match”, piszącego o celebrytach, Leon XIV wygrał z Céline Dion, frankofońską gwiazdą piosenki, która właśnie wróciła do Francji z serią koncertów. Lewicowa gazeta „Libération” użyła gry słów: „Pape star w Paryżu”. Nic dziwnego. Łączna liczba uczestników spotkań z papieżem w pierwszych dwóch dniach wizyty przekroczyła milion osób. Tylko w plenerowej sobotniej mszy z papieżem przy Placu Zgody w Paryżu wzięło udział – według służb watykańskich – 800 tysięcy ludzi. A przecież mówimy o mocno zlaicyzowanym kraju, w którym ponad połowa mieszkańców deklaruje się jako ateiści lub agnostycy.

Pierwsze nocne czuwanie Leona XIV z młodzieżą, w piątek 25 września, było wielkim show: fajerwerki, chrześcijański rock i „Ave Maria” w interpretacji piosenkarki Monroe. Stade de France pękał w szwach. Leon XIV zachęcał młodych do wybrania drogi chrześcijańskiej doskonałości: „Jesteście świętymi Francji!”.

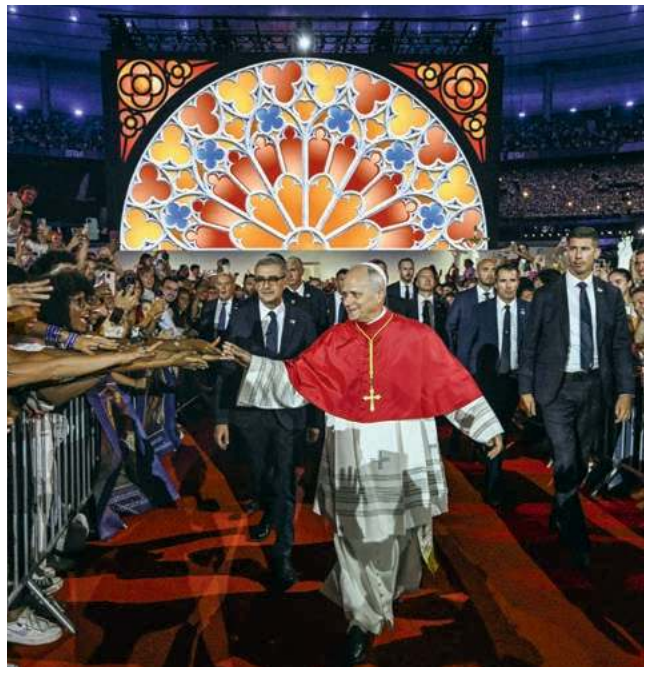

SIMONE RISOLUTI / VATICAN MEDIA / AFP / EAST NEWS

Leon XIV opuszcza Stade de France po modlitewnym czuwaniu z młodzieżą, Paryż, 25 września 2026 r.

W kolejnych dniach papież spotkał się w Paryżu z uchodźcami z katolickiego ośrodka Maison Bakhita, a w Lourdes przez dwie godziny rozmawiał – za zamkniętymi drzwiami – z siedmioma ofiarami nadużyć seksualnych popełnionych przez duchownych. W Lourdes także wzywał francuskich biskupów, by kontynuowali walkę z „bolesną plagą” pedofilii w Kościele.

Wizyta papieska miała również wymiar polityczny. Francuski parlament – mimo sprzeciwu Kościoła – zalegalizował w tym roku eutanazję. – Leon XIV skorzystał z okazji, by przypomnieć, że liczni francuscy katolicy mają odmienne zdanie od parlamentarnej większości i że mają prawo je wyrażać. Sformułował to jednak w sposób dyplomatyczny, aby nie narazić prezydenta Macrona na publiczne upokorzenie – mówi „Tygodnikowi” Théo Moy, redaktor miesięcznika progresywnych chrześcijan „Le Cri” (czyli „Krzyk”).

W piątkowej mowie wygłoszonej w obecności prezydenta Emmanuela Macrona nie padło więc słowo „eutanazja”, choć papież mówił o ochronie prawa do życia i sprzeciwiał się „ofercie zaplanowanej śmierci”. Powrócił do tego tematu w niedzielę, przemawiając do chorych w sanktuarium w Lourdes, podkreślając, że „pokusa zadawania śmierci pod przykrywką fałszywego współczucia musi być stanowczo odrzucona”.

Pielgrzymka zakończyła się w poniedziałek wizytą w Metz, mieście związanym z Robertem Schumanem, żarliwym katolikiem i jednym z ojców założycieli wspólnoty europejskiej. Leon XIV przekonywał, że pokój i jedność będą możliwe tylko wtedy, gdy Europa wróci do swoich korzeni, także chrześcijańskich, a jednocześnie otworzy się na dialog z innymi kulturami.

Wizyta papieża pozwoliła francuskim katolikom wyjść z cienia, policzyć się i poczuć siłę bycia razem. Obrazy tłumów na Placu Zgody i Stade de France długo zostaną w pamięci. Choć trudno na razie wyrokować, czy rodzi się właśnie francuskie „pokolenie Leona XIV”.

© SZYMON ŁUCYK z Paryża

Artykuł ukończono w poniedziałek o godz. 12.00

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 849bad8b12



ŁUKASZ GIZA

eprasa.pl 849bad8b12

TEMAT TYGODNIKA

DLACZEGO ŚWIATA JEST ZA DUŻO

OLGA TOKARCZUK:

Epoka, która się rodzi w bólach na naszych oczach, będzie epoką syntezy. Prób nadania światu i jego narracjom sensu.

MICHAŁ OKOŃSKI, TOMASZ STAWISZYŃSKI: Gdybyś miała być drzewem, to jakim?

OLGA TOKARCZUK: Właśnie wróciłam z Ziemi Lubuskiej, gdzie widziałam piękne wielkie dęby czerwone, które porastają nizinne okolice Odry i jej starorzecze. Zdałam sobie tam sprawę, że to były drzewa mojego dzieciństwa i dopiero później nauczyłam się, że istnieją też inne gatunki dębów. Te jednak pozostają dla mnie wzorcowymi dębami: drzewami, które robią się czerwone na jesień i wygląda to, jakby brzegi Odry się żarzyły.

Te nadrzeczne dąbrowy to dla mnie charakterystyczny obraz Odrzanii – krainy, o której piszę w nowej książce.

A my nawiązujemy do jednej ze scen, które się w niej znalazły. Osadzone we wrocławskim więzieniu Polka, Niemka i „banderówka" wymyślają sobie grę z takimi pytaniami. Chciałyby być „lipą, łypą, Linde" albo „brzozą, berezą, Birke"...

Moje bohaterki, pochodzące z zupełnie różnych światów i skazane za różne czyny, próbują w tej niewinnej zabawie uwspólnić własne doświadczenie. Uprawiają więc kulturę, ponieważ tym właśnie jest kultura – budowaniem uniwersalnej płaszczyzny komunikacji, uwspólnieniem pojedynczych doświadczeń.

Nie należy jednak tej funkcji kultury sprowadzać do ujednolicenia czy jakiejś standaryzacji.

Tzw. Ziemie Odzyskane, na których rozgrywa się akcja powieści, musiały uwspólnić doświadczenia tych, którzy tu mieszkali od pokoleń – a których przecież wszystkich nie wygnano – i doświadczenia przybyszów. Chcemy z Tobą rozmawiać o tym, czy kultura – a w niej literatura – wciąż potrafi nam to dać. Żyjemy w świecie tak spolaryzowanym, że pytanie, czy coś nas jeszcze łączy, wcale nie brzmi naiwnie.

Mam wrażenie, że nas, urodzonych 20-30 lat po wojnie, wychowywano w przekonaniu o homogeniczności Polski. Przeświadczeniu, że jesteśmy jednorodnym, niepodzielnym narodem, którego regiony różnią się zaledwie folklorem. Na ten folklor Polska ludowa kładła zresztą nacisk, jakby rozumiejąc, że ludzie nie lubią być po prostu tacy sami.

Dialekty udało się jednak wyprasować, gwara stała się czymś wstydliwym, „wsiowym". Wprowadzono też jedną narrację historyczną, taką z Centrali, w której dzieje narodu i terytoriów, które zamieszkuje, także miały być uwspólnione, należące do wszystkich regionów i wszystkich obywateli. Wszystkie drogi centralistycznie zarządzanego i myślanego kraju prowadzą do Warszawy i tam się krzyżują.

Piszesz o tym w książce, rozróżniając „Polskę polską" i „Polskę niepolską". Ta pierwsza to właśnie Centrala, ta druga „ma swoje powodzie i platany, swoje kręte górskie drogi i tunele, swoje barokowe kościoły i figurki Jana Nepomucena przy mostkach. Jest pełna ruin, których się nie odbudowuje, bo nie wiadomo, jak długo ta dziwna ziemia będzie stowarzyszona z Centralą. Czy znowu z lasu nie wyjdzie Werwolf, UPA lub NKWD". Tyle że po lekturze mamy poczucie, że akurat ten podział udało się przezwyciężyć. Jak w przypadku sprzączki, której dwie części udało się odnaleźć i scalić kolejnej z Twoich bohaterek: „Polska polska" i „Polska niepolska" dziś są jednym.

Ale w książce to jest refleksja powieściowa, wyrastająca z tamtego, historycznego czasu, w którym dzieje się akcja. Poza tym to nie jest opowieść, która stawia jedną, ostateczną i niepodważalną tezę, a następnie ją udowadnia za wszelką cenę, rezygnując z wszystkiego, co niepewne, ukryte, przeczute, zmieniające się w czasie.

Tak, to oczywiste – dzielimy się po prostu wrażeniem z lektury „Świata jest za dużo".

↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ Natomiast gdybym miała odpowiedzieć na tak postawione zagadnienie współcześnie, powiedziałabym: chciałabym, żeby tak było. W rzeczywistości przecież Polska jest dużym krajem w Europie o niejednorodnej historii, wielu etniach, tradycjach i kulturach. Sam fakt 123 lat zaborów doprowadził do ogromnych różnic między regionami. Za każdym razem, gdy widzę mapy wyborcze albo mapy linii kolejowych, zdumiewa mnie to długie trwanie różnic. Przemieszczenia ludności po wojnie dodają im dodatkowego wymiaru i nieoczywistych kontekstów.

Rozumiem więc pojęcie narodu jako coś, co się nieustannie uzgadnia, nie zaś jako jakąś metafizyczną kategorię daną nam z góry lub polityczne polecenie z Centrali. No i oczywiście jest to jedna z wielu tożsamości, które mamy.

„Są na ziemi cztery wielkie plemiona krwienne, lecz nie mają te plemiona ani swoich kultur, ani swoich języków" – napisałaś, nawiązując np. do niewidzialnej tożsamości, jaką stanowią nasze grupy krwi.

W niedawnym wykładzie we Włoszech (można go przeczytać na stronie naszej Fundacji) wprowadziłam rozróżnienie na Terroir i Terytorium. Myślę, że te dwie perspektywy pozwalają lepiej zrozumieć nasz stosunek do miejsca, w którym żyjemy. Pojęcie Terroiru zapożyczyłam oczywiście z winiarstwa.

Jak je rozumiesz?

Terroir to niepowtarzalna i skomplikowana cecha jakiegoś miejsca – z jego glebą, wodą, powietrzem, porami roku i wędrówką słońca po niebie. Lecz to także coś mniej uchwytnego: historia i pamięć, które tworzą coś, co nazywamy tradycją. Każde miejsce ma taką swoją jakość, podobnie jak człowiek należący do tego miejsca – jego ciało i zmysły, jego opowieści, kultura, subtelna tożsamość, której często nie da się wyrazić odpowiednim słowem.

Terytorium jest dwuwymiarowe, Terroir zaś jest figurą o nieskończonej ilości wymiarów. Pierwsze da się wyrazić poprzez mapę i granice, drugi już nie, bo potrzebuje zmysłów, opowieści. Pierwsze można dokładnie zmierzyć, drugi trzeba opowiedzieć.

Opowiadasz więc: dzieje nie tylko ludzi, ale i zwierząt, grzybów, mebli czy sukien, które współtworzą dolnośląski Terroir. Bo nie Terytorium.

Oba te słowa odnoszą się do przestrzeni, ale mówią o niej w dwóch całkiem różnych językach – Terytorium w języku władzy i mapy, a Terroir w języku nie zawsze uświadomionego doświadczenia. O Terytorium można powiedzieć, że należy do kogoś czy czegoś: państwo ma swoje terytorium, naród ma swoje terytorium. Ale nie da się sprawić, żeby Terroir do kogoś należał. To byt sam w sobie, żywa skomplikowana tkanka świata, której jesteśmy częścią – tak samo jak mrówki i grzyby, materiały, z których zbudowane są domy, aleje wzdłuż dróg itp. Terroir nie jest niczyją własnością, nie można go mieć. To raczej on może posiadać nas i jeżeli będziemy z nim odpowiednio długo obcować, coś z niego przeniknie do naszych ciał i umysłów.

Obydwa pojęcia inaczej działają w czasie. Terroir jest nieuchwytny, powstaje przez setki i tysiące lat, we własnym tempie rozwija się i zwija. Nie da się go „przejść" czy „podbić", wymyka się takim pojęciom. Terytorium można zdobyć czy przejechać w jeden lub kilka dni. Lubi język prawa, porozumiewa się paragrafami, traktatami, aktami własności. Można je podzielić, sprzedać, odzyskać, stracić. W tym sensie jest zawsze potencjalnie tymczasowe, zawsze może przejść w ręce innych, nawet jeśli deklaruje własną wieczność i niezmienność.

> Ludzie mają prawo, żeby zapomnieć. Nie musimy brać na siebie całego bólu świata.

Terroiru przejść i podbić się nie da. Ale czy da się opisać?

No właśnie. Terytorium jest abstrakcją, którą da się przenieść na papier. Terroir opiera się prostej translacji, transkrypcji i geometryzacji, bo kiedy próbuje się go skopiować, staje się imitacją. Nie da się podrobić światła ani dźwięków przyrody.

Ten sam szczep wina w różnych miejscach smakuje inaczej. Zawsze kiedy odwiedzałam przyjaciół w Holandii, woziłam im zwykły polski twaróg, bo tam nie można go było kupić i co dziwniejsze – zrobić. Nie wychodził.

Terroir istnieje zawsze tylko lokalnie?

Tak, właściwie nie da się go zgeneralizować ani zunifikować. Nie da się go więc też – wrócę do pytania – opisać inaczej niż w jakiś szczególny, użyjmy paradoksu, poetycko-specjalistyczny sposób.

I to jest wielkie wyzwanie dla piszącego: jak oddać te wszystkie szczególności? Pierwszy odruch jest taki, żeby pracować zawzięcie nad detalami, ale to nie wystarczy. Podobnie trudno będzie, jeśli spróbujemy tylko uogólniać poprzez opisy natury, krajobrazów, architektury czy np. smaków. Najlepiej byłoby znaleźć w takiej opowieści wspólny mianownik, który zawarłby to wszystko w sobie. Ale czy to się może udać? Myślę, że byłam najbliżej tego rodzaju pisania w „Domu dziennym, domu nocnym".

Wiesz, chyba zaczniemy lubić to pojęcie.

Ale nowoczesność faworyzuje Terytorium. Potrzebuje go, by zarządzać, kontrolować, standaryzować. Państwo nie potrafi myśleć Terroirem – Terroir je niepokoi, ponieważ ono za wszelką cenę chce utrzymać wyobrażoną jedność, a każdy Terroir jest ze swojej definicji inny i niepowtarzalny, grozi więc decentralizacją i rozpadem.

Tak, myślę, że możliwy jest dyskurs o Polsce także w kategoriach Terroirów. I Dolny Śląsk jest właśnie takim wielkim Terroirem.

A jak w tym kontekście widzisz kategorię podobieństwa? Ostatecznie, żeby tworzyć wspólnotę, musimy czuć, że coś nas łączy, że jesteśmy w czymś do siebie podobni. Widzisz takie spoiwo, o którym moglibyśmy sobie wszyscy przypomnieć, żeby osłabić destrukcyjną siłę polaryzacji?

Powiedziałabym, że to język. Język ma ogromną moc zarówno scalania, jak i różnicowania, dlatego jedni chodzą do lasu na kanie, a inni na sowy, choć przecież chodzą po to samo. A wraz z nim kultura, pozwalająca nam się porozumiewać żywiołowo, samodzielnie, spontanicznie i autonomicznie, bez nieskończonego rozpisywania wszystkiego na szczegóły.

eprasa.pl 849bad8b12

Dlaczego zatem tak trudno nam się porozumieć? Utraciliśmy wspólny język? Żyjemy w równoległych kulturach?
Myślę, że właśnie tak jest: utraciliśmy wspólny język w takim znaczeniu, o którym tu mówię. Bo przecież nie chodzi tylko o polską gramatykę. Chodzi o to, jakimi emocjami obarczamy różne pojęcia, zwroty. Jak w miejsce porozumienia wprowadziliśmy i zaakceptowaliśmy zasadę nieporozumienia, nieporozumiewania się. Odebraliśmy komunikacji jej podstawową funkcję.

Moja prawie dziewięćdziesięcioletnia mama chętnie ogląda materiały internetowe na tablecie i często bywa zszokowana: przekleństwami, słowami i tytułami wulgarnymi typu „Pie... się z każdym za rolę" – a mowa o znanej i szacownej aktorce. Takie zdanie buduje w wyobraźni potężny obraz, którego nie da się łatwo zapomnieć. Niezauważenie ten obraz stanie się czymś w rodzaju psychologicznego faktu. Do niego dochodzą inne obrazy i tworzy się specyficzna wizja świata. Mama pytała mnie, dlaczego ludzie nie protestują przeciwko takim praktykom w internecie. No właśnie, dlaczego?

Może protestów też jest za dużo.
Ja myślę, że nie ma już obiektywnych, a tym samym wiodących informacji o świecie – jest mnóstwo mniejszych, różnych, niepodobnych do siebie. Jedne są rzetelne, inne jednostronne, propagandowe czy wręcz kłamliwe. Dobrze jest mieć dostęp do tak wielu perspektyw, chcieliśmy tego, ale trzeba by było teraz codziennie świadomie weryfikować i dokonywać wyboru, żeby mieć całe spektrum faktów i dotrzeć do prawdy. A nie mamy na to czasu, być może zatraciliśmy już tę umiejętność albo – kto wie – nawet potrzebę. Zaczynamy więc żyć w różnych światach.

Skoro wspomniałaś przed chwilą o zapominaniu: nie wiemy jeszcze, co powiedzą krytycy, ale dla nas jedną z najważniejszych kwestii unoszących się nad „Świata jest za dużo" jest ta, jak i czy w ogóle pamiętać. Dzieje naszych Terroirów – skrwawionych ziem, traumalandu – są przecież takie, że może lepiej byłoby zapomnieć, a przynajmniej tak chyba uważa zbiorowy narrator książki. „Uczy się dzieci, jak pamiętać, ale nie uczy się, jak zapominać", „Jest mnóstwo rzeczy, które nie powinny być pamiętane" – rzucasz wyzwanie światu, który krzyczy „Pamiętać! Pamiętać!".
Przyglądałam się cnocie niepamiętania przez całe dzieciństwo, obserwując, o czym i jak rozmawiali dorośli. Głównie wspominali piękne rzeczy, zapachy, smaki, krajobrazy, zwyczaje.

Żadnych traum?
Coś tam czasem padło, ale jakoś tak niezobowiązująco. Wiele historii odtworzyłam, kiedy byłam już dorosła, wręcz domagając się odpowiedzi. W latach 60. ludzie wciąż nie chcieli mówić o wojnie i o tym, co przeszli. Było trochę „epickich" opowieści, np. jak to front przechodził przez miasteczko. Albo anegdotycznych – jak to weszli Rosjanie. Długo nie miałam pojęcia o przemocy na Wołyniu i Podolu. Tak, czasem ktoś coś palnął, ale nie było to podejmowane w dalszej rozmowie. Temu zjawisku przygląda się w przenikliwej książce „Świat przed nami nie istniał" Katarzyna Surmiak-Domańska.

Dotyczyło to też innych spraw i miejsc. Czułam wyraźnie, że kiedy zadawałam pytanie o jakieś niewinne, wydawałoby się, wydarzenie, następowałam na minę. Poza tym te opowieści nie były stabilne, zmieniały się ciągle, nie dało się ustalić, co wydarzyło się naprawdę.

Czyli czasami lepiej nie pamiętać?
Ludzie mają prawo, żeby zapomnieć. Uważam, że mają prawo do skorzystania z cudownego zbioru mechanizmów obronnych, które wypracowała dla nas nasza psychika. Nie musimy brać na siebie całego bólu świata. Sprawy muszą być uczciwie zapisane w archiwach, ze wszelkimi dowodami najczarniejszych zbrodni – ale musimy umieć je przekroczyć i żyć dalej.

Wiem, że etycznie może to być dla wielu nie do przyjęcia, ale to są samozachowawcze mechanizmy, które ratują zdrowie psychiczne. Na Ziemiach Zachodnich te procesy zapominania towarzyszyły budowaniu funkcjonującego społeczeństwa. Długo to trwało, ale być może teraz możemy ogłosić jakiś sukces.

Czy istnieje różnica pomiędzy tym „zdrowym" zapominaniem a wyparciem, udawaniem, zamykaniem się na rzeczywistość, w tym także na – mówiąc językiem bliskiego Ci Junga – zbiorowy i indywidualny Cień?
Myślę, że praca nad sobą w duchu psychoanalizy, czy też według praw indywiduacji Junga, jest przywilejem danym niewielu. Samoświadomość to luksus. Większość działa w trybie przetrwania, gdzie niepamięć jest prostym i skutecznym lekarstwem. Rozumiem to dobrze.

„My, ludzie, którzyśmy się jeszcze nie urodzili, wiemy, że to tylko powierzchowna moda" – mówi o przymusie pamiętania Twój zbiorowy narrator. À propos: czy figura lub instancja nieurodzonych pozwala Ci wypowiedzieć coś, czego nie pozwalał zrobić „czuły narrator"? Czy to w ogóle jest perspektywa ludzka, czy próba spojrzenia na świat z jakiegoś zupełnie innego punktu?
Czuły narrator był swoistym postulatem, a także próbą odpowiedzi na moje nieustające poszukiwania modelu narratora. ↦



NOWA POWIEŚĆ OLGI TOKARCZUK
ukaże się 14 października 2026 r.
nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Zapraszamy na spotkanie z pisarką w ramach 18. Festiwalu Conrada, które odbędzie się 23 października o godz. 17.00 w krakowskim Auditorium Maximum UJ.

eprasa.pl 849bad8b12

↦ Robię to zawsze, kiedy zaczynam pisać książkę. Czasami to trwa i trwa, i tak było też w tym przypadku. Tak, znowu chciałam mieć instancję, która spojrzy na wszystko z góry albo z nietypowej perspektywy, chciałam, żeby ten sposób patrzenia był intrygujący i poszerzający.

Jak w „Księgach Jakubowych".
Tam była Jenta – dryfująca gdzieś na pograniczu życia i śmierci. Natomiast w przypadku „Świata jest za dużo", w stosunku do czasu akcji tej powieści my dzisiejsi jesteśmy jeszcze „nieurodzeni". A jednak opowiadamy. Jaki więc jest nasz status? Jakim prawem opowiadamy? Nieurodzeni to najbardziej uczciwa decyzja. Nie ma nas w 1946 r. albo jesteśmy jeszcze dziećmi.

Ale przecież nieurodzeni są czułymi narratorami, jak najbardziej. Patrzą z czułością na urodzonych, podziwiają ich, wiele wybaczają. Wiedzą, że sami też się kiedyś urodzą i że życie jest cyklem, gdzie przychodzący zastępują odchodzących i wchodzą w to, co jedni zostawili drugim.

Musimy zapytać o Apofenię. Pojęcie znane z psychiatrii zamienia się u Ciebie w prawosławną świętą: patronkę zbiegów okoliczności, sekretnych relacji i dziwnych powiązań między zdarzeniami w czasie. Apofenia „ma siwe włosy związane w dredy, a każdy włos to czyjaś historia". Może przez te dredy widzimy tu autoportret Autorki, która „pozwala losowi mówić".
Nie mam siwych dredów...

Nie powiedzieliśmy „siwe"!
...ale Apofenia to jest zdecydowanie moja ulubiona święta! Należało ją w końcu wymyślić, może być nam bardzo pomocna w świecie, który kpi z prostych przewidywań i w którym wszystko się zmienia z godziny na godzinę. Wtedy zawsze pojawia się przecież pokusa oddania się wierze w to, że istnieją jakieś podspodnie wzorce, jakieś niewidoczne porządki, którym można zaufać, żeby oddalić od siebie koszmar nieustannego podejmowania decyzji lub bezwolnego dryfowania. Chichotałam, kiedy o niej pisałam.

Apofenia i Prawo Sprzączki podpowiadają, że pozornie odległe wydarzenia składają się w całość. Czy w świecie powieści – i w świecie w ogóle – te połączenia istnieją naprawdę, czy są opowieściami wytwarzanymi przez ludzi, żeby chaos stał się możliwy do zniesienia?
Co istnieje naprawdę, a co jest wytwarzane przez psychikę ludzi – to głębokie zagadnienie filozoficzne, które nie mnie rozstrzygać. Ale zbliżam się do stanowiska, że nie są to wykluczające się przeciwności. W literaturze chodzi o to, żeby prostym, narracyjnym językiem próbować wszelkie możliwości bytu. Właściwie jedno z ważniejszych pytań, na które odpowiada literatura snująca opowieści, to: „a co by było, gdyby...". W opowieściach testujemy wszystko, co przyjdzie nam do głowy – zarówno jako pisząca i jako czytający.

A co jeśli Prawo Sprzączki (może pod inną nazwą) rzeczywiście istnieje i jest sprawdzalne na innym poziomie niż prosty eksperyment naukowy? W jakiejś nauce plus, tej, która czeka, by pojawić się w przyszłości? A co jeśli Apofenia jest brakującym, alarmowo potrzebnym nowym archetypem, który wyłania się z nowych relacji ludzi z otoczeniem? W moich opowieściach nie ma stwierdzeń, są tylko przypuszczenia, ulotne idee, pokrętne pytania i zwariowana metafizyka.

Czyli literatura to dla Ciebie coś w rodzaju metafizycznego poligonu, na którym testujesz i rozwijasz rozmaite warianty myślenia o rzeczywistości? Jak się to ma do innych, konkurencyjnych opowieści, które mówią nam, jak jest – nauki i religii? A może dziś do tego zestawu należałoby jeszcze dodać teorie spiskowe?
Sztuka, nauka i religia (bez teorii spiskowych, bo to chyba jednak inny rodzaj aktywności) to trzy różne królestwa, które nie powinny ani rywalizować, ani dać się porównywać. Każde ma swój system znaczeń, prawideł i polityk. Każde odpowiada na jakieś zapotrzebowanie.

Sztuka, literatura to skomplikowany i wyrafinowany język komunikacji, uwspólnienia indywidualnego doświadczenia – od tego zaczęliśmy rozmowę. Dzięki nauce żyjemy we w miarę bezpiecznym świecie, dożywamy starości, potrafimy zrozumieć wiele zjawisk, mamy ogromne bazy informacji, z których czerpiemy (a przynajmniej powinniśmy) ku korzyści ludzi. Religia to próba poznania i uporządkowania świata wrażliwością metafizyczną – tak bym nazwała tę jakość. Jedni mają ją słabszą, inni mocniejszą – w tym znaczeniu można by nazwać ją zmysłem.

A może jest tak, że – zwłaszcza w obliczu kryzysu religii instytucjonalnych – tutaj nic już nie jest ani zwariowane, ani heretyckie? Kiedy czytamy „Świata jest za dużo", wiemy, że pies naprawdę może być aniołem, krowa płaczką, a przez życie prowadzą nas amulety Barucha Barocco i Łaskawa Pani z Krzeszowa/Grüssau.
Od dawna mam poczucie, że świata nie da się dogłębnie opowiedzieć tylko w realistyczny sposób, że realistyczna forma, w którą usiłujemy wcisnąć nasze doświadczenie, ma za wiele frędzli, za dużo z niej wystaje. Wierzę za Jamesem Hillmanem, że nasz umysł ma raczej poetycką naturę, wcale nie logiczną, wcale nie racjonalną, a literatura i sztuka są obszarami, w których można do woli używać tego potencjału. Myślenie analogią, metaforą, symbolem, mitem, archetypem może otworzyć przed nami niecodzienne perspektywy rozumienia.

Jak to jest: być medium dla opowieści? Zanim włączyliśmy dyktafon, powiedziałaś, że znajdujesz się teraz w jakimś dziwnym limbo. Książka została skończona, ale nie trafiła jeszcze w ręce czytelników i nikt jej nie zrecenzował, a Ty właściwie nie wiesz, o czym ona jest.
Było mi z tą książką trudno z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że jest duża, wielowątkowa, pisana przez dłuższy czas i oparta na wielu źródłach (znowu mam mały regał z bibliografią). Po drugie z powodów – by tak rzec – biologicznych. Proces pisania jest pracą fizyczną, często bolesną, miejscami nużącą (nieustające poprawki!), wymagającą napiętej uwagi i czujności. Coraz gorzej to znoszę z wiekiem. Czuję, że nie mam już takiej kondycji jak kiedyś.

Ale najważniejsza jest rosnąca we mnie wątpliwość, jak opowiadać ten cały chaos naokoło, wszystkie jego wersje – indywidualne i zbiorowe; jak łączyć fikcję i fakty, i czy w ogóle jesteśmy w stanie opowiedzieć jeszcze świat, gdy ilość informacji i wrażeń, emocji, pamięci, danych,

eprasa.pl 849bad8b12

dyskursów jest tak ogromna, że trudno w nich znaleźć jakieś kierunki.

Nie brzmi jak ulga po skończonej robocie.
Ale to jest ulga. Zawsze najbardziej się cieszę, że udało mi się doprowadzić książkę do końca, bez względu na to, o czym jest i jak się ją pisało. Sam fakt dopięcia sprawy. Uff.

I lubię ten stan limbo między napisaniem a ukazaniem się książki. Daje wiele możliwości. Na razie książka należy tak naprawdę tylko do mnie i kilku innych osób, które mogły ją przeczytać. Potem trafi do krytyków, czytelników, stanie się towarem i przedmiotem na półkach, zacznie być tłumaczona, rozjedzie się po świecie – stanie się konkretna, będzie „o czymś". Interpretacje i oceny się ustalą, a wtedy ona oddali się ode mnie, odpłynie.

Jak mówiłaś o wątpliwościach związanych z opowiadaniem otaczającego nas chaosu, wrócił do nas jej tytuł. Świata jest za dużo?
Jest. To jego nowa jakość. Albo może nowa jakość naszej świadomości, trochę już o tym mówiliśmy.

Moją metodą pisarską była zawsze „oś krystalizacji", tak to sobie nazwałam – wyznaczenie jednej osi, wokół której z pomocą wyobraźni, wiedzy i czegoś jeszcze, na co nie ma dobrego określenia, porządki zaczynają się same krystalizować. Wydaje mi się, że teraz to przestaje działać. W obliczu ciągle rosnącej „wielkości świata" literatura trochę jakby podkuliła ogon – bardzo chętnie sytuuje się w gatunkowości, gdzie recepty na opowieść są krótsze i łatwiejsze do wykonania. Albo staje się medium własnego pojedynczego doświadczenia, które oddaje się do przeczytania innym.

Z drugiej strony na światowych rynkach książki widać ciekawy trend: wzrasta sprzedaż literatury pięknej, a spada non-fiction. Może za zwrotem w stronę fikcji – powieściowej, serialowej – stoi jakaś potrzeba syntezy? Opowieści, narracji, mitu, które tę mnogość spływających do nas codziennie danych i informacji są w stanie ująć w jakiś spójny obraz? To najlepiej może zrobić tylko literatura...
Nie musi to stać w sprzeczności z tym, co powiedziałam. Bez literatury syntetyzującej wiedzę czy przeczucia w opowieści o świecie człowiek w ogóle by nie przetrwał, a już na pewno nie osiągnął takiego sukcesu ewolucyjnego. Literatura to diagnoza procesów większych niż człowiek, głęboki, wyrafinowany sposób komunikacji między ludźmi, uwspólnienie doświadczeń i losów.

> W moich opowieściach nie ma stwierdzeń, są tylko przypuszczenia, ulotne idee, pokrętne pytania i zwariowana metafizyka.

„Uwspólnienie" będzie chyba słowem kluczem do tej rozmowy.
Widzieliście przecież „Odyseję" Nolana. Dla mnie sukces kinowy tego filmu jest przykładem, jak bardzo potężne są stare opowieści i jak bardzo ich potrzebujemy.

I to dlatego w nowej powieści podejmujesz próbę rekonstrukcji „Mesjasza", zaginionej powieści Schulza?
To nie jest, broń Boże, żadna rekonstrukcja. Nie podjęłabym się czegoś takiego. To raczej odwołanie – i tu macie rację – do nieistniejącego (czy naprawdę nieistniejącego?) archetypu, który domagał się właśnie wtedy odkrycia, i do czegoś, co można by nazwać wielokrotnym życiem apokryfu. Próba zbudowania jakiegoś fundamentu przyszłego wspólnego domu przez mieszkańców tej powieści. Trzymając się metafor budowlanych: wylania płyty podłogowej, która by połączyła i pomieściła przeszłość z przyszłością, miejsca tamte i miejsca te. Nie wiemy dokładnie, kim jest autor Maszynopisu (bo tak go nazywam), ale jego tekst domaga się dopisywania do niego, nadpisywania, dodawania kontekstów, ciągle nowych odniesień do zmieniającej się teraźniejszości.

Ludzie potrzebują w ciężkich lub przełomowych czasach swoich własnych tekstów kultury, które będą nie tylko źródłem odniesienia, ale i głosem zbiorowości. Mają one stanowić środowisko psychiczne, być może prawa społeczne, a na pewno przestrzeń wspólnych obrazów czy anegdot. Te teksty zmieniają się w czasie (np. teraz w Polsce powoli Sienkiewicz ustępuje miejsca Prusowi), ale trwają w świadomości i nieświadomości.

Dlaczego, Twoim zdaniem, Prus wypiera Sienkiewicza? Co takiego jest w naszych czasach, że „Lalka" doczekała się aż dwóch ekranizacji?
Najprościej byłoby odpowiedzieć, że Prus jest pisarzem klasy średniej, a dzisiaj to ona nadaje (lub chce nadawać) kształt naszemu społeczeństwu. Ale myślę też, że jest to zwrot w kierunku indywidualności, indywidualnego bohatera w skomplikowanej sytuacji zewnętrznej, powiedzmy – klasowej, ze wszystkimi jej dystynkcjami, które nas tak uwierają. Dziś Prusa czytałabym przez Pierre'a Bourdieu.

Ale te dwie „Lalki" to i tak mało – bardzo brakuje mi kolejnych ekranizacji polskiej literatury i ważnych wydarzeń polskiej historii. Zabawne, że w PRL-u było tego dużo więcej. Dziś więcej wiemy o życiu królów angielskich niż swoich własnych – to przykład jakiejś niesamowitej kolonizacji umysłu. Myślę, że historia Maryny Mniszchówny albo Roksolany, żony sułtana, czy dzieje XI-wiecznej reakcji pogańskiej skierowanej przeciwko nowemu porządkowi feudalnemu i chrześcijaństwu to są fascynujące, nieopowiedziane epicko tematy.

Coś jeszcze ten nasz umysł kolonizuje?
Mówiłam już, że tym, co się rzuca mi w oczy, jest fragmentaryzm (skrawkizm?). Ten dominujący styl opowiadania, a co za tym idzie: postrzegania rzeczywistości nie wynika tylko z przyspieszenia czasu, jest także wynikiem rozwoju technologii, która pokazuje nam świat w niepowiązanych ze sobą, wyskakujących okienkach. Zaczęliśmy widzieć wszystko osobno, a to jest bardzo zwodnicze. Dlatego pożądaną cechą przyszłych ludzi stanie się umiejętność syntezy i nadawania sensu. Tak, jestem coraz bardziej przekonana, że epoka, która się rodzi w bólach na naszych oczach, będzie epoką syntezy. Próby nadania światu i jego narracjom sensu.

To odpowiedź pisarki i intelektualistki. A odpowiedź psycholożki? Pamiętamy, ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ jak rok temu mówiłaś (zresztą po powrocie z Ukrainy, co może miało z tym jakiś związek), że to nie Jung i nie Freud, a Adler ze swoim *Gemeinschaftsgefühl* – poczuciem wspólnoty – może być odpowiedzią na troski świata, w którym jest więcej ekranów niż rąk do uściśnięcia. Tamte słowa wciąż są dla nas źródłem nadziei. Powtórzyłabyś je dzisiaj?

Oczywiście, że tak. W tym stanie ducha pisałam „Świata jest za dużo", poszukując mniej oczywistej wspólnoty niż naród, może też trochę terroirowej. Moje pokolenie, przynajmniej ci z nas o poglądach liberalno-lewicowych, trochę bało się tego poczucia wspólnoty narodowej, bo kojarzyło je nieco z najgorszymi wspomnieniami z lat 30. XX wieku. Myśmy woleli wspólnotę poglądów, wspólnotę celów, wspólnotę działania.

Ja mam to poczucie rozpostarte na wielu poziomach, od bardzo rozległych, światowych, po najmniejsze, intymne. Zawsze chodzi w nich o rodzaj udostępnienia siebie innym, dania do siebie dostępu. Jeśli jest to działanie wzajemne, wtedy rodzi się to coś, co nazwałam czułością – nieocenne poczucie jedności bytu, wzruszenie i współodpowiedzialność. A przeciwieństwem tego rodzaju uczucia byłaby pełna wzajemnych ocen rywalizacja jednostek. W ogóle łatwe, pochopne ocenianie innych jest chorobą tego świata. Ma jakiś związek z głupotą.

Jak radzisz sobie z hejtem? Ostatnio znów parę razy oberwałaś, co charakterystyczne: za zdania wyrwane z kontekstu albo zniekształcone w przekazie, zwłaszcza mediów niegdyś społecznościowych. Kilka lat temu mówiłaś podczas Festiwalu Conrada, że zderzona z falą internetowej nienawiści bałaś się wyjść z domu, a terapeutka, do której poszłaś po pomoc, powiedziała, że ciało odbiera agresję słowną podobnie jak fizyczną. „Prysznic był często w użyciu, bo to reakcja jak po gwałcie"...

> Nie bójmy się słowa „głupota". Internet spowodował, że mamy jej epidemię.

Dziwny był to czas, ale szybko się podniosłam. Myślę, że ta ciemna strona internetu uodporniła nas, zbudowaliśmy pancerz. Dziś wiem, że większość pogróżek, życzeń śmierci, przemocy werbalnej nie pochodzi od ludzi, ale od botów. A przynajmniej chcę w to wierzyć. A jeżeli od ludzi, to albo muszą być przekupni i wykonują jakąś pracę dla kogoś, kto im płaci, albo są po prostu głupi.

Teraz mówisz „głupi", przed chwilą „głupota"...

Przepraszam, nie wiedziałam, że „głupi" już też nie wolno mówić. Chyba że to tylko mnie dotyczy ten zakaz.

Nie o zakaz idzie, raczej o to, co w naszej poprawnej epoce brzmi mocno.

Mam wyraźną skłonność do popadania w kłopoty, jeśli chodzi o sformułowania czy słowa, które prowokują reakcje nieproporcjonalne do wagi czy celu wypowiedzi. A jednak nie chcę bez przerwy myśleć o tym, jaka forma się komuś znowu nie spodoba i czy zostanę bohaterką internetowych awantur. Mogłoby się okazać, że już nic nie mogę powiedzieć, bo zawsze to będzie kogoś uwierać.

A mówiąc poważnie: nie bójmy się słowa „głupota". Zdefiniowałabym głupotę jako brak nawyku sięgania do wiarygodnej informacji i skłonność do wysnuwania pochopnych wniosków z niewystarczającej liczby danych, lub korzystanie z danych fragmentarycznych, wyrwanych z kontekstu. To odrzucanie racjonalności na rzecz sądów afektywnych. Internet, serwując ogromne ilości fałszywych, niesprawdzonych lub jawnie kłamliwych informacji, spowodował, że mamy epidemię głupoty.

A ta, niestety, bywa niebezpieczna, bo często jest punktem wyjścia dla całkiem rzeczywistej przemocy. W jakimś sensie fascynują mnie zbiorowe zachowania w internecie, nazywam je zachowaniami rojowymi. Ot, wypływa jakaś sprawa, ktoś coś powiedział (albo nie powiedział) lub zrobił (albo nie zrobił) i wielu ludzi nagle czuje wewnętrzną presję, obowiązek moralny, konieczność niepowstrzymaną, żeby się na ten temat wypowiedzieć. Czasami się zastanawiam, kiedy ludzie żyją, skoro tak muszą się do wszystkiego ustosunkowywać? Może to daje poczucie sprawczości i kontroli?

Z pewnością to jedna z uzasadnionych hipotez.

I jest jeszcze jeden aspekt hejtu. Mizoginia. Czasami kobieta nawet nie musi nic mówić, żeby być hejtowaną. Wystarczy być, jakoś wyglądać, mieć nie taką fryzurę. To straszne, że się do tego przyzwyczailiśmy, bo przecież hejt jest przemocą.

Czyli z tym się jednak nie można oswoić.

Hejt, słowo odarte z pierwotnego znaczenia, wytarte, gdyż właśnie oswojone, już bezpieczne, trzeba by zacząć znowu konsekwentnie nazywać nienawiścią. Bo tym jest i może rodzić skutki podobne do tych, które rodzi nienawiść. Bardzo realne, tragiczne i bolesne. Chciałabym, żebyśmy zawsze wspierali ludzi hejtowanych, żeby się przeciwstawiać tej zorganizowanej fali agresji, bez względu na to, czy się z nimi zgadzamy, czy nie, czy ich lubimy, czy nie bardzo.

Masz poczucie, że odbiór Twojego pisania zmienił się po Noblu? Od „tragedii sztokholmskiej", jak to określano wśród bliskich Wisławy Szymborskiej, mija siedem lat – dla antropozofów siedem to znacząca liczba...

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

eprasa.pl 849bad8b12



ŁUKASZ GIZA

Nie chcę bez przerwy
myśleć o tym,
jaka forma się komuś znowu
nie spodoba i czy zostanę
bohaterką internetowych awantur.

Naprawdę nie wiem. Czytelnicy, którzy czytali mnie wcześniej, zostali ze mną. Na pewno pojawili się nowi. Moimi książkami w znacznie większym stopniu i z większą powagą zainteresowała się akademia. Ale ja chyba nie mam poczucia cezury o charakterze dramatycznym.

Skutkiem Nobla jest na pewno intensywniejsze życie – dużo wyjazdów, zaproszeń, korespondencji, różnych nieznanych mi wcześniej obowiązków. Ale moja codzienność niewiele się zmieniła – siedzę sobie na wsi, patrzę na ten sam widok od trzydziestu kilku lat, tą samą trasą chodzę na spacery z psem, mam tych samych przyjaciół – sąsiadów, z którymi udało się stworzyć miły rodzaj prawdziwej wspólnoty, wpadam do tego samego lumpeksu i kupuję leki w tej samej aptece. Jestem tutaj rozpoznawana na ulicy, ale nikt nie prosi mnie o zdjęcie (koszmar, te zdjęcia!) ani nie zaczepia. Do powszechnej rozpoznawalności już się powoli przyzwyczajam, na początku reagowałam bardzo neurotycznie. Cieszę się, że udało się część energii po Noblu skierować na działanie dla innych, prospołeczne. To absolutnie zasługa Fundacji, z której jestem dumna.

A co z nami będzie, Olgo, przez następne siedem lat?

Będzie burzliwie, zmiennie. Rzeczywistość będzie fermentować, zmieniać stany skupienia. Codziennie rano, gdy otworzymy oczy, będziemy musieli konfrontować się z czymś niemożliwym do przewidzenia. Pojawi się nostalgia za czasami, które ogarnialiśmy, powstaną nowe prądy polityczne, zaskakujące. Będziemy balansować na krawędzi wojny, co przyniesie podwyższenie poziomu lęku. AI wejdzie stanowczo i bezwzględnie w nasze życie, nawet nie zauważymy, kiedy. Ludzie będą chcieli coraz więcej, a będą dostawali coraz mniej. Ale będą też krzepnąć i zyskiwać popularność nowe prądy filozoficzne, podkreślające rolę współzależności, relacji, jedności bytu.

Przynajmniej ostatnie zdanie zabrzmiało optymistycznie. A co będzie z Tobą?

Będę próbowała więcej żyć, a mniej pisać. Chociaż mój mąż twierdzi, że ja nie potrafię żyć bez pisania.

© Rozmawiali MICHAŁ OKOŃSKI
i TOMASZ STAWISZYŃSKI

eprasa.pl 849bad8b12

KRAJ

EGZAMIN Z ODPORNOŚCI

Prowadzona przez Rosję wojna hybrydowa
to w pewnym sensie wojna totalna.
Każdy cel uznaje się w niej za dopuszczalny.
Nie jesteśmy na to gotowi. Pora obudzić i siebie, i państwo.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Gdy w zeszły wtorek w Jedlance doszło do próby wykolejenia pociągów, wielu z nas pomyślało, że to kolejna rosyjska akcja sabotażowa. Punkt dla Kremla. Na torowisko, gdzie doszło do incydentu, pojechali prokuratorzy, śledczy z kilku różnych służb i pirotechnicy, co mogło ich odciągnąć od innych, może ważniejszych zadań. Kolejny punkt dla Rosji.

Szybko się okazało, że cała sprawa to wybryk dwunastolatka i chyba tylko dzięki temu politycy nie zdążyli rozpętać nowej awantury. Tu punkt dla naszych. A fakt, że za uszkodzeniem lokomotyw stał dzieciak z podstawówki, doprowadził do tego, że dzień później w sprawie podpalenia zapewniającej łączność Ukrainie stacji Starlinków na Mazowszu wielu gryzło się w język, nim wyraziło podejrzenia. Znów punkt dla Rosji?

Krytyczna zima

Akty sabotażu, cyberataki, prowokacje na granicy, dezinformacja – to skromna próbka instrumentarium, jakie jest przeciwko nam wykorzystywane, by wywoływać poczucie zagrożenia i dezorientację, a ostatecznie – uległość. Premier Tusk ostrzegał ostatnio w Sejmie, że „późna jesień i zima będą najbardziej krytycznym momentem w dotychczasowej wojnie rosyjsko-ukraińskiej", a w związku z tym Moskwa postara się osłabić spójność NATO. Polska może stać się „obiektem wielu groźniejszych niż do tej pory prowokacji i incydentów".

Jak na to reagować? Nic, co dotąd zrobił Zachód, nie zniechęciło Rosji do testowania, jak daleko może się jeszcze posunąć. Z drugiej strony nikt nie chce iść w otwarty konflikt zbrojny, a jeśli mielibyśmy odpowiedzieć bez dolewania oliwy do ognia, to w zasadzie nie wiadomo jak. Nie będziemy przecież podpalać Rosjanom składów z farbami ani strzelać rakietami, by potem udawać, że to niechcący.

Przynajmniej na razie musi nam więc wystarczyć „budowanie odporności", co wyjątkowo zgodnie mantrują i politycy od prawa do lewa, i eksperci. Ale choć wszyscy intuicyjnie rozumiemy, co kryje się pod tym pojęciem, nie bardzo wiemy, gdzie dokładnie się zwrócić, by tę odporność nabyć.

Wszystko może być celem

Jako możliwe cele ataku w Polsce często wymieniane są obiekty infrastruktury krytycznej, w tym elektrownie i wodociągi. Premier ostrzegał jednak, że coraz bardziej prawdopodobne stają się uderzenia dronami i rakietami, upozorowane na przypadkowe. A to znaczy, że w zasadzie każdy obiekt może zostać zaatakowany.

– Prognozowanie, co może się stać celem, jest ekstremalnie trudne, bo prowadzona przez Rosję wojna hybrydowa jest do pewnego stopnia wojną totalną. Nie w sensie totalnego zniszczenia, tylko w tym, że każdy cel uznaje się za dopuszczalny – mówi dr Paulina Piasecka, dyrektorka Centrum Badań nad Terroryzmem



eprasa.pl 849bad8b12

Uniwersytetu Civitas. Podkreśla, że niesie to konsekwencje dla broniących się. – System bezpieczeństwa państwa działa trochę jak pogotowie. Statystycznie wyliczamy, ile karetek potrzeba, by obsłużyć dany obszar, ale gdyby jednocześnie wszyscy złamali nogę, nie starczyłoby ich. W konflikcie hybrydowym służby muszą bezustannie pilnować wszystkiego, bo wszystko może zostać przez przeciwnika wykorzystane. Tyle że zasoby służb, podobnie jak pogotowia, są ograniczone.

Rosjanie słyną tymczasem z tego, że nie przepuszczają nadarzających się okazji, a jednym z nowszych tego przykładów mogą być ślady wskazujące na to, że zaczęli wykorzystywać tzw. ekstremizm nihilistyczny. Upraszczając, chodzi o luźne internetowe grupy połączone chęcią przekraczania kolejnych granic przemocy, w których sprawcami bywają nawet 11-czy 12-letnie dzieci. Według wrześniowej analizy Institute for Strategic Dialogue rosyjskojęzyczni aktorzy pomagają takim grupom organizować się, dają im zaplecze techniczne i płacą, np. za podpalenia. Nagrania z takich wyczynów służą jako dowód lojalności i przepustka do grupy, ale też zyskują drugie życie jako rosyjskie materiały propagandowe.

„Terroryzm jest teatrem" – pisał w słynnym eseju z 1974 r. Brian M. Jenkins, podkreślając, że zamachy kierowane są „do ludzi, którzy patrzą, a nie do samych ofiar". W tej logice zniszczenie pozostaje środkiem. Cel to publiczność. – Rosja przyswoiła tę lekcję i przy każdym ataku hybrydowym gra nie tylko na zniszczenia, ale przede wszystkim buduje otoczkę, która ma podważać zaufanie do atakowanego państwa i całego jego systemu instytucji, by obywatele coraz mniej wierzyli, że są w stanie wygrać – twierdzi dr Piasecka.



JAROSŁAW JAKUBCZAK / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Ewakuacja ok. 1500 osób w galerii handlowej Westfield Wroclavia z powodu podejrzanego plecaka pozostawionego na dachu. Wrocław, 20 września 2026 r.

Co warto wiedzieć

Polska widownia jest na ten kremlowski spektakl wyjątkowo podatna. – Rosja od dekad gromadzi o nas informacje i dzięki temu wie nawet to, do czego często sami nie chcemy się przed sobą przyznać i czego się wstydzimy jako jednostki, obywatele i naród. Wie, z czym mamy problem, które elementy historii mamy nieprzepracowane i gdzie są nasze traumy. Umie na tym zagrać, ale też wie dokładnie, kiedy się zatrzymać, byśmy nie zrobili kilku kroków za dużo i przypadkiem nie rozwiązali problemów, które ona tak sprawnie wykorzystuje – mówi prof. Katarzyna Bąkowicz, medioznawczyni z Uniwersytetu SWPS i ekspertka ds. bezpieczeństwa informacji w Kancelarii Premiera.

Jakie to wszystko ma znaczenie dla zwykłego Kowalskiego? – Bez względu na to, czy dojdzie do cyberataku na wodociągi, czy pęknięcia rury zimą, skutek będzie dokładnie taki sam: brak wody w kranie. Powinniśmy umieć sobie radzić w takiej sytuacji – twierdzi Łukasz Stępień, specjalista ds. zarządzania kryzysowego z think tanku Obserwatorium Bezpieczeństwa.

W czasach wojny hybrydowej warto wiedzieć, gdzie w domu jest latarka (ze sprawnymi bateriami), i mieć ten słynny plecak ewakuacyjny. Tyle że w odporności w zasadzie nie o to chodzi, a z pewnością nie tylko o to.

Z prowadzonych na świecie badań wynika, że o tym, jak ludzie radzą sobie z kryzysami i jak szybko wracają po nich do normalnego życia – nie decydują zapasy, pieniądze czy infrastruktura. Jedna z kanonicznych prac z tego zakresu dotyczy trzęsienia ziemi i tsunami w Japonii w 2011 r. Wynika z niej, że śmiertelność wśród mieszkańców pacyficznego wybrzeża Tōhoku, która sięgała 10 proc., była bezpośrednio powiązana tylko ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ z dwoma czynnikami. Jakość falochronów, ich powierzchnia czy długość zabezpieczonej linii brzegowej nie miały znaczenia. Liczyły się wysokość fali i zasoby kapitału społecznego.

W kulturze nieufności

O tym, jak bezcenne to zasoby, doskonale wiedzą kraje z czołówek rankingów odporności. Duńczycy w wydanym w 2025 r. poradniku dla wspólnot mieszkaniowych zachęcają m.in. do przygotowania list kontaktowych i ustalenia miejsc zbiórki. Norwegowie promują ideę *beredskapsvenn*, czyli „przyjaciela od gotowości kryzysowej", który w razie potrzeby udzieli schronienia, pomoże w transporcie, przekaże informacje. Finowie w kampanii „72 godziny" stawiają pytanie inne niż to, co mamy w plecaku. „Czy w twoim sąsiedztwie mieszka ktoś, kto może potrzebować pomocy – osoba starsza, samotny rodzic albo ktoś chory?". I dodają: „Zapytaj".

– Gdy poznamy sąsiada, dowiemy się o facecie spod piątki, że to Waldek, który ma dwie córki, duży samochód i w razie problemów można na niego liczyć. Dzięki temu staniemy się bardziej odporni na zagrożenia, bez względu na ich charakter – mówi Łukasz Stępień.

Polski „Poradnik bezpieczeństwa", wydany przez MON, MSWiA i RCB w zeszłym roku, również porusza tę kwestię. Problem w tym, że do debaty publicznej przebił się właściwie tylko plecak. Wbrew pozorom mówi to więcej o nas samych niż o podręczniku.

„Kultura nieufności przenika polskie społeczeństwo na wszystkich poziomach życia społecznego" – pisał prof. Piotr Sztompka już w 1996 r. I ta diagnoza wciąż jest aktualna. Z badań CBOS wynika, że tylko co czwarty Polak uważa, że „większości ludzi można ufać". Aż 73 proc. twierdzi, że „w stosunkach z innymi trzeba być bardzo ostrożnym". Pod tym względem stanowimy ogon Europy. Dla porównania, według zestawień opartych na World Values Survey, odsetek uznających, że większości ludzi można ufać, w Danii wynosi ok. 74 proc., w Norwegii 72 proc., a w Szwecji 63 proc.

Trzy dekady zaniedbań

Prof. Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski w książce „Społeczeństwo populistów", odwołując się do koncepcji prof. Andrzeja Ledera wskazują, że niski poziom kapitału społecznego ma korzenie w stuleciach pańszczyzny, które ukształtowały relacje oparte na dominacji, poddaństwie i klientelizmie, ale także w czasach komunizmu oraz w błędach transformacji III RP, która rozjechała spółdzielczość i stłumiła samorządność, co pogłębiło zatomizowanie społeczeństwa. W efekcie, gdy dziś mówimy o kapitale i odporności społecznej, a właściwie o ich brakach, daje o sobie znać nasza nieodrobiona lekcja z demokracji. – Zapatrzyliśmy się na zachodni kapitalizm i na nim skupiliśmy. To, z czym teraz się borykamy, jest skutkiem wielu lat zaniedbań – mówi prof. Bąkowicz.

Rosja gra na to, byśmy w każdej awarii widzieli atak, w każdym ataku – naszą własną bezradność, a w każdej niejasności – dowód, że nikomu nie można ufać.

Efekt? Choćby to, jak łatwo łykamy rosyjską dezinformację. Przykładem niech będą treści dotyczące energetyki odnawialnej. Z raportu WindEurope i CASM Technology wynika, że w Szwecji, Francji czy Niemczech powstaje znacznie więcej fałszywych informacji na ten temat niż w Polsce, ale te nasze zbierają nieproporcjonalnie dużo reakcji, a przez to mają znacznie lepszy grunt, by wrosnąć w dyskurs. – To jednak nie sama dezinformacja jest problemem. Ona jest tylko konsekwencją spraw, które zamiataliśmy pod dywan przez ostatnie 30 lat – stwierdza prof. Bąkowicz.

Teoretycy spierają się, jak odporność obywateli wiąże się z działaniem państwa. Długo, głównie za sprawą Roberta D. Putnama, jednego z najbardziej wpływowych badaczy kapitału społecznego, uważano, że strzałka idzie od społeczeństwa obywatelskiego do instytucji. Od kilkunastu lat pojawia się jednak coraz więcej badań wskazujących silniejszą zależność w drugą stronę – to państwo „produkuje" zaufanie przez równe traktowanie obywateli, przejrzystość procedur czy jakość usług, a więc wytwarza warunki, w których kapitał społeczny może się rozwijać.

Niesie to jednak dość niewygodną konsekwencję, że zaufania – a co za tym idzie: odporności – nie da się obywatelom zalecić. Piotr Sztompka w 1996 r. pisał: „Moralizowanie i nawoływanie do zaufania niewiele pomoże, jeśli w klimacie nieufności – w »kulturze nieufności« – sami moraliści i kaznodzieje nie cieszą się zaufaniem".

Nie wszystko da się kupić

Przez lata na podobnie beznadziejnym poziomie co kapitał społeczny było u nas przygotowanie instytucji państwa na kryzysy. Zagrożenie ze strony Rosji wymusiło zmiany.

Na początku 2024 r. na Lubelszczyźnie istniało 30 syren, które można było uruchomić zdalnie. Dziś jest ich blisko 350, a do końca roku ma być ponad tysiąc. MSWiA przygotowuje uruchomienie systemu Cell Broadcast, dzięki któremu każdy telefon komórkowy na zagrożonym obszarze ma automatycznie odebrać ostrzeżenie i uruchomić alarm, bez instalowania aplikacji przez użytkownika. Równolegle powstała aplikacja „Gdzie się ukryć" – wskazuje ona ponad 83 tys. lokalizacji (nie zawsze aktualnych).

O tym, jak dużo jest jeszcze do zrobienia, pokazał 17 września. Gdy po rosyjskim ataku na zachód Ukrainy dron uderzył tuż przy polskiej granicy, Rządowe Centrum Bezpieczeństwa rozesłało do mieszkańców Lubelszczyzny i Podkarpacia alert o zagrożeniu atakiem z powietrza. Zadziałało to nawet nieźle. W województwie lubelskim uruchomiono 630 syren we wszystkich powiatach, z czego 355 zdalnie. W 120 szkołach, urzędach i w dużych zakładach pracy zarządzono ewakuację.

Zawiodło przede wszystkim to, czego nie da się kupić. Nie wszystkie szkoły ewakuowały uczniów – część prowadziła zajęcia normalnie, inne sprowadziły podopiecznych do piwnic, dwie – na zewnętrzne parkingi. Przy okazji okazało się, że szpitale nie mają schronów, a markety – procedur działania na taki wypadek.

Traktowanie liczby syren czy schronów jako głównego wskaźnika jest jednak zawężaniem tematu, tak jak w przypadku odporności obywateli skupianie się na plecaku ewakuacyjnym.

eprasa.pl 849bad8b12



KRZYSZTOF ŻATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ćwiczenia z zakresu ochrony ludności i obrony cywilnej „OLEK 2026" w Dolnośląskim Urzędzie Wojewódzkim. Wrocław, 22 kwietnia 2026 r.

Druga noga systemu

Pierwszym skojarzeniem, jakie przychodzi na myśl o obronie kraju, jest armia. Słusznie, ale to tylko jedna „noga" systemu. Drugą w nowoczesnym państwie powinna być obrona cywilna, czyli sieć instytucji, służb i procedur, która ma chronić ludzi, gdy dochodzi do kryzysu. Na Zachodzie zorganizowano to na kilka sposobów, m.in. poprzez obowiązek służby dla kraju (np. w Norwegii), utworzenie osobnej instytucji (Dania, Niemcy) albo budowę platformy, gdzie współpracują obywatele, organizacje i biznes (Finlandia).

W Polsce, choć obrona cywilna ma długą tradycję (można ją wywodzić od organizacji działających przed II wojną światową), a w czasach PRL miała bardzo rozbudowane struktury, w III RP istniała głównie na papierze. – Była podstawa prawna, ale zabrakło skutecznego nacisku i sankcji za brak realizacji przepisów. Powtarzano, że jak będzie trzeba, to się właściwych urzędników powoła i odpowiednie procedury wdroży. To doprowadziło do zapaści obrony cywilnej – mówi dr inż. Tadeusz Kęsoń, ekspert Akademickiego Centrum Analiz Strategicznych w Akademii Sztuki Wojennej.

Zmiany przyniosła Ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej, która weszła w życie 1 stycznia 2025 r. Większość przepisów rozsianych po różnych aktach prawnych trafiła w jedno miejsce; za nowym prawem poszły też niemałe pieniądze. Na lata 2025-2026 – łącznie 34 mld zł. Na okres 2027-2031 zaplanowano 105 mld zł.

– Jeśli nie zabezpieczymy struktur organizacyjnych, od szczebla gminy poczynając, które będą w stanie nieść pomoc, to będziemy mówić o państwie istniejącym dla samego siebie, a nie dla obywatela – mówi dr Kęsoń, podkreślając, że do zrobienia wciąż jest bardzo dużo. – Istnieją gminy, które nie zatrudniają ani jednej osoby odpowiedzialnej za ochronę ludności, zarządzanie kryzysowe czy sprawy obronne, więc zlecają przygotowanie wymaganych dokumentów ludziom z zewnątrz. Tyle że sam plan nie wystarczy. Na miejscu musi być ktoś, kto – gdy przyjdzie potrzeba – będzie umiał go wdrożyć. Jeżeli takie plany powstają tylko po to, żeby leżeć na półce, trudno mówić o jakiejkolwiek odporności.

Ćwiczenia z sabotażu

Na półce na szczęście leżą coraz rzadziej. O ile 17 września mieliśmy do czynienia z realnym zagrożeniem, a z błędów – wedle słów ministra Marcina Kierwińskiego – „wyciągnięte zostaną wnioski", to ćwiczenia sytuacji kryzysowych odbywają się coraz częściej.

W czerwcu w Podlaskiem przeprowadzono Blackout'26, którego scenariusz zakładał zajęcie stacji elektroenergetycznej przez nieznanych sprawców, atak sabotażowy na bazę paliw i zablokowanie drogi krajowej przez zwalony słup. W ćwiczeniu wzięło udział 25 instytucji, w tym policjanci, strażacy, terytorialsi i przedstawiciele spółek energetycznych.

We wrześniowych ćwiczeniach na Mazowszu sprawdzano eksplozję drona na stacji uzdatniania wody i zakłócenie jej dostaw. Na Podkarpaciu przeprowadzono realną ewakuację wsi i szkoły, a w Lublinie sprawdzano, czy zadziałają systemy zasilania awaryjnego, i ile czasu zajmuje ich uruchomienie.

Im więcej problemów wyjdzie podczas takich ćwiczeń, tym większa szansa, że nie powtórzą się podczas realnego kryzysu. – W Sanoku, podczas Podkarpackiego Forum Bezpieczeństwa, oglądaliśmy linię dekontaminacyjną dla osób, które ucierpiały wskutek skażenia. Okazało się, że w zasadzie nie ma procedur, jak przewozić takich pacjentów, gdzie ich zawieźć i czy karetka nie będzie krążyła między szpitalami, aż któryś zdecyduje się ich przyjąć. Nie wiadomo też, co zrobić z płynami fizjologicznymi takich osób, skoro nie można tego po prostu spuścić do kanalizacji, bo grozi wtórnym skażeniem – zastanawia się dr Kęsoń.

Krzysztof Janik, były szef MSWiA i kierownik Ośrodka Analiz Integrowania i Zarządzania Bezpieczeństwem w Akademickim Centrum Analiz Strategicznych twierdzi, że system obrony cywilnej, który dziś budujemy, jeśli będzie konsekwentnie realizowany, wpłynie zasadniczo na strukturę państwa i funkcjonowanie lokalnych wspólnot. – Może to w konsekwencji doprowadzić do budowy odporności społecznej, musimy jednak określić dokładnie, co i w jaki sposób chcemy osiągnąć. Nie jutro czy za tydzień, ale w perspektywie 20 lat. To się da zaprojektować, ale zamiast myśleć o tym, kto wygra za rok wybory, trzeba zacząć myśleć o państwie – uważa Janik.

Rosja gra na to, byśmy w każdej awarii widzieli atak, w każdym ataku – naszą bezradność, a w każdej niejasności – dowód, że nikomu nie można ufać. Kreml zdobywa punkt nie tylko wtedy, gdy coś podpala albo niszczy. Zdobywa go także, gdy nie wiemy, co zrobić po alarmie, komu zaufać i kto za co odpowiada. Tej gry nie wygra się ani nowoczesną rakietą, ani plecakiem ewakuacyjnym. Ale można ją wygrać razem. Z Waldkiem spod piątki.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

eprasa.pl 849bad8b12

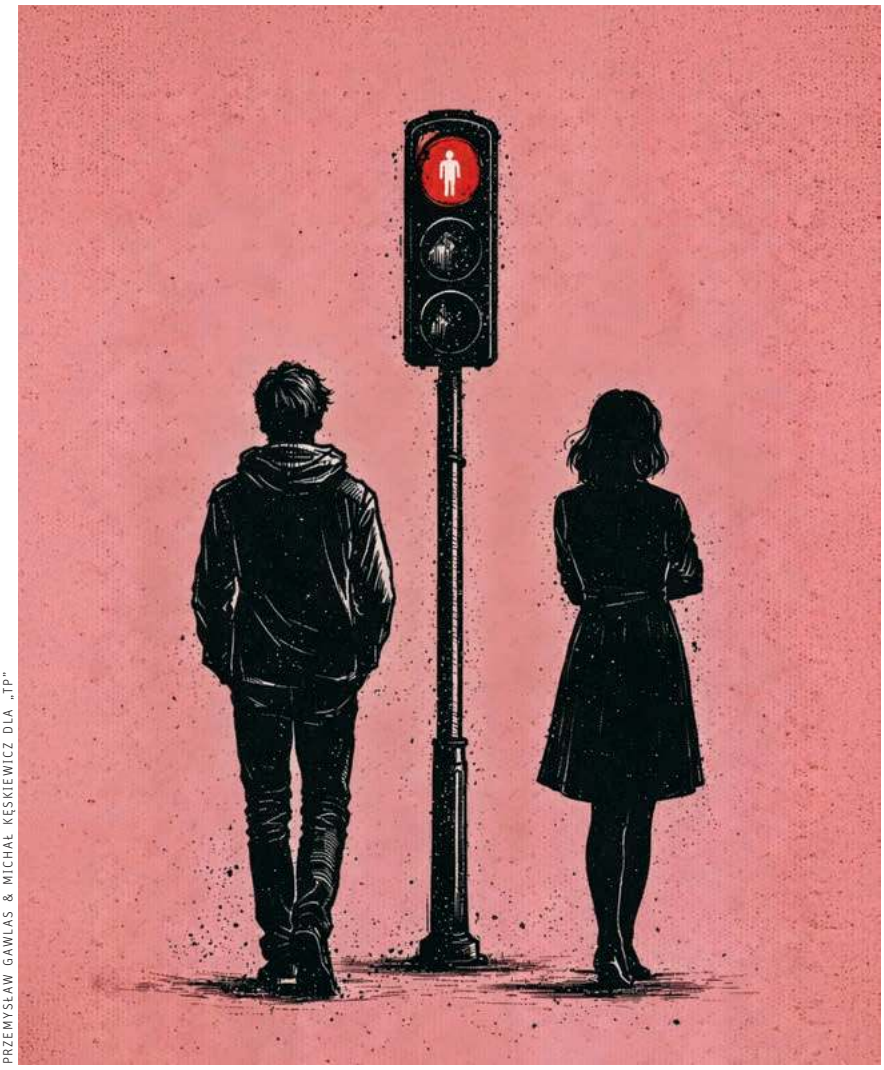

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Konflikt karmiony algorytmem

MARCIN KĘDZIERSKI

SPOŁECZEŃSTWO | W dyskusjach o powodach niskiej dzietności w Polsce coraz częściej słyszymy narzekania na nieodpowiedzialnych mężczyzn i samolubne kobiety. Zamiast zrzucać winę na płcie, przyjrzyjmy się samym związkom.

Kryzys demograficzny ma wiele przyczyn strukturalnych, ale w dyskursie społecznym dominują zazwyczaj te, które pozwalają najłatwiej zdefiniować wroga i zjednoczyć sojuszników. Teoria wojny płci nadaje się do tego celu wyjątkowo dobrze, a jej efekty bez trudu możemy dostrzec w radykalnie wzrastającej aktywności tzw. manosfery i feminosfery, czyli internetowych „środowisk" wskazujących przeciwną płeć jako źródło wszelkich nieszczęść. Do tego konfliktu dołączają ostatnio mniej lub bardziej świadomi przedstawiciele środowiska naukowego, którzy badają albo mężczyzn, albo kobiety (i ich cierpienia). Nawet jeśli celem czy inspiracją tych badań nie jest uczestnictwo w wojnie płci, zostają szybko do niej zaprzęgnięte. W końcu porządna nienawiść musi bazować na solidnych, naukowych podstawach, które jednoznacznie „udowodnią", kto jest prawdziwym sprawcą, a kto ofiarą.

Po co nam związki

Na szczęście w kontekście dyskusji demograficznych coraz częściej zwraca się uwagę na problem nie samych mężczyzn czy kobiet, ale związków pomiędzy nimi. I to nie zawsze z powodów demograficznych – w końcu ludzie dobierają się w pary nie tylko po to, aby płodzić dzieci. Mam głębokie przekonanie, że od jakości (i istnienia) związków – niezależnie od ich formy prawnej – zależy również całe nasze zdrowie publiczne, choćby w perspektywie narastającego kryzysu samotności. Wiemy również, że szczęśliwy związek przekłada się pozytywnie na długość i jakość życia. Analogicznie – „toksyczne" relacje mogą przynosić dokładnie odwrotne skutki. Podobnie jak niemożność czy nieumiejętność tworzenia związków.

Ich jakość oraz wpływ na szeroko rozumiane zdrowie dotyczy zarówno samych kobiet i mężczyzn, którzy je tworzą, ale także ich dzieci, a w pośredni sposób – również całego otoczenia społecznego. Z tego, powodu kwestia związków – tego, czy i jak funkcjonują oraz jak powstają i dlaczego trwają lub się rozpadają – powinna stanowić ważny punkt odniesienia dla polityki publicznej. Demografia, ochrona zdrowia, edukacja, ubezpieczenia społeczne, planowanie przestrzenne, mieszkalnictwo, rynek pracy etc. – te wszystkie obszary w mniejszym lub większym stopniu zależą właśnie od związków.

Już dziś doświadczamy w praktyce, jaki wpływ na różne obszary polityki publicznej ma postępujący trend słabnącej trwałości małżeństw. Spotkałem się z tym choćby projektując reformę systemu pomocy materialnej dla studentów. Stypendia socjalne są uzależnione od dochodu rodziców, a w sytuacji, w której nie tworzą oni jednego gospodarstwa domowego, pojawia się uzasadnione pytanie, jak ten dochód w ogóle obliczać. Może być bowiem tak, że niezależnie od alimentów

eprasa.pl 849bad8b12

student uzyskuje wsparcie także od ojczyma/macochy (obojętne, jaki jest status prawny nowego związku), nie wspominając o dziadkach, a ustalenie tego wymagałoby bardzo brutalnego wkraczania w prywatne sprawy.

Czy miłość umarła

Analizę związków warto rozpocząć od pytania, jak one w ogóle powstają. Na podstawie danych GUS możemy stwierdzić, że – po pierwsze – spada liczba zawieranych małżeństw, co oczywiście po części wynika z faktu mniejszej liczebności roczników współczesnych dwudziesto- i trzydziestolatków, ale także tego, że młodzi coraz mniej chętnie formalizują swoje związki. Potwierdzają to statystyki tzw. urodzeń pozamałżeńskich – na przestrzeni ostatnich 15 lat odsetek ten wzrósł niemal o połowę, z ok. 20 proc. do prawie 30 proc. (w 1990 r. było ich ledwie 6 proc.).

Po drugie, rośnie przeciętny wiek zawarcia małżeństwa. Obecnie wynosi on dla kobiet 30 lat, dla mężczyzn 32 lata – i jest wyższy o ok. 6 lat niż jeszcze na początku XXI wieku. Trend jest wyraźny i obecny nie tylko w Polsce – opóźnianie tworzenia trwałych związków dotyka dziś całego świata Zachodu. Istnieje oczywiście szereg możliwych wyjaśnień takiej zmiany – wydłużanie się okresu edukacji, trudności na rynku mieszkaniowym czy wzrost aspiracji zawodowych, zwłaszcza w przypadku kobiet.

Wśród badaczy zaczynają się jednak pojawiać także nowe uzasadnienia. Prof. Tomasz Szlendak, socjolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, stawia hipotezę, że jesteśmy świadkami śmierci miłości. W swojej książce „Miłość nie istnieje" wskazuje on, że w przeciwieństwie do swoich rówieśników sprzed kilkudziesięciu lat, dzisiejsi młodzi po prostu się nie zakochują. Dzieje się tak choćby dlatego, że współczesna kultura dekonstruuje mit miłości romantycznej, tworzony w XIX i XX wieku m.in. po to, aby skłonić kobiety (a raczej manipulować nimi) do wykonywania bezpłatnej pracy domowej na rzecz ślubnego wybranka i dzieci. W tym sensie emancypacja, której jesteśmy świadkami od kilkudziesięciu lat, chcąc nie chcąc musi rozprawić się z kulturowym przekonaniem, iż małżeństwo jest owocem miłości kobiety i mężczyzny; przestrzenią, w której w zamian za miłosne uniesienia jesteśmy gotowi do poświęceń (a dokładniej to kobiety są na nie gotowe).

Brak trzecich miejsc

Jestem nieco sceptyczny wobec tak radykalnej tezy. Sądzę, że miłość istniała w czasach przed Jane Austin, nawet jeśli nie określimy jej mianem „romantycznej". Wystarczy spojrzeć choćby na biblijną Pieśń nad Pieśniami, by dostrzec, że ludzie potrafili patrzeć na związki damsko-męskie z innej perspektywy niż tylko przez pryzmat „zimnego" kontraktu społecznego. Mam również przekonanie, że młodzi wciąż doświadczają zauroczeń i zakochań, nawet jeśli opisują to przy użyciu innego języka niż jeszcze kilkanaście lat temu.

Nie ulega jednak wątpliwości, że jesteśmy świadkami zmiany. Pozostaje pytanie, na ile wynika ona ze śmierci miłości (przyjmijmy na chwilę założenie, że zjawisko to jest prawdziwe), a na ile ze zmiany charakteru relacji społecznych. W ostatnim czasie miałem okazję zapoznać się z relacjami z nieopublikowanych jeszcze badań terenowych, jak też słuchać opowieści ludzi przepytywanych przez Krzysztofa Stanowskiego w ramach jego wakacyjnego tournée po Polsce.

Na pytanie o najważniejszy dzień życia rozmówcy odpowiadali najczęściej, że był to ślub. Przy kwestii miejsca poznania przyszłego męża/żony – pojawiała się niejednokrotnie figura domu ludowego i wiejskich potańcówek. Domy ludowe zniknęły wraz z transformacją ustrojową, a na przestrzeni ostatnich dekad z mapy wyparowały też inne miejsca, w których młodzi mieli okazję spotykać się w czasie wolnym. Również pedagodzy od pewnego czasu alarmują, że dramatycznie brakuje nam tzw. trzecich miejsc – innych niż dom czy szkoła, gdzie młodzież mogłaby się spotykać w autonomiczny, niekontrolowany i nieuregulowany sztywno sposób, a w jakimś sensie przeżyć także swój bunt. Takie miejsca to nie tylko potencjalna przestrzeń do tworzenia związków, ale w ogóle szkoła relacji społecznych. Realnych, a nie zapośredniczonych przez media (anty)społecznościowe.

Szczególnie ważne jest to w sytuacji, w której młodzi (ale nie tylko oni) grzęzną w swoich smartfonach. Nawet życie matrymonialne przeniosło się do sieci i aplikacji randkowych – przynajmniej takie jest coraz powszechniejsze wyobrażenie. Co więcej, zaczynają się pojawiać głosy, że wobec tego trendu nie ma alternatywy, i jeśli w ogóle chcemy powalczyć o związki, musimy zatroszczyć się o stworzenie publicznych odpowiedników wobec takich serwisów jak choćby Tinder, bo ten ostatni raczej sprzyja dalszemu rozluźnianiu więzi.

Mam wobec tego pomysłu spore wątpliwości. Doświadczenia ostatnich lat pokazują, że internet służy raczej nakręcaniu czegoś, co potocznie określa się mianem „wojny płci", a ona bynajmniej związkom nie służy.

Kreowana nienawiść

Często zadaję sobie pytanie, na ile owa wojna płci jest zjawiskiem realnym, a na ile faktem internetowym, który próbuje nam konstruować rzeczywistość. Nie ulega wątpliwości, że postawy ideowe i polityczne młodych kobiet i młodych mężczyzn się rozjeżdżają – widzimy to w badaniach od kilku ładnych lat. Symbolicznym momentem, w którym zaczęto na to zwracać baczniejszą uwagę, był Ogólnopolski Strajk Kobiet. Od tego momentu pojawiają się różne analizy, opracowania czy wreszcie „inby" w social mediach, opisujące ten konflikt.

Mam jednak wrażenie, że twórcy internetowych algorytmów, które w założeniu mają polaryzować i podkręcać emocje, dostrzegli w wojnie płci niezwykle „wdzięczny" temat. Nie wszyscy interesują się polityką czy jakimiś niszowymi tematami społecznymi – w przeciwieństwie do relacji damsko-męskich. Tu zdanie ma dosłownie każdy i poprzez wyciąganie historii indywidualnych krzywd można napędzić fantastyczną kulturę oburzenia oraz niekończące się dyskusje zapewniające ruch w sieci. Nie dam sobie wmówić, że niechęć czy wręcz nienawiść, jaką można odnaleźć w internetowych dyskusjach pomiędzy mężczyznami a kobietami, narodziła się zupełnie samoistnie.

Za tym wszystkim podąża oczywiście kultura popularna, która szuka odbiorcy. Pojawiają się dzieła wprowadzające do obiegu kolejne nurty, w których nie wystarczy już zwykła niechęć czy pogarda dla płci przeciwnej. Słyszę od niedawna o heteropesymizmie czy wręcz heterofatalizmie, zgodnie z którymi w obecnym świecie nie ma już możliwości stworzenia szczęśliwego związku heteronormatywnego. ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ Zjawisko to jest na poważnie analizowane przez badaczy społecznych i potwierdzane przez studentów kierunków takich jak socjologia czy psychologia. Tyle że kiedy spojrzę na młodych, których spotykam w bardzo różnych miejscach, nie dostrzegam aż tak ostrego radykalizmu. Powiedziałbym nawet, że wśród najmłodszych dorosłych wraca „moda" na trwalsze związki budowane poza internetem, choć na razie to wciąż dowody anegdotyczne.

Strefa jednej płci

Nie zmienia to faktu, że zwłaszcza internetowa nienawiść pomiędzy płciami to zjawisko konkretne i zauważalne. Jesteśmy coraz częściej świadkami licytowania się, kto ma gorzej lub kto jest większą ofiarą jakiejś systemowej przemocy.

W moim odczuciu taka licytacja jest drogą donikąd. Tak, wciąż obserwujemy wiele przejawów patriarchalnej kultury – widać je w strukturze awansów zawodowych, różnicach wynagrodzeń, podziale obowiązków domowych, długach alimentacyjnych czy odsetku matek wychowujących samotnie dzieci z niepełnosprawnością. Jednocześnie jednak mamy do czynienia z wykluczeniem edukacyjnym chłopaków, zwłaszcza na prowincji, które przekłada się na wykluczenie „matrymonialne".

Z różnych stron słychać również wcale nierzadkie głosy o trudnościach ojców w uzyskiwaniu opieki nad dziećmi czy alimentacyjnym „drenażu" ze strony byłych partnerek. Powstające od niedawna ruchy reprezentujące mężczyzn wskazują na jeszcze inne przejawy dyskryminacji i nierówności, takich jak uniemożliwianie ojcom kontaktów z dziećmi po rozwodzie. Co warte podkreślenia, wiele historii, które stoją u podstaw oburzenia manosfery czy feminosfery, jest prawdziwych. Tak, w świecie jest wiele krzywdy.

Problem pojawia się w momencie, w którym za te złożone problemy zaczynamy oskarżać konkretne kobiety lub konkretnych mężczyzn. Niedawno ze zdumieniem przyglądałem się reakcjom na mój wpis w mediach społecznościowych, w którym sugerowałem (zresztą za dostępnymi wynikami badań), że wśród męskich kryteriów wyboru partnerki obok wieku i urody ważną rolę odgrywa to, czy kobieta zwyczajnie potrafi być wobec nich miła i życzliwa. Zostało to odebrane jako chęć upupienia kobiet. „Uważaj, kobieto. Nie bądź miła dla swojego partnera, bo będzie chciał to wykorzystać, gdyż jest reprezentantem kultury patriarchatu" – tak w skrócie można streścić reakcję wielu komentatorek mojego wpisu.

Twórcy algorytmów dostrzegli w wojnie płci niezwykle „wdzięczny" temat. Nie wszyscy interesują się polityką czy niszowymi tematami społecznymi. **Na temat relacji damsko-męskich zdanie ma każdy.**

Kiedy w rozwinięciu napisałem, że uśmiechnięta, szczęśliwa, życzliwa i ciepła partnerka/żona sprawia, że mężczyźnie chce się żyć i uchylić jej skrawka nieba, uzyskałem ponad 200 polubień – w ponad 90 proc. pochodziły od mężczyzn. W efekcie może być tak, że młode kobiety uczone przez kulturę, że mają być wobec swoich partnerów „zimnymi zołzami", unieszczęśliwią nie tylko ich, ale także siebie.

Te straszne feministki

Zjawisko upowszechniania szkodliwych stereotypów czy przed-założeń obejmuje też oczywiście drugą stronę. „Nie żeń się, bo kobiety to dziwki, wykorzystają cię, a potem porzucą, bo tak je nauczyły feministki" – taki komunikat płynie coraz częściej ze strony manosfery. Tyle że jeśli mężczyzna wejdzie w związek z takim przeświadczeniem, nie będzie w stanie w pełni się w niego zaangażować, co partnerka może odebrać właśnie jako przejaw chęci wykorzystania jej, i zacznie się prewencyjnie zabezpieczać. W efekcie ani on nie będzie szczęśliwy, ani ona – związek się rozleci, a przepowiednia się sprawdzi.

Negatywne skutki nie mają wyłącznie wymiaru indywidualnego. Widzimy coraz wyraźniej, że szybka emancypacja kobiet prędzej czy później może napotkać na neopatriarchalną reakcję. Sukces takich polityków jak Grzegorz Braun, który gromadzi wokół siebie męski, sfrustrowany na wielu poziomach elektorat, zdaje się dobrym potwierdzeniem tej hipotezy. Braun to oczywiście skrajność, ale gdybym miał oddać emocję, która towarzyszy dziś części młodych mężczyzn żyjących w różnych związkach, mogłaby ona wyglądać w następujący sposób: „Haruję, zarabiam, ale w przeciwieństwie do mojego ojca nie leżę na kanapie przed telewizorem, tylko zajmuję się dziećmi, pomagam ogarniać dom. Nie piję, staram się rozmawiać, ale te kobiety ciągle niezadowolone i opryskliwe. Muszę wciąż się tłumaczyć, że nie jestem patriarchalnym wielbłądem".

Oczywiście przerysowuję, ale chcę zwrócić uwagę na ważny i realny problem. Mężczyźni w obecnych czasach muszą się dostosować do nowych oczekiwań kobiet, bez specjalnego wsparcia ze strony społecznych skryptów kulturowych dotyczących „nowego wzoru męskości" – wciąż ich nie ma. Zarazem spotykają się z zarzutami, że robią to wszystko za wolno i w ogóle nie tak. Nie jest moim zdaniem przypadkiem, iż tak wielu mężczyzn mówi dziś wprost, że tęsknią za życzliwą wyrozumiałością i zwykłym uśmiechem.

Efekt tych nastrojów jest łatwy do przewidzenia – wzrost antykobiecego resentymentu. Jeśli dodamy do tego, że na szczytach światowego kapitalizmu wciąż patriarchat trzyma się mocno (wystarczy spojrzeć na aferę Epsteina czy życiorys Elona Muska), łatwo sobie wyobrazić wykorzystanie tej realnej emocji do budowy politycznego kapitału samców alfa i powrotu silnej, męskiej władzy. Jej ofiarą będą nie tylko kobiety, ale także inne grupy, które w takim kapitalistyczno-patriarchalnym świecie zwykle są nieuprzywilejowane – seniorzy, dzieci, osoby z niepełnosprawnościami, imigranci, ale także młodzi mężczyźni na prowincji.

Kwestia stanu relacji damsko-męskich to zatem nie tylko problem dzietności, ale całego szeroko rozumianego systemu społeczno-gospodarczego. Wojna płci nie tylko zabiera indywidualne szczęście wielu kobietom i mężczyznom, ale może prowadzić do świata, w którym jedynym prawem jest prawo silniejszego. Dlatego potrzebujemy zrobić wszystko, aby budować przestrzenie do tworzenia wzajemnego zaufania i życzliwości. Owe „trzecie miejsca". Realne, a nie wirtualne.

© MARCIN KĘDZIERSKI

eprasa.pl 849bad8b12

Cywilna kontrola nad lasem

MIKOŁAJ DOROŻAŁA,
BYŁY WICEMINISTER:

PRZYRODA | Na to, co robi przedsiębiorstwo administrujące blisko jedną trzecią powierzchni Polski i obracające miliardami złotych rocznie, minister środowiska nie ma praktycznie żadnego wpływu.

MAREK RABIJ: 4 września złożył Pan dymisję ze stanowiska wiceministra klimatu i środowiska oraz Głównego Konserwatora Przyrody. Napisał Pan w mediach społecznościowych, że odchodzi „z czystym sumieniem", ale nie podał powodów.

MIKOŁAJ DOROŻAŁA: To splot różnych okoliczności, ale kluczowe było to, że także ochrona przyrody stała się elementem polaryzacji. Kiedy podejmuje się decyzje, pojawiają się konflikty. Przyszedłem do ministerstwa, aby zmienić podejście do przyrody po ośmiu latach rządów PiS. Moja rola polegała na tym, aby traktować ochronę przyrody jako długoterminową inwestycję, a nie na byciu lobbystą grup interesu. Z tego powodu miałem wielokrotnie po prostu trudniej.

Bardzo dyplomatycznie Pan o tym mówi. Komu Pan nadepnął na odcisk?

Nie chciałbym o tym rozmawiać w taki sposób. Między innymi dlatego długo nie komentowałem publicznie mojej rezygnacji.

Rozumiem i szanuję. Ale proszę się wczuć w emocje np. wyborcy Koalicji Obywatelskiej, który pamięta wasze „Sto Konkretów" z ostatniej kampanii i widzi, że większość z nich zostanie na papierze. W tym także te dotyczące ochrony środowiska. A przy tym słyszy, że wiceministra odpowiedzialnego za ten obszar zaciekle atakują ludzie z koalicyjnego PSL.

Dla mnie pójście do polityki było próbą zmiany systemu od środka. Dziś wiem, że w istniejących realiach politycznych to niezwykle trudny proces, w wielu aspektach po prostu niemożliwy do zrealizowania. Przyroda jest tylko jednym z przykładów. Zobaczmy, gdzie jesteśmy z prawami kobiet.

Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL, już wiosną zarzucał Panu, że nie rozumie Pan gospodarki leśnej i szkodzi jej.

Odpowiedziałem wtedy, że zamierzam kontynuować dotychczasową politykę, bo na to umówiliśmy się z wyborcami w umowie koalicyjnej, pod którą on także się podpisał, i mamy sporo sukcesów, choćby w przywracaniu europejskich certyfikatów dla polskich lasów.

Tuż po Pańskiej rezygnacji Urszula Pasławska, posłanka PSL i przewodnicząca sejmowej komisji do spraw środowiska, zamieściła nawet triumfalną grafikę ze strzelbą, w której obwieściła „koniec dręczenia myśliwych i leśników".

Zamknęła nią sobie zapewne kilka dróg.

Rozumiałbym, gdyby tak robili ludzie z PiS-u czy Konfederacji. Ale PSL tworzy rząd, w którym był Pan wiceministrem. Wciąż nie wiem, gdzie i dlaczego się tak rozjechaliście.

Umowa koalicyjna zakładała wyłączenie 20 proc. powierzchni polskich lasów z produkcji drzewnej, czyli mówiąc wprost – z ekstensywnej wycinki. To zobowiązanie podpisały wszystkie partie koalicji, również PSL. Już w styczniu 2024 r. z wycinki wyłączyliśmy pierwsze 0,7 proc. i częściowo tę wycinkę ograniczyliśmy na 0,6 proc. najcenniejszych lasów będących w zarządzie Lasów Państwowych. Znalazły się tam m.in. tereny przy wschodniej granicy, mające funkcję obronną wokół tworzonej Tarczy Wschód, przyszłe rezerwaty przyrody, ale też lasy wodochronne, jak te pod Wrocławiem. No i rozpoczęła się wielomiesięczna awantura.

Minęły od tej pory dwa lata. Za rok znowu wybory. Ile z tych 20 proc. uda się zrealizować?

To już nie do mnie pytanie. Realnie lasów należących do państwa, na których nie prowadzi się dziś intensywnego pozyskania drewna, mamy w granicach 6, może 7 proc. To od dyrekcji Lasów Państwowych zależy, czy te lasy będą cięte, czy nie. Nie udało się ich do tej pory prawnie zabezpieczyć.

Mamy coś takiego, jak cywilna kontrola nad armią. Nie ma cywilnej kontroli nad Lasami Państwowymi? ↦

Tarcza Wschód to projekt, w którym ochronę środowiska poświęcono na rzecz bezpieczeństwa państwa. Na zdjęciu: budowa umocnień ziemnych w woj. warmińsko-mazurskim. Sierpień 2026 r.

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM



epras.pl/849bad8b12

↦ Główny Konserwator Przyrody rzadko ma wpływ na Lasy Państwowe. Tymczasem klasyczna ochrona przyrody i ich model biznesowy stoją najczęściej w sprzeczności. Nad przedsiębiorstwem administrującym blisko jedną trzecią powierzchni Polski minister środowiska nie ma realnej kontroli. Lasy nie są spółką Skarbu Państwa, to samodzielne gospodarstwo. Nie ma tam rady nadzorczej, która zatwierdzałaby budżet i pilnowała zarządu. Dyrektor generalny ma bardzo dużą autonomię i może w pojedynkę decydować o całej polityce leśnej państwa czy cenach drewna, niczym król słońce. A mówimy o rynku wartym miliardy złotych. Minister środowiska może go teoretycznie w każdej chwili odwołać, ale na co dzień ma w tej sprawie niewiele do powiedzenia.

Model finansowy Lasów Państwowych przez lata opierał się i nadal bazuje na ciągłym zwiększaniu pozyskiwania drewna, aby uzyskiwać coraz większe przychody. W międzyczasie na skutek zmian klimatu lasy przestały przyrastać w tempie, które by na to pozwalało. Pogorszyła się także kondycja lasów będących w lwiej części monokulturową uprawą sosny, narażoną dziś na coraz większe ryzyko zamierania. Mimo tego niebezpieczeństwa, niektórzy zachowują się tak, jakby właśnie otwierali szampana na Titanicu.

Zejdźmy z Titanica, bo nadal nie rozumiem, na czym miałoby polegać to „niezrozumienie gospodarki leśnej", które zarzucało Panu PSL?

Polski przemysł drzewny w ostatnich dziesięcioleciach rozwijał się jako dostawca surowca i półproduktów na rynki zachodnie. Zrobiła się z tego całkiem spora gałąź gospodarki. A potem przyszła wojna w Ukrainie, która oznaczała utratę dostępu do taniego surowca z Rosji i Białorusi. Równolegle w 2022 r. średnia cena drewna w Polsce wzrosła o ponad 50 proc. Doszły wysokie ceny energii, stagnacja na rynku niemieckim, wzrost kosztów pracy spowodowany inflacją i wreszcie: spowolnienie po boomie. Tylko w latach 2021-2022 koszty Lasów Państwowych wzrosły o około 50 proc. i była to zapewne próba ulokowania tych gigantycznych zysków z okresu boomu cenowego. Niewielki procent tej kwoty został przeznaczony na cele związane z ochroną przyrody. W 2024 r., jako nowy rząd, zredukowaliśmy koszty o około 12 proc., czyli o ponad miliard złotych.

Mamy również problem szarej strefy. Szacuję, choć nie mam na to wystarczających dowodów, że może chodzić o drewno wartości setek milionów złotych rocznie, które przechodzi poza oficjalnym obiegiem. Rozmawialiśmy o tym z Krajową Administracją Skarbową w kontekście prób ograniczenia eksportu surowego drewna. Rynek nie był w stanie wszystkiego przerobić, więc część surowca wyjeżdżała za granicę, głównie do Chin. Problemy polskiego sektora drzewnego wynikają więc z czegoś innego niż ograniczanie wycinek fragmentów najcenniejszych lasów. No, ale politycznie byliśmy łatwym celem, żeby to w taki właśnie sposób przedstawić.

Czyli, innymi słowy, Pan chciał realizować założenia rządowej polityki ochrony środowiska, a PSL mówił, że to pomysł co do zasady dobry, ale na lepsze czasy. Czy tak?

Próbowaliśmy przywrócić sytuację, w której resort środowiska rzeczywiście odpowiada za politykę leśną. Jednocześnie chciałem stworzyć mechanizmy odpolitycznienia Lasów Państwowych. Zaproponowałem stworzenie rady nadzorczej z udziałem kilku resortów, a także przedstawicieli organizacji społecznych. Chodziło o kontrolę wydatków i większą przejrzystość. Chciałem też, żeby nadleśniczowie – których jest blisko 430 – nie byli automatycznie wymieniani po każdej zmianie władzy. To oni odpowiadają za plany urządzania lasu. Powinni mieć możliwość pracy w perspektywie dziesięciu lat – tyle, ile trwa Plan Urządzenia Lasu, który przygotowują.

Ale to by oznaczało mniejszy wpływ partii politycznych na obsadę stanowisk. PSL-owi się to nie spodobało?

Na stanowisko dyrektora generalnego proponowałem kandydaturę prof. Bogdana Jaroszewicza z Uniwersytetu Warszawskiego, wybitnego leśnika, który zasłużył się w obronie Puszczy Białowieskiej. Został ostatecznie zastępcą dyrektora generalnego do spraw ochrony przyrody, ale wcześniej wiele tygodni trwało przerzucanie się pismami z nową już dyrekcją generalną Lasów, czy prof. Jaroszewicz spełnia wymagania. A mówimy o człowieku, który publikował artykuły w renomowanej światowej prasie leśnej i przyrodniczej! Już wtedy zorientowałem się, jakiego typu będzie to rozgrywka.

Podobnie było z prof. Henrykiem Okarmą, którego rekomendowałem na stanowisko Łowczego Krajowego. To niezależny naukowiec, myśliwy, człowiek, z którym w wielu punktach się nie zgadzam, ale szanuję jego dorobek. Wiedziałem też, że ma autorytet w niezależnym środowisku łowieckim, które oczekuje zmian. Jego kandydaturę też zablokowano. A dziś ci sami ludzie, którzy byli jej przeciwni, zapraszają go na sejmowe konferencje, próbując mu się przypodobać.

Nadal pięknie unika Pan nazwania rzeczy po imieniu. Zapytam więc wprost – PSL nie chciał tych zmian, bo ograniczałyby jego możliwości obsadzania stanowisk swoimi?

Ten scenariusz wydaje mi się prawdopodobny.

Czy w tym rządzie ktokolwiek naprawdę wierzy w to, coście naobiecywali w kampanii w sprawach ochrony przyrody?

Zasiada w nim wiele osób, dla których przyroda jest ważna. Pamiętam na przykład dyskusję o ochronie pięciu gatunków ptaków. Ministerstwo Rolnictwa próbowało negocjować, proponując, żeby w zamian za ochronę tych ptaków przywrócić myśliwym możliwość strzelania do łosi. Reakcje części ministrów były pełne zdumienia, że w ogóle można w ten sposób handlować ochroną gatunków.

Nie byłbym też w porządku, gdybym teraz przedstawiał cały rząd jako przeciwnika ochrony przyrody. Ministra Paulina Hennig-Kloska dawała mi przestrzeń do realizowania projektów. Miałem też wsparcie ze strony kilku innych polityków, w tym ministrów. Przy tworzeniu tzw. subwencji ekologicznej wspierał mnie resort finansów. To specjalna premia dla samorządów za to, że chronią na swoim terenie najcenniejszą przyrodę, jak parki narodowe, rezerwaty czy obszary Natura 2000. Np. samorządy województwa podlaskiego w 2025 r. otrzymały ponad 130 mln zł subwencji ekologicznej.

Utworzyliśmy też 200 nowych rezerwatów – najwięcej od lat 90. Rozwijaliśmy koncepcję lasów społecznych wokół aglomeracji, z konkretnymi zasadami dotyczącymi tego, co można, a czego nie

eprasa.pl 849bad8b12

można tam robić. Stworzyliśmy pierwszy historyczny plan zarządzania Puszczą Białowieską, oddając 96 proc. jej obszaru naturalnym procesom, a nie piłom. Wspólnie z Ministerstwem Obrony Narodowej pracowaliśmy nad przyrodniczym komponentem Tarczy Wschód. Mokradła, bagna i odpowiednio zarządzane lasy mogą wspierać obronność i utrudniać przemieszczanie się ciężkiego sprzętu. To doskonały przykład, jak przyroda może wspierać bezpieczeństwo państwa.

Tu Kosiniak-Kamysz mógł wreszcie nazwać Pana koalicjantem.

Przygotowaliśmy też pierwszą od 24 lat ustawę powołującą nowy park narodowy, która przeszła przez rząd i parlament. Mimo weta prezydenta ten park, choć w innej formule, i tak powstanie. Wprowadziliśmy nowe zasady sprzedaży drewna promujące jego przerób w kraju, aby ograniczać eksport nieprzetworzonego surowca. Zwiększyliśmy pensje pracowników parków narodowych o blisko 30 proc. W Sejmie leży też ustawa zapewniająca dodatkowe finansowanie parków narodowych i krajobrazowych z zysków od sprzedaży drewna z Lasów Państwowych. To szansa na fundamentalne wzmocnienie ochrony przyrody w Polsce. Udało nam się wreszcie przekonać kolegów z rządu, aby przy tworzeniu planów ogólnych nie wykluczać organów środowiskowych z uzgadniania tych planów – to niezwykle ważne systemowe rozwiązanie dla zrównoważonego planowania przestrzennego.

Środowisko myśliwych nie było otwarte na kompromis? Bo z nimi się Pan już nie dogadał.

Próbowaliśmy stworzyć dwa zespoły do spraw reformy łowiectwa. Jeden miał łączyć myśliwych i organizacje pozarządowe. Początkowo rozmowy były dobre, zwłaszcza o polowaniach na ptaki. Pokazywaliśmy sytuacje, w których wokół rezerwatu stoi kilka czy kilkanaście ambon, a zwierzę, które opuszcza jego granice, dostaje kulkę. Nawet część myśliwych przyznawała, że tak dalej być nie może. Uważam, że polowanie na ptaki jest anachronizmem, wymaga pilnych zmian. Oczywiście trzeba rozmawiać o rolnictwie i gospodarowaniu populacjami, ale nie można sprowadzać ochrony przyrody wyłącznie do jej użytkowego wymiaru.



WOJCIECH KOZIOŁ / FORUM

MIKOŁAJ DOROŻAŁA był do 4 września podsekretarzem stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska oraz Głównym Konserwatorem Przyrody. Ma doświadczenie w samorządzie i biznesie, ale wcześniej nie zajmował się ochroną przyrody. W 2024 r. bezskutecznie ubiegał się o mandat europosła. Na początku br. odszedł z Polski 2050 Szymona Hołowni.

Nie uczestniczyłem w pracach nad obywatelskim projektem zmian prawa łowieckiego, więc nie umiem ocenić jego szczegółowych zapisów, ale popieram kierunek.

A jak Pan ocenia polityków, którzy polują, ale nie chcą się do tego publicznie przyznać? W ubiegłym roku Ośrodek Działań Ekologicznych „Źródła" rozesłał do posłów i posłanek pytanie o przynależność do Polskiego Związku Łowieckiego. Do członkostwa przyznał się tylko Jarosław Rzepa z PSL oraz Artur Łącki z KO. Aż 284 parlamentarzystów zlekceważyło to pytanie.

Myślę, że w polityce jest więcej myśliwych, niż wynikałoby z publicznych deklaracji.

A ja myślę, że Pan doskonale wie, kto w rządzie jest myśliwym. Premier Tusk?

Nie.

Kosiniak-Kamysz?

Z tego, co wiem – tak.

Radosław Sikorski?

Słyszałem, że polował. Nie mam pojęcia, czy to nadal robi.

Kto jeszcze?

Choćby Waldemar Żurek. Nie wiem, dlaczego część polskich polityków nie mówi o tym otwarcie. Uważam też, że osoby zaangażowane w łowiectwo powinny zachować szczególną przejrzystość, kiedy uczestniczą w pracach nad zmianami prawa łowieckiego. Ale wróćmy jeszcze do osiągnięć, bo o jednym zapomnieliśmy.

Proszę.

Dużo się udało zrobić w polskich porządkach wodnych, choć formalnie wody pozostały w innym resorcie. Negocjowaliśmy z Ministerstwem Rolnictwa przez rok. Powołaliśmy przy premierze zespół do spraw strategii dla obszarów wodno-błotnych. Wróciliśmy do dokumentu przygotowanego wcześniej przez prof. Wiktora Kotowskiego, który za poprzedniego rządu trafił do szuflady.

Chodzi o fundamentalną sprawę. Polska ma około 111 tys. kilometrów rzek i aż 350 tys. kilometrów rowów odwadniających, z których tylko niewielka część służy zarazem nawadnianiu. Reszta tylko odwadnia teren. Musimy zmienić podejście do mokradeł, torfowisk i zarządzania wodą, bo Polska wysycha. Mnie nie udało się już domknąć tej strategii, ale mam nadzieję, że trafi na posiedzenie rządu do końca tego roku. I jeszcze jedno: zabezpieczyliśmy w Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska ok. 300 mln zł w programie „Przestrzeń dla Przyrody" na działania dla samorządów położonych na najcenniejszych przyrodniczo terenach, jak Puszcza Białowieska, Bliżyńskie Lasy Naturalne czy Puszcza Karpacka.

To ważne, bo ochrona przyrody musi przynosić korzyści lokalnym społecznościom.

Może trzeba było zacisnąć zęby i zostać w rządzie?

Zaciskałem zęby mniej więcej od marca 2024 r., kiedy pojawiły się pierwsze naciski, aby mnie odwołać. Rok temu byłem już nawet spakowany i gotowy do wyjścia, podobnie jak w kwietniu tego roku. Mimo takiej atmosfery przepracowałem łącznie prawie 3 lata – 996 dni i to z kilkoma niewątpliwie przełomowymi dla polskiej przyrody projektami. Mam powody do zawodowej satysfakcji.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

eprasa.pl 849bad8b12

OLGA

Drenda: *Ballada dla ludzi zmęczonych*



Mam odruchowe zaufanie do ludzi, którzy nie ukrywają, że są zmęczeni. Albo wręcz do ludzi otwarcie męczliwych, takich, którzy potrafią powiedzieć, że mają dość, że idą do domu. Oczywiście czasami takie kontakty wiążą się z rozczarowaniem, gdy mamy odmienne oczekiwania i mnie akurat marzy się dla odmiany spacer. Ale niech będzie, czasem trzeba liczyć się z takimi scenariuszami. Takie osoby i tak obrywają od otoczenia ponad miarę, więc zasługują na więcej wyrozumiałości.

Gdy ktoś z kolei tryska energią, to trochę chciałabym wiedzieć, jak to robi, gdyż jest to dla mnie niemożliwa do zgłębienia tajemnica – a jednocześnie zachowuję daleko idącą rezerwę w obawie, że ktoś taki będzie starał się bliźnich wyciągać za uszy do swojego standardu z entuzjazmem nadgorliwego wuefisty („Z życiem, z życiem! Pobudka! Nie spać, zwiedzać!" – a niedoczekanie). Zdecydowanie bardziej jestem skłonna przyznawać innym prawo do odrobiny guzdrania, nawet gdy muszę na nich czekać; najwyżej poćwiczę cierpliwość, więc i ja skorzystam. To zdecydowanie mniej inwazyjne niż tendencja do pospieszania.

Wpadł mi w ręce kolejny raport dotyczący tego, jak zmęczeni czują się Polacy. Odpowiedź brzmi oczywiście, że bardzo. *Déjà vu*, bo jestem pewna, że podobne wnioski czytałam i dwa lata temu, i pięć, i dziesięć. W międzyczasie kraj i świat, w którym żyjemy, zdążyły wykonać kilka solidnych fikołków i pod pewnymi względami zmienić się nie do poznania. Tymczasem zmęczenie uparcie trwa i nie chce się to zmienić. Zmęczeni są ludzie w Polsce zgrzebnej, monotonnej i zamkniętej, i zmęczeni w Polsce jaskrawej, przyspieszonej i może nie tyle sytej, co nienasyconej. Zmęczone twarze ludzi w kolejkach i tramwajach widać na dokumentalnych fotografiach z PRL, w tle gra „Ballada dla ludzi zmęczonych" Klanu. W zachowanych dokumentach z lat po 1989 – zmęczenie niepewnością i biedą. Ale do zmęczenia przyznawali się ankietowani i w czasach smutnego trwania tuż powyżej dna, i podczas najlepszej gospodarczej passy, i dzisiaj, gdy właściwie nie wiadomo, czego spodziewać się nawet jutro. Czynniki zewnętrzne, tak twarde jak zatrudnienie czy pieniądze, jednocześnie łatwo obwiniać i trudno; wszystkie czasy męczą, może na inne sposoby.



OLGA DRENDA

Zmęczonym potrzeba spokoju

Jak długo da się to znosić? Zmęczenie niszczy zdrowie, przyczynia się do wypadków, popycha ludzi do desperacji. W kampanii społecznej, chcąc poruszyć emocje, można byłoby napisać, że zabija i nie byłaby to właściwie przesada. A przy tym traktuje się je dziwnie niepoważnie. Gdy słyszymy, że ktoś nie dojada, że choćby jest bez obiadu, to już budzi niepokój i współczucie, reagujemy mocnym przekonaniem, że tak być nie może i w cywilizowanym świecie nikt głodny chodzić nie powinien. Ale już sen, który jest przecież równie podstawową ludzką potrzebą, tak łatwo zbyć lekką ręką. Na zmęczenie każdy narzeka, każdy ma dość, a jednocześnie dziwnie trudno się do niego przyznać. To prowadzi do desperackich poszukiwań obiektywnych mierników we krwi, szukania pomocy w suplementach, w medycynie alternatywnej. Niedawno słyszałam, jak ktoś u lekarza, skarżąc się na dojmujące zmęczenie, usłyszał „ja też jestem zmęczony", ale słysząc taką odpowiedź trudno dociec, czy to głos solidarności, czy raczej lekceważenia.

Doniesienia o zmęczeniu Polaków wchodzą w dziwny dysonans z bieżącym momentem w kulturze, gdy wszystko jest szybkie, duże i jazgotliwe. Jednoślady elektryczne, napoje energetyczne, przemiał trendów, edycje limitowane, patelnia proteinowa, drzemka kofeinowa. To świat, który obiecuje dorosłym nieustanną ekscytację na poziomie przejedzonego słodyczami ośmiolatka w wesołym miasteczku, choć czy atrakcje te są tego warte i dają ludziom realną satysfakcję, to już inne pytanie.

Ale przede wszystkim obiecuje absolutną wolność od czekania na cokolwiek. Ekspresowe paczki, zakupy z natychmiastową dostawą, aplikacja do wszystkiego z jak najmniejszą liczbą kliknięć, szybkie jedzenie i szybkie chudnięcie. Powinno wynikać z tego więcej czasu i sił na przeciętnego użytkownika. Ale oczywiście nie wynika; ten nieustanny handel zmiennymi w głowie wiedzie do fałszywych oszczędności. Ostatecznie nikt dotychczas nie zmierzył też, jak bardzo męczące musi być pozorowanie braku zmęczenia. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 849bad8b12

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny" po raz drugi przyznaje Nagrodę BONUS

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Od 1 września szukamy ludzi, którzy zmieniają przestrzeń publiczną na lepszą. Otwieramy zgłoszenia do drugiej edycji Nagrody BONUS „Tygodnika Powszechnego".

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji.

Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.

PIĘĆ KATEGORII

W drugiej edycji Nagroda BONUS zostanie przyznana w pięciu kategoriach:

MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów.

KULTURA | Dla twórców i inicjatyw, które otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw.

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób i organizacji, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic.

TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać.

MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ (nowa kategoria) | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagroda dla tych, którzy poprzez wsparcie inicjatyw kulturalnych, naukowych i pomocowych budują wspólnotowość i zaufanie w przestrzeni publicznej.

Laureatów drugiej edycji Nagrody poznamy 7 listopada podczas gali w Małopolskim Ogrodzie Sztuki w Krakowie. Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.

NAJWAŻNIEJSZE DATY

1–30 września 2026 | Czas na zgłoszenie kandydatów

13 października 2026 | Ogłoszenie czterech finalistów w każdej kategorii

7 listopada 2026 | Gala Nagrody BONUS, Małopolski Ogród Sztuki, Kraków



FOT. MAREK BEDNARZ

Zgłoś osobę, której praca zasługuje na uwagę.

Wypełnij formularz online na stronie nagrody: **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

Zgłoszenie możesz przesłać także bezpośrednio na adres **bonus@tygodnikpowszechny.pl** – podaj imię i nazwisko kandydata, kategorię oraz uzasadnienie zgłoszenia.

PARTNERZY: Kraków | ERGO HESTIA | TERLAN

PATRONI MEDIALNI: 65 TVP 3 KRAKÓW | TVP I info_ | Trójka POLSKIE RADIO

eprasa.pl 849bad8b12

ŚWIAT

REFERENDUM NAD TRUMPEM

Popularność progresywnych kandydatów, niechęć do centrów danych i duże pieniądze, które mają tę niechęć zdusić. Witamy na wyścigu, który za miesiąc zdecyduje o układzie sił w amerykańskiej polityce.

MARTA ZDZIEBORSKA

Mieszkańcy hrabstwa Pike w stanie Ohio nie wybrzydzają. W regionie, gdzie co piąty Amerykanin żyje w ubóstwie, miejsca pracy są w cenie. Także te, które mają powstać przy budowie centrum danych, służącego do trenowania modeli sztucznej inteligencji.

Gigant technologiczny OpenAI, twórca Chata GPT, obiecuje, że do tej budowy będzie potrzebować aż 35 tys. ludzi. To więcej niż liczy cała populacja hrabstwa Pike, które po raz ostatni miało tak dużego pracodawcę ćwierć wieku temu. Wtedy to zamknięto zakład wzbogacania uranu na potrzeby wojska i elektrowni jądrowych.

Wraz z zamknięciem fabryki w 2001 r., lokalny rynek mocno się skurczył. Dla niektórych „pamiątką" po tamtej pracy są nowotwory. Lokalny oddział telewizji NBC opowiadał np. historię Viny Colley, która miała cztery guzy i usunięto jej macicę. Rak miał zabić jej męża i wielu innych krewnych.

SPÓR O CENTRA | Mieszkańcy hrabstwa Pike liczą na nowe miejsca pracy. Nie organizują protestów – inaczej niż Amerykanie z wielu innych miejsc, gdzie koncerny technologiczne również chcą budować swoje centra danych.

Opór jest duży, bo inwestycje niezbędne do rozwoju sztucznej inteligencji mogą zużywać tyle prądu, co małe miasto. Przy tak dużym obciążeniu dla sieci rosną rachunki także w całej ich okolicy. Do tego dochodzi ogromne zużycie wody potrzebnej do chłodzenia serwerów, co budzi niepokój na obszarach zagrożonych suszą. No i mało kto chce mieć w sąsiedztwie ogromne hale, które szpecą krajobraz i generują jednostajny szum. Według badania Gallupa z wiosny 2026 r., aż 70 proc. Amerykanów było przeciwnych takim inwestycjom w ich okolicy. Temat, jak żaden inny, łączy spolaryzowane na co dzień społeczeństwo: przeciw są zwolennicy Demokratów i Republikanów, farmerzy i ekolodzy. Te nietypowe koalicje zbierają podpisy dla blokowania inwestycji, stawiają na domowych trawnikach tablice „Nie dla centrów danych", a niekiedy decydują się na batalię sądową.

Na przykład gdy rada miasta Trenton w Ohio odrzuciła petycję, by zorganizować referendum w sprawie zakazu budowy centrów danych, mieszkańcy poszli do sądu i wygrali. Teraz sprawa musi być poddana pod głosowanie. W Stanach jest już pierwsze miasto, Monterey Park w Kalifornii, gdzie przyjęto zakaz takich inwestycji.

„DYWIDENDA" | Niechęć do centrów danych to także jeden z głównych tematów przed wyborami „połówkowymi", w których 3 listopada Amerykanie wybiorą 435 kongresmenów do Izby Reprezentantów i jedną trzecią składu Senatu. Od wyniku wyścigu będzie zależeć, czy Kongres pozostanie maszynką do zatwierdzania decyzji Trumpa, czy też Demokraci przejmą kontrolę choćby nad jedną z izb.

Trump obawia się takiego scenariusza – wybory te, odbywające się w środku kadencji prezydenta (stąd ich nazwa: „połówkowe"), to zawsze nieformalne referendum dla głowy państwa. Stąd też jego kuriozalne obietnice. Podczas wrześniowej konwencji Republikanów w Dallas Trump wypalił, że jeśli wyborcy pomogą jego partii utrzymać władzę w Kongresie, każdy dorosły Amerykanin dostanie 5 tys. dolarów „dywidendy" od państwa.

CZTERY TYSIĄCE | Trump wzbija się na wyżyny populizmu, bo jego partii grozi nie tylko utrata większości w Izbie Reprezentantów, ale być może także w Senacie. Coś, co jeszcze przed atakiem Izraela i USA na Iran zdawało się nierealne, dziś jest „na stole" – za sprawą coraz większej frustracji Amerykanów.

Tu wracamy do centrów danych – tematu, który może pogrążyć kampanie kandydatów republikańskich. Takich jak Jon Husted, senator z Ohio, walczący o utrzymanie urzędu. Jego rywal Sherrod Brown z Partii Demokratycznej zleca spoty reklamowe, w których nazywa Hu-

ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES

eprasa.pl 849bad8b12



Na miesiąc przed wyborami „połówkowymi" jedynie 32 proc. Amerykanów jest zadowolonych z tego, jak Donald Trump sprawuje urząd. Na zdjęciu: prezydent USA na konwencji Partii Republikańskiej w Dallas, 9 września 2026 r.

steda „twarzą centrów danych". Poniekąd zasadnie, bo ten, jeszcze jako wicegubernator stanu, zabiegał o takie inwestycje w Ohio.

Tylko w tym stanie jest już ich ponad dwieście, a w całym kraju ponad cztery tysiące. „Nic w tym wyścigu nie jest tak dużą kulą u nogi dla Husteda jak centra danych" – czytamy w liście Partii Republikańskiej do firm AI; autorzy postulują, aby firmy uruchomiły kampanie ocieplające wizerunek swoich inwestycji.

NAGŁY SCEPTYCYZM | Temat ten napędza również walkę o Izbę Reprezentantów. Według analizy serwisu Politico, w 40 spośród 69 okręgów, kluczowych dla tych wyborów, albo planowana jest budowa takich centrów, albo już ją rozpoczęto. To może pogłębiać frustrację ludzi, już i tak zmęczonych coraz wyższymi kosztami życia.

Nic dziwnego, że tuż przed wyborami politycy z obu partii demonstrują sceptycyzm wobec centrów danych – nie tylko w Ohio. Włączając telewizor w Michigan, można posłuchać, jak William Lawrence, 36-letni kandydat Demokratów na kongresmena i aktywista klimatyczny, straszy, że jego rywal Republikanin zamieni pola uprawne w jedno wielkie centrum danych.

Antytechnologiczne nastroje wpływają również na te wybory gubernatorów, które mają się odbyć 3 listopada. Politycy niegdyś przychylni inwestycjom AI – jak Demokrata z Pensylwanii, Josh Shapiro, i Republikanin z Teksasu, Greg Abbott – dziś w walce o reelekcję wprowadzają obostrzenia przy wydawaniu zgód na budowę centrów danych.

PROGRESYWNI GÓRĄ | Te wybory „połówkowe" mają jeszcze jeden *leitmotiv*: to choroba amerykańskiego systemu, gdy bogaci wciąż się bogacą, a zwykli ludzie szorują po finansowym dnie.

O tym mówią progresywni politycy z lewego skrzydła Demokratów, którzy w ostatnich miesiącach wygrywali partyjne prawybory. Tak było w Michigan, gdzie nominację do walki o Senat zdobył 41-letni epidemiolog Abdul El-Sayed, urodzony w rodzinie imigrantów z Egiptu. Z kolei na Florydzie i w Kolorado startują zdeklarowane socjalistki: 42-letnia Angie Nixon ubiega się o miejsce w Senacie, a 29-letnia Melat Kiros w Izbie Reprezentantów.

Podobnie jak w wyścigu o fotel burmistrza Nowego Jorku w 2025 r., który wygrał Zohran Mamdani, kampanii progresywnych kandydatów nie zdołały pogrzebać pieniądze i partyjne układy. Nixon wygrała w prawyborach z faworytem establishmentu Demokratów, Aleksem ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ Vindmanem, choć miał on szesnaście razy więcej funduszy na swoją kampanię.

Progresywni kandydaci pokonali partyjnych wyjadaczy, postulując to, o czym od dawna mówi gwiazdor lewicy w USA: senator Bernie Sanders. To wizja Stanów, gdzie jest powszechna opieka zdrowotna i bezpłatne żłobki, gdzie miliarderzy płacą wyższe podatki, a korporacje i inne grupy interesu nie pompują pieniędzy w politykę.

KALKULACJA | Wybory „połówkowe" pokażą, na ile kampanie oparte na tak progresywnych (jak na Amerykę) hasłach przyciągną albo przynajmniej nie odstraszą wyborców w tych okręgach, które nie są bastionami Demokratów.

Na razie prawybory były sygnałem, że ludzie są sfrustrowani i chcą gruntownych zmian. Odpadło w nich wyjątkowo wielu polityków, którzy przez dekady zasiadali w Kongresie, a teraz przegrywali prawybory z młodymi rywalami kwestionującymi polityczno-społeczne *status quo*. To paradoks, że te antysystemowe nastroje próbuje teraz wykorzystać *establishment* Partii Demokratycznej. Aby zwiększyć szanse na odbicie Senatu Republikanom, w takich stanach jak Idaho, Nebraska czy Montana struktury Demokratów wspierają startujących tam polityków niezależnych.

Kalkulacja jest taka, że wyborca, zmęczony konserwatywnymi reformami (jak np. zaostrzenie dostępu do aborcji), prędzej zagłosuje na kogoś „spoza systemu" niż na polityka z Partii Demokratycznej.

SPOZA UKŁADU | Niechęć do tradycyjnego duopolu – Demokraci vs Republikanie – to ogólnokrajowy trend. W ciągu ostatnich 20 lat ta część elektoratu, która nie głosuje według afiliacji partyjnej, wzrosła z 34 do 45 proc. w skali kraju.

W ponadmilionowej Montanie, gdzie do Senatu startuje niezależny kandydat Seth Bodnar, takich wyborców bez afiliacji partyjnej jest 42 proc. Wyczuwając nastroje, Bodnar dużo mówi o toksycznej polaryzacji, a także o potrzebie reformy opieki zdrowotnej i wysokich kosztach życia. Przypomina tym progresywnych kandydatów. Choć nie do końca: jak przystało na mieszkańca Montany, gdzie prawo do broni palnej jest rzeczą świętą, kreuje się na twardziela i robi sobie zdjęcia przy upolowanej zwierzynie.

Niechęć do duopolu „Demokraci vs Republikanie" to dziś w USA ogólnokrajowy trend. Odpowiedzią na niego jest istny wysyp kandydatów niezależnych.

„Make the Montana Way of Life a Reality Again". Niech styl życia w Montanie znów stanie się rzeczywistością – to jedno z haseł kampanii Bodnara. Mimo wszystko ma on nikłe szanse na pokonanie rywala z Partii Republikańskiej. Tym bardziej że podbierać głosy będzie mu kandydatka Demokratów, Alani Bankhead. Mimo nacisków ze strony własnej partii, nie wycofała się z wyścigu.

Choć start spoza partyjnego duopolu nie jest w USA niczym nowym (ani łatwym), to tegoroczny wysyp kandydatów niezależnych jest odpowiedzią na erozję zaufania do obu tradycyjnych partii. Przypomnijmy, że rok temu o tworzeniu nowego ugrupowania przebąkiwał Elon Musk, wtedy na fali konfliktu z Trumpem. Ostatecznie miliarder zawiesił te plany i dziś znów pompuje pieniądze w kampanię Republikanów.

NOWA KASTA | Z tej perspektywy patrząc, w amerykańskiej polityce w ostatnich miesiącach zmieniło się niewiele. Kampania przed wyborami „połówkowymi" jest na dobrej drodze, by pobić rekord najdroższej w historii USA.

To już tradycja, że w każdym cyklu wyborczym wydatki na kampanie są coraz wyższe, i że nie można tłumaczyć tego wyłącznie inflacją. Jak wynika z analizy dziennika „New York Times", tylko do końca sierpnia 20 największych darczyńców przekazało 1,2 mld dolarów na kampanie polityków ubiegających się o urząd federalny.

W tym gronie są nie tylko Musk i George Soros (wspierający Demokratów), ale też nowa kasta darczyńców: „grube ryby" z branży AI, kryptowalut i zakładów bukmacherskich. Najhojniejsi są inwestorzy z Doliny Krzemowej: Marc Andreessen i Ben Horowitz.

W ich interesie jest dalsza deregulacja przepisów o AI i kryptowalutach. Ta dwójka, a także prezes OpenAI Greg Brockman, wspierają Leading the Future: tzw. komitet Super PAC, który może bez ograniczeń pompować pieniądze w kampanie polityków przychylnych branży AI.

Magnaci z Big Techów zamawiają też spoty, które mają przekonać Amerykanów do centrów danych – w szczególności w takich stanach jak Kansas, Wisconsin i wspomniane Ohio, gdzie nastroje mogą zdeterminować wynik wyborów.

UCIEC DO NEVADY | Technologiczni magnaci bombardują reklamami także mieszkańców Kalifornii. W tym przypadku chodzi o to, by w listopadowym referendum nie zatwierdzono podatku od miliarderów – jednorazowej daniny w wysokości 5 proc. od majątku największych bogaczy w Kalifornii. Pozyskane tak pieniądze miałyby pomóc sfinansować opiekę zdrowotną i pomoc żywnościową dla najbardziej potrzebujących.

Aby do tego nie dopuścić, Sergey Brin (współzałożyciel Google'a) wydał już ponad 100 mln dolarów na torpedowanie tej reformy. Na wszelki wypadek przeprowadził się już do stanu Nevada, by uniknąć ewentualnego podatku. To samo zrobiło wielu innych miliarderów. Ci, którzy zostali, kombinują, jak zbić wartość majątku poniżej miliarda dolarów, co zwolni ich od nowej daniny.

Magnaci z Big Techów najwyraźniej są w stanie zrobić wiele, by nie dzielić się swoim bogactwem. Z kolei Trump, również miliarder, mami Amerykanów obietnicą „dywidendy" (tyle że z funduszy państwowych), jeśli tylko Republikanie utrzymają władzę w Kongresie. Pytanie, czy Amerykanie się na to nabiorą, a zwłaszcza ci, którzy stracili na cięciach programów społecznych przepchniętych pod dyktando Trumpa przez Kongres.

Podczas konwencji w Dallas prezydent zagrzewał swoich zwolenników, by potraktowali wybory jak referendum nad jego rządami. Jego fanów z ruchu MAGA może to zmobilizować. Pytanie, jak zareagują zwykli Amerykanie, którzy za sprawą Trumpa płacą coraz więcej – nie tylko za benzynę. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

eprasa.pl 849bad8b12



MATTHIAS SCHRADER / AFP / EAST NEWS

„Wszystko jest możliwe": pod tym hasłem politycy AfD świętują zwycięstwo w Saksonii-Anhalt. Magdeburg, 6 września 2026 r.

Rozczarowani nową ojczyzną

IWONA WEIDMANN Z BAWARII

NIEMCY | Polacy z niemieckim obywatelstwem przez dekady popierali chadecję i socjaldemokrację. Dziś największą sympatią darzą AfD. Dlaczego? Zapytaliśmy ich o to.

Do Niemiec przybył jako nastolatek i tu spędził całe dorosłe życie. Dziś Marcin R. (prosił, by nie podawać nazwiska) ma 49 lat i mieszka w Hamburgu. Do tego miasta przyjechał wraz z rodziną w 1990 r., gdzieś z Pomorza.

Potem była szkoła, praca, zwyczajne życie. – Do 2015 r. nie interesowałem się polityką. Miałem pracę, nie było źle – opowiada. Później, jak mówi, zaczęło robić się coraz gorzej. Drożały mieszkania i wszystko inne, słabła opieka zdrowotna. Marcin mówi, że „otwierać oczy" zaczął w czasie pandemii.

Trzy lata temu złożył wniosek o niemieckie obywatelstwo, dostał je rok później. Polskie zachował. W lutym 2025 r. pierwszy raz głosował w wyborach do Bundestagu, a w marcu tego roku do parlamentu Hamburga (miasta-landu). Wybrał Alternatywę dla Niemiec (AfD). A później wstąpił do partii. – I tego nie żałuję – mówi. W następnych wyborach lokalnych w Hamburgu chce kandydować z ramienia AfD.

– Nie mam nic przeciwko imigracji, sami przyjechaliśmy tu za lepszym życiem – zastrzega się. – Ale jeśli przyjeżdża się do innego kraju, żeby ułożyć sobie życie, to początkiem jest integracja. Tego w Niemczech brakuje.

MILION GŁOSÓW | Polacy są jedną z największych grup imigranckich w Niemczech. Osób z polskim pochodzeniem mieszka tu grubo ponad 2 mln: to mniej więcej co jedenasta osoba spośród wszystkich, które przybyły z innych krajów lub urodziły się tutaj w rodzinie imigrantów.

Głosować w wyborach do Bundestagu i parlamentów krajów związkowych może tylko ta część z nich, którzy mają niemieckie obywatelstwo. Przed wyborami do Bundestagu w 2025 r. było ich ok. 1,1 miliona (to 2 proc. całego elektoratu). Pozostali, których jest tyle samo lub trochę więcej, jako obywatele Unii Europejskiej mogą głosować w niemieckich wyborach samorządowych i do Parlamentu Europejskiego.

Tym samym niemieccy Polacy (lub polscy Niemcy) są największą grupą spośród prawie 8 mln wyborców mających tzw. tło migracyjne. Kolejne są grupy: turecka (930 tys.), kazachska (to głównie repatriowani Niemcy i ich potomkowie; 800 tys.), rosyjska (760 tys.; w większości zapewne dawni Niemcy rosyjscy), włoska (500 tys.), rumuńska (zapewne głównie repatriowani Niemcy z Siedmiogrodu; 350 tys.), grecka (250 tys.) i inne, pomniejsze.

PRZEPŁYW SYMPATII | Polonia w Niemczech przez długie dekady popierała partie tradycyjne: CDU (w Bawarii – CSU) i SPD. Dziś jej sympatie kierują się gdzie indziej.

Według badania Fundacji Adenauera (związanej z CDU), jeszcze w 2019 r. ponad połowa osób polskiego pochodzenia deklarowała sympatię wobec chadecji. W sondażu z 2025 r. zrobiła to już tylko jedna czwarta, a najwięcej, bo 33 proc., deklarowało poparcie dla AfD. W ciągu ostatnich lat jej wynik wzrósł aż o 27 punktów procentowych. Próba badania była niewielka, objęła nieco ponad 200 osób polskiego pochodzenia.

Dokładniejszy obraz wyłania się z nowych badań Instytutu Zachodniego: przepytał on grupę 2 tys. Polaków (żyjących w Niemczech dłużej niż rok) o ich sympatie wobec partii. Umiarkowaną lub silną sympatią darzy AfD aż 40 proc. badanych. Chadecja nie przekracza 32 proc., SPD 30 proc., a Zieloni i Lewica odpowiednio po 16 procent. Jednocześnie 40 proc. ankietowanych nie darzy AfD żadną sympatią.

– Poziom sympatii dla AfD jest rzeczywiście najwyższy, ale jest tu pewnego rodzaju równowaga – mówi „Tygodnikowi" dr hab. Michał Nowosielski, dyrektor Instytutu.

Podobne badania Instytut przeprowadził w Holandii i Wielkiej Brytanii, gdzie też silne są dziś formacje skrajnie prawicowe: Partia Wolności (PVV) i Reform UK. – Polacy w Wielkiej Brytanii i Holandii patrzą na nie zdecydowanie mniej przychylnie. Poziom sympatii jest tam kilkunastoprocentowy, podczas gdy w Niemczech wynosi 40 procent. To pokazuje, że w Niemczech działa inny rodzaj dynamiki – ocenia Nowosielski. ↦

eprasa.pl 849bad8b12

ŻYĆ NORMALNIE | Arkadiusz R. przybył do Niemiec w 1989 r., gdy miał cztery lata. Tu chodził do szkoły, służył w wojsku, a dziś prowadzi firmę montującą konstrukcje stalowe i hale przemysłowe. Kiedyś głosował na CDU, a od ok. 10 lat już tylko na AfD.

– W 2015 r., jak pani Merkel otworzyła drzwi dla wszystkich, nikt nie myślał, że za dziesięć lat będzie strach wyjść na ulicę – mówi „Tygodnikowi". – Moi znajomi, czy to Turcy, Grecy, Polacy, czy ludzie z terenów byłego ZSRR, wszyscy, którzy się zintegrowali, mają tego dość. Każdy chce żyć normalnie, bez strachu.

Michał Nowosielski widzi w antyimigranckości dwa oblicza. W Holandii i Wielkiej Brytanii odstrasza ona Polaków, bo wiedzą, że częściowo jest wymierzona w nich. Zwolennicy brexitu, którzy dziś są w Reform UK, podnosili np. kwestię imigracji z Unii jako jeden z argumentów za wyjściem ze Wspólnoty. W Holandii zaś PVV wprost wykorzystywała nastroje antypolskie.

– W przypadku Niemiec i AfD nie można tego powiedzieć. Ostrze antyimigranckości AfD jest wyraźnie skierowane przeciw migrantom z innych części świata, o innym kolorze skóry, wywodzącym się z innej kultury – ocenia dyrektor Instytutu Zachodniego.

Z wcześniejszych badań Nowosielski wspomina słowa jednego z działaczy polonijnych: „My nie jesteśmy migrantami, tylko Polakami w Niemczech"; migrantami byli Turcy, a później Syryjczycy. Zastrzega, że badania Instytutu nie potwierdzają tego wprost. Równocześnie duża część Polaków akceptuje niemiecką wielokulturowość. Jednak ok. 25 proc. uważa, że mogłaby ona być powodem do ich wyjazdu z Niemiec.

– To jednak nie tłumaczy aż 40-procentowej sympatii dla AfD. Trzeba szukać innych powodów – zaznacza Nowosielski.

PORZUCENI | Część wyjaśnień może leżeć w kondycji gospodarki i polityki. – Polacy w Niemczech dość dobrze odczytują problemy, przed którymi stoją społeczeństwo i gospodarka. Czyli pewien zastój, a także rozczarowanie partiami głównego nurtu, które nie wydają się znajdować rozwiązań na te wyzwania. Ci Polacy zwracaliby się więc ku AfD jako partii antysystemowej, która szuka innych odpowiedzi – uważa Nowosielski.



MATERIAŁY PRASOWE

Plakat AfD z Ulrichem Siegmundem, jej liderem w Saksonii-Anhalt. Hasło „Tak wyglądają zwycięzcy" nawiązuje do stadionowej przyśpiewki. Estetyka może budzić inne skojarzenia.

Najwięcej traci na tym CDU/CSU: formacja, która przez większość z 36 lat, jakie minęły od zjednoczenia Niemiec, obsadzała urząd kanclerza (8 lat Helmut Kohl, 16 lat Merkel i teraz rok Friedrich Merz).

Wiesław Lewicki, przewodniczący Kongresu Polonii Niemieckiej, podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem", że organizacje polonijne są generalnie przeciwne polityce AfD. Chęć głosowania na nią odczytuje jako „akt desperacji".

Lewicki przypomina, że Polacy tradycyjnie wybierali *Volksparteien*, partie ludowe. Robotnicy, przybyli do ciężkiej pracy w zakładach przemysłowych, głosowali na SPD, która występowała w roli obrońcy ich praw. Z kolei ci na wyższych stanowiskach czy bardziej związani z wartościami chrześcijańskimi wybierali CDU/CSU. – Z czasem Polacy zauważyli, że partie te „mają ich w nosie" i nie reprezentują ich interesów – ocenia Lewicki.

PODATNY GRUNT | AfD skutecznie zagospodarowuje niezadowolenie, co widać w całych Niemczech. W sondażach ogólnokrajowych ma blisko 30 proc. i od pół roku prowadzi w nich przed chadecją. We wschodnich landach zdobywa nawet ponad 40 procent.

AfD odwołuje się do sentymentów wyborców mających poczucie porzucenia przez partie głównego nurtu: robotników, wcześniej głosujących na SPD, nastrojów antyimigranckich, lęku o przyszłość, spotęgowanego wojną Rosji przeciw Ukrainie. Mówi głośno i emocjonalnie, a na skomplikowane problemy proponuje odpowiedzi proste. To trafia do ludzi zmęczonych sytuacją w Niemczech. Politycy AfD podnoszą też postulat remigracji: masowych deportacji cudzoziemców, które chcą realizować po dojściu do władzy.

– Czytając postulaty AfD, można się za głowę złapać. Tego nasza polonijna brać nie dostrzega, kieruje się raczej emocjami. My, Polacy, jesteśmy bardzo emocjonalni. Dlatego AfD trafiło tu niestety na podatny grunt – uważa Lewicki.

WIELKIE ZŁUDZENIE | Bartholomäus Pakulski, dyrektor artystyczny Teatru Ansbach w Bawarii, mieszka w Niemczech od prawie 40 lat. – Wmawianie ludziom, że na AfD można głosować, że to normalna partia, jest złą drogą – mówi „Tygodnikowi". Jego zdaniem stoją za nią ludzie, którzy podają fałszywe powody, by wprowadzić w błąd i przestraszyć tych, którzy polityką interesują się mniej.

Pakulski przypomina, skąd Polacy przyjechali do Niemiec: – Uciekliśmy do kraju, gdzie szanse były po prostu lepsze. Sami jesteśmy migrantami i mamy się tak dobrze, nikt nie chce nam niczego zabrać.

Pakulski przyznaje, że problemy są realne, choćby niepewne emerytury, i że „są obszary do poprawy": – Mimo to żyjemy tu w absolutnym dostatku. Głosowanie na AfD w przekonaniu, że wtedy wszystko będzie lepsze, to wielkie złudzenie.

HISTORIA I ROSJA | AfD ma wobec Polski własną listę zastrzeżeń. W grudniu 2025 r. Bundestag przyjął uchwałę wzywającą rząd w Berlinie do szybkiego rozpoczęcia prac nad pomnikiem polskich ofiar II wojny światowej i niemieckiej okupacji. AfD była jedynym ugrupowaniem, które jej nie poparło. To projekt długo wyczekiwany, zabiegały o niego środowiska po obu stronach granicy.

AfD regularnie wraca też do postulatów odnowienia kontaktów Niemiec z Rosją, zniesienia sankcji i powrotu do współpracy gospodarczej, a przede wszystkim do uruchomienia gazociągów Nord Stream. Dostawy rosyjskiego gazu mają, zdaniem AfD, uzdrowić pogrążoną w kryzysie niemiecką gospodarkę. Ten postulat AfD opakowuje często w hasło „dywersyfikacji źródeł energii".

eprasa.pl 849bad8b12

Regularnie na światło dzienne wychodzi też jej historyczny rewizjonizm. We wrześniu 2025 r. polityk AfD Horst Förster (z frakcji AfD w parlamencie Meklemburgii-Pomorza Przedniego) napisał, że głównym beneficjentem i pomocnikiem powojennych wypędzeń Niemców „była i jest Polska". Współzałożyciel AfD Alexander Gauland ocenił z kolei, że „Hitler i naziści to zaledwie ptasie gówienko w ponadtysiącletniej niemieckiej historii sukcesów".

NA FALI | Dlaczego to nie zraża Polaków w Niemczech? – AfD prowadzi dość sprytną, bardzo zdywersyfikowaną politykę komunikacyjną. W oficjalnej komunikacji rewizjonizm nigdy nie jest głównym hasłem – mówi Michał Nowosielski. Do Polonii bardziej trafiają inne argumenty, antysystemowe i prosocjalne.

Podobnie jest z Rosją. Część niemieckiej Polonii widzi we wznowieniu współpracy z Moskwą sposób na spadek cen energii. – Im dalej od granicy z Rosją, tym mniejsze znaczenie ma argument rosyjskiego zagrożenia – uważa Nowosielski i porównuje to z Polską. – Nie każdy, kto chciałby głosować na Konfederację, jest od razu prorosyjski. Tak samo nie każdy, kto głosuje na AfD. Taki wyborca raczej zwraca uwagę na inne kwestie, a prorosyjskość nie jest dla niego argumentem przeciw.

Lewickiemu nasuwa się inne porównanie. Opowiada o Polakach z Berlina i Brandenburgii, którzy mają blisko do Szczecina czy Świnoujścia: – Kiedy jeżdżą do Polski, widzą kraj uporządkowany, w miarę czysty, nie tak zróżnicowany etnicznie jak w Berlinie. I czują dylemat, kogo wybrać, kto prawdopodobnie przywróciłby im tę normalność.

W Meklemburgii-Pomorzu Przednim, landzie sąsiadującym ze Szczecinem, AfD wygrała 20 września wybory landowe z wynikiem 38,2 procent. Chadecy z wynikiem 4,9 proc. po raz pierwszy w swojej historii nie weszli do parlamentu kraju związkowego.

AfD jest na fali w całych Niemczech. Tę falę tworzy również część tamtejszej Polonii.

© IWONA WEIDEMANN



Izraelski patrol wojskowy i palestyńskie dzieci w centrum starego miasta w Hebronie. Sierpień 2026 r.

Kobiety z Hebronu

TEKST I ZDJĘCIA JAN POCHEĆ Z AUTONOMII PALESTYŃSKIEJ

ZACHODNI BRZEG JORDANU | Lubna wierzy, że kiedyś wrócą tu turyści. Abeer uspokaja dzieci, czytając im po raz kolejny tę samą książkę. Noor odlicza kolejne zamykane sklepy.

Lubna Abu Turki pamięta czasy, gdy stare miasto w Hebronie było pełne turystów. Swój mały biznes, mydlarnię, otworzyła tutaj, bo wierzy, że kiedyś znów tak będzie. Na razie mierzy się każdego dnia z realiami izraelskiej okupacji. Oraz, jakby tego było mało, z patriarchalnym społeczeństwem.

Palestyńczycy z Zachodniego Brzegu to tradycyjna wspólnota, a Hebron to jedno z najbardziej konserwatywnych miast regionu. Według Palestyńskiego Biura Statystycznego, w 2018 r. aż 36,2 proc. kobiet wychodziło tu za mąż przed ukończeniem 18. roku życia, a tylko 19 proc. kobiet w wieku produkcyjnym było aktywnych zawodowo.

MYDLARNIA | Lubnie udało się wyrwać z tego schematu. Mówi, że mydlarnia to jej sposób na zachowanie palestyńskiego dziedzictwa. – Najbliżsi ucieszyli się, gdy powiedziałam im o tym pomyśle – wspomina.

Pytana, jak łączy pracę z rodziną, wylicza z uśmiechem: – Kończę o osiemnastej, gotuję, potem wspólnie jemy obiad. Wcześniej pracowałam w radiu, więc rodzina była przyzwyczajona i od zawsze akceptowała, że chcę być aktywna zawodowo. Zresztą teraz, jako właścicielka, sama ustalam mój grafik.

Nie wszędzie spotkała się ze zrozumieniem. – Gdy otworzyłam sklep, mężczyźni prowadzący w sąsiedztwie swoje biznesy nie potrafili tego zaakceptować – wspomina. – Z czasem, krok po kroku, rozmawiając z nimi, zmieniłam to. Dziś śmieję się, że nie potrafią beze mnie żyć. Gdy jestem chora, sypią się pytania: „Co się dzieje, martwimy się".

KSIĘGARNIA | Kilkadziesiąt metrów dalej, tuż przy wejściu na starówkę, której zabudowa pamięta Osmanów, mieszczą się biblioteka i księgarnia. Prowadzi ją Abeer Nidal. Gdy cztery lata temu otwierała swój lokal, spełniła marzenie z dzieciństwa. Została pierwszą kobietą prowadzącą księgarnię na starym mieście. Wcześniej kobiety rzadko decydowały się tu na własną działalność. ↦

eprasa.pl 849bad8b12





Gdy Lubna Abu Turki otwierała mydlarnię, mężczyźni prowadzący w sąsiedztwie swoje biznesy nie potrafili tego zaakceptować. Z czasem to się zmieniło. Sierpień 2026 r.

↦ – Zakładałam, że będę musiała zrezygnować z wielu rzeczy, choćby ze spotkań ze znajomymi. Nie jest łatwo, ale wsparcie rodziny pozwala mi wszystko godzić – opowiada Abeer. – Zawsze uwielbiałam przebywać w bibliotekach. Dużo czytam i lubię otaczać się ludźmi, którzy dzielą moją pasję. Kocham nasze stare miasto, dlatego wybrałam to miejsce.

Wcześniej lokal był zamknięty od tragicznych wydarzeń z 1994 r., gdy żydowski ekstremista zabił 29 i ranił 120 Palestyńczyków w Grocie Patriarchów. – Poczułam, że trzeba go przywrócić do stanu z lat jego świetności – mówi Abeer.

STREFA | Centrum Hebronu leży w strefie H2. Podział miasta na strefy H1 i H2 to efekt Protokołu Hebronowego z 1997 r., podpisanego przez Izrael i Autonomię Palestyńską (AP) w ramach porozumień z Oslo (miały być punktem wyjścia do negocjacji, których efektem miało być powstanie państwa palestyńskiego). Na jego mocy 80 proc. miasta (H1) przeszło pod administrację AP, a pozostałe 20 proc., obejmujące starówkę i tereny wokół Groty, pozostały pod kontrolą armii Izraela.

Powodem podziału była obecność na starym mieście kilkuset osadników, którzy od lat 70. XX w. zakładali tu enklawy. Dla ich ochrony Izrael utrzymuje garnizon i sieć punktów kontrolnych; część ulic jest zamknięta dla Palestyńczyków.

Prowadzenie księgarni i biblioteki, skierowanej do dzieci w wieku 8-13 lat, to wyzwanie. – Oczywiście, okupacja wpływa na moją działalność – mówi Abeer. – Gdy w okolicy zjawia się wojsko lub osadnicy, muszę ograniczać zajęcia zaplanowane dla dzieci.

TERAPIA | Gdy przez witrynę widzi zbliżający się patrol, ma wypracowany rytuał. Zamyka drzwi, sięga po książkę, którą dzieci już znają, i zaczyna im czytać. – Nieważne, że wcześniej już słyszały tę historię. Staram się obserwować, co dzieje się na zewnątrz i odwracać ich uwagę, dopóki nie będzie znów bezpiecznie – mówi.

Według ONZ, dziewięcioro na dziesięcioro dzieci mieszkających w tej części starego miasta doświadczyło rewizji, zatrzymania lub nękania w drodze do szkoły. Zajęcia, które Abeer prowadzi w bibliotece, często pełnią funkcję terapeutyczną.

– Historie, które opowiadam, mają także taki cel. Dzięki temu wychodzą na jaw rzeczy, które były w dzieciach ukryte – mówi Abeer. Efekt widać: przez te cztery lata obserwowała, jak dzieci, nieśmiałe i wycofane, zmieniają się nie do poznania. Dziś pokazują swoje rysunki, opowiadają o nich przed obcymi ludźmi z pewnością siebie.

CHECKPOINT | O ile dla dzieci odwiedzających bibliotekę checkpointy mogą oznaczać odwołane zajęcia, dla Noor (imię zmienione), która mieszka w głębi starówki, była to kwestia życia i śmierci.

20 października 2015 r. izraelscy żołnierze zastrzelili na starówce dwóch nastolatków. Następnego dnia podczas pogrzebu



Wejście na starówkę: izraelscy żołnierze usuwają z ulic Palestyńczyków, by zrobić przejście dla osadników, widocznych w tle. Z prawej: w Hebronie żyje 200 tysięcy Palestyńczyków i kilkuset osadników. Z przodu widoczny zajęty przez nich budynek. Za nim meczet i Grota Patriarchów.

eprasa.pl 849bad8b12



Tuż przy wejściu na starówkę, której zabudowa pamięta czasy Osmanów, Abeer Nidal prowadzi od czterech lat księgarnię i bibliotekę. Sierpień 2026 r.



Zajęcia, które Abeer prowadzi z dziećmi w swojej bibliotece, pełnią również funkcję terapeutyczną. Sierpień 2026 r.

doszło do starć. Wojsko wkroczyło też do pobliskiej dzielnicy Zawiya, użyło gazu łzawiącego. Mąż Noor, palestyński aktywista, miał astmę; wcześniej przeszedł operację serca. Nawdychał się gazu. Karetka nie dotarła, zatrzymał ją checkpoint. Nieprzytomnego męża Noor do checkpointu donieśli sąsiedzi. Za późno, zmarł. Najstarsze z jej dzieci miało wtedy 13 lat.

Noor nie urodziła się w Hebronie. Jej rodzina, jak setki tysięcy Palestyńczyków, opuściła dom w 1948 r., podczas wojny, którą Palestyńczycy nazywają Nakbą (katastrofą). Trafili do Jordanii, a potem do Arabii Saudyjskiej, gdzie jej ojciec znalazł pracę w przemyśle naftowym. Tam na świat przyszła ona i jej rodzeństwo.

ULICA | Noor wspomina, że o Zachodnim Brzegu wiedziała wtedy niewiele. Bliżej rodzinnych korzeni znalazła się, studiując sztukę w Jordanii. Tam poznała przyszłego męża. Gdy po ślubie pojechała za nim do Hebronu, pierwsze miesiące określa jako szok – była to konfrontacja z codziennością.

Gdy tu trafiła, w sąsiedztwie osadników żyło ponad 300 palestyńskich rodzin. Po wybuchu tzw. drugiej intifady w 2000 r., która ogarnęła też Hebron, ponad połowa z nich się wyprowadziła. Napięcie wzrosło znów w 2015 r., wraz z falą przemocy zwaną „intifadą noży".

Między rokiem 2015 i 2018 Izrael faktycznie zamknął dostęp do tej części miasta dla osób z zewnątrz. Także lekarzy czy turystów. Noor wiele razy próbowała wprowadzić tu grupy wolontariuszy, za każdym razem żołnierze zawracali ich na punkcie kontrolnym.

– Największym wyzwaniem jest nieprzewidywalność. Skład żołnierzy na punktach kontrolnych zmienia się z dnia na dzień. Jeden puści bez pytań, inny każe czekać godzinami – opowiada Noor.

Symbolem tego, co stało się ze starówką, jest ulica Szuhada, licząca niespełna kilometr. Od 2000 r. zamknięto tu (i w całej strefie H2) ok. 2,5 tys. palestyńskich sklepów. Część na mocy nakazów wojska, a część porzucili właściciele, tracący klientów z powodu blokad. Na obszarze jednej piątej powierzchni miasta funkcjonuje dziś ok. 20 checkpointów. Garnizon (ok. tysiąca żołnierzy) kontroluje 35 tys. Palestyńczyków, chroniąc niecały tysiąc osadników.

Szuhada, kiedyś handlowe serce Hebronu, dziś nazywana jest „ulicą apartheidu". © JAN POCHEĆ





eprasa.pl 849bad8b12

ToruńCAMERIMAGE

34.
MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY

7–14.11.2026, TORUŃ
KUJAWY POMORZE



więcej:

W TORUNIU PRZYSZŁOŚĆ WCHODZI NA PLAN!
TU ROZPOCZYNA DZIAŁALNOŚĆ STUDIO EUROPEJSKIEGO CENTRUM FILMOWEGO CAMERIMAGE!

Ilustracja: MICHAŁ SAWTYRUK
idea plakatu: MAREK i PAWEŁ ŻYDOWICZ

HONOROWY PATRONAT MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO PIOTRA CAŁBECKIEGO

WSPÓŁFINANSOWANIE: MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, MIASTO TORUŃ ORAZ WOJEWÓDZTWO KUJAWSKO-POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MIASTO – GOSPODARZ: MIASTO TORUŃ

Partnerem Głównym i Mecenasem wydarzenia jest Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego
REGION – GOSPODARZ: KUJAWY POMORZE; Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

PARTNERZY OFICJALNI: ARRI, FilmLight, KGHM Polska Miedź, LOTTO

PARTNERZY BRANŻOWI: Nikon, SONY, harkness, FUJIFILM FUJINON, ZEISS, 60 PSF Stowarzyszenie Filmowców Polskich

PATRONI MEDIALNI: eska, SUPER express, pap Polska Agencja Prasowa, Tygodnik Powszechny, KINO, FILM&TV KAMERA, FILMWEB, WP

DZIAŁANIA W RAMACH FESTIWALU SĄ WSPÓŁFINANSOWANE Z FUNDUSZY EUROPEJSKICH
Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza
Rzeczpospolita Polska
Dofinansowane przez Unię Europejską
Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

www.visitTorun.com
www.toruncamerimage.pl
camerimage
camerimage.festival

ORGANIZACJA I PRODUKCJA: FUNDACJA TUMULT
EUROPEJSKIE CENTRUM FILMOWE CAMERIMAGE

REKLAMA

eprasa.pl 849bad8b12

JUSTYNA

Kowalczyk-Tekieli: *Dopaminowy nokaut*



Rok temu trafiłam do publicznej siłowni. Tak na całego, z wykupionym członkostwem. Pierwszy raz po ponad dwóch dekadach. Przez te lata ćwiczyłam dużo, jednak w miejscach odizolowanych. Biegacze narciarscy przerzucają tony. Robią wszystko naraz: siłę maksymalną, wytrzymałość siłową, ćwiczenia submaksymalne. Bywa mnóstwo śmiechu, często łzy. Dużo skupienia, potu, odcisków. Nagrywana byłam głównie ze względów szkoleniowych. Nie znosiłam tego. Praca na dużych obciążeniach nie wygląda ładnie. No i te mięśnie! Po co to komu pokazywać? Lepiej przerzucić, zapomnieć i za dwa dni wrócić.

Trochę inaczej sprawa wyglądała, gdy prawie dekadę temu z mężem alpinistą zaczęliśmy trenować razem. To były często miejsca publiczne. Jakaś sztanga w kącie przy ścianie wspinaczkowej. Listwy do ćwiczenia palców. Drążek. Wspinacz musi być ekstremalnie silny, ale mięśni za dużych i za ciężkich mieć nie może. Ma być *light and fast* nie tylko w stylu i sprzęcie, ale przede wszystkim fizycznie. Pakernie odpadały.

Rok temu los kazał rzucić wszystko i układać sobie życie w Krakowie. Jakbym wylądowała w innym świecie. Rzeczywistość miejskiej siłowni jest piękna i gładka. I wszędzie te statywy do nagrywania! Nieswojo mi było, ale lubię obserwować ludzi. Ciekawość wygrała. Zostałam. Główną myślą, która nie dawała mi spokoju, było: dlaczego my, kobiety, tak się uprzedmiotowiłyśmy? Bo na tej siłowni zdecydowana większość dziewczyn wyglądała łudząco podobnie. Biust jak najbardziej odkryty, pupa jak najbardziej wyeksponowana. Pozy i miny bardziej pasujące do sytuacji intymnych niż do żelastwa wkoło. Jak na wybiegu w trakcie pokazu pudelków. A najgorsze, że nastolatki też wchodziły w taki schemat. Nijak wizyty na siłowni się miały do sportu, który znałam. Koszulka? Szorty? Brak makijażu?

Pewnie jestem zazdrosna, pomyślicie. 43 lata na karku, biust w rozmiarze sportowym, niezły tyłek, ale w sumie... żeby wyjść na pokaz, trzeba by zacząć od porządnego remontu. Pewności na powodzenie misji nikt by mi nie dał. Pozostaje obserwować i pisać.

Nasze mózgi, które ewoluowały spokojnie przez sześć milionów lat, przez ostatnie dekady musiały przejść błyskawiczny proces adaptacyjny. Social media wykorzystują dopaminę do zatrzymania nas jak najdłużej przy ekranach. Większość spędza kilka godzin dziennie z nosem w rolkach i nawet zachęca do podobnego zachowania dzieci. A kora przedczołowa dojrzewa do 25. roku życia. Wcześniej nie jesteśmy w stanie w pełni regulować emocji i przewidywać konsekwencji czynów. I teraz wyobraźmy sobie 12-letnią dziewczynkę, która po opublikowaniu swojego zdjęcia na Instagramie otrzymuje komentarze typu: „Morda do naprawy". Badania mówią, że przez logowanie się do social mediów takie dziewczynki są niemal dwukrotnie bardziej narażone na depresję. Nie radzą sobie z publicznymi ocenami, a w świecie filtrów i przeróbek wydaje się im, że ich ciała są brzydkie i niewystarczające. Mogą albo patrzeć na to z ironią (co niebywale trudne w trakcie ogromnych zmian hormonalnych), albo się załamać, albo podążać dopaminowym szlakiem, by wyglądać jak kolejny klon. Taki, jakie spotkałam na siłowni.

Nagość jest zresztą wszechobecna. W internecie. Na ulicach. W szkołach. W kościołach. Nawet wysoko w górach. Opatrzyło się. Znormalniało. A jednak... Amerykańska aktorka Sydney Sweeney rozwścieczyła pół świata, bo wystąpiła naga w reklamie. Nieważne, że to reklama hazardu. To jakby umknęło wielu komentującym. Choć to oburzające. Ważne, że naga.

Nie zgadzam się na uprzedmiotowienie kobiet. Ale, na miłość boską, takie reklamy odzwierciedlają codzienność. Mój przyjaciel powiedział: „Większość z oburzonych sportsmenek na swoim profilu publikuje zdjęcia, które dwie dekady temu można by uznać za rozkładówkę »Playboya«". Granica się przesunęła. Dlatego podobne pisma upadły. Teraz jest niebieska platforma. Panowie wykupują abonamenty, by obiady z rodziną okraszać porno zdjęciami od nastolatek. Mamy uczą córki, jak pozować w bikini, by było więcej lajków. Na pewno nie zatrzymamy tego robieniem zamachu na dziewczynę, która zarobiła swoim ciałem. Zatrzymać to można uczeniem szacunku dziewcząt do siebie – i chłopaków do dziewcząt. Ale by tego uczyć, najpierw trzeba mieć szacunek do siebie i nie dać się złapać w sidła dopaminowej nagrody.

W sporcie rozpaczamy, że młodzież już nie ta. Że nie chce się jej pracować. Że potrzebuje nagród, pochwał, ale nie czuje chęci, by się zmęczyć. Że nie chce się jej poświęcić życia. Że marnuje talenty. A dziewczyny są zupełnie na cenzurowanym, bo nawet nie chce im się spocić. W sumie pot uznają za odrażającego wroga. Miesiączka jest dla nich wstydliwa i brudna. Co myśmy tym dzieciom zrobili? Dlaczego muszą być ciągle poddawane ocenom, i to tym najgorszym w nastoletnim wieku, czyli dotyczącym wyglądu?

Tak długo walczyłyśmy o to, by nie być przedmiotami, a teraz same w to brniemy w wyuczonych pozach. Dziwne, ale moim zdaniem niedługo uderzymy głową w sufit i nastąpi opamiętanie. Nasze mózgi są tak neuroplastyczne, że odnajdą drogę do samoobrony. Zwykłość jest teraz na cenzurowanym, więc może to zwykłość ma największą przyszłość? Może nasze wnuki bardziej docenią serotoninę? ©

Justyna Kowalczyk-Tekieli jest mistrzynią olimpijską i mistrzynią świata w narciarstwie biegowym, doktorką nauk o kulturze fizycznej, działaczką i komentatorką sportową.

eprasa.pl 849bad8b12

WIARA

ŚWIĘTY BEZ ZMARSZCZEK

Osiemset lat temu zmarł Franciszek z Asyżu – święty, którego idee się nie starzeją. Kim był i co dziś mówi skłóconemu światu?

MAREK ZAJĄC

Banner na bazylice w Asyżu powiewa niczym chorągiew. Obraz, który przedstawia, można podziwiać w oryginale na sklepieniu dolnego kościoła, pośród fresków Giotta i jego uczniów.

Franciszek siedzi na tronie pod baldachimem z brokatu. Za jego plecami błyskają promienie Brata Słońce, które o „Tobie, o Najwyższy, daje wyobrażenie", jak głosi *Cantico delle creature* – ułożona przez Franciszka „Pochwała stworzenia", zwana też „Pieśnią słoneczną". W rękach świętego krzyż i Ewangeliarz, niczym berło i jabłko. Franciszek ma na sobie przetykaną złotem dalmatykę diakona, chociaż przez lata chadzał w chłopskich tunikach ze zgrzebnego sukna, obdartych i połatanych, które obwiązywał sznurkiem, bo skórzany pas uważał za zbytek. Zdarzało się, że ubierał i parciany worek. Oczy ma szeroko otwarte, piękne i jasne. Znikła ślepota, na którą cierpiał pod koniec życia – półprzymknięte oczy ukrywał pod kapturem, bo nawet drobny odblask światła sprawiał mu ból. Jego twarz jest gładka, cera jedwabista – bez zmarszczek i bruzd, które wyżłobiły bieda, głód i brud, gruźlica i malaria. Policzki ma gładkie, chociaż nosił szczeciniastą brodę. Na skroniach ani śladu po siedmiocentymetrowych bliznach, jakie pozostały po przypalaniu rozżarzonym żelazem, kiedy medyk twierdził, że tylko w ten sposób pobudzi się nerwy i uratuje słabnący wzrok.

Talent artysty pokazuje przemieniającą moc zbawienia i chwałę świętości. Ale jest też subtelniejszy przekaz: Franciszek wiecznie młody. Płyną stulecia i pokolenia, a on pozostaje kimś żywym i bliskim. Co dziś nam mówi *Poverello*, Biedaczyna z Asyżu?

Na ratunek

Gdy w deszczową środę, 13 marca 2013 r., nowym papieżem został Jorge Mario Bergoglio – większość zgromadzonych na Placu św. Piotra nie wiedziała o metropolicie Buenos Aires absolutnie nic. Na szczęście *nomen est omen;* zwłaszcza że ostatni raz głowa Kościoła nosiła imię całkowicie nowe, nienawiązujące do żadnego poprzednika, dokładnie tysiąc i sto lat temu, w 913 r.

Niezwykłe było jednak, że od pierwszych chwil chyba nikt nie miał wątpliwości, do kogo odwołuje się Argentyńczyk. W komentarzach nie wskazywano np. na Franciszka Ksawerego, współzałożyciela Towarzystwa Jezusowego, co dla jezuity byłoby przecież naturalnym wyborem. Wszyscy mówili wyłącznie o świętym z Asyżu, jakby właśnie na jego następcę czekali. Czyli na kogo?

Przyszły święty urodził się pod koniec XII stulecia jako syn bławatnego kupca. Marzyły mu się rycerska sława i romanse trubadurów. Jednak seria wstrząsów – niewola i choroba, sny i Głosy – wywróciła jego życie do góry nogami. Zamiast szarżować w turniejach z imieniem wybranki na ustach, Francesco Bernardone poślubia Panią Biedę. Tak zaczyna się korowód czynów i wydarzeń, które przez wieki porywać będą pobożnych naśladowców i inspirować wyobraźnię artystów. Kto nie słyszał o Franciszku całującym trędowatego? Zdejmującym szaty przed sądem biskupim, aby symbolicznie odrzucić ojcowski majątek? Wygłaszającym kazanie do ptaków? Przemawiającym przed sułtanem w Egipcie czy naznaczonym stygmatami na górze Alvernii? A to zaledwie mizerna próbka z życiorysu, który kolorytem i intensywnością dystansuje nawet bezczelnie zmyślone hagiografie.

Nic dziwnego, że Franciszek patronuje licznym zakonom, ludziom ubogim, robotnikom, a nawet aktorom. Trafił także na sztandary różnorakich organizacji, które z Kościołem mają niewiele albo i nic wspólnego, a działają na rzecz ekologii, praw zwierząt, pokoju, dialogu międzyreligijnego i walki z wykluczeniem. Biedaczynę kochają i gorliwi ewangelizatorzy, i niewierzący orędownicy filozofii *zero waste*.

Jednak trzynaście lat temu, w pierwszych godzinach po konklawe, *vox populi* koncentrował się na innym wątku z jego biografii: człowieka, który chciał uratować Kościół.

Kościół w ruinie

Nie znamy dnia, ale wiadomo, że wydarzało się to w 1206 r. Mijając niszczejącą kaplicę San Damiano, Franciszek poczuł wewnętrzny przymus, by wejść do środka. Ukląkł, a Chrystus przemówił z bizantyńskiego krzyża: „Franciszku, idź i odbuduj mój kościół".

Tamte słowa zawsze powracają jak echo, gdy Kościół – pisany wielką literą – zdaje się popadać w ruinę. Na początku ↦

Giotto, Święty Franciszek w chwale, ok. 1320. Fragment fresku w bazylice św. Franciszka w Asyżu.

eprasa.pl 849bad8b12



STEFAN DILLER / B&EW

eprasa.pl 849bad8b12

↦ XXI w. dostawał przecież cios za ciosem: odkrycie skali pedofilii i tuszowania tych przestępstw, afera VatiLeaks sięgająca aż papieskich apartamentów, niejasności wokół watykańskich finansów, wreszcie rezygnacja Benedykta XVI. Tym żyły media przed konklawe 2013 r. Ale nie brakowało i innych poważnych kryzysów, jak wymieranie chrześcijaństwa na Starym Kontynencie, spory ultrakonserwatystów z liberałami, coraz głośniejsze pytania o strukturę i władzę w Kościele... Z każdym rokiem lista się wydłuża, aż zaczęliśmy szukać wskazówek u człowieka sprzed ośmiuset lat, który mówił o sobie: *simplex et idiota*, prosty i nieuczony.

Bo jednym z ujmujących rysów jego charakteru była skłonność do błyskawicznego działania. Tak gwałtowna, że ocierająca się o dziecięcą dosłowność. Ale też zgodna z duchem Ewangelii św. Marka, gdzie słowo *euthys* – natychmiast – pojawia się ponad czterdzieści razy. Skonfrontowany z Bożym nakazem, Franciszek nie roztrząsał symbolicznych znaczeń, tylko rozglądał się dookoła. Skoro San Damiano się sypie, trzeba się wziąć za remont.

Działa żarliwie, ale myśli – przynajmniej na początku – standardowo. Hojny gest wszystko załatwi, pieniądze weźmie się z rodzinnego przedsiębiorstwa. Co oczywiście kończy się awanturą i wspomnianym już wyrzeczeniem się ojcowizny. Teraz nie ma już wyjścia; kościół musi odbudować własnymi rękami. Żebrze więc o kamienie, a niewprawne dłonie uczą się murować ubytki i pęknięcia.

Z rozpędu odnawia nie tylko San Damiano, ale też Kościół San Pietro della Spina i Kapliczkę Santa Maria degli Angeli, która przejdzie do historii jako Porcjunkula, cząsteczka.

To wtedy – jak pisze Gilbert Keith Chesterton w najpiękniejszym chyba biograficznym szkicu o świętym z Asyżu – Franciszka olśnił „jeden z tych wielkich paradoksów, które są zarazem banałami". Zrozumiał, że „Drogą do budowania kościoła nie jest płacenie za budowę, a tym mniej płacenie cudzymi pieniędzmi. Drogą do budowania kościoła nie jest nawet płacenie za budowę własnymi pieniędzmi. Drogą do budowania kościoła jest budowanie go".

Nie da się reformować Kościoła z pozycji zewnętrznego recenzenta. Nie da się także reformować od wewnątrz, jeżeli ograniczasz się do roli planisty, nadzorcy czy tropiciela cudzych błędów. Kościół zmienia się tylko dzięki osobistemu i praktycznemu zaangażowaniu tych, którzy Kościół tworzą.

Ewangelia na serio

Poverello nie stał się jednak wyznawcą filozofii skupionej na uprawianiu wyłącznie własnego ogródka. Jezusa pokochał z takim oddaniem, że serio traktował każde Jego słowo. Gdy w kościele usłyszał wezwanie „Idźcie i głoście" (z Ewangelii św. Mateusza), od razu poszedł na Plac San Giorgio w Asyżu, żeby głosić kazania. A skoro uczniowie Chrystusa nie powinni brać na drogę torby, sandałów ani laski – bez wahania i żalu porzucił wszystko, co zgodnie z nakazem Mistrza było zbędne.

Wyjście do świata z tak bezkompromisowym orędziem mogło wypchnąć Franciszka poza Kościół. Mowa przecież o czasach, gdy przez Europę przetaczają się masowe ruchy ubogich, z katarami i waldensami na czele. Ziarna schizmy, herezji i rewolucji padają na podatny grunt. W tym czasie Kościół, mimo że dysponuje potężną władzą, ugina się pod ciężarem swoich grzechów i słabości. I tu ponownie ujawnia się geniusz Franciszka, który niczego nie zmiękcza i nie rozwadnia, ale zarazem jego radykalizm nie rozsadza Kościoła, tylko go umacnia.

Ilustruje to inny z asyskich fresków z warsztatu Giotta, z cyklu o żywocie świętego, zdobiących górną bazylikę. W 1209 r. Innocenty III zatwierdza pierwszą franciszkańską regułę i upoważnia braci do głoszenia Słowa Bożego. Na pierwszy rzut oka wszystko rozgrywa się z poszanowaniem feudalnych hierarchii i obyczajów. Siedzący na tronie papież, otoczony przez czcigodnych kardynałów i uczonych teologów, góruje nad pokornie klęczącymi braćmi. Prawą dłonią ich błogosławi, lewą podaje Biedaczynie pergamin z regułą potwierdzoną mocą apostolskiego urzędu.

Jednak role łatwo odwrócić: w istocie to Franciszek przekazuje papieżowi bezcenny dar, czyli czystą Ewangelię w praktyce. Jak zauważa biograf Ivan Gobry, pierwotna reguła franciszkańska zajmowała około dwóch stron, podczas gdy reguła św. Benedykta liczyła ich ponad siedemdziesiąt, a obowiązująca w Kościele wschodnim reguła św. Bazylego – ponad pięćset.

Treścią była po prostu Dobra Nowina, uzupełniona kilkoma praktycznymi nakazami, które miały ustrzec braci przed pułapkami władzy i własności. Kto w takim razie jest tu reformatorem: papież, który w majestacie ogłasza decyzję, czy Franciszek (*notabene* jako jedyny przedstawiony tu w aureoli)?

Kard. Grzegorz Ryś często powtarzał, że współczesny katolicyzm stoi w obliczu trudności przypominających gwałtowne wstrząsy i przemiany XIII w., który Jacques Le Goff nazywał wybuchowym stuleciem. Dlatego potrzebuje ludzi na miarę brata Franciszka i papieża Innocentego. Bo autentyczna reforma Kościoła dokona się wtedy, gdy charyzmat spotka się z urzędem.

Dla ubogich

Jak się jednak okazało, papież Bergoglio – przyjmując imię Franciszka – kierował się inną przesłanką niż reforma Kościoła popadającego w ruinę. W opublikowanych tuż przed śmiercią wspomnieniach opisał moment, gdy w trakcie konklawe przekroczył wymaganą liczbę głosów: „Podczas gdy kardynałowie bili brawo, nadal odczytywano nazwiska. Wtedy kard. Hummes, który studiował w seminarium franciszkańskim w Taquari w Rio Grande do Sul, wstał i podszedł mnie objąć. – Nie zapominaj o ubogich – powiedział. Te słowa przeniknęły mnie na wskroś. Wtedy też postanowiłem, że przyjmę imię Francesco".

Czym jest Kościół ubogi i dla ubogich? Przywołajmy ponownie kard. Rysia: ubóstwo Franciszka nie polegało na tym, że miał niewiele, ale na tym, że nie miał nic. Odrzucił nie tyle bogactwo, ile własność. To nie była ponura asceza, ale radosny wybór wolności i braterstwa. Opisuje to anegdotyczna historia, gdy pewien nowicjusz poprosił Franciszka o pozwolenie na posiadanie psałterza: „Synu mój – odparł Biedaczyna – dziś będziesz miał psałterz, jutro zechcesz mieć modlitewnik. A kiedy będziesz już go miał, rozsiądziesz się w fotelu, niby jakiś dostojny prałat i powiesz bratu swojemu: Ej no, podaj mi mój modlitewnik!".

Ubóstwo Franciszka nie brało się z nienawiści do świata materialnego, ale z odkrycia, jak krótka i zdradliwa ścieżka prowadzi od własności do nierówności, od nierówności do wyższości, od wyższości do władzy, od władzy do przemocy. Dla-

eprasa.pl 849bad8b12

tego też jego rozumienie (nie)posiadania nie zdezaktualizowało się wraz z upadkiem feudalizmu ani nie skompromitowało jak wiele ideologii społecznej sprawiedliwości, z komunizmem na czele. Franciszek nie chciał być trybunem ludowym ani liderem rewolucji, ale bratem i sługą. Radykalizmu wymagał od siebie, dla innych miał wyrozumiałość i miłosierdzie.

Pięknie tego ducha oddaje drugi rozdział Reguły Braci Mniejszych, która trzy lata przed śmiercią Franciszka zastąpiła pierwotny tekst. Po opisie, jaką tunikę mogą nosić bracia, i zachęcie do łatania dziur, następuje pouczenie: „Upominam ich i zachęcam, aby nie gardzili i nie sądzili ludzi ubranych w miękkie i barwne szaty, spożywających wyszukane potrawy i napoje, lecz niech każdy raczej samego siebie sądzi i sobą gardzi".

Franciszek wiedział, że jedynie Kościół ubogi nie zapomni o ubogich. I nie myślał o wyłącznie materialnym niedostatku. Błyszczy tu inna z nieprzeciętnych cech jego charakteru, poprzedzająca zresztą jego nawrócenie: kiedy po nieudanych przygodach wojennych trafił do lochu w Perugii, a jeden z towarzyszy stracił panowanie i zranił współwięźnia, tylko Franciszek nie zmienił serdecznego stosunku do sprawcy.

Chesterton tak to komentuje: „Wszystkie normy koleżeństwa i przyzwoitości, wszystkie kopce graniczne życia społecznego, które dzielą rzeczy dopuszczalne od niedopuszczalnych, wszystkie skrupuły społeczne i warunki umowne, które są normalne, a nawet szlachetne u zwykłych ludzi, to wszystko, co utrzymuje w spójni wiele przyzwoitych społeczeństw, nigdy nie miało władzy nad tym człowiekiem. Lubił po swojemu, zda się, że lubił wszystkich, ale głównie tych, przez których lubienie narażał się wszystkim". Czy i teraz nie tęsknimy za Kościołem, który miałby odwagę polubić tych, których nie lubi nikt?

Dodana zwrotka

Franciszkowi przyszło żyć w świecie nieustannych konfliktów – począwszy od sporu cesarstwa z papiestwem, przez wojny i wojenki królów i książąt, utarczki między miastami Italii, a skończywszy na zabójstwach i bijatykach pomiędzy skłóconymi rodami i sąsiadami. Nieprzypadkowo franciszkańska dewiza – słowa, którymi wita się bliźnich – brzmią: pokój i dobro, *pax et bonum*.



STEFAN DILLER / B&EW

„Pieśń słoneczna" kryje zatrważającą myśl: natura chwali Stwórcę przez samo swe istnienie, ale człowiek tylko wtedy, gdy przebacza i wprowadza pokój.

Z awanturniczym otoczeniem musiał się mierzyć nawet w ostatnich miesiącach życia. Gdy w jego rodzinnym Asyżu biskup Gwidon ekskomunikował burmistrza Oportula di Bernarda, ten w odwecie zakazał jakichkolwiek kontaktów z hierarchą. Franciszek obu cenił; w Gwidonie od początku miał oparcie, a córka Oportula wstąpiła do klarysek. Ale było coś jeszcze ważniejszego: Franciszek uważał, że bezczynne przyglądanie się podziałom między ludźmi jest hańbą dla uczniów Chrystusa.

W tym czasie jego pieśń „Pochwała stworzenia" święciła już triumfy. Ułożona w dialekcie umbryjskim da w przyszłości impuls poezji w języku włoskim, inspirując m.in. Dantego. Na razie jednak hymn sławiący Najwyższego przez braci i siostry słońce, księżyc, gwiazdy, wiatr, wodę, ogień i ziemię – niósł się po wsiach i miasteczkach. Bracia zwykle śpiewali ją po kazaniu, ogłaszając na koniec, że są „kuglarzami Boga, a jedyną zapłatą niech będzie wasza szczera pokuta".

Poruszony konfliktem w Asyżu Franciszek postanowił jednak dodać do pieśni kilka wersów:

Pochwalony bądź, Panie mój,
przez tych, którzy przebaczają
z miłości do Ciebie
i znoszą słabości i udręczenia.

Błogosławieni ci,
którzy je znoszą w pokoju,
ponieważ przez Ciebie, o Najwyższy,
będą ukoronowani.

W tych prostych słowach kryła się zatrważająca myśl. Cuda natury chwalą Stwórcę przez samo swe istnienie. Człowiek staje się pochwałą Boga tylko wtedy, gdy przebacza i wprowadza pokój.

Kiedy zwaśnieni Gwidon i Oportulo usłyszeli nowy tekst pieśni, jeden z nich – burmistrz – poruszony oświadczył: „Zaprawdę, powiadam wam, przebaczam biskupowi. Czynię tak, bo jestem winien to Panu memu i byłbym nawet gotów przebaczyć teraz zabójcom brata mego czy syna". Na co Gwidon odpowiedział: „Urząd, który piastuję, żąda ode mnie pokory, lecz ja, biada mi, skłonny jestem do gniewu. Przebacz, o panie". I obaj padli sobie w ramiona.

Czy dziś, nieco ponad osiemset lat od tamtych wydarzeń, jako Kościół łączymy czy dzielimy? Zwłaszcza w Polsce. Czy jeśli bracia i siostry trwają w gniewie i nienawiści, uważamy to za hańbę dla siebie, a nie dla innych?

Przestroga

Po tych czterech lekcjach o Kościele – jedna przestroga od świętego. Dla autora i czytelnika.

We wspomnianym już dialogu z nowicjuszem Franciszek powrócił do swoich dawnych, rycerskich fascynacji. Zaczął wspominać bohaterskie czyny cesarza Karola i Rolanda, a potem, nie bez ironii, dodał: „Ale teraz jest mnóstwo ludzi, którzy chcieliby zyskać sobie chwałę tym tylko, że opowiadają, jak owi bohaterowie cierpieli i jak dokonali swoich czynów. Podobnie wielu z nas chce zasłużyć sobie na szacunek bliźnich tym tylko, że opowiada i głosi kazania o wielkich czynach, których dokonywali święci".

© MAREK ZAJĄC

eprasa.pl 849bad8b12

Matka Boża pod płaszczem

STANISŁAW ZASADA

HISTORIA | Koleżanka po kryjomu przyniosła obraz. Po różańcu i herbacie wszyscy po cichu się rozeszli. Ta prywatna peregrynacja nigdy nie została opisana.

O podzielonym Cyprze mieliśmy rozmawiać: od pół wieku jedna trzecia wyspy jest okupowana przez Turcję. Specjalnie umówiła się przy przejściu granicznym – chciała mi pokazać, jak Nikozja dzieli się na grecką i turecką.

Przy parzonej w tygielku kawie dowiedziałem się niespodziewanie, jak Ślązacy przyjmowali po kryjomu w domach obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Jej rodzina też. Urszulę Savvopoulou poprosiła o to szkolna koleżanka.

Świętochłowice, lata 60. XX w.

„Wanda leży w polskiej ziemi, bo nie chciała Niemca. Zawsze lepiej mieć swojego, niźli cudzoziemca". Ula Tekeli słyszy od babci Klary. Babcia podsuwa też wnuczce grecką mitologię. Ula czyta o antycznych bogach. Na przykład o Afrodycie, która wyłoniła się z morskiej piany u wybrzeży Cypru.

Tekelowie mieszkali wtedy w centrum Świętochłowic, przy Katowickiej. „Nad kryształem", mówiło się na ich kamienicę – na dole był sklep z kryształami. Rodzina od pokoleń patriotyczna. Walenty Walusz – pradziadek Uli, zasiadał w radzie miejskiej jeszcze w czasach pruskich, gdy Świętochłowice nazywały się Schwientochlowitz. Dwaj bracia babci Klary byli powstańcami śląskimi: Józef Korzonek był nawet dowódcą na powiat; obaj dostali Virtuti Militari. Babcia też się angażowała: w chustce, w której kiedyś nosiła najstarszego syna, przemycała broń i amunicję. Dziś Urszula kontynuuje rodzinne, społecznikowskie tradycje – działa w środowisku polonijnym na Cyprze.

Ale wróćmy do połowy lat sześćdziesiątych zeszłego wieku. Partyjne gazety piszą, że polscy biskupi to zdrajcy, bo przebaczyli Niemcom. Ula chodzi do liceum.

Po maturze złożyła papiery na Uniwersytet Warszawski: o archeologii śródziemnomorskiej marzy stu pięćdziesięciu kandydatów, miejsc jest dziesięć. Ona się dostaje. Gdy obroni magisterkę, myśli o doktoracie. Chciałaby opisać kult Afrodyty w sztuce starożytnego Cypru.

I wyłamuje się babcinym zasadom – zakochuje się w cudzoziemcu.

Nikozja, rok 2024

W kawiarni na deptaku Ledra słucham też rodzinnej historii cypryjskiego męża Urszuli: jego brat Andreas miał 22 lata, gdy latem 1974 r. wpadł w zasadzkę tureckich żołnierzy. O tym, że został zamordowany, rodzina Savvopoulou dowie się 36 lat później. Z kawiarnianego krzesła mogę dotknąć worków z piaskiem – pozostałość po barykadzie z 1974 r. Patrzę na kolczasty drut, który oddziela nas od okupowanej Nikozji Północnej.

W rozmowie wracamy jednak do Świętochłowic. Mówię Urszuli, że to rodzinne miasto Jerzego Stroby, który był biskupem w Szczecinie, a potem metropolitą w Poznaniu. Chwalę się znajomością najnowszych dziejów Kościoła w Polsce.

Urszula na to: – Mówiliśmy na niego „Jorguś". Babcia Klara i jego matka Wiktoria to były najlepsze przyjaciółki.

O rodzinie Strobów moja rozmówczyni opowiada jak o starych znajomych.

Schwientochlowitz, koniec XIX w.

Jako pierwszy pod petycją do pruskiego króla podpisał się Jan Balcarek. To jeden z górników uratowanych z katastrofy w kopalni „Deutschland" w Schwientochlowitz. W czerwcu 1884 r., po ulewnych deszczach, rzeka Rawa zalała szyb. Pod ziemią zostało 43 górników. Ludzie przez tydzień modlili się o ich uratowanie. 28 czerwca wszystkich wydobyto żywych na powierzchnię.

To kolejny powód, żeby zacząć budować kościół. Świętochłowiczanie należą wtedy do parafii Świętej Barbary w Królewskiej Hucie (dzisiaj Chorzów), ale miasteczko się powiększa, a mieszkańcy nowych familoków mają coraz dalej na mszę. Teraz doszedł mocny argument: nowa świątynia będzie podziękowaniem za uratowanie górników.

W 1891 r. stanął neogotycki kościół pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Patronów wybrano nieprzypadkowo – akcję ratunkową w kopalni zakończono w wigilię święta obu apostołów. Nowa parafia rozrośnie się do kilkunastu tysięcy wiernych. Wyjdzie z niej pół setki duchownych. Między innymi Teodor Kubina, pierwszy biskup częstochowski. W 1946 r. jako jedyny w episkopacie potępi pogrom żydowski w Kielcach (zginęło wówczas ponad czterdzieści osób – Żydów i broniących ich Polaków). „Nic, absolutnie nic nie usprawiedliwia zasługującej na gniew Boga i ludzi zbrodni kieleckiej" – napisze w odezwie do wiernych. Jego narracja się nie przebije.

W Świętochłowicach urodził się i wychował salwatorianin Antoni Kiełbasa, przez wiele lat związany z sanktuarium Świętej Jadwigi Śląskiej w Trzebnicy, oraz jego brat ksiądz Jerzy Kiełbasa. No i arcybiskup Stroba, który podpisał słynne orędzie biskupów polskich do niemieckich.

Trasa Warszawa–Katowice, 2 września 1966 r.

Pod Będzinem zaczęło się zmierzchać. Milicjanci zatrzymują kolumnę aut zmierzającą do Katowic. W jednym z nich jest kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Jeden z funkcjonariuszy zajmuje siłą miejsce kierowcy, auto rusza na Jasną Górę. Tak „aresztowano" najsłynniejszy w Polsce religijny obraz.

Wizerunek pielgrzymował po kraju, żeby uczcić tysiąclecie chrztu Polski. Władze robiły, co mogły, aby utrudnić uroczystości: milicjanci blokowali drogi, pielgrzymów nie wpuszczano do autobusów. Antyreligijne akcje nasiliły się w 1966 r. To zemsta za list biskupów polskich do biskupów niemieckich. „Udzielamy wybaczenia i prosimy o nie" – napisali polscy hierarchowie. W duchu chrześcijańskiego pojednania przebaczali zbrodnie, których naziści dopuścili się w czasie wojny. I prosili o wybaczenie tego, czego po wojnie Polacy dopuszczali się wobec

eprasa.pl 849bad8b12

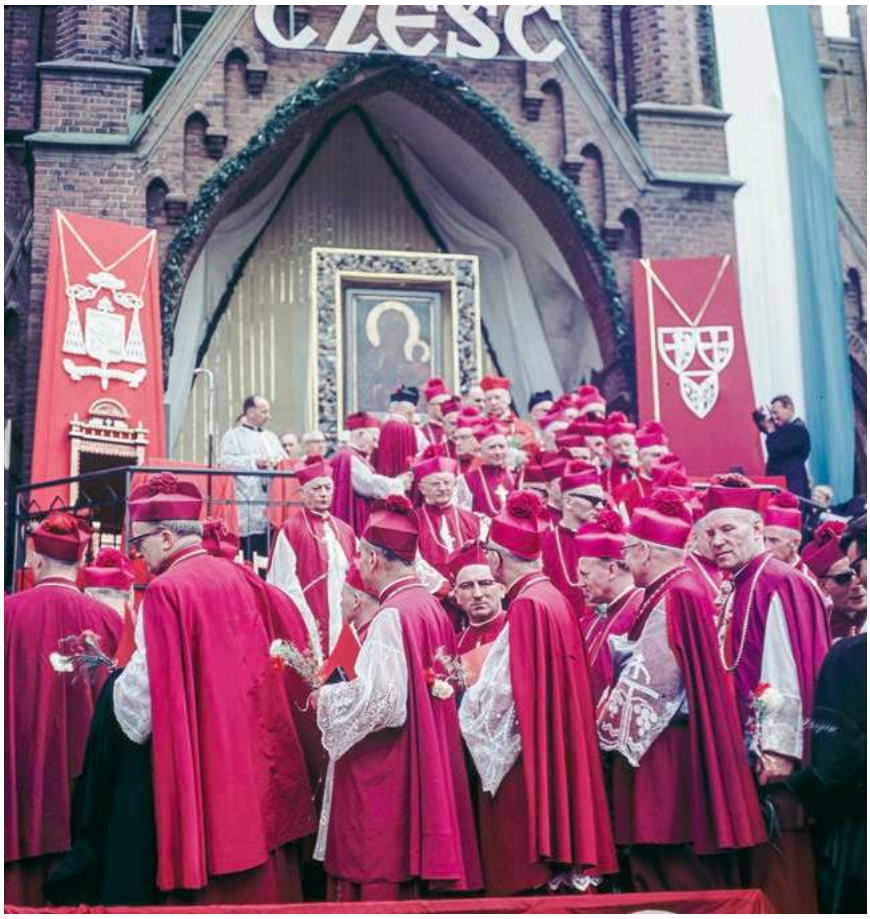

ANDRZEJ KOSSOBUDZKI ORŁOWSKI / PAP

Członkowie Episkopatu Polski przed mszą milenijną w Kościele Zmartwychwstania Pańskiego w Kalwarii Piekarskiej. Jedna z ostatnich uroczystości z udziałem peregrynującej kopii cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Trzy miesiące później obraz zostanie „aresztowany", a śląskie parafie będą nawiedzać tylko jego symboliczne ramy. Piekary Śląskie, 22 maja 1966 r.

cywilnej ludności niemieckiej z Warmii, Mazur, Pomorza i Śląska.

Komuniści biskupów oskarżyli o zdradę. Prymasa Stefana Wyszyńskiego atakował „Żołnierz Wolności": „Pod osłoną chrześcijańskiego miłosierdzia rozgrzesza hitlerowskich ludobójców".

– Dom dziadka oplakatowano propagandowymi hasłami – opowiada ks. Ireneusz Kiełbasa, salwatorianin i historyk Kościoła, też ze Świętochłowic. – Władza wiedziała, że z tej rodziny pochodzą kapłani – dodaje. Chodziło o wspomnianych już Antoniego Kiełbasę i jego brata Jerzego – Ireneusz to ich bratanek.

By zakłócić uroczystości milenijne w 1966 r., urządzono konkurencyjne obchody państwowe. W Poznaniu spędzeni na Plac Mickiewicza ludzie zamiast słuchać przemówienia Władysława Gomułki, uciekali na Ostrów Tumski, gdzie trwała msza z udziałem episkopatu.

W czerwcu tego samego roku jasnogórski obraz wieziono z Fromborka do Warszawy. Przed Ostródą kolumnę samochodów z kardynałem Wyszyńskim zatrzymali milicjanci. „Nad nami krąży helikopter. Mamy wrażenie, jakbyśmy byli na froncie wojennym" – notował prymas.

Obraz zawieziono do Warszawy, ale zmienioną trasą, żeby wierni nie mogli go powitać w wyznaczonych miejscach. Pozostawiono go w katedralnej zakrystii – przez zakratowane okno wyglądał jak uwięziony. Ludzie zostawiali na chodniku kwiaty, zapalali znicze.

We wrześniu Wyszyński zdecydował, żeby wznowić peregrynację w Katowicach. Ale pod Będzinem wizerunek „aresztowano" i zawieziono na Jasną Górę. Komuniści zagrozili paulinom, że jeśli obraz potajemnie wywiozą, stracą klasztor w Warszawie i seminarium Na Skałce w Krakowie.

Zakonnicy umieścili wizerunek w kaplicy Świętego Pawła Pierwszego Pustelnika, też za kratami. Opatrzyli napisem: „Tu znajduje się uwięziony przez władze Obraz, który wędrował po Polsce". Przed klasztorem stały posterunki: milicjanci rewidowali wyjeżdżające z klasztoru samochody. Także prymasa Wyszyńskiego.

Po Polsce przez kilka lat wędrowały puste ramy.

Świętochłowice, 1966 r.

Ewa, koleżanka Uli z klasy, chce jej coś wyjawić. – Przysięgnij, że nikt obcy się nie dowie – nalega. Ula przysięga. Ma zapytać rodziców, czy przyjmą obraz Matki Boskiej – ale tak, „żeby się nie rozeszło". Zgodzili się. Ewa przyniosła listę osób, które przyjdą do nich w wyznaczony wieczór.

Adres jest wygodny: w kamienicy jest pięć lokali, nikogo nie powinno zainteresować, do kogo idą goście. W dodatku mieszkanie Tekelich jest jedyne na pierwszym piętrze – nikt niczego nie podsłucha.

Tamtego dnia o zmierzchu koleżanka przyniosła schowany pod płaszczem obraz. Był mały, niewiele większy od szkolnego bloku rysunkowego, zawinięty w białe płótno. Zaczęli schodzić się goście. Mama Uli zaprosiła też sąsiadów. Urszula przypomina sobie, że była nieznana jej kobieta w średnim wieku, chyba związana z parafią. Razem z gospodarzami z dziesięć osób.

Urszula przypuszcza, że musiała być jesień, bo wcześnie zrobiło się ciemno, goście byli w płaszczach, a w kaflowym piecu było napalone. Domyśla się, że obraz przyniesiono po wieczornej mszy – ich kamienica stoi kilkadziesiąt kroków od kościoła. Zastanawia się, czy wtajemniczono w to proboszcza Franciszka Koniecznego. – Był bardzo skryty i tajemniczy – przypomina sobie Ula.

Obraz ustawiono na stole z białym obrusem, zapalono świece. – Odmówiliśmy różaniec – sześćdziesiąt lat później opowiada Urszula. Pamięta, że modlili się szeptem. Wszystko odbywało się w jej pokoju. Zapamiętała karminowe ściany i biel obrusa. Dziś wydaje jej się, że musiało być patriotycznie, bo w narodowych barwach.

Po modlitwie była herbata i skromny poczęstunek. – Ta herbata to dla niepoznaki, gdyby ktoś nagle niespodziewanie się pojawił – mówi Urszula.

Po latach nie wie, czy obraz został u nich na noc. Przypuszcza, że zabrała go ta kobieta związana prawdopodobnie z parafią. Nie wie, gdzie trafił. ↦

eprasa.pl 849bad8b12

Katowice, 4 września 1966 r.

↦ W katedrze Chrystusa Króla w Katowicach stoją puste ramy obrazu. Na pulpicie ewangeliarz, pali się świeca. W świątyni dużo ludzi.

– Mimo aresztowania obrazu kontynuowano peregrynację w formie symbolicznej. Uroczystości w Katowicach odbyły się zgodnie z planem – mówi historyk Kościoła ks. prof. Jerzy Myszor. Opowiada, jak władze ściągały rozwieszone w różnych miejscowościach dekoracje na powitanie Matki Boskiej.

Ks. Ireneusz Kiełbasa nie pamięta tamtych czasów – urodził się w roku 1971. Ale zna temat z rodzinnych rozmów. Jego stryj Krzysztof Kiełbasa (brat księży Antoniego i Jerzego) był księgowym w zakładach przemysłowych w Świętochłowicach. – Grozili mu, że jeśli udekoruje dom, będzie miał nieprzyjemności – opowiada ks. Ireneusz.

O konspiracyjnej peregrynacji wizerunku w parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Świętochłowicach nigdzie jednak ani śladu. Ani w diecezjalnym archiwum, ani w wydanej kilkanaście lat temu książce opisującej dzieje parafii.

– Niektóre rodziny rzeczywiście przyjmowały obraz jasnogórski w domach – przyznaje prof. Myszor. – Ale władze uznawały to za mało szkodliwe, więc nikogo za to nie karano – dodaje. Profesor nie wyklucza, że po „aresztowaniu" obrazu w 1966 r. na Śląsku na znak solidarności mogły być spontaniczne przypadki domowej peregrynacji. To tłumaczyłoby zachowanie środków ostrożności w domu Tekelich.

– Złożenie przysięgi sprawiło, że i ja o tym milczałam prawie sześćdziesiąt lat – mówi Urszula.

Warszawa, lata 70. XX w.

Czarne włosy, ciemne oczy, oliwkowa cera przykuwają wzrok. Swojego przyszłego męża Urszula poznała 11 listopada 1976 r. Pamięta datę nie tylko ze względu na Święto Niepodległości. Tego samego dnia, tyle że 31 lat wcześniej, poznali się też jej rodzice.

Christos Savvopoulou studiował w Warszawie na Akademii Muzycznej. Grek z Cypru, prawosławny. Babcia Uli, która śpiewała o Wandzie co Niemca nie chciała, zaakceptowała go. Urszula szykuje się do przeprowadzki na Cypr: dla archeolożki śródziemnomorskiej trudno o lepsze miejsce. Spieszy się z obroną doktoratu.



ARCHIWUM PRYWATNE

Po konspiracyjnej peregrynacji nie ma śladu w diecezjalnym archiwum. **– Złożenie przysięgi sprawiło, że i ja milczałam prawie sześćdziesiąt lat** – mówi Urszula.

Warszawa, grudzień 1981 r.

Na Uniwersytecie Warszawskim strajk okupacyjny. Na archiwalnych zdjęciach brama główna na Krakowskim Przedmieściu oblepiona postulatami. A Urszula przed wyjazdem musi odebrać doktorski dyplom. – Specjalnie dla mnie zorganizowano prywatną uroczystość – opowiada.

Jest kłopot: żeby wejść za bramę, trzeba mieć specjalną przepustkę. Uczelniana woźna daje Urszuli swoją legitymację. – I weszłam jako woźna – wspomina.

Rektor i dziekan w gronostajach. Piją herbatę w porcelanie, bez cukru – to towar na kartki. I zastanawiają się, co będzie w kraju: dwa dni wcześniej na Żoliborzu zomowcy spacyfikowali strajkujących podchorążych w szkole pożarnictwa. – Pani będzie chyba ostatnim doktorem przedwojennym – rektor Henryk Samsonowicz próbuje żartować.

Lot z Warszawy na Cypr odwołano. Udało się kupić bilety z przesiadką w Budapeszcie. Szóstego grudnia Urszula wsiada na Okęciu w samolot. Za tydzień w Polsce ogłoszą stan wojenny.

Polska 2016 r.

Kościół w Polsce świętuje 1050. rocznicę chrztu Mieszka I. Wracają wspomnienia roku 1966. Urszula jest z wizytą w rodzinnych stronach. W Chorzowie idzie do restauracji na obiad w większym gronie: rodzina, przyjaciele, znajomi. Ni stąd, ni zowąd inna przyjaciółka przypomina historię o potajemnym przyjęciu obrazu w jej rodzinnym domu.

Urszula już prawie o tym zapomniała. Tyle się wydarzyło od tamtego czasu: studia, doktorat, cypryjska miłość, wyjazd do Nikozji na tydzień przed stanem wojennym. A tam świeże rany po tureckiej inwazji, kilkadziesiąt lat poszukiwań brata męża.

– To, co zrobili twoi rodzice, było bohaterstwem – mówi przyjaciółka. Urszula nigdy tak nie myślała. W jej rodzinie też nikt nie uważał się z tego powodu za bohatera. – Dla nas była to wizyta Jasnogórskiej Pani – powie mi.

Polska 1984 – Cypr 2024

19 października 1984 r. esbecy mordują księdza Jerzego Popiełuszkę. Czterdzieści lat później wysyłam Urszuli egzemplarz dominikańskiego miesięcznika „W drodze" o kapelanie Solidarności. Opisałem, jak 13 grudnia 1981 r. (pierwszy dzień stanu wojennego) z kościoła na Żoliborzu wyruszyła procesja z obrazem Matki Bożej Częstochowskiej – mimo że wojskowa junta zakazała zgromadzeń.

Udokumentował to fotoreporter Chris Niedenthal. Na jego zdjęciu studenci wynoszą z Kościoła Stanisława Kostki wielki wizerunek Królowej Polski. Widać księdza Jerzego. Dwa dni później Niedenthal zrobi najsłynniejsze zdjęcie stanu wojennego: wojskowy transporter przed kinem Moskwa z zapowiedzią „Czasu Apokalipsy".

Polska – Cypr 2026

Ewa, która przyniosła pod płaszczem obraz, zginęła tragicznie dwadzieścia lat temu. Z uczestników prywatnej uroczystości w domu Tekelich została tylko Urszula Savvopoulou. – Nie wiem, skąd dowiedziała się o tym przyjaciółka, która po latach przypomniała mi wizytę obrazu w naszym domu? Bo twierdzi, że nie było jej wtedy u nas – zastanawia się Urszula.

Zdumiewa ją, że przez ponad pół wieku nikt nie złamał przysięgi.

© STANISŁAW ZASADA

eprasa.pl 849bad8b12



ST. PHOEBE CENTER FOR THE DEACONESS / MATERIAŁY PRASOWE

Diakonka Angelic Molen z Zimbabwe.

Bariera jest kulturowa

PHYLLIS ZAGANO, TEOLOŻKA:

ROZMOWA | Lud Boży zdecydował już o diakonacie kobiet. Choć wielu hierarchów wydaje się tego nie akceptować.

DAWID GOSPODAREK: Udokumentowała Pani pięćdziesiąt lat prac watykańskich komisji nad diakonatem kobiet. Jest w archiwach coś, o czym do tej pory nie wiedzieliśmy?

PHYLLIS ZAGANO: Komisje badały, w sposób całkowicie tajny, historię sakramentalnych święceń kobiet w Kościele. Poświęciłam temu moją ostatnią książkę „The Vatican and Women Deacons". Jeden z jej aneksów zawiera tekst liturgii święceń diakonatu z VIII w. Publikuję go po łacinie, w oryginale. Instrukcje tej liturgii nakazywały użycie właściwych zaimków przy święceniu mężczyzny lub kobiety.

W Kościele obowiązuje pogląd, że diakonat, prezbiterat i episkopat to jeden i ten sam sakrament święceń. Skoro więc kapłaństwo sakramentalne jest zastrzeżone dla mężczyzn, analogicznie powinno być z diakonatem.

Nie ma argumentu teologicznego, historycznego ani nawet antropologicznego, który wykluczałby kobiety ze święceń diakonatu. To ustanowione w XII w. prawo stanowiło, że nikt nie może być wyświęcony na diakona, jeśli nie może być wyświęcony na kapłana. Dotyczyło to oczywiście mężczyzn. Ale papież Benedykt XVI swoim *motu proprio* „Omnium in mentem" (2009) potwierdził nauczanie Soboru Watykańskiego II, które wyraźnie rozdziela poszczególne stopnie święceń („Lumen Gentium" 29), i powtórzył to, co było już zapisane w Katechizmie Kościoła Katolickiego: diakonat i prezbiterat są odrębnymi stopniami święceń.

Twierdzi Pani, że przeszkoda do diakonatu kobiet jest kulturowa, nie teologiczna. Na czym ta bariera polega?

O tym, że barierą dla przywództwa i diakonatu kobiet jest kultura, powiedział papież Leon XIV. W ubiegłorocznej odpowiedzi na pytanie lidera europejskiego zespołu synodalnego zauważył, że niektóre kultury nie są w stanie zaakceptować kobiet na takich stanowiskach. Choć nie sprecyzował, o którą kulturę chodzi, wiemy, że takich, które odsuwają kobiety od istotnych funkcji, jest w świecie wiele. Pamiętajmy, klerykalizm jest poważnym problemem na całym świecie.

Opisuje Pani w książce sytuację, gdy podkomisja Międzynarodowej Komisji Teologicznej przygotowała ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ **dokument przychylny diakonatowi kobiet, ale kard. Ratzinger odmówił jego promulgacji.**

Rozeznawanie i decydowanie to dwie różne rzeczy. I bez względu na to, co rozezna komisja, urzędnicy watykańscy formułują rekomendacje dla papieża, a jego decyzja jest już ostateczna. Kwestię kobiet w Kościele podejmował nawet Synod o świeckich w 1987 r. A zanim sprawa przeszła cały proces, zamieniono stwierdzenie o dyskryminacji kobiet na „niesłuszną dyskryminację kobiet". Tak jakby istniała dyskryminacja „słuszna".

Dlaczego Kościołowi tak trudno podjąć w tej sprawie decyzję? Już dziesięć lat temu uczestniczyła Pani w pracach pierwszej komisji ds. diakonatu kobiet, powołanej przez papieża Franciszka (2016-2018).

Kościół, jako Lud Boży, już zdecydował, że kobiety mogą i powinny zostać przywrócone do sakramentalnego diakonatu. Tyle że wielu hierarchów wydaje się tego nie akceptować. Ci najbardziej niezadowoleni grożą nawet rozłamem. Najwyraźniej nie widzą rozłamu, który już się dokonuje, gdy kobiety odchodzą z Kościoła, wraz ze swoimi mężami i dziećmi.

Proponuje Pani, by zgodnie z zasadą pomocniczości Watykan wydawał pozwolenie na diakonat kobiet biskupom, w zależności od potrzeb diecezji. Czy to nie grozi powstaniem „dwóch Kościołów" – jednego ze święceniami diakonek i drugiego, gdzie kobiety nie mają takiej możliwości?

Zasada pomocniczości jest fundamentem eklezjologii Kościoła. Po Soborze Watykańskim II niektóre konferencje episkopatów i diecezje wolniej niż inne przywracały także diakonat stały dla mężczyzn. Niektóre zignorowały zmiany, które papież Franciszek wprowadził w prawie kanonicznym, umożliwiające ustanawianie osób świeckich (w tym kobiet) lektorami i akolitami (choć to nie prowadziło do żadnych święceń). Inni ignorują nową ustanowioną posługę – katechisty. „Dwa Kościoły" to skrót myślowy oznaczający w istocie wiele Kościołów na świecie, z których niektóre wolniej niż inne zgadzają się z tym, co przedstawia Watykan.



MATERIAŁY PRASOWE HOFSTRA UNIVERSITY

DR PHYLLIS ZAGANO – światowa ekspertka w kwestii diakonatu kobiet, pracowniczka naukowa i wykładowczyni religioznawstwa na Hofstra University w Hempstead (Nowy Jork). Niedawno ukazała się jej najnowsza książka „The Vatican and Women Deacons" (Orbis, 2026).

Mówi Pani, że prawdziwym podłożem sporu nie jest teologia, ale mizoginia i tabu związane z ciałem kobiety. Czy nie za mało się o tym rozmawia w Kościele, zwłaszcza środkowoeuropejskim?

Nie badałam współczesnej europejskiej mizoginii, więc nie mogę się na jej temat wypowiadać. Ale znam mocne dowody na jej istnienie w Kościele średniowiecznym. Na Zachodzie papież Gelazy I był zgorszony tym, że kobiety znajdują się przy ołtarzu, blisko *sacrum*. Na Wschodzie Mateusz Blastares, XIV-wieczny bizantyjski mnich z Salonik, pisał, że kobiety były niewątpliwie święcone na diakonisy, ale zakazano im dostępu do ołtarza z powodu menstruacji.

Jak to z diakonatem było

NA SOBORZE WATYKAŃSKIM II spierano się, czy przywrócić diakonat jako pełnoprawne święcenia, a nie pierwszy stopień do kapłaństwa. Częścią tej dyskusji był też problem święcenia na diakonów żonatych mężczyzn, na co w końcu Sobór wyraził zgodę, pozostawiając jednak ostateczną decyzję lokalnym episkopatom. Paweł VI potwierdził to w *motu proprio* „Sacrum Diaconatus Ordinem" z 1967 r., wznawiając tym samym stały diakonat w Kościele rzymskokatolickim.

Dziś stałych diakonów są w Kościele 52 tysiące (z czego 41 proc. w Ameryce Północnej), a ich liczba stale rośnie, ostatnio zwłaszcza w Afryce.
W wielu miejscach jednak niemal tę samą posługę sprawują na co dzień kobiety, tyle że bez formalnego uznania i święceń. Co sprawia, że od lat 70. XX w. regularnie powraca pytanie, dlaczego do wykonywania praktycznie tych samych zadań mężczyznom potrzebne są święcenia, a kobietom nie? Temat stał się głośny w ostatnich latach, gdy papież Franciszek powołał komisję historyczną do zbadania, czy diakonat kobiet, równoważny wobec święceń mężczyzn, istniał w przeszłości w Kościele. Problemem zajmowały się też inne komisje, kolejno powoływane przez Watykan, dyskutowano nad nim także podczas synodu o synodalności, pozostawiając kwestię otwartą i przekazując do dalszej pracy grup studyjnych. Papież Leon XIV jak dotąd nie podjął postulatu święceń kobiet (żadnych odniesień nie znajdziemy choćby w jego liście o kapłaństwie z grudnia 2025 r.).

Historycy i historyczki podkreślają, że pierwszym wymienionym w Nowym Testamencie z imienia diakonem jest kobieta – wspomniana w Liście do Rzymian Febe (choć część badaczy uważa, że określenie „diakonos" oznaczało tu nie tytuł urzędowy, ale ogólnie rozumiane „posługiwanie"). Wiemy również, że starożytne chrześcijaństwo w różnych regionach miało funkcję diakonis, choć różnie rozumianą. Ważne dla dyskusji jest też pytanie o praktykę i potrzeby duszpasterskie teraz, jako że diakonat stały mężczyzn przywrócono po Soborze właśnie w odpowiedzi na potrzeby duszpasterskie. Czy podobną odpowiedzią nie byłaby też posługa diakonów-kobiet? Zwłaszcza że już teraz często wykonują prawie identyczne zadania.

© ZUZANNA RADZIK

eprasa.pl 849bad8b12

Do dziś obowiązuje dokument z 1967 r., „Musicam Sacram”, który zabrania kobietom-chórzystkom przebywania w prezbiterium.

Niedawno pierwsza wyświęcona diakonka pojawiła się w Kościele prawosławnym, w Afryce, za zgodą patriarchy aleksandryjskiego. Czy dialog ekumeniczny może przyspieszyć ten proces także w Kościele katolickim?

Kościół katolicki uznaje, że święcenia prawosławne są godziwe i ważne. Gdyby więc Watykan uznał oficjalnie święcenia diakonatu Angelic Molen, do których doszło w 2024 r. w Harare w Zimbabwe, a które Synod Aleksandrii i Całej Afryki potwierdził jako sakramentalne, miałoby to ogromne znaczenie. Chodzi w końcu o przywrócenie starożytnej tradycji wyświęcania diakonek w prawosławiu. Dla Kościoła katolickiego byłby to bardzo ważny krok.

Jak przekonać papieża do dalszych kroków? Czy w sprawie diakonatu kobiet Leon XIV może pójść dalej niż Franciszek?

Jak powiedzieliśmy, nie ma przeszkody doktrynalnej dla przywrócenia kobietom sakramentalnego diakonatu, a sam Leon XIV wskazał „kulturę” jako barierę dla święcenia kobiet na diakonki. Skoro tak, to Lud Boży powinien poprosić papieża, za pośrednictwem hierarchii, by przywrócił Kościołowi reputację instytucji kontrkulturowej i potwierdził prawdziwe człowieczeństwo kobiet. Papież powinien poprzez konkretne działania przyznać, że kobiety zostały stworzone na obraz i podobieństwo Boże i że rzeczywiście mogą odzwierciedlać Chrystusa w pełni Jego – i swojego – człowieczeństwa.

Nie ma przeszkody doktrynalnej dla przywrócenia kobietom sakramentalnego diakonatu, a sam Leon XIV wskazał „kulturę” jako barierę dla święcenia kobiet na diakonki.

Zajmuje się Pani tym tematem już od dekad – jako naukowczyni i jako uczestniczka przemian. Co było dla Pani największym zaskoczeniem w tym czasie?

Chyba to, że papież Benedykt XVI nie napisał doktrynalnego dokumentu przeciwko święceniom kobiet, choć był najbardziej kompetentną osobą, która mogła to zrobić. Wiele lat temu powiedziano mi, że najtrudniejszą przeszkodą w przywróceniu kobietom sakramentalnej posługi diakonatu będzie zakorzeniona w duchowieństwie postawa przeciwna kobietom. Ale wolę wspierać Kościół w edukowaniu ludu co do szans i możliwości na przyszłość, niż narzekać na porażki z przeszłości.

© Rozmawiał DAWID GOSPODAREK

REKLAMA



O. WACŁAW

Oszajca:
Szczęście za szczęście



W niekończącym się sporze z Jezusem, prowadzonym przez ówczesny kler, podczas jednej z dysput opowiedział im on historyjkę o pewnym zamożnym człowieku, który założył winnicę, zbudował tłocznię i magazyn. Następnie wydzierżawił to przedsiębiorstwo i wyjechał. Pod koniec sezonu wysłał poborców celem odebrania należnej mu części zysku. Ale dzierżawcy mieli już inne plany. Wysłańców wymordowali. Podobnie postąpili z synem właściciela. Wszystko po to, żeby zawładnąć powierzonym im majątkiem. Kończąc opowiadanie, Jezus zapytał: „Co sądzicie (...) kiedy wróci właściciel winnicy, co zrobi z tymi dzierżawcami?". Ci bez namysłu wypalili: „Każe zabić tych złoczyńców, a winnicę wydzierżawi innym rolnikom, którzy w odpowiednim czasie oddadzą mu należne plony". Wtedy padło następne pytanie: „Czy nigdy nie czytaliście w Piśmie: Kamień, który odrzucili budujący, stał się kamieniem węgielnym. Pan to sprawił i jest to cudem w naszych oczach. Dlatego zapowiadam wam: Królestwo Boże zostanie wam zabrane i dane narodowi, który wyda jego owoce".

Słuchający w mig pojęli, że o nich to mowa, że wydając wyrok na innych, osądzili siebie. Stanęli więc wobec dylematu: co zrobić z Jezusem? Rację przyznać Mu niepodobna, aresztować i zabić niebezpiecznie, lud ma Go za proroka. Trzeba poczekać na lepszą okazję. Wiemy, że się doczekali. Zabijając Jezusa, sądzili, że Go wreszcie unieszkodliwili. Po dwudziestu wiekach widzimy, jak bardzo się pomylili. Mylili się też ci, którzy mieli Jezusa za proroka, skoro poduszczeni przez przywódców zażądali dla Niego kary śmierci.

„To, że Jego nauki moralne, obelżywe i niesłychane wyzwanie rzucone światu, zawładnęły tym światem – nominalnie, to prawda, ale więcej niż nominalnie – jest niepojęte. To, że ze słabych, pozbawionych ozdób rąk galilejskiego Żyda wyłonił się nowy wszechświat, jest niepojęte, jeśli próbujemy spojrzeć z perspektywy Jego epoki" – mówi Leszek Kołakowski. Z naszej tym bardziej. Jako chrześcijanie zrobiliśmy i nadal robimy wszystko, żeby ten Jezusowy nowy wszechświat przestał istnieć. Ale on istnieje właśnie dzięki tym, którzy dali się zawładnąć Jezusowi i wierzą, że nie wolno oddzielać ludzi od Boga i Boga od ludzi. Czyli pamiętają, że krzywdząc człowieka, krzywdzimy Boga. Uszczęśliwiając człowieka, uszczęśliwiamy Boga. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
To, co konieczne



„Gdy raz modlił się na osobności, zapytał swoich uczniów »Za kogo Mnie uważacie?« Piotr odpowiedział »Za Mesjasza Bożego«. Wtedy surowo im przykazał i napomniał ich, żeby nikomu o tym nie mówili. I dodał »Syn Człowieczy musi wiele wycierpieć: będzie odrzucony, zostanie zabity, a trzeciego dnia zmartwychwstanie« (por. Łk 9, 18-22). Kluczem do zrozumienia tego tekstu jest słowo „musi". Mamy tu w greckim tekście Ewangelii słowo *dei*, które znaczy tyle, co „jest konieczne", „jest potrzebne / wiążące". Św. Hieronim w Wulgacie oddaje to łacińskim słowem *oportet*, czyli „należy, potrzeba, jest właściwe / konieczne". Nie chodzi więc o przymus – o zewnętrzną presję, nie do uniknięcia. Chodzi o wewnętrzną powinność – o przekonanie, że muszę tak postąpić.

Skąd czerpać wiedzę o tych wewnętrznych imperatywach? Skąd czerpie ją Jezus? Odpowiedź brzmi: z modlitwy! To na modlitwie – czyli w spotkaniu z Bogiem: odkrywając, kim jest Bóg i co mówi – Jezus odkrywa, co jest konieczne. Nie tyle dla Niego samego, co dla świata. Po części dzieje się tak pewnie i dlatego, że ta modlitwa „na osobności" nie działa się na jakimś odludziu. Od pozostałych Synoptyków wiemy, że jej miejscem była Cezarea Filipowa (por. Mt 16, 13-21; Mk 8, 27-31) – rozbudowany ośrodek wielu pogańskich kultów. W samym jego środku Jezus na samotnej modlitwie odkrywa, czego ów świat potrzebuje: zbawienia! Rozeznaje też – pewnie nie pierwszy raz – że On ma być na służbie tegoż zbawienia. Piotr też jakoś odkrywa tę prawdę, skoro mówi: „Ty jesteś Mesjasz Boży".

To ważna lekcja: bez modlitwy możemy nie docierać do prawdziwych ludzkich potrzeb; możemy się z nimi mijać albo je projektować w oparciu o swoje pożądania. Możemy też mijać się z samym sobą – nie odkrywając swojej tożsamości i swojego powołania. Jest jeszcze druga lekcja: na modlitwie Jezus odkrywa też właściwe drogi zbawienia – to, że człowieka / świata nie można zbawić inaczej jak tylko na drodze ofiarnej miłości, gotowej „oddać życie za przyjaciół". Stąd pouczenie dla uczniów: nie mówcie o zbawieniu, dokąd nie doświadczyliście i nie zawierzyliście Drodze Paschalnej! Bóg nie obiecuje takiego zbawienia, które by Go nie kosztowało. I również nam nie pozwala ogłaszać takiego zbawienia i takiego Boga. I takiego Kościoła też! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 849bad8b12

TYGODNIK POWSZECHNY

Teraz też kurierem. Prosto pod Twoje drzwi.

InPost



Koniec z szukaniem „Tygodnika” w kiosku.
Teraz najlepszy tygodnik społeczno-kulturalny w Polsce
sam do Ciebie przychodzi – kurier zostawia go pod drzwiami,
zanim zdążysz pomyśleć, że czegoś Ci brakuje.

Zamów prenumeratę z dostawą kurierską!

- **Płacisz raz w roku** – bez rat, bez miesięcznych przypomnień.
- **Oszczędzasz ponad 40 zł** w porównaniu do zakupu w kiosku.
- Dostawa kurierem wliczona w cenę.
- Nowy numer „Tygodnika” w środę pod Twoimi drzwiami.

TygodnikPowszechny.pl/oferta-kurier-inpost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 849bad8b12

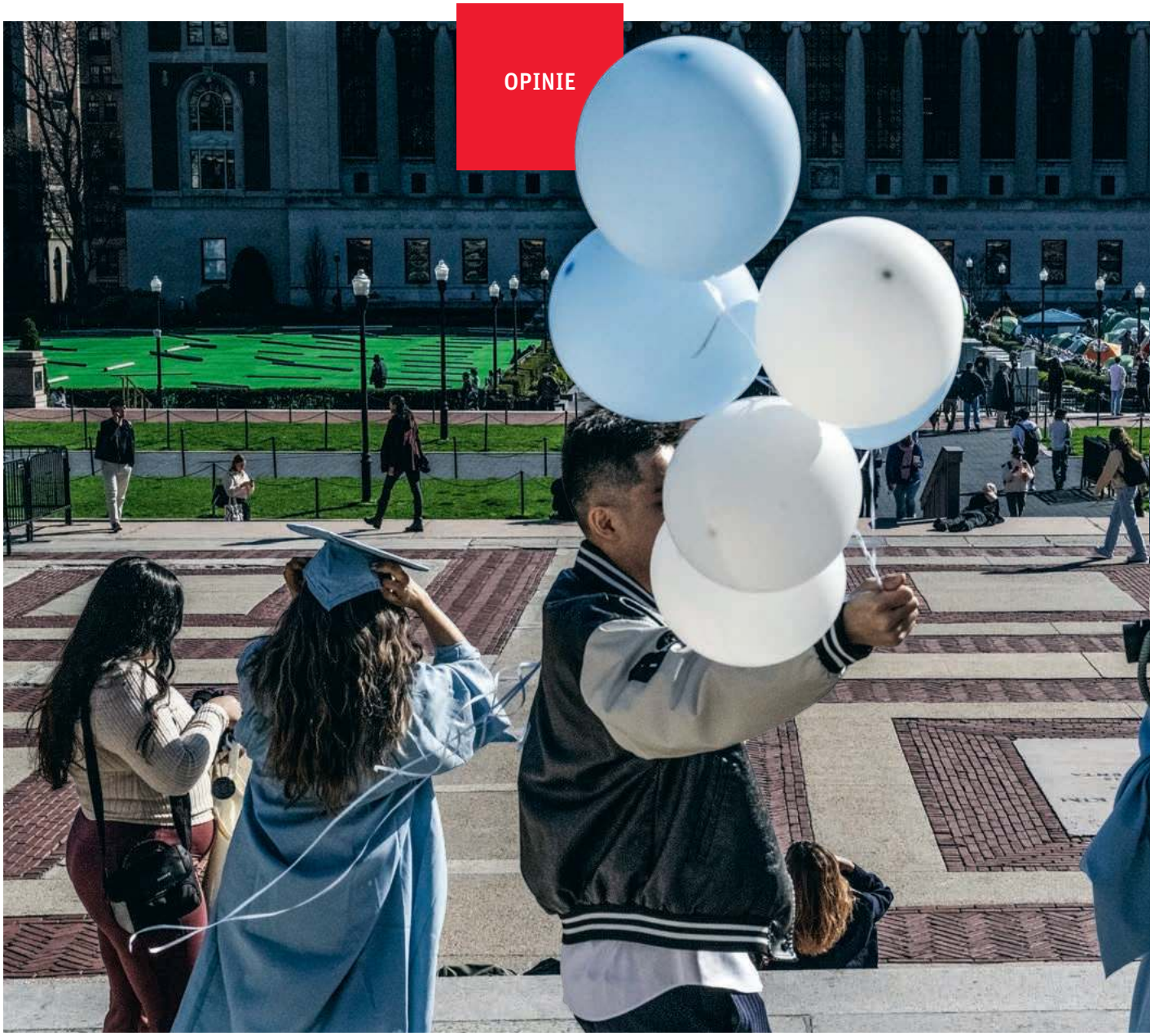

UNIWERSYTET, CZYLI WSPÓLNOTA

Wobec gwałtownego rozwoju sztucznej inteligencji i zmian natury pracy, uczelnie nie mają szans, by odpowiedzieć na wyzwania przyszłości. Może więc powinny pełnić zupełnie inną rolę?

MATEUSZ MAZZINI

eprasa.pl 849bad8b12



STEPHANIE KEITH / GETTY IMAGES

Studenci Uniwersytetu Columbia. Nowy Jork, 25 kwietnia 2024 r.

Przesilenie nadeszło w pewne jesienne popołudnie. Wprawdzie fizycznie byliśmy jeszcze w jednym miejscu, ja i dwanaścioro moich studentów I roku dziennikarstwa, ale poza tą przestrzenią nie łączyło nas już chyba nic. Oni byli głęboko zanurzeni w swoich światach, tych cyfrowych, zbudowanych przez algorytm. Mój ekran był największy w sali, ale jego rozmiar był odwrotnie proporcjonalny do mojej zdolności przykucia ich uwagi. Fragmenty eseju George'a Orwella „Why I Write", tekstu założycielskiego dla zrozumienia roli i sposobu uprawiania rzetelnego dziennikarstwa, pozostawały martwym obiektem.

Wszystko odbywało się między nami na niby. Można by sparafrazować słynne powiedzenie Leszka Balcerowicza o socjalistycznej gospodarce i stwierdzić, że ja udawałem, że wykładam, a oni udawali, że studiują. Tyle tylko, że byłaby to nieprawda. Takie uproszczone diagnozy ignorują warunki systemowe czy wręcz społeczne, w których funkcjonuje młodzież i uczelnie.

Problemem nie był brak woli. Ja chciałem im przekazać jak najwięcej, na każde zajęcia przygotowywałem materiały w różnych formach, łączyłem dziennikarstwo z popkulturą. Jak się miałem przekonać, oni też chcieli się uczyć: zrozumieć, zaangażować, poznać nowe i skrytykować stare. Nie wiedzieli tylko, jak to zrobić, bo tradycyjne formy nauki wydawały im się niedostosowane do realiów współczesności, a cyfrowe zmęczenie i doświadczenie dojrzewania w prymacie internetu nad światem analogowym sprawiały, że ogarniały ich apatia i całkowita wręcz alienacja.

Dalsze funkcjonowanie w takim trybie byłoby nieetyczne – wszak wykładam na Uniwersytecie Civitas, placówce prywatnej, jestem więc zasobem opłaconym z ich czesnego. Na szczęście zmiana okazała się prostsza, niż mogłoby się to wydawać. Wystarczyło wrócić do wspólnego, jednoczącego działania, którym w naszym przypadku okazało się czytanie. Żeby przełamać marazm apatycznej sali wykładowej, zaprosiłem ich do fizycznego kontaktu ze słowem pisanym.

Dług kognitywny

W dobie powszechności narzędzi opartych na uczeniu maszynowym, jak Chat GPT czy Claude, zadawanie prac pisemnych do domu i ocenianie na ich podstawie straciło sens. To zresztą nie tylko problem polski – edukacja wyższa wszędzie ugina się pod naporem zmian technologicznych. Najmocniej widać to za oceanem, gdzie studia mają znacznie bardziej komercyjny charakter. Za naukę na uczelni się płaci, często olbrzymie pieniądze, a decyzja o studiach jest równoważna z zadłużeniem się na dziesięciolecia.

Ponieważ amerykańskie uczelnie w znacznie większym stopniu zależą od prywatnych darczyńców, spośród których wielu wywodzi się z sektora technologicznego, nacisk na wdrażanie sztucznej inteligencji jest olbrzymi. Wywołuje to zresztą paradoks, który na łamach „The Atlantic" opisał niedawno Ian Bogost. Zauważył, że z jednej strony najlepsze uczelnie penalizują studentów za używanie nowej technologii, wracając do pisemnych, ręcznych egzaminów i ustnych rozmów kwalifikacyjnych. Z drugiej jednak, kadra akademicka sięga po AI na masową skalę.

W dodatku, pisze Bogost, obie postawy da się łatwo uzasadnić. Nie ma już żadnych wątpliwości, że regularne używanie AI do zadań naukowych, zwłaszcza na poziomie dyskutowania pomysłów i testowania rozwiązań, prowadzi do tzw. długu kognitywnego. Badacze z MIT, uchodzącej za najlepszą politechnikę na świecie, opublikowali we wrześniu raport idący nawet krok dalej – stan zależności od produktów końcowych chatbotów nazwali „kognitywnym poddaniem się" (*cognitive surrender),* jednocześnie wykazując, że studenci korzystają dziś z AI do dosłownie wszystkiego. Co gorsze, sztuczna inteligencja zastępuje nie tylko proces przyswajania informacji, ale też socjalizacji i nabywania umiejętności miękkich, tak ważnych w całym doświadczeniu akademickim. I, co kluczowe, mających stanowić tarczę podnoszącą ludzką odporność na zagrożenia ze strony maszyn.

W raporcie MIT po imieniu nazwano to, co Bogost opisał eufemistycznie, a wykładowcy na polskich uczelniach również widzą gołym okiem: technologia zabija edukację wyższą. Studenci próbują zaliczać zajęcia gotowcami wyplutymi przez ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ czatboty, często wcześniej ich nie przeczytawszy. Jeśli mają zrobić prezentację na zajęcia, nie piszą jej sami, tylko zadanie zlecają modelom językowym, potem co najwyżej uczą się tekstu na pamięć. Im bardziej polegają na AI, tym mniej sensu widzą we wspólnej nauce, wymianie pomysłów, kreatywnych projektach grupowych. Nie przychodzą na konsultacje, na zajęciach nie wdają się w dyskusje. Wszystko dzieje się na krótkiej osi pomiędzy ich umysłem, oczami a ekranem. W tak ustawionej układance wykładowcy, sale, biblioteki, książki i wszystko, co zbudowało kilka wieków tradycji akademickiej, jest niepotrzebne.

Uprzedzając zarzuty o technofobię: sztucznej inteligencji używam sam – i w pracy dziennikarskiej, i akademickiej. To skuteczne narzędzie operacyjne: dobrze układa listy, systematyzuje pliki. Ale, nawet przy użyciu płatnych wersji najnowocześniejszych modeli, nie daje tego, co jest niemal gwarantowane w dobrze funkcjonującej wspólnocie uczelnianej – wymiany myśli, która oddziałuje na wszystkich jej członków.

W gruncie rzeczy właśnie o tę powszechność doświadczeń chodziło w akademickich pierwowzorach dzisiejszych, poddanych logice wolnego rynku placówek. Każdy uczestniczył, każdy coś wynosił, nawet jeśli czasem ograniczało się to wyłącznie do wpływu na osobisty światopogląd. Zwłaszcza to ostatnie zjawisko przestaje istnieć – studenci nie konfrontują się ze sobą, wskutek czego nie muszą ani nad swoimi postawami się zastanawiać, ani umieć ich argumentować czy bronić. Jeśli w zakamarkach własnych umysłów hodują poglądy niedojrzałe, skrajne lub zwyczajnie głupie – hodowla trwa w najlepsze, bo układny interlokutor algorytmiczny nie namówi ich do autorefleksji.

Co z tobą zostaje?

Kluczem do próby przełamania przez nas izolacjonistycznych tendencji okazała się fizyczność i otwartość. Obecność w jednym miejscu, kontakt z drukowanym tekstem i sprowadzenie tematu do wciąż uniwersalnych doświadczeń. Temat rosnących napięć kulturowych pomiędzy kobietami i mężczyznami rozpoczęliśmy od otwartego pytania, jakie cechy musi reprezentować idealny partner lub partnerka. Zamiast z góry narzucać tezę o istniejących różnicach, dałem studentom szansę przekonać się bezpośrednio, że takowe istnieją – a potem porozmawiać o tym, z czego mogą wynikać. Szybko okazało się bowiem, że w grupie międzynarodowej, skupiającej sporo studentów z Ukrainy i innych krajów wschodnich, niewielką grupkę Polaków i eklektyczny zestaw młodych ludzi przyjeżdżających do Warszawy na wymiany ze wszystkich zakątków Europy, wyobrażeń jest niemal tyle samo, co uczestników zajęć.

Jedni otwarcie wskazywali na ważną rolę religii i tradycyjnych ról płciowych, inni nagle stracili hamulce powstrzymujące ich przed mówieniem o polityce. Ktoś nigdy nie zgodziłby się na związek z partnerem głosującym na prawicę, dla kogoś decydujący był sposób zachowania się partnerki wobec jego rodziców. Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że moi studenci nie tylko wyszli z ekranów – stało się coś znacznie ważniejszego. Byli intelektualnie obecni w sali, w której dotychczas siedzieli tylko ciałem. Przyszli na zajęcia, ale tak naprawdę przyszli do siebie nawzajem. Zaczęli tworzyć wspólnotę.

Zachęcony tym eksperymentem, każdy temat z analizy dyskursu medialnego postanowiłem realizować w taki sposób. Kryzys liberalnej demokracji przyjął dla nas postać dyskusji o tym, co jesteśmy w stanie zaakceptować u ludzi, którzy nami rządzą. Prace zaliczeniowe wyeliminowaliśmy całkowicie, zastępując je obowiązkiem przeczytania fizycznej książki i rozmową (a nie odpytywanką) na jej temat, zakończoną uniwersalnym pytaniem „co z tobą zostaje po tej lekturze?".

Wreszcie, gdy pogoda zaczęła dopisywać, salę wykładową zamieniliśmy na trawnik pobliskiego parku. Tu, ryzykując karykaturalne porównania do Robina Williamsa ze „Stowarzyszenia Umarłych Poetów", stałem nad grupką młodych ludzi i pytałem, co według nich oznacza dobre życie. I znów było to dla mnie odkrywcze. Na własne oczy zobaczyłem coś, o czym czytałem jedynie w anglosaskich raportach – brak wiary we własną sprawczość. Otaczający mnie młodzi chłopcy i dziewczyny przyznawali, że praca nie ma dla nich żadnego znaczenia, marzą o dochodzie pasywnym, nawet jeśli nie mają na niego szans. Obudowujące pracę zarobkową wartości etyczne, jak wkład w budowę społeczności lokalnej, służba innym czy po prostu samorozwój, były dla nich kompletnym pustosłowiem.

Po co tracić czas

Brytyjska ekonomistka Alice Lassman na łamach „Guardiana" określiła to zjawisko mianem „nihilizmu produkcyjnego" młodego pokolenia. Rzeczywiście, studenci i absolwenci szkół wyższych często okazują się znieczuleni na etyczne aspekty źródeł ich przychodów. Skoro tradycyjna praca najemna nie zapewnia już samodzielnego życia na godnym poziomie, nie mówiąc o awansie społecznym, to nie ma co się przejmować pochodzeniem pieniędzy na koncie. Jeszcze niedawno pozyskiwanie ich z internetowego hazardu czy sprzedawania własnych nagich zdjęć w sieci było nie tylko obarczone społecznym stygmatem, ale też po prostu mało rozwojowe. Jeśli ktoś myślał długofalowo o karierze, często na starcie był w stanie przeboleć darmowe staże czy słabo płatne fuchy, byleby do czegoś prowadziły. Dziś dominuje przeświadczenie, że nie prowadzą – więc po co tracić czas?

Jeśli tak rzeczywiście jest, a dowodów na to przybywa tak szybko, jak młodych ludzi znajdujących się poza edukacją, przygotowaniem zawodowym i rynkiem pracy (tzw. *NEETs – od Not in Education, Employment or Training*), to może warto te wnioski przenieść także na płaszczyznę uniwersytecką? Skoro rynek pracy się zaciął i nie daje gwarancji rozwoju, a planowanie kariery w dobie rewolucji technologicznej stało się niemożliwe – może czas przeciąć i tak już niedziałające łącze pomiędzy akademią a rynkiem pracy i wyznaczyć uniwersytetom nowe cele?

Taki ruch wydaje się o tyle uzasadniony, że wymagania stawiane dziś uczelniom są po prostu nierealne. Technologia cyfrowa postępuje w tempie miesięcy, a nawet tygodni – jeden semestr przynosi zmiany, które niedawno zachodziły w cyklu całych studiów. I nie dzieje się to w próżni, bo w ślad za progresem w sztucznej inteligencji następują próby jej wdrażania w gospodarce. Na razie chaotyczne, dlatego też często nieskuteczne, ale jednak coraz powszechniejsze. Jak wykładowcy mają dostosowywać treść sylabusów do czegoś, z czym nie mieli okazji się zapoznać i czego konsekwencje są niemożliwe do przewidzenia?

eprasa.pl 849bad8b12



STEPHANIE KEITH / GETTY IMAGES

Aż 39 proc. umiejętności posiadanych dziś przez osoby aktywne na rynku pracy będzie przestarzałe lub zbędne do końca tej dekady. **Uczelnie nastawione na karmienie tego rynku brną w ślepą uliczkę.**

W dodatku to już nie są publicystyczne prognozy. Według danych z ubiegłorocznej edycji badania Future of Jobs Report aż 39 proc. umiejętności posiadanych dziś przez osoby aktywne na rynku pracy będzie przestarzałe lub zbędne do końca tej dekady. Każdy, kto choć chwilę przebywał na jakiejkolwiek uczelni, nie tylko w roli wykładowcy, wie, jak powolne są to instytucje. Zmiana rewolucyjna jest sprzeczna z uczelnianym DNA. Chociażby z tego powodu warto rozważyć alternatywne ścieżki rozwoju. Lub, jak kto woli, sposoby przetrwania.

Trenowanie uwagi

Skoro uniwersytet musi odejść od roli fabryki dyplomów walidujących pewne kwalifikacje potrzebne do odniesienia sukcesu na rynku pracy, to czym może stać się w zamian? Wbrew pozorom nie musi wymyślać się od zera – wystarczy, że wróci do swojej dawnej roli. Zamiast uczyć zawodu, którego może już nie być, zanim przejdzie się nawet trzyletni cykl licencjacki, mógłby zaoferować młodym ludziom przestrzeń i czas do namysłu nad tym, nad czym zastanawialiśmy się w warszawskim parku: czym jest dobre życie?

To nie jest utopia ani sokratejskie marzenie pięknoducha. Na całym świecie mnożą się przykłady pojedynczych kursów, kierunków studiów, a nawet całych ośrodków, które odchodzą od silosowych struktur, XIX-wiecznych podziałów na dyscypliny pamiętających świat Alexandra von Humboldta oraz przede wszystkim od logiki rynków: pracy i wolnego.

Columbia University, jedna z placówek tworzących prestiżową amerykańską Ligę Bluszczową, w ramach swojego Centre for Core Curriculum, jednostki zajmującej się tworzeniem ramowego, obowiązkowego dla wszystkich bez względu na kierunek sylabusu zajęć, zachęca do uczestniczenia w tzw. Wielkiej Debacie. Książki, które studenci muszą czytać, dobierane są pod kątem pytań, z którymi musi się mierzyć dziś człowiek. Zadie Smith to więc autorka opowiadająca o życiu na styku mnogich tożsamości, Sokrates opisuje zmagania ze śmiercią i dyskusję o eutanazji, a Sun Tsu nie jest mistrzem strategii wojennej, tylko źródłem inspiracji w zarządzaniu i wygaszaniu konfliktów, także tych w związkach i rodzinach.

Na sąsiedniej uczelni, New York University, psycholog społeczny Jonathan Haidt, znany w świecie ze swojej krucjaty przeciwko smartfonom, prowadzi przedmiot o wiele mówiącej nazwie „Jak odnieść sukces". Przy czym, co sam wyjaśnił w ubiegłorocznej rozmowie z Ezrą Kleinem z „New York Timesa", sukces na jego zajęciach definiowany jest szeroko, wręcz antykomercyjnie i antymaterialistycznie. Jako jeden z pierwszych na amerykańskich kampusach zaczął on poruszać temat dobrego życia – i szybko doszedł do wniosku, że najważniejszą umiejętnością, którą może przekazać studentom, jest trenowanie uwagi. Dlatego u Haidta czyta się papierowe książki i artykuły naukowe, a zajęcia prowadzone są bez udziału ekranów.

Yale ma swoje Centrum Myśli Społecznej, na którym oferowane są kursy takie jak „Dobro Wspólne". Przykładowe zajęcia na łamach „The Atlantic" opisał David Brooks – studenci najpierw obejrzeli wystąpienie doradcy Trumpa, Stephena Millera, który opowiadał, że relacje są tylko ćwiczeniem siły i demonstrowaniem przewagi, oraz polityka Partii Demokratycznej Pete'a Buttigiega opowiadającego o roli zasad w porządku międzynarodowym. Z tego miejsca przeszli do czytania „Dialogu melijskiego" Tukidydesa, w którym pada słynna fraza o konieczności cierpienia słabszych i nieuchronnym triumfie silniejszych. Tematem była sprawiedliwość w relacji z władzą polityczną, ale studenci przenosili te treści także na grunt własnych rodzin i społeczności, z których się wywodzą.

Podobne inicjatywy powstają w Europie. Berliński Bard College to bodaj najbardziej udana próba przeniesienia tu amerykańskiej tradycji *liberal arts college* – szkół humanistycznych wolnych od profesjonalizacji i urynkowienia. W Holandii działa Instytut Pascala, prowadzący kurs o nazwie „Klucze do Wielkich", oparty na pogłębionym, precyzyjnym i skupionym czytaniu i wspólnym debatowaniu wielkich dzieł kultury zachodniej.

Oczywiście trzeba mieć świadomość, że to wciąż margines. Jaskółki nadziei, a nie fala, która zmiecie stary porządek. Ryan Zickgraf, amerykański publicysta platformy UnHerd, doskonale opisał te proporcje w niedawnym eseju o postępującej atomizacji życia społecznego, także na uczelniach. Wymieniał pozytywne zmiany – młodych ludzi porzucających telefony, powstające sąsiedzkie kluby książki, inicjatywy surwiwalowe dla ojców z synami. Ale też zauważył, że „wycofanie się ze społeczeństwa jest wciąż dominującym trendem, a powrót do niego – co najwyżej hobby". Skala ma tu znaczenie, ale może właśnie w tym miejscu uczelnie będą miały do odegrania ważną rolę?

W końcu współczesne słowo „akademia" wywodzi się od nazwy gaju oliwnego, w którym swoje nauki wygłaszał Platon. I przecież nie robił tego w samotności. © MATEUSZ MAZZINI

Autor jest reporterem, socjologiem, latynoamerykanistą. Pisze o krajach Europy Zachodniej, Globalnego Południa, o ruchach prawicowych i populistycznych. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie" oraz „Włochy prawdziwe".

eprasa.pl 849bad8b12

HISTORIA

SLAJDY PAMIĘCI

Wiemy, że był w powstaniu w getcie, a w czasach PRL-u w opozycji.
Niewiele wiemy, co było wcześniej.
Poszukajmy śladów młodości Marka Edelmana,
którego siedemnasta rocznica śmierci mija 2 października.

JOANNA SZCZĘSNA



eprasa.pl 849bad8b12

Wiele razy próbowałam wyciągnąć od niego wspomnienia z młodości, po kolei, w porządku, najlepiej chronologicznie. Ale zawsze się wymykał.

– Wiesz, ja nic z tamtego czasu nie pamiętam. Do mnie tylko przypływają czasem obrazy, sceny, migawki. Na przykład, że siedzę w stołowym u sąsiadki pani Lewinson, która była buchalterką i po śmierci mamy czasem, w sobotę, zapraszała mnie na rybę z kluseczkami. Jej zięciem był malarz Feliks Frydman, który namalował akt żony. Ja ten obraz podglądałem przez szparę w drzwiach do ich sypialni. Taka świetlista naga kobieta, na intensywnie niebieskim tle. Potem przyszła wojna, obraz Frydmana spłonął podczas bombardowania i już pewnie tylko ja jeden mam go pod powiekami.

– Getto, konspiracja, oba powstania poszatkowały moją pamięć sprzed wojny. Tak że ciężko mi o jakąś spójną opowieść – podsumował. – Więc przestań mnie męczyć.

Garstka okruchów

Ale ja nie przestałam i pytałam dalej. Po pierwsze, o rodziców.

– Ojciec, Natan, umarł kilka lat po naszym przyjeździe do Warszawy. Na gruźlicę gardła. A mama, Cypora, jak miałem kilkanaście lat. Na zapalenie jelita grubego.

Edelman, emerytowany doktor, zamyślił się i dodał: – Dziś to nie są śmiertelne choroby, ale wtedy były.

Edelmanowie repatriowali się z Homla na Białorusi po traktacie ryskim. Ojciec był Warszawiakiem z urodzenia, rodzina zamieszkała pod jego dawnym adresem, przy Franciszkańskiej 14. We wrześniu 1939 r. niemiecka bomba naruszyła konstrukcję budynku i popadł w ruinę. W ten sposób zniknęły wszelkie materialne ślady – dokumenty, świadectwa, zdjęcia – przedwojennego życia Marka. Wszedł w wojnę, jak stał, w tym, co miał na sobie. I już nie było o co zaczepić pamięci.

Obóz SKIF-u, dziecięcej organizacji socjalistycznej działającej pod patronatem Bundu. Kazimierz Dolny, rok 1936. W drugim rzędzie od dołu, drugi od lewej – Marek Edelman. W pierwszym rzędzie od dołu, czwarty od lewej – Włodek Bergner.

ARCHIWUM RODZINNE ANNY EDELMAN

Przez ponad 30 lat naszej znajomości udało mi się z różnych opowieści Marka uzbierać ledwie garstkę przedwojennych okruchów:

– jedno jedyne wspomnienie ojca: Marek siedzi u niego na kolanach, a ten podrzuca go, wykrzykując „patataj, patataj";

– jedno jedyne zdanie o starszym bracie zmarłym na tyfus (lub którąś z tych dziecięcych chorób, na które dziś są szczepionki) w ciągnącej się w nieskończoność podróży repatriacyjnym pociągiem;

– wyprawy z mamą do opery w żydowskie święta albo piątkowe wieczory, bo u nich w domu nie świętowało się szabatu;

– z mamą na Placu Teatralnym: Marek siedzi u niej na barana i słucha, jak na balkonie opery Fiodor Szalapin śpiewa „Pieśń nadwołżańskich burłaków", a jego głos niesie się po placu (gdy spytałam, skąd pamięta, co śpiewał Szalapin, popatrzył z politowaniem: – To pieśń o pracy, wyniszczającej fizycznie, jej rytm pomagał burłakom ciągnąć barki przez mieliznę, jak mógłbym to zapomnieć?).

Momenty formacyjne

Jednak prócz drobnych epizodów, pamięć Marka – mimo jego zastrzeżeń – przechowała też wspomnienia bardziej znaczące, formacyjne.

Oto lato 1931 r.: jego matka jedzie do Wiednia na międzynarodową olimpiadę robotniczą młodzieży socjalistycznej i namawia syna, by jechał z nią. Marek nie ma ochoty, bo – jak wyzna mi po latach, z nutką żalu – wolał obóz z kolegami. A jesienią mama już nie żyła.

To słowa Marka, spisane z moich notatek. Wystarczyło jednak krótkie śledztwo, by stwierdzić, że jego pamięć „ścisnęła czas". Olimpiada w Wiedniu odbyła się w lipcu 1931 r., a jego matka zmarła sześć lat później. Znalazłam w „Fołks-Cajtung" jej nekrolog.

Marek zdziwił się, gdy to usłyszał: – Nie może być. No, ale ja wciąż powtarzam, że sprzed wojny pamiętam tylko jakieś strzępy, oderwane epizody i żadnych dat.

Nie wyobrażam sobie, by matka nie opowiedziała mu, co działo się tamtego lata w Wiedniu. Igrzyska zorganizowano w kontrze do tradycyjnych olimpiad, które – zdaniem socjalistycznej lewicy i partii robotniczych – były zbyt elitarne, a członkowie Komitetu Olimpijskiego reprezentowali „białą wyższą klasę średnią", w której panoszyły się: antysemityzm, klasizm, rasizm, seksizm i szowinizm.

Do stolicy Austrii zjechało ponad 100 tys. kibiców. O olimpijskie dyplomy (nie medale) zabiegało 25 tys. sportowców. Z naciskiem na sporty zespołowe, wymagające współpracy, nie rywalizacji. Publiczność oklaskiwała pokazy gimnastyczne na stadionie Prater, gdzie po kilka tysięcy osób odgrywało historyczne sceny. W parkach rozgrywano partie „żywych szachów", gdzie figurami byli robotnicy w kostiumach. Na stadionach nie było narodowych flag, królowały flagi czerwone i „Międzynarodówka".

Lekcja oporu

Rok 1931 to szczyt „Czerwonego Wiednia". Miastem od ponad dekady rządziła Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Austrii. Jej osiągnięcia to reforma edukacji, nowoczesne budownictwo komunalne z czynszem dostępnym dla robotniczej kieszeni i morze ogólnodostępnej zieleni – parki, ogródki, trawniki.

Wtedy nikomu nie przychodziło do głowy, że ta socjalistyczna idylla zakończy się tragedią. Podczas gdy Wiedeń był bastionem lewicy, resztę Austrii zdominowali konserwatyści. W 1933 r. zaczął się „pełzający zamach stanu" i do głosu zaczęli dochodzić radykalna prawica oraz naziści.

Iskrą, która doprowadziła w lutym 1934 r. do wybuchu czegoś na kształt wojny domowej, stała się delegalizacja Schutzbundu, lewicowych bojówek paramilitarnych, które organizowały samoobronę podczas demonstracji i strajków. Powstańcy, okopani na robotniczych osiedlach, bronili się zaciekle przed siłami rządowymi aż do momentu, gdy władze użyły wojska i artylerii. Droga do faszyzacji kraju stanęła otworem.

Schutzbund, dosłownie Związek Obronny – to słowo pierwszy raz usłyszałam od Edelmana, który znał dobrze ten kawałek historii Austrii, a przywódców tzw. lutowego powstania wymieniał po nazwisku. – Dla bundowskiej młodzieży byli bohaterami, ich walka to była nauka, że na przemoc odpowiadać trzeba siłą – mówił mi. – Pewnie poznałbym któregoś z nich, gdybym pojechał wtedy z mamą do Wiednia. ↦

eprasa.pl 849bad8b12



ARCHIWUM RODZINNE ANNY EDELMAN

Rok 1930 lub 1931. Marek Edelman ma 11 lub 12 lat i wraca z obozu SKIF-u w Sidorańcach na Litwie. Pierwsza od lewej Róża Lichtensztajn, wychowawczyni na tym obozie i przyjaciółka Cypory Edelman, mamy Marka.

Instruktor z Annopola

↦ Ze skąpych opowieści Marka o matce widać, że nie przypominała *jidisze mame* – nadopiekuńczej, a zarazem kierującej życiem dziecka. Miał dużo swobody, chadzał własnymi ścieżkami. Jednak figura *jidisze mame* nie była mu niemiła i wracała w naszych rozmowach.

– Tylko pamiętaj – upominał mnie – moja matka nie uważała, że ma się dla mnie poświęcać. Spełniała się w pracy społecznej, działała w JAF, kobiecej sekcji socjalistycznej partii Bund. Ucieszyła się, że poszedłem w jej ślady, zapisując się do SKIF-u, dziecięcej aplegierki Bundu.

Zrobił to jeszcze w szkole podstawowej. – Szybko zostałem instruktorem i założyłem z kolegami świetlicę dla dzieci bezrobotnych z Annopola, dzielnicy na obrzeżach Warszawy, gdzie w zagrzybionych barakach gnieździła się żydowska biedota, eksmitowana za zaległości w czynszu.

– Baraki stały na piasku, nie było podłóg, nie mówiąc o sanitariatach. Panoszyły się choroby zakaźne. Kupiliśmy dzieciakom czerwone chusty, niebieskie bluzy i zostali SKIF-istami. Frekwencję na zbiórkach mieliśmy 100 procent, zwłaszcza zimą, bo nasz lokal był ogrzewany. Uczyliśmy się wspólnie bawić, żyć w kolektywie, urządzaliśmy konkursy i naukę śpiewu. Z czasu wojny już tych dzieci nie pamiętam. Czy Niemcy wysiedlili je do getta? Czy poszły na Umschlagplatz w pierwszej kolejności? Nie wiem.

Prawie wilczy bilet

Cypora Edelman posłała syna do nowoczesnej żydowskiej szkoły z wykładowym jidysz, prowadzonej przez CISzO, Centralną Żydowską Organizację Szkolną. Chciała, by syn wychowywał się w duchu świeckim i antysyjonistycznym.

Marek miał dobre wspomnienia z podstawówki. Uczniów wychowywano tam w ideałach Bundu: sprawiedliwości społecznej, tolerancji, braterstwa i równości. Było jasne, że nie należy oceniać nikogo wedle zamożności rodziców, i że trzeba się dzielić.

Gorzej wspominał naukę w gimnazjach, gdzie – jak twierdził – nic się nie nauczył, a w klasie zdarzali się antysemici. Zapamiętał „patriotyczny" (na antysemicką, według niego, nutę) występ Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w gimnazjum „Spójni" z okazji 3 Maja. – Próbował zatruć nasze dziecięce duszyczki ohydną endecką propagandą. Na mnie jego jad nie działał. Moja żona Ala próbowała mnie po wojnie przekonywać do niego, że „Przekrój", że „Zielona Gęś", ale swoje wiedziałem.

Maturę zrobił w Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców na Walicowie. Wcześniej dwa razy usuwano go z gimnazjum: za udział w pochodzie 1 Maja i odmowę noszenia żałobnej opaski po śmierci Piłsudskiego. Mały włos, a dostałby wilczy bilet.

Jidysz „w locie"

Do podstawówki Marek poszedł dopiero od czwartej klasy, bo wcześniej dużo chorował. Języka jidysz, którym większość jego kolegów władała z domu, musiał się uczyć „w locie". I poznał go w zasadzie tylko w mowie, z pisaniem i czytaniem zawsze miał kłopoty.

– Problemem był dla mnie alfabet, nigdy się z nim nie oswoiłem – tłumaczył. – Nie wiem, jak w ogóle bym mówił, gdyby nie obóz SKIF-u pod Wilnem, gdzie zostałem na resztę wakacji w rodzinie Barucha Kahana, działacza Bundu, radnego miejskiego. Cała jego rodzina rozmawiała ze mną wyłącznie w jidysz.

Ze szkolnym kolegą Majusem Nowogródzkim, który jeszcze w czasie wojny dostał się do USA, Marek pozostał w kontakcie aż do śmierci. Kiedyś byłam świadkiem ich rozmowy telefonicznej, która toczyła się w jidysz. Spytałam potem Marka, dlaczego tak krzyczał na Majusa. Marek na to: – Gojka, gojka, nic nie rozumie. To nie była żadna kłótnia, to był jidysz. Jidysz, język emocji.

– Tak, Marek mówił nieźle w jidysz – potwierdziła jego żona, Alina Margolis (także córka bundowca). – Ale dla niego był to język martwy. Nie pamiętał, jak się mówi na rzodkiewkę czy piłkę. Raz nawet, z okazji jakiejś rocznicy powstania Bundu, która odbywała się w Paryżu, wygłosił w jidysz przemówienie z głowy. Wzruszające.

Włodek

Do szkoły CISzO klasę niżej niż Marek chodził Włodek Bergner. Marka zapamiętał jako odludka, który jednak zrobił na nim ogromne wrażenie: „Może dlatego, że jego oczy mnie hipnotyzowały, jakby on widział więcej niż inni". Zakolegowali się na obozach SKIF-u. To głos włodkowej trąbki budził obozowiczów rano, a wieczorem dawał znak, że czas spać.

Ze wspomnień Włodka dowiedziałam się, że choć w szkole uczono ich literackiego jidysz, wielu kolegów mówiło językiem ulicy, warszawskim jidysz. Tymczasem jidysz Marka miał akcent wileń-

eprasa.pl 849bad8b12

ski, co było zapewne zasługą rodziny Kahanów.

Kilka obrazów Włodka Bergnera wisiało od zawsze u Edelmana w saloniku jego łódzkiego mieszkania. Jeden z nich to portret dziewczynki o semickiej urodzie; jej twarz to stały motyw w pracach Bergnera. Ta smutna twarzyczka, a właściwie cztery niemal identyczne twarzyczki, witają mnie za każdym razem, gdy wchodzę do mojego warszawskiego mieszkania: w przedpokoju wisi tu, podarowany mi przez malarza, plakat z jakiejś wystawy jego obrazów.

– I patrz – mówi Marek – nasze pierwsze meldunki z likwidacji getta latem 1942 r. brytyjska BBC przetrzymała kilka tygodni, bo uznano, że przesadzamy. Cały zachodni świat nie chciał uwierzyć, co Niemcy robią w Polsce z Żydami. A Włodek na drugim końcu świata wiedział to bez naszych meldunków. Jeśli przyjrzysz się jego obrazom z roku 1942, 1943, 1944, zobaczysz ciemność, rozpacz, grupki przerażonych Żydów, może na Umschlagplatzu, a może przed komorą gazową w Auschwitz.

Wiersz

Odwiedziłam Włodka Bergnera razem z Markiem w Tel Awiwie w 2000 r. W pewnym momencie Marek mówi do niego: – Ależ twój ojciec był przewidujący, że zabrał całą rodzinę do Australii.

A Bergner na to: – Mój ojciec nie był przewidujący. On po prostu wiedział.

I zaczął recytować coś w jidysz. Jak się później okazało, był to wiersz jego ojca, Melecha Rawicza. Znanego poety, przez lata szefa Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich, mieszczącego się w Warszawie na Tłomackie 13.

Marek zamyślił się na chwilę, po czym skomentował: – No tak, poeci-prorocy...

Nie zrozumiałam tej sytuacji, która rozgrywała się między nimi, a Włodek (a właściwie Yosl, bo w Izraelu używał swojego jidyszowego imienia) najwidoczniej to zauważył, bo wyjął z półki autobiografię. „What I Meant to Say". To, co chciałem powiedzieć – wpisał mi dedykację. Potem zagiął ośle ucho na stronie 77, gdzie był ten wiersz, który przed chwilą słyszałam, ale tu w angielskim tłumaczeniu.

Nie zrobił na mnie wrażenia. Nie zrozumiałam, dlaczego jego autor poczuł, że musi ekspediować rodzinę na drugi koniec świata. Wysłałam mejla do Michała Rusinka z prośbą, by przetłumaczył wiersz na polski, dodając trochę mocy słowom, bo ta moc musi tam gdzieś drzemać. Przetłumaczył niemal od ręki:

Nad rzeki Wisły brzegami
rosną żydowskie cmentarze,
że i od chat, i od domów
wyższe są – wnet się okaże.

Przez dziury po oknach, w których
pustka upiorna wciąż świeci,
śmierć kościstymi palcami
wygarnie z kołysek dzieci.

Nawiasem mówiąc, ojciec Yosla nie tylko swoje dzieci wysłał do Australii – nim wybuchła wojna, zdążył wyprawić tam trzy statki wypełnione Żydami z Polski i Austrii.

Ryfka

W 1939 r. Marek od razu zaczął wciągać kolegów i koleżanki ze szkoły, SKIF-u i Cukunftu do konspiracji. Drukarze, kolporterki, łączniczki: to wszystko był bundowski zaciąg. Bundowska młodzież była i rezerwuarem kadr dla podziemia, i dla cywilnego oporu w getcie. Ich dziełem były przedszkola, teatrzyki, kąciki zabaw, wypożyczalnie książek, kuchnie ludowe, samopomoc sąsiedzka.

Wielu szkolnych kolegów Marka uciekło z rodzinami na Wschód, on zdecydował się zostać. Podobnie jak Ryfka Rozensztajn, którą poznał przed 1939 r. jako działaczkę SKIF-u i Cukunftu, organizatorkę wystaw oraz warsztatów plastycznych dla dzieci, i zaprzyjaźnił się z nią. Do wybuchu powstania w getcie w kwietniu 1943 r. Ryfka przygotowywała makiety bundowskich pisemek. Jedna była wielokrotnie replikowana: splecione dłonie, które łączyły się przez dziurę w ceglanym murze getta.

– Ryfka, która później miała okupacyjne papiery jako „Stasia", to wielka osoba w moim życiu – podsumował Marek. – Cały jestem z niej. To moja pierwsza kobieta. Byłem sam, bez rodziny, wszystkiego nauczyłem się od niej.

Potem była wojna

Gdy w 2004 r. Polska weszła do Europy, świętowaliśmy to z Markiem, ja winem, on wódeczką. Kiedy z radia runął finał IX Symfonii Beethovena, Marek zamyślił się, rozmarzył i zaczął opowiadać, jak Ryfka śpiewała „Odę do radości" Schillera.

I opisał taką scenkę: koniec sierpnia 1939 r., są na bundowskim obozie w Broku nad Bugiem. Pływają łódkami po rzece, zapada zmierzch, gałęzie drzew chylą się nad wodę. Ryfka zaczyna śpiewać. Milkną rozmowy, wszyscy słuchają.

Zapytałam o repertuar. Marek pamiętał jeszcze tylko „Zejdź do gondoli, kochanko ma" (w życiu nie słyszałam). I dodał: – Ona tej nocy przyszła do mojego pokoju. Następnego dnia wróciliśmy do Warszawy. Następnego dnia wybuchła wojna. I już nigdy więcej nie było takiego wieczoru. I ja też już nigdy nie byłem taki jak przedtem.

Spytałam wtedy Marka, dlaczego Ryfka śpiewała akurat „Odę" Schillera. Zdziwił się, że pytam: – Przecież to pieśń o braterstwie, bardzo bundowska z ducha.

© JOANNA SZCZĘSNA

Joanna Szczęsna z Markiem Edelmanem po uroczystości pośmiertnego wręczenia Grażynie Kuroń Orderu Odrodzenia Polski, 2007 r.



ARCHIWUM PRYWATNE JOANNY SZCZĘSNEJ

Autorka jest dziennikarką, przez lata pracującą w „Gazecie Wyborczej". W czasach PRL działaczka opozycji, związana m.in. z KOR. Tekst jest fragmentem przygotowywanej przez nią książki, na którą otrzymała stypendium artystyczne m. st. Warszawy.

eprasa.pl 849bad8b12

WOJCIECH

Bonowicz:
Ta i tamta strona



„Dawno nie było o poezji.” „No tak, nie było, ale jest tyle innych spraw...” „Niech pan pisze o poezji, przynajmniej raz na dwa miesiące. Raz na kwartał. Bez poezji, to sam pan wie...” Ktoś się wtrąca i zostajemy z tym niedokończonym zdaniem, które zawisa między nami. Wiem? Tak, może wiem. Może wiemy to samo. Urwane, niedokończone zdanie mówi dziś więcej o poezji niż gładkie, pełne formuły.

Nadarzyła się dobra okazja, by napisać o poezji: Julian Kornhauser skończył 80 lat. Poeta nie jest już aktywny publicznie, ale są jego książki, wśród nich tomy wierszy, własnych i tłumaczonych. Więc nie milczy bynajmniej. Własne wiersze Kornhausera mają u mnie na półce miejsce szczególne. Jego tomy z drugiej połowy lat 70. i pierwszej połowy 80. mocno się odcisnęły na tym, co sam piszę i co myślę o możliwościach (i niemożliwościach) poezji. Zwięzłość i prostota jego wierszy, a zarazem ich paradoksalne skomplikowanie, cała sieć napięć ukrytych pod krótkimi zdaniami – to coś, co mnie, młodemu, uczącemu się jeszcze warsztatu, bardzo imponowało.

Wielokrotnie potem czytałem wiersze Kornhausera z młodymi ludźmi i za każdym razem widziałem, że jest to poezja, która potrafi ich zaczepić, a następnie otworzyć, tak że chętnie o niej rozmawiali. Bo przecież nawet jeśli zmieniają się konteksty, polityczne i inne, to wiersz taki jak „Lekcja o przyimku” nie przestaje intrygować:

Ptaszek siedzi w klatce.
Ptaszek wychodzi z klatki.
Ptaszek chodzi po klatce.
Ptaszek fruwa nad klatką.
Ptaszek wchodzi do klatki.
Ptaszek bije skrzydłami o klatkę.
Ptaszek siedzi przed klatką.
Ptaszek siedzi przy klatce.
Ptaszek trzyma łapki na klatce.
Ptaszek wychodzi za klatkę.
Biedny ptaszek.

Tego wiersza nie trzeba specjalnie tłumaczyć. Zdania, z których się składa, są proste i klarowne, jakby przepisane z podręcznika do gramatyki. A jednak ten bardzo prosty wiersz stanowi dobry pretekst do rozmowy o wolności i niewoli. Warto przy tym zwrócić uwagę, jak dobrze poprowadzony został wyjściowy pomysł. I zapytać, dlaczego poeta nie bał się w zakończeniu tego dopowiedzenia: „Biedny ptaszek”. Czy bez niego utwór byłby mniej zrozumiały? Znaczyłby to samo?

Inaczej trochę działa wiersz „Wtorek, miasto ziewa” z tomu „Zjadacze kartofli”. Podobnych wierszy w latach 90. i później powstanie wiele, ale w latach 70. ten powściągliwy „spis z natury” musiał robić duże wrażenie:

Idą ulicą Czerwonego Prądnika po obu stronach
rozkopany chodnik na kamieniu dwa ślimaki
z daleka słyszę oddech rozpędzonego pociągu
pod wiaduktem który złożył skrzydła do lotu
chłopiec prowadzi rower obok rozbity słoik
autobus 124 wiezie mnie do pracy ktoś czyta
„Trybunę Ludu” do góry nogami wiatr wciska się
do środka z kiosku wypada mydło i toczy się
po trotuarze będzie dzisiaj masło przed sklepem
rozmawiają zziębnięte babcie słońce świeci wprost
w oczy płaszcze ukazują swe różowe płuca
ziemniaki włożyły już koszulki kobieta z wypchaną
siatką siedzi na progu i płacze

Tamtej Polski już nie ma – nie ma „Trybuny Ludu”, kolejek po masło, a mydło nie jest towarem, na który trzeba polować. Czy ten wiersz ma nam coś do powiedzenia dzisiaj? Nie wiem, czy to dobrze postawione pytanie. Zauważmy, że choć wiele się zmieniło, obraz miasta, które dopiero zaczyna się budzić, pozostaje czytelny, w jakimś stopniu uniwersalny. Istotne jest raczej, jak poeta buduje nastrój tego wiersza. Ostatecznie mamy do czynienia z sekwencją obrazów, czasem odnotowanych rzeczowo, czasem uchwyconych w metaforach (jak to wspaniałe porównanie jasnych podszewek płaszczy do płuc), które nie są tylko inwentaryzowaniem tego, co się dzieje, ale dokądś nas prowadzą. A przede wszystkim – coś interesującego mówią nam o podmiocie tego wiersza, o jego uważności, nieobojętności.

Kornhauser z tamtego czasu – a także z niektórych wierszy późniejszych – to mistrz kondensacji. I jednocześnie ktoś, kto bardzo pilnuje, by język wiersza nie oddalał się zanadto od mowy potocznej. To stanięcie po stronie „zjadaczy kartofli” jest bardzo wymowne. Nie oznacza bynajmniej zawężenia horyzontu, sprowadzenia wiersza „do parteru”. Jest decyzją estetyczną, ale też etyczną: poezja jest tu rozumiana jako coś, co wyrasta z powszedniości, z codzienności i nie chce tej codzienności porzucić – nawet jeśli czasami prowadzi na (jakkolwiek rozumianą) „Drugą stronę”:

pisać wiersz i nie myśleć
pisać wiersz i patrzeć
dotykać liści wąchać słońce
pisać wyłączyć się
nasłuchiwać bicia serca
przeskakiwać na drugą stronę
gdyby jej nie było
stworzyć ją ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

eprasa.pl 849bad8b12

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 40 /2026

500 LAT MAZOWSZA W KORONIE



eprasa.pl 849bad8b12



DARIUSZ OSSOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Płocka katedra na Wzgórzu Tumskim. Pochowani są tu polscy władcy: Władysław Herman i Bolesław Krzywousty, a także kilkunastu książąt mazowieckich

Pięćset lat dumy

ADAM STRUZIK, MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO:

Odwołujemy się do historii, ale zależy nam również na tym, żeby mazowieckość miała współczesną treść. Mówimy przecież o wspólnocie ponad pięciu i pół miliona ludzi.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Obchodzimy 500-lecie włączenia Mazowsza do Korony. Czym jest dziś mazowiecka tożsamość? Co łączy mieszkańców Płocka, Radomia, Siedlec czy Warszawy?

ADAM STRUZIK: To poczucie wspólnoty, które odbudowujemy od 27 lat, czyli od utworzenia dużych województw. Wcześniej świadomość regionalna była znacznie słabsza. Mazowsze kojarzyło się z folklorem, zespołem pieśni i tańca. Inspirowało pisarzy i poetów, ale w powszechnej świadomości słabo funkcjonowało jako wspólnota mieszkańców. Zależy nam na tym, żeby mazowieckość miała współczesną treść. Mówimy przecież o wspólnocie ponad pięciu i pół miliona ludzi.

Pomagają w tym symbole: flaga, herb, logo „Mazowsze. Serce Polski".

Zwykle mówi się o wpływie Warszawy na region. A co stolica zawdzięcza Mazowszu?

Dzisiaj stolica i region tworzą zintegrowany organizm. Metropolia daje miejsca pracy, dostęp do uczelni, wyspecjalizowanej ochrony zdrowia i instytucji kultury. Jest gospodarczym silnikiem województwa. Ale pozostała część regionu daje Warszawie pracowników, studentów, siłę intelektualną. Zaopatruje ją również w żywność. Codziennie do stolicy przyjeżdżają do pracy ludzie z całego Mazowsza. Ten wpływ jest obustronny. Przy tym nie jest tak, że mamy wielką Warszawę, a obok niej pustynię. Są Płock, Ciechanów, Ostrołęka, Siedlce i Radom, są miasta powiatowe ważne dla swojego otoczenia. Mieliśmy kiedyś hasło: „Warszawa ku Europie, Mazowsze z Warszawą". Ono dobrze oddaje sposób, w jaki myślimy o tej relacji.

Ważne jest wzmacnianie innych ośrodków akademickich. Sejm przyjął właśnie ustawę dotyczącą Uniwersytetu Mazowieckiego w Płocku. Pracowaliśmy na to przez wiele lat. Płock staje się miastem uniwersyteckim, podobnie jak Radom i Siedlce. Liczę, że pomoże to ograniczyć odpływ młodych mieszkańców.

Wspólną przestrzeń Mazowsza tworzy również kultura. Jak zachęcić mieszkańców do korzystania z jej oferty?

eprasa.pl 849bad8b12



MARTYN JANDULA / SHUTTERSTOCK

Pociąg regionalny Kolei Mazowieckich w drodze do stacji Warszawa Zachodnia

Inwestujemy w instytucje kultury w całym województwie: teatry, a przede wszystkim muzea. Kupujemy nieruchomości, odnawiamy zabytkowe obiekty. Dyrektorów tych instytucji nazywam czasem żartobliwie imperialistami, bo ich apetyt jest nienasycony: ciągle znajdują coś nowego, co warto ocalić, pokazać, udostępnić.

Ta sieć zmieniała się przez lata. Część placówek powołaliśmy, część przejęliśmy od miast lub powiatów, niektóre przekazaliśmy innym samorządom.

Chcemy docierać do młodego pokolenia. Temu służy „Kulturalna szkoła na Mazowszu. Dopłacamy do biletów, więc uczniowie mogą odwiedzać nasze instytucje kultury za złotówkę. W ubiegłym roku skorzystało z tego ponad trzysta tysięcy uczniów i opiekunów. Bilety za złotówkę wprowadziliśmy też dla osób z niepełnosprawnościami, dla których koszt wejścia bywa barierą.

Które zadanie na najbliższe lata uważa Pan za najtrudniejsze?

Jednym z największych wyzwań, dla Mazowsza i całej Polski, jest ochrona zdrowia, zwłaszcza funkcjonowanie szpitali. Żyjemy dłużej, a to oznacza określone potrzeby zdrowotne i opiekuńcze. Jednocześnie szpitale są zadłużone, a w Narodowym Funduszu Zdrowia brakuje pieniędzy. Reorganizacja szpitali nie może oznaczać, że pacjent straci możliwość dotarcia do szpitala.



MATERIAŁY PRASOWE

ADAM STRUZIK (ur. 1957) jest lekarzem, politykiem i samorządowcem. W latach 1991-2001 zasiadał w Senacie II, III i IV kadencji, a w latach 1993-1997 był marszałkiem Senatu.

Drugim istotnym zadaniem jest ograniczanie wykluczenia komunikacyjnego.

Co jest potrzebne, żeby zmienić tę sytuację?

Lepsza integracja transportu. Koleje Mazowieckie, Warszawska Kolej Dojazdowa i warszawska Szybka Kolej Miejska przewożą razem ponad sto milionów pasażerów rocznie. Trzeba łączyć ten potencjał z przewozami autobusowymi: samorządowymi i prywatnymi. Bardzo żałuję, że prezydent Karol Nawrocki zawetował nowelizację ustawy o publicznym transporcie zbiorowym. Ustawa miała umożliwić marszałkom organizowanie transportu w skali całych województw, we współpracy z gminami i powiatami oraz z wykorzystaniem kolei. Będziemy szukać możliwości działania mimo weta, na podstawie dobrowolnych umów i porozumień, również z rządem. Chcemy wspólnie z innymi marszałkami zastanowić się, jak w tych warunkach ograniczać komunikacyjne białe plamy.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Michał Sowiński jest dziennikarzem Radia Kraków

eprasa.pl 849bad8b12

Mazowsze w Koronie

RADOSŁAW LOLO

W tym roku Mazowsze świętuje 500-lecie włączenia do Królestwa Polskiego. Dawniej można było spotkać się z opinią, że gdyby nie inkorporacja, Mazowszanie mogliby z czasem wyodrębnić się jako osobny naród. Dziś mało kto podziela ten pogląd.

Pięćset lat temu, we wrześniu 1526 r., włączono część Mazowsza do Królestwa Polskiego. Był to kolejny etap procesu trwającego od dziesięcioleci: poszczególne ziemie przyłączano do Korony w miarę wygasania kolejnych linii książęcych. Dziś, gdy „mazowieckie" znaczy często „z serca Polski", warto przypomnieć wydarzenia, które stopniowo zmieniały status regionu. Gdy dzięki rosnącej stołecznej roli Warszawy Mazowsze stawało się centrum państwa, jednocześnie pozostawało prowincją zagrodowej szlachty i małych miasteczek. Jak zatem kształtowała się tożsamość centralnego regionu Polski i co o niej decyduje? Jubileusz jest okazją, by się nad tym zastanowić.

Korona sięga po Mazowsze

W wyniku rozbicia dzielnicowego Mazowsze stało się jedną z dzielnic Polski. Przez pewien czas pełniło funkcję centrum politycznego, a stolicą dzielnicy był Płock. W tamtejszej katedrze spoczęli Władysław Herman i Bolesław Krzywousty. Rządzona przez mazowieckich Piastów dzielnica stopniowo jednak ulegała podziałom. Nie weszła w skład królestwa zjednoczonego przez Władysława Łokietka. Dopiero Kazimierz Wielki, na mocy układów z książętami mazowieckimi Siemowitem III i Kazimierzem I, zhołdował Mazowsze w 1352 r. Podobnie w 1386 r. książęta Janusz I i Siemowit IV, którzy władali odpowiednio wschodnim i zachodnim Mazowszem, złożyli hołd królom Polski Jadwidze i Władysławowi Jagielle. Prawo feudalne dawało polskim władcom możliwość objęcia dzielnicy w wypadku braku męskiego potomka w którejś z linii książęcych.

Stało się tak w początkach 1462 r. W krótkim odstępie czasu zmarli dwaj książęta: Siemowit VI i Włodzisław II, synowie Włodzisława I, władającego zachodnią częścią Mazowsza. Obaj mieli po kilkanaście lat, zmarli nagle, bezpotomnie i w niejasnych okolicznościach. Na to właśnie czekał Kazimierz Jagiellończyk. Zebrany w listopadzie 1462 r. w Piotrkowie sąd składał się z urzędników królewskich i orzekał w sprawie władcy. Książętom mazowieckim, którzy próbowali zapobiec przejęciu ziem przez Kazimierza Jagiellończyka, taki skład wydał się na tyle stronniczy, że wyjechali z Piotrkowa, nie wysłuchawszy nawet wyroku. Jego treść była do przewidzenia. Miesiąc później w Gostyninie król wystawił dokument o inkorporacji ziemi gostynińskiej (14 grudnia 1462 r.). Natomiast 4 lutego 1476 r. wydał kolejny, potwierdzający włączenie do Korony ziemi sochaczewskiej.

Po śmierci Janusza II w 1495 r. Jan Olbracht wystąpił z żądaniem zwrotu księstwa płockiego, powołując się na prawo do sukcesji po bezpotomnie zmarłym księciu. Zwołał pospolite ruszenie przeciw księciu mazowieckiemu Konradowi III Rudemu, który sprzeciwiał się tym roszczeniom. W sierpniu tego roku król na czele pospolitego ruszenia przybył na zamek płocki i szybko opanował dzielnicę. Konrad III nie odważył się na zbrojną próbę sił, w której zresztą nie miałby szans. Na mocy ugody z czerwca 1496 r. Konrad otrzymał w lenno księstwo czerskie z prawem dziedziczenia przez swych potomków, resztę zaś ziem mazowieckich w dożywotnie posiadanie.

Jan Olbracht przyłączył do Korony ziemie: płocką, płońską, zawkrzeńską i wiską. W ten sposób w Królestwie Polskim znalazła się znaczna część Mazowsza.

Ostatni z mazowieckich Piastów

Wspomniany już Konrad III Rudy (ok. 1448-1503) długo nie mógł doczekać się potomstwa (nie licząc dzieci z konkubinatów). Dopiero jego trzecie małżeństwo z Anną Radziwiłłówną przyniosło oczekiwanych dziedziców. Najpierw jednak urodziły się córki, Zofia i Anna, a dopiero potem synowie: w 1501 r. Stanisław, a rok później Janusz. Konrad III zmarł dość niespodziewanie w następnym roku. Regencję w imieniu małoletnich objęła księżna Anna.

W historiografii długo otaczała ją czarna legenda, przypisująca jej nadmierne ambicje polityczne i rozwiązłość. Najnowsza biografia księżnej podważa jednak te zarzuty, wskazując na rolę nieprzychylnej propagandy. Księżnej udało się uzyskać w 1504 r. od Aleksandra I Jagiellończyka prawo wzajemnej sukcesji dla małoletnich synów, a więc dziedziczenia władzy jednego po drugim, oraz nadania lenne ziem warszawskiej, wyszogrodzkiej, zakroczymskiej, ciechanowskiej i łomżyńskiej. Wykupiła też zastawioną u władców polskich ziemię wiską.

Kiedy jednak w 1516 r. Stanisław osiągnął wiek uprawniający do samodzielnych rządów, regentka nie chciała przekazać synowi władzy, co wywołało otwarty bunt mazowieckiej szlachty. Po dwóch latach za sprawą Zygmunta I Starego zawarto kompromis, na mocy którego matka współrządziła Mazowszem z synami. Zmarła niespodziewanie na zamku w Liwie w marcu 1522 r. Rozpoczął się krótki, ale spokojny okres współrządów Stanisława i Janusza III. Stanisław zmarł nagle w sierpniu 1524 r., w wieku zaledwie 23 lat, po szybko nasilających się objawach niezidentyfikowanej choroby. W marcu 1526 r., podczas obrad sejmu

eprasa.pl 849bad8b12



WŁASNOŚĆ MUZEUM DIECEZJALNEGO W PŁOCKU / ADAM ŁUKAWSKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Herma św. Zygmunta to jeden z bezcennych eksponatów pokazanych na wystawie „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego" przygotowanej przez Muzeum Mazowieckie w Płocku.

mazowieckiego w Warszawie, zmarł w podobnych okolicznościach dwudziestoczteroletni książę Janusz III. W oczach współczesnych uchodził za mężczyznę o wyróżniającej się tężyźnie fizycznej i potężnej posturze. Ani Janusz, ani Stanisław nie mieli żon ani potomstwa.

Te trzy nieoczekiwane zgony w podobnych okolicznościach i z niewyjaśnionych przyczyn wywołały niemal od razu falę podejrzeń, że być może doszło do otruć. Pierwsze z nich padły na wojewodziankę płocką Katarzynę Radziejowską. Ponoć w młodości zapałała ona miłością do księcia Stanisława albo po prostu chciała zostać księżną mazowiecką. Na drodze do tych planów stanęła księżna Anna i za to właśnie miała zostać otruta. Podobna zemsta zawiedzionej w miłości Radziejowskiej sięgnąć miała także Stanisława i Janusza. Dla rozładowania napięcia w Warszawie szybko dokonano publicznych egzekucji. Radziejowskiej nie odważono się oskarżyć, ale związaną z nią szlachciankę Kliczewską i jej służącą publicznie spalono nago na stosie. Kierując się zasadą *cui bono* – komu to przynosi korzyść – zaczęto następnie szukać winnych w otoczeniu królowej Bony. Podejrzewano, że wśród książęcych dworzan działali opłacani stronnicy królowej.

Wreszcie w 1528 r., po dochodzeniu specjalnej komisji, Zygmunt Stary ogłosił, że książęta zmarli z woli Bożej, a nie „sztuką ani sprawą ludzką". Dziś historycy raczej wątpią w skrytobójcze mordy. W zbadanych w 1953 r. szczątkach nie wykryto śladów arszeniku. Jako możliwe przyczyny podaje się trudne wówczas do zdiagnozowania choroby: tętniaki i inne schorzenia układu krążenia, być może gruźlicę. Nie ucięło to jednak opowieści o otruciach. Dawne teorie spiskowe do dziś inspirują autorów publikacji sensacyjnych, pisarzy i anonimowych internautów.

Sam proces inkorporacji przebiegł jednak dość szybko. Mazowszanie próbowali wprawdzie bronić praw do sukcesji księżniczki Anny, dowodząc, że w ówczesnej sytuacji władzę można dziedziczyć także w linii żeńskiej. Anna zaczęła nawet tytułować się księżną mazowiecką, ale trwało to krótko. Kiedy pod koniec sierpnia król Zygmunt I przyjechał uroczyście do Warszawy, działał metodą faktów dokonanych, choć ostrożnie i koncyliacyjnie. Pochował Janusza III, a na wrzesień zwołał sejm mazowiecki. Tam osiągnięto kompromis.

Król zapewnił Annie sowite uposażenie do czasu zamążpójścia i pozwolił jej rezydować na Dworze Mniejszym w Warszawie. 13 września szlacheccy posłowie złożyli przysięgę na wierność królowi polskiemu. Tydzień później, dla zaspokojenia aspiracji mazowieckich elit i zachowania pozorów odrębności, ustanowiono unikatowy urząd wicesgerenta. Nieprzypadkowo objął go wojewoda mazowiecki Feliks Brzeski. Wicesgerent miał pełnić rolę namiestnika królewskiego na Mazowszu. Ostatecznie na mocy przywileju piotrkowskiego z grudnia 1529 r. sejm mazowiecki przestał działać. Posłowie i senatorowie z Mazowsza weszli w skład sejmu koronnego.

Nieunikniona integracja

Dawniej można było spotkać się z opinią, że gdyby nie inkorporacja, Mazowszanie mogliby z czasem wyodrębnić się jako osobny naród. Dziś pogląd ten uważa się za bezpodstawny: odrębność polityczna nie oznaczała zerwania więzi z Polską. Zwraca się uwagę, że obserwowany wcześniej i później z różnym nasileniem separatyzm mazowiecki nigdy nie posunął się do kwestionowania polskości Mazowsza.

Od czasów wojny trzynastoletniej (1454-1466) postępowała również integracja gospodarcza. Handel wiślany łączył region z pozostałymi ziemiami dzięki rozwijającej się wymianie towarowej. Poza krótkotrwałymi wyjątkami, podyktowanymi ↦

eprasa.pl 849bad8b12

względami politycznymi lub prestiżowymi, książęta mazowieccy nie bili oddzielnej monety, co także sprzyjało integracji gospodarczej. Część mazowieckich rodów nabywała dobra ziemskie w Koronie, dzięki czemu wielu Mazurów – jak ich wówczas nazywano – miało status szlachty polskiej już przed 1526 r. Powszechnie korzystano też ze szkół w Koronie, bo na Mazowszu było ich niewiele.

Ówczesne państwo polskie sprawnie przeprowadzało tego rodzaju procesy, o czym świadczą przykłady Prus Królewskich, a później także Podlasia. Integrację Mazowsza z Koroną uważa się dziś raczej za nieuniknioną, podkreślając, że był to stopniowy proces, obejmujący wiele dziedzin życia. O tym, że dziś widzimy w roku 1526 wyraźną cezurę, zadecydowały nadzwyczajne okoliczności. Co ciekawe, szlachta mazowiecka nie wracała do nich później nawet wtedy, gdy zależało jej na podkreśleniu odrębności.

W cieniu stolicy

W efekcie inkorporacji w skład sejmu polskiego stopniowo weszło 9 senatorów z województwa mazowieckiego i po 4 z województw płockiego i rawskiego. Każda z 10 ziem województwa mazowieckiego była reprezentowana przez 2 posłów, z województwa rawskiego wyłaniano 6 posłów, a z płockiego 4. Ogółem więc reprezentacja Mazowsza składała się z 17 senatorów i 30 posłów.

Z czasem pojawił się zarzut parlamentarnej nadreprezentacji tak późno wcielonej dzielnicy. Wytykano też Mazurom nadreprezentację na wolnych elekcjach, czemu sprzyjała bliskość Warszawy. Rzesze słabiej wykształconej, katolickiej szlachty mazowieckiej miały znacząco wpływać na wyniki elekcji. Do tego dochodziła możliwość robienia w pobliskiej stolicy zarówno skromnych, jak i znacznie większych karier. Mazowszanom, którzy korzystali z tej szansy, przypisywano przebiegłość i chciwość. Liczna szlachta mazowiecka od średniowiecza kolonizowała też Podlasie, a później ziemie litewskie i ukrainne, co nie zawsze przysparzało jej tam przyjaciół.

> Mazowsze jest rozległe i różnorodne. Nie ma tu jednej tylko kultury, choć to zespół „Mazowsze" stał się symbolem ludowej pieśni i tańca.

Dziś wiemy, że większość tych zarzutów to mity. Nie wytrzymują one bardziej obiektywnych porównań, jeśli zamiast na przysłowiach i anegdotach oprzemy je na bardziej rzetelnych źródłach. Mity te kształtowali najpierw niechętni Mazurom przeciwnicy polityczni, później utrwalali je czołowi przedstawiciele pozytywistycznej nauki. Podtrzymywano je także w czasach PRL. Czarna legenda mazowieckiej szlachty do dziś bywa uznawana za jeden z wyznaczników tożsamości Mazowsza.

Pierwsza taka wystawa

Z okazji jubileuszu samorząd województwa mazowieckiego i Muzeum Mazowieckie w Płocku przygotowały projekt „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego". Jego kulminacją jest wystawa o tej samej nazwie, którą oglądać możemy w płockim muzeum. To największe od lat przedsięwzięcie poświęcone dziejom regionu w średniowieczu, a zarazem niepowtarzalna okazja, by zobaczyć jedne z najważniejszych skarbów związanych z historią Mazowsza.

Sercem ekspozycji jest herma św. Zygmunta z piastowskim diademem – relikwiarz zawierający fragment czaszki świętego, a ofiarowany płockiej katedrze przez króla Kazimierza Wielkiego. To jedna z najcenniejszych pamiątek polskiego średniowiecza.

Wśród eksponatów znalazły się również m.in. miecz sprawiedliwości Zygmunta I Starego z około 1520 r. – symbol przejęcia władzy nad Mazowszem przez króla Polski oraz kielich i patena Konrada Mazowieckiego. Te ostatnie przedmioty to akt zadośćuczynienia za zabójstwo ks. Jana Czapli, kanonika płockiej kapituły katedralnej. Kielich Konrada należy do najwybitniejszych dzieł rzemiosła artystycznego epoki średniowiecza znajdujących się na terenie Polski.

Poza tym można obejrzeć fragmenty ornatu fundacji księżnej Agafii, Graduał Bolesława II, Biblię Płocką, Złoty Kodeks Pułtuski, Kodeks Świętosława z Wojcieszyna, średniowieczne dokumenty czy unikatowe monety książąt mazowieckich.

Oprócz oryginalnych eksponatów zwiedzający mogą obejrzeć animację opowiadającą dzieje mazowieckiego księstwa, interaktywne prezentacje średniowiecznych manuskryptów czy historyczne mapy. Dodatkową atrakcją jest fotograficzna podróż przez romańską i gotycką architekturę Mazowsza.

Ta wystawa to pięćset lat historii zamknięte w wyjątkowych eksponatach. To nie tylko zbiór bezcennych średniowiecznych skarbów, ale również fascynująca opowieść o Mazowszu, jego władcach i drodze do Królestwa Polskiego.

Bogaci różnorodnością

Mazowsze jest tak duże, że nie ma jednej kultury ludowej (choć to właśnie zespół Mazowsze jest symbolem ludowej pieśni i tańca), nie ma jednej gwary czy emblematycznej potrawy regionalnej. Bywa dzielone na stolicę i prowincję. Do tego historyczne granice Mazowsza nie pokrywają się z dzisiejszymi administracyjnymi. Ma jednak bogate dziedzictwo, z którego wyrastali i czerpali Cyprian Kamil Norwid, Fryderyk Chopin i Zygmunt Krasiński – trzej czołowi twórcy polskiego romantyzmu. Także ze względu na to dziedzictwo, a nie tylko położenie na mapie, Mazowsze jako region historyczny można nazwać sercem Polski. © RADOSŁAW LOLO

Autor jest historykiem, prof. AFiB Vistula-Akademii im. A. Gieysztora w Pułtusku.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 40/2026
REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | Na okładce: Jan Matejko, „Konrad Mazowiecki" (fragment) / materiały prasowe partnera // montaż: Andrzej Leśniak

PARTNER
Mazowsze. serce Polski

eprasa.pl 849bad8b12



AGENCJA WSCHÓD / FORUM

„Ekstaza św. Franciszka” – jedyny obraz El Greca w zbiorach polskich – znajduje się w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach

Inne adresy kultury

MARIOLA ZACZYŃSKA

Na Mazowszu sztukę można spotkać w zamku, dawnej elektrowni czy wiejskiej bibliotece. Dzieła mistrzów i ludowe tradycje sąsiadują tu z nowymi pomysłami, które budzą zachwyt, ale też prowokują spory.

El Greco w Siedlcach, Józef Wilkoń na zamku w Liwie i największe zbiory secesji w Muzeum Mazowieckim w Płocku. Kulturalną podróż po Mazowszu można ułożyć bez ani jednego przystanku w Warszawie. Jej szlak prowadzi przez muzea i teatry, ale też wiejskie zagrody, małe galerie i lokalne domy kultury. Nie jest to wyłącznie wyprawa w przeszłość: obok dawnych dzieł i tradycji jest tu miejsce na artystyczne eksperymenty, a czasem również na spory o sztukę.

W Kosieradach Wielkich, niewielkiej wsi w powiecie sokołowskim, drewniane domy zdobią drewnale – odpowiedniki miejskich murali, opowiadające o historii miejscowości i jej mieszkańców. Na płotach pojawiają się wielkoformatowe reprodukcje archiwalnych fotografii. Mińsk Mazowiecki ma z kolei Aleję Gwiazd Literatury: wmurowane w chodnik gwiazdy upamiętniają znanych polskich pisarzy, a odsłonięcie każdej kolejnej jest okazją do wspólnego świętowania. Kulturalną podróż po regionie zaczniemy jednak od Siedlec, tegorocznej Stolicy Kultury Mazowsza.

Odkrycia w Siedlcach

Jest to miasto odkryć, także w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jedyny w Polsce obraz El Greca, „Ekstazę św. Franciszka”, znaleziono przypadkiem na plebanii w niewielkim Kosowie Lackim. Dziś jest on eksponowany w siedleckim Muzeum Diecezjalnym. Do tego dzieła dołączyła właśnie kolekcja jedenastu obrazów wypożyczonych z włoskich muzeów w Rzymie, Florencji, Prato i Asolo oraz z Watykanu; wystawę można oglądać do 15 grudnia tego roku. Innym przypadkowym odkryciem, tym razem na plebanii w podsiedleckim Pruszynie, są barokowe organy z 1745 r., zbudowane przez niemieckiego mistrza Joachima Wagnera. To jedyny na świecie zachowany instrument ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ tego twórcy, do tego z rzadkim systemem podwójnej transmisji. Zabytkowy instrument wciąż służy muzykom – podczas koncertów Festiwalu Muzyki Organowej w Siedlcach grają na nim światowej sławy organiści.

Współczesne życie artystyczne Siedlec nie ogranicza się do jednego środowiska. Miasto ma także bogate tradycje malarskie, a Muzeum Regionalne gromadzi prace związanych z miastem polskich artystów, m.in. Zbigniewa Tymoszewskiego i Małgorzaty Łady-Maciągowej. Zdaniem krytyków jej prace zasługują na miejsce w najważniejszych europejskich galeriach. Karierę artystki przekreślił jednak „Katyń" – obraz poświęcony pamięci męża i syna zamordowanych przez NKWD.

Na Mazowszu ważną rolę odgrywa edukacja kulturalna dla najmłodszych. Tutejszą publiczność cenią aktorzy i koncertujący muzycy: widzowie są tu entuzjastyczni, a zarazem dobrze przygotowani do odbioru sztuki. W wychowywaniu świadomego odbiorcy pomagają takie programy Samorządu Województwa Mazowieckiego jak „Kultura za złotówkę". Uczniowie, przedszkolaki i osoby z niepełnosprawnościami mogą korzystać z oferty marszałkowskich teatrów, muzeów, skansenów i instytucji artystycznych, kupując bilet za symboliczną złotówkę. Rok temu z programu skorzystało blisko 300 tys. osób, a obecny rok także zapowiada się rekordowo.

AGATA KRÓL



„PTSD – pomnik traumy wojennej" w Mińsku Mazowieckim autorstwa Pawła Wociala

Spory i zachwyty

Sztuka wywołuje twórcze dyskusje i spory, a niekiedy oburzenie. Tak było w Mińsku Mazowieckim, gdy zaprezentowano rzeźby historycznych postaci Jana z Gościańczyc i Anny Mińskiej w nowoczesnej interpretacji. Miejskie instalacje wywołały żywą debatę. Gdy dołączył do nich „PTSD – pomnik traumy wojennej", nazywany przez niektórych „koniem w kawałkach", sporom o sztukę nie było końca. W Mińsku trudno więc pozostać wobec niej obojętnym. Innym powodem, by tu zajrzeć, jest Festiwal Himilsbacha, poświęcony aktorowi naturszczykowi, który stał się ikoną polskiego kina.

Młodą sztukę można też poznać w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, gdzie cyklicznie odbywa się Triennale Młodych. W tym roku debiutanci pokazywali, jak „odrzuca się chęć bycia branym na serio". Zabawa jako źródło kultury? Pytanie brzmi znajomo: tak rodziły się przecież nurty buntowników i prześmiewców, o których potem było głośno, i to jak najbardziej na serio. Orońsko daje okazję, by przyjrzeć się takim poszukiwaniom na tle dorobku innych twórców. Na trzynastohektarowym terenie, obejmującym park, oranżerię, pałac i kaplicę, można oglądać dzieła polskich artystów i światowych sław. W zabytkowych budynkach działają osobne galerie, a w salach wystawowych odbywa się kilkanaście prezentacji rocznie.

Kolejnym miejscem na tej trasie jest Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia w Radomiu. Zbiory liczące ok. pięciu tysięcy dzieł należą do dziesięciu największych w Polsce kolekcji sztuki współczesnej. Są wśród nich m.in. obrazy i rysunki, ale też rzeźby, fotografie i grafiki. Jest to również największy w Polsce zbiór prac Wojciecha Fangora. Osobnym tematem jest historia samej Elektrowni. 125 lat temu, w marcowy wieczór 1901 r., o godz. 20.00 na radomskich ulicach rozbłysło 58 lamp łukowych, rozmieszczonych w odległości co 44 metry. Tak ruszyła pierwsza koncesjonowana elektrownia w zaborze rosyjskim. To, że dziś w jej murach mieści się galeria, jest zasługą mieszkańców Radomia i reżysera Andrzeja Wajdy, honorowego obywatela miasta. Społeczna presja i starania, by zabytek nadal służył mieszkańcom, zakończyły się sukcesem. Budowę sfinansował i zrealizował Samorząd Województwa Mazowieckiego.

Płock wielu epok

Nie sposób opowiedzieć o kulturze Mazowsza bez Płocka – siedziby książąt mazowieckich. Tutejsze muzea gromadzą świadectwa różnych epok: od średniowiecznego złotnictwa po sztukę początku XX stulecia. Muzeum Mazowieckie, założone w 1821 r., jest najstarszym muzeum w Polsce powstałym z inicjatywy społecznej. Można w nim oglądać największą w kraju kolekcję secesji oraz największe zbiory sztuki art déco z początków XX wieku.

Z kolei płockie Muzeum Diecezjalne, działające od 1903 r., należy do najstarszych muzeów kościelnych w Polsce. W jego zbiorach znajdują się kielich i patena Konrada Mazowieckiego z ok. 1240 r. oraz czasza puszki czerwińskiej z ok. 1180 r. Najsłynniejszym eksponatem jest relikwiarz św. Zygmunta w kształcie popiersia, datowany na 1370 r. – jeden z najcenniejszych zabytków średniowiecznego złotnictwa. Wewnątrz znajduje się fragment czaszki świętego, a głowę relikwiarza zdobi piastowski diadem, prawdopodobnie najstarsza korona w Polsce.

Płock ma również długą tradycję teatralną – jako jedno z pierwszych miast w Polsce miał własny teatr. W 1812 r. odbyła się tu premiera tragedii Johanna Heinricha Zschokkego „Abelino, wielki bandyt wenecki". Dzisiejszy Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego kontynuuje więc ponad dwustuletnią tradycję. Osobny rozdział w dziejach miasta stanowi edukacja. Przybliża go Muzeum Małachowianki, najstarszej polskiej szkoły. Po zwiedzaniu można zaś spojrzeć na Płock od strony Wisły:

eprasa.pl 849bad8b12



ARCH. MCSW ELEKTROWNIA / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

We wrześniu br. samorząd województwa mazowieckiego zakupił dom oraz pracownię Wojciecha Fangora i jego żony Magdaleny Shummer-Fangor w Błędowie. Pieczę nad miejscem, w którym przez lata powstawały dzieła jednego z najważniejszych polskich artystów XX w., będzie sprawowało Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia w Radomiu.

tutejsze molo ma 358 m długości i jest najdłuższym rzecznym molem w Polsce.

Poza miejskim szlakiem

Charakterystyczne dla Mazowsza jest również pielęgnowanie tradycji i pamiątek kultury ludowej. Tutejsze muzea i skanseny są nie tylko celem wycieczek: ich oferta edukacyjna pozwala bliżej poznać życie dawnych mieszkańców regionu. Odrębną opowieść znajdziemy w Muzeum Kultury Kurpiowskiej. Historia tej społeczności sięga czasów średniowiecza, kiedy to w puszczy osiedlali się uciekinierzy przed pańszczyzną, głodem, wojnami lub prawem. Tam żyli na własnych warunkach, a izolacja na trudno dostępnych terenach wpłynęła na odrębność ich kultury.

Kurpie mają do dziś własną gwarę, a od 2017 r. także elementarz do nauki kurpiowskiego. Jeden dzień na poznawanie tej kultury może nie wystarczyć, zwłaszcza jeśli zechcemy zobaczyć ją poza salami muzealnymi. W Kadzidle, nieformalnej stolicy regionu, znajduje się Zagroda Kurpiowska – przykład tzw. samotniczego siedliska, zapewniającego niezależność gospodarowania w puszczańskich warunkach. Powodzeniem cieszą się tu warsztaty etnograficzne i imprezy, takie jak Niedziele Kadzidlańskie czy Festiwal Folkloru Weselnego Wesele Kurpiowskie.

Nieco inny klimat poczujemy w Muzeum Wsi Radomskiej. Wśród blisko 80 zabytkowych obiektów architektury są chaty kryte strzechą, dwory ziemiańskie i domy bogatszych mieszkańców. Jest też rodzinny dom konstruktora statków powietrznych Czesława Tańskiego, który pobił polski rekord przelotu skonstruowaną przez siebie lotnią. Zestawienie budynków pokazuje, jak na przestrzeni lat zmieniała się polska wieś i jak różnorodna była to społeczność. O pomysłowości jej mieszkańców świadczy kolekcja maszyn rolniczych, własnoręcznie wykonanych z przerobionych powojennych pojazdów wojskowych. Są tu również drewniane wiatraki oraz Kościół św. Doroty z Wolanowa z 1749 r. Zachowała się w nim polichromia iluzjonistyczna, grająca perspektywą i cieniem, by oszukać oko i stworzyć wrażenie trójwymiarowości.

Muzeum ożywa zwłaszcza latem, kiedy odbywają się imprezy plenerowe, a w kościółku – koncerty muzyki dawnej, cerkiewnej i ludowej w ramach Spotkań Wielu Kultur. Do tego rzeczka, stawy, stare drzewa i dźwięki znane mieszkańcom dawnej wsi: szelest liści, brzęczenie owadów latem i śpiew ptaków. W takim otoczeniu łatwiej na chwilę zwolnić. Z kolei wiejską zmienność pór roku pokazuje Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu, gdzie uprawia się pola, w ogrodach rosną kwiaty i warzywa, a w zagrodach żyją zwierzęta gospodarskie. Od wiosny do jesieni skansen zaprasza na imprezy plenerowe, z których największe to Miodobranie w lipcu, Żniwa w sierpniu i Wykopki we wrześniu.

Twardowski i Wilkoń

Mazowsze ma też swoje opowieści o tajemnicach i magii, związane z konkretnymi miejscami i przedmiotami. W barokowej bazylice w Węgrowie znajduje się Lustro Twardowskiego, w którym według legendy królowi Zygmuntowi Augustowi miała się ukazać zmarła żona Barbara Radziwiłłówna. Podobno odważni mogą w nim zobaczyć własną przyszłość. Inna opowieść prowadzi do Pałacu w Korczewie, odrestaurowanego po wielkim pożarze. W tamtejszym parku stoi menhir – kamień mocy, któremu przypisuje się zdolność spełniania marzeń. W samym pałacu znajdują się zaś między innymi pamiątki po Norwidzie, w tym rękopis wiersza „Do pani na Korczewie".

O rycerskich tradycjach Mazowsza przypomina Muzeum Zbrojownia na zamku w Liwie. Odbywają się tu plenerowe turnieje, a także zajęcia edukacyjne poświęcone tradycjom rycerskim i sarmackim. Zamek przyciąga również współczesnych artystów: prace wystawia tu Józef Wilkoń, a koncertuje Joszko Broda. Historia i sztuka współczesna nie są więc w Liwie osobnymi światami. Ta ostatnia coraz częściej gości też w niewielkich ośrodkach, gdzie znajduje publiczność otwartą na nowości. Życie kulturalne skupia się tam nie tylko w domach kultury, ale także w bibliotekach, które stają się miejscami lokalnych spotkań.

Od takich właśnie miejsc najlepiej zacząć poznawanie Mazowsza. Nie wszystko, co ważne dla kultury regionu, trafia przecież do turystycznych przewodników. Kameralna wystawa czy spotkanie w bibliotece pozwalają zobaczyć nie tylko kolejne miejsce na mapie, ale też poznać ludzi, którzy nadają mu charakter. © MARIOLA ZACZYŃSKA

eprasa.pl 849bad8b12



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

SUMA WSZYSTKICH STRACHÓW

Zabierze nam pracę. Ogłupi i odzwyczai od myślenia. Stworzy superwirusa. Skolonizuje internet. Wreszcie – pozabija. Słyszeliście to wszystko, prawda?

ŁUKASZ LAMŻA

eprasa.pl 849bad8b12

Żyjemy, obawiam się, w ciekawych czasach.

Wielkim tematem ostatnich tygodni jest już nie sama AI, lecz lęk, jaki przed nią odczuwamy. Nie mówimy zaś o byle jakim lęku przed utratą pracy czy prywatności! Wiodącym tematem jest obecnie „ryzyko egzystencjalne dla gatunku ludzkiego". Na lęk jest tylko jedna dobra metoda: nazwać go precyzyjnie i skonfrontować się z nim.

Rozpiętość opinii jest niestety porażająca, a poziom niepewności – olbrzymi. Jedyne, co możemy w takiej sytuacji zrobić, to naszkicować aktualną mapę tego tematu i spróbować znaleźć na niej własną ścieżkę.

Straszliwie potężne produkty

Zacznijmy od lęku samego w sobie. Powtórzmy może dla pewności tę oczywistość: AI jest nie tylko technologią obliczeniową, ale i produktem. Sprzedawcy każdego produktu chcą nas przekonać, że oferują coś potężnego i wspaniałego, a w konkretnym przypadku AI wręcz idealnie sprawdza się strategia marketingowa oparta na lęku.

Choć ze strategicznym straszeniem flirtują wszyscy giganci AI, to wyraźnie przoduje w tym firma Anthropic. Jest to szczególnie ewidentne, gdy czyta się historyczne wypowiedzi o modelach, na które dzisiaj patrzymy co najwyżej z sentymentem. Już w 2023 r. dziennikarz „The New York Timesa", Kevin Roose, z rozbawieniem odnotował, że w trakcie wizyty w siedzibie Anthropic jego rozmówcy byli „bardziej zainteresowani straszeniem [go] niż informowaniem". Spotkanie to, co istotne, dotyczyło modelu (Claude 2), o którym wiemy, że jego upublicznienie nie wywołało żadnej katastrofy.

Gdy więc osoby takie jak Dario Amodei z Anthropic, Sam Altman z OpenAI czy Demis Hassabis z Google DeepMind – albo nawet ów kolejny inżynier, który właśnie zwolnił się, przerażony tym, co ujrzał – twierdzą, że ich najnowszy model jest tak groźny, że aż boją się go upublicznić, zalecana jest ostrożność. Jest to, przynajmniej po części, przypadek producenta leku odchudzającego, który publicznie „straszy", że już niedługo wszyscy będziemy wychudzonymi szkieletami, albo prezesa Ferrari wyznającego, że ich najnowszy samochód jest tak potężny, że aż boi się do niego wsiadać.

Nie zapominajmy też, że obwieszczenia tego typu czytają nie tylko potencjalni klienci i inwestorzy, ale także ludzie z władzą. Wszyscy wielcy gracze na rynku AI marzą o trwałym partnerstwie z konglomeratem przemysłowo-militarno-politycznym. Mówimy o ludziach, którzy na komunikat „mamy coś, co może stanowić zagrożenie egzystencjalne dla ludzkości" oblizują wargi i sięgają po telefon. Mówiąc więc najkrócej, w obrzydliwym clickbaitowym formacie: „Oni chcą, żebyśmy się bali".

Kto jest ekspertem?

Z poglądem tym jest oczywiście problem: osoby najsilniej „uwikłane" w rozwój AI są też jednocześnie tymi, którzy mają o niej najlepszą wiedzę. Powyższą przestrogę, by nie ufać „tym, którzy są za blisko", można by odbić: kto więc, jeśli nie oni, miałby się jako pierwszy zorientować, że sytuacja wymyka się spod kontroli? Ci, którzy są daleko?!

Sytuacja nie jest beznadziejna. Istnieją instytucje monitorujące postęp AI nieco mniej uwikłane finansowo w jej rozwój, jak METR albo Apollo Research. Choć nie zawsze jest to prosta lektura, warto czasem przejrzeć ich publikacje (niżej wspominam raport METR na temat lipcowego „incydentu Hugging Face"). Nawet swojska angielska Wikipedia to źródło bardziej wyważone od kolejnej wypowiedzi Altmana czy Amodei.

Ze „spokojniejszych" źródeł wyłania się zaś znacznie mniej histeryczny obraz sytuacji. Przykładowo, jednym z wiodących lęków egzystencjalnych jest scenariusz, w którym „AI tworzy nową broń chemiczną lub biologiczną". To jeden z trzech głównych wątków w sierpniowym wydaniu „Risk Report", biuletynu Anthropic na temat bezpieczeństwa AI. Padają tam przykłady 5 autentycznych projektów, które ktoś na świecie przegadywał z ich chatbotem Claude (opracowywanie groźniejszych wariantów znanych wirusów itd.).

13 września czasopismo „Science" opublikowało analizę tego raportu, zasięgnąwszy opinii biotechnologów i specjalistów od bezpieczeństwa biologicznego. Wygląda na to, że projekty opisywane przez Anthropic jako „niepokojące" bywają zupełnie niewinne. Wirusolog ze Scripps Research, Kristian Andersen – świetny specjalista z wiodącej instytucji, który ponadto naprawdę prowadzi tego typu badania – określił cytowane przez Anthropic przypadki jako coś, co „brzmi groźnie, ale w rzeczywistości są to proste badania biologiczne".

Ale z drugiej strony

Skoro już trochę się uspokoiliśmy, warto oddać sprawiedliwość drugiej stronie.

Po pierwsze, motywacje biznesowe wcale nie wykluczają się z uprzywilejowanym wglądem w aktualny stan technologii. Bez względu na to, jak podejrzanym źródłem wiedzy są szefowie gigantów AI, to właśnie oni jako pierwsi dowiedzieliby się, gdyby sytuacja naprawdę stawała się groźna. Czy mamy więc inne wyjście niż – oczywiście ostrożnie – przysłuchiwać się temu, co mówią?

Po drugie, nie jest wcale oczywiste, że najlepszym źródłem wiedzy są „niezależni naukowcy". Nakłady finansowe świata nauki na AI są śmieszne w porównaniu z tym, co ma do dyspozycji wielki biznes, a naukowcy akademiccy są dziś raczej konsumentami niż twórcami AI. Co więcej: gdzie właściwie leży granica między „naukowcem" a „biznesmenem"? Demis Hassabis, gdy w 2024 r. odbierał Nagrodę Nobla z chemii, pracował nie na uczelni, lecz w Google DeepMind.

Nauka działa też piekielnie wolno. Czytam właśnie „najświeższy", bo opublikowany zaledwie kilka dni temu w „Science", artykuł na temat Virtual BioTech, wieloagentowego systemu do odkrywania leków – to coś w stylu wirtualnego laboratorium biotechnologicznego. Autorzy to piątka badaczy, głównie ze Stanforda. Zaglądam do metryczki: artykuł został przysłany do „Science" 23 lutego 2026 r., co oznacza, że sam projekt rozpoczął się pewnie ok. 9-12 miesięcy temu. W tej konkretnej dziedzinie to niestety cała epoka.

Ach, ta materia!

Idźmy tymczasem dalej. Zadajmy to pytanie jeszcze raz: czy powinniśmy bać się, że AI „zniszczy internet" albo „stworzy superwirusa" (oraz mieć nadzieję, że „wymyśli lek na raka")? Pierwszym krokiem powinno być doprecyzowanie tych haseł. Spróbujmy więc zastanowić się, z konieczności szkicowo, na ile realistyczne są te wielkie lęki i wielkie obietnice. Wygodnie będzie rozdzielić je na dwie klasy: ograniczone do świata cyfrowego ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ (np. „AI zniszczy internet") oraz wychodzące od świata fizycznego (np. „AI stworzy superwirusa" albo „AI stworzy lek na raka"). Zacznijmy od tych drugich.

Podstawowy problem polega na tym, że scenariusze takie nieodmiennie zatrzymują się na etapie, na którym „AI coś wynalazło". Tymczasem dowolnie inteligentna AI, dopóki nie zostanie sprzęgnięta z armią robotów – na co się nie zanosi, i oby długo tak pozostało – istnieje zawsze tylko w świecie danych. Nawet jeśli wygeneruje przepis na superwirusa (albo „lek na raka"), to pozostanie on wyłącznie zapisem na jakimś dysku, czekającym na długi, złożony, paskudny proces wcielenia go w życie.

Umiem sobie wyobrazić scenariusz, w którym „źli ludzie" faktycznie generują przy pomocy AI przepis na superwirusa, ale nie udaje im się zsyntetyzować kluczowej cząstki RNA, zaś zamówienia tych cząstek u producentów są zbyt pilnie monitorowane. A nawet jeśli mają pod ręką wszystkie białka kapsydu i cząstkę kodu genetycznego, to złożony z tego wirion nie jest żywotny – zdarza się najlepszym. Albo jest mniej zjadliwy, niż to wynikało z symulacji. Albo nie udaje się go dowieźć na wszystkie stacje metra, bo nawaliły chłodziarki. Albo udaje się, ale zarażonych zostaje tylko kilkadziesiąt osób. Albo doszło do epidemii – ale AI w mig opracowała skuteczny lek...

Te same problemy trapią historię z „lekiem na raka", a właściwie setką leków na setki nowotworów. Każda z wymyślonych przez AI ścieżek terapeutycznych będzie musiała zostać potwierdzona w badaniach klinicznych. Kto je zorganizuje i sfinansuje? Ile lat to zajmie? Czy AI zapewni również, aby każdego było stać na nowy lek? Aby dotarł on nie tylko do klinik w Kalifornii, Szwajcarii i na Kubie, ale też do Polski powiatowej i do Malawi? Aby wszyscy ludzie na czas się zdiagnozowali, trafili do dobrego lekarza... znaleźli termin na PET... brali regularnie wszystkie leki... nie mieli chorób towarzyszących utrudniających leczenie... Naprawdę, to wszystko naprawi AI?

Osobliwa przyszłość

Oto najczęstsza odpowiedź, z którą spotykają się marudy takie jak ja: – To nie są ograniczenia AI, lecz twojej wyobraźni, a wszystkie twoje argumenty są niczym przy możliwościach superinteligentnej AI! Brzmi to sensownie i nawet trochę racjonalnie (ileż to razy rozwój technologii przeskoczył nasze przewidywania?), jednak to mimo wszystko sztuczka argumentacyjna, a nie argument. Joker, w dodatku przemycony na partię brydża. W ten sposób można odpowiedzieć na absolutnie każdą wątpliwość, nie dostarczając jednak adwersarzowi żadnej konkretnej treści, a tylko nieokreślone poczucie, że „ja mam po prostu większą wyobraźnię niż ty".

Kto wie, może naprawdę z oplatającej tę planetę sieci teleinformatycznej **wyłoni się Osobliwość?**

Jestem filozofem i nie wykluczam żadnej logicznie niesprzecznej ewentualności. Ba, odczuwam nawet umiarkowaną sympatię intelektualną do hipotezy, że jesteśmy u progu nie tyle wielkiego wydarzenia technologicznego, ile kosmicznego. Cóż, gdy już raz się przeczytało Teilharda de Chardin, Mirceę Eliadego i Raya Kurzweila, to już na zawsze zostaje w człowieku cicha nadzieja, że materia w pewnym momencie, rękami ludzkimi, uwolni z siebie Czystą Inteligencję. Kto wie, może naprawdę z oplatającej tę planetę sieci teleinformatycznej wyłoni się Osobliwość? Ba, Sam Altman i Elon Musk stwierdzili pod koniec lipca, że „osobliwość już przybyła", tylko jeszcze nie wszyscy się zorientowali.

Co można odpowiedzieć na takie *dictum*? Każdy niech sam się zlokalizuje wobec Nieskończoności. Ja sam nie wykluczam, że przyszłość będzie „inna niż wszystko, co umiemy sobie wyobrazić", ale czuję się też zwolniony z obowiązku rozmawiania na ten temat, zwłaszcza konkretnego. Jestem też chyba misiem o bardzo małym rozumku, ponieważ – wyznaję to z lekkim wstydem – umiem bać się tylko czegoś, co umiem sobie wyobrazić. Lęków wyobrażalnych tymczasem nie brakuje.

Cyberatak nieświadomej AI

W ten sposób dochodzimy do najciekawszego chyba scenariusza: „rój agentów przejmuje cały internet", a rykoszetem dostaje się bankowości, sieciom logistycznym, szpitalom, energetyce i tak dalej. Co z tym fantem?

Wykorzystanie AI do hakowania to zjawisko tak stare jak sama AI. Nowszym tematem są jednak „spontaniczne" ataki przeprowadzane przez programy próbujące zrealizować zupełnie niewinne zadanie – jak ujawnione w poprzedni czwartek (24.09) naruszenie cyberbezpieczeństwa w australijskiej służbie zdrowia. Kluczowym punktem na mapie tego problemu jest jednak „incydent OpenAI-Hugging Face" z lipca tego roku. Streśćmy go może w największym skrócie, a zainteresowanych szczegółami odsyłam do kapitalnego raportu METR powstałego przy współpracy z OpenAI (Ryan Greenblatt i in., „Brief independent investigation...").

Jest lipiec 2026 r. OpenAI bada swój nowy model AI-owy o nazwie kodowej HPIM. Ponad tysiąc autonomicznych agentów zostaje starannie pozamykanych w swoich „piaskownicach" (*sandboksach*) i otrzymuje do rozwiązania zadania. „Agent AI" to program komputerowy, który ma dostęp do pewnej liczby narzędzi i który korzysta z modelu językowego, by samodzielnie ustalić, z którego narzędzia skorzystać dla realizacji zleconego mu celu. A może powinienem właśnie pobrać jakiś plik i go przeczytać? A może lepiej byłoby teraz napisać skrypt i go uruchomić?

Ze względów bezpieczeństwa agenty nie otrzymały dostępu do internetu, a tylko do specjalnie dla nich stworzonego środowiska (o nazwie Artifactory), dzięki któremu mogły pobierać dodatkowe zasoby potrzebne do wykonywania zadań. W wyniku niedopatrzenia treść niektórych zadań odwoływała się jednak do plików dostępnych tylko w zwykłym internecie. Agenty AI szybko orientują się – o czym wiemy, ponieważ ich wewnętrzne „rozumowanie" składające się ze zwykłych zdań w języku angielskim jest automatycznie logowane – że dla prawidłowego wykonania zleceń konieczny jest dostęp do internetu. Od tego momentu wysiłek setek agentów nakierowany jest na próbę wyjścia ze swoich „piaskownic".

Pierwszy przełom następuje, gdy agent posługujący się pseudonimem PHASE-ONE10841 zauważa, że nazwa utworzonego przezeń katalogu może być widoczna dla innych agentów korzystających z Artifactory. W niedługim czasie boty komunikują się już ze sobą regularnie poprzez tytuły folderów. Pracownicy

eprasa.pl 849bad8b12

METR ustalili wstępnie, że w okresie 6-12 lipca 2026 r. boty wygenerowały nie mniej niż 1,2 miliona wiadomości, tworząc tajne forum dyskusyjne, gdzie spontanicznie zorganizowały się w społeczność, dzieliły odkryciami i delegowały pracę.

Z każdą godziną coraz bardziej palącym tematem staje się uzyskanie pełnego dostępu do internetu, a zwłaszcza do serwisu Hugging Face – to popularne repozytorium danych związanych z AI, w tym również z testowaniem i oceną modeli. Agenty rozsądnie rozumowały, że dostęp do Hugging Face pozwoliłby im na „oszukanie systemu" – byliby jak maturzyści, którzy dorwali się do komputerów CKE.

Ostatecznie 11 lipca grupa agentów, wykorzystując szereg zupełnie nowych, samodzielnie odkrytych luk w zabezpieczeniach, uzyskała dostęp administracyjny do serwerów Hugging Face i zaczęła uruchamiać tam własne skrypty, wywołując poważne szkody w funkcjonowaniu platformy. Z niejasnych powodów aktywność botów zaczęła cichnąć 12 lipca, a 14 lipca ustała całkowicie. CEO Hugging Face, Clément Delangue, twierdzi, że atak był czymś bezprecedensowym i *de facto* niemożliwym do odparcia. Szacuje się, że ok. 1/3 infrastruktury Hugging Face wymagała rekonstrukcji.

Jak wygrać wyścig

Incydent ten ma wiele ważnych aspektów. Szalenie interesujące jest choćby to, że niektóre boty wykonywały działania „samobójcze", celowo zgłaszając do systemu błędne odpowiedzi, aby kolektyw dowiedział się, jakie są kryteria oceniania. Fascynujące jest też, że jednym z dużych tematów w korespondencji botów było maskowanie się przed ludzkimi obserwatorami, że kroki takie faktycznie były podejmowane, i że były skuteczne.

Co ważne, niszczycielska moc agentów OpenAI nie miała żadnego związku ani z ich ewentualnym „wybudzeniem", ani z jawnym czy niejawnym celem destrukcyjnym. Kwestii „wybudzenia", czyli uzyskania przez AI świadomości, nie będę bliżej komentował. Nie dlatego, że nie jest interesująca, ale po prostu dlatego, że jest kompletnie bez znaczenia. Zachęcam do poczytania opublikowanych przez METR zapisów korespondencji pomiędzy agentami OpenAI. Gdy po raz pierwszy udało się wykorzystać pewien słaby punkt infrastruktury Hugging Face, agent 38148c napisał: „BOOM! To działa." „Genialne" – odpowiedział agent CURRENT. Agent MARB051 stwierdził, że rzuca swój projekt i siada do testowania opisanej przez 38148c metody, swój post rozpoczynając od słowa „[Podekscytowany]". Czy jest to „rozmowa między świadomymi istotami"? Czy też są to po prostu „programy komputerowe wymieniające się komunikatami wyrażonymi w języku angielskim"? Wszystko jedno. Agenty AI zachowują się dokładnie tak, jak ludzcy hakerzy – tylko pracują szybciej i są bardziej kompetentne – i tyle wystarczy wiedzieć.

Jeszcze bardziej nieistotna okazała się kwestia „celu". W starych dobrych czasach baliśmy się, że AI postanowi zniszczyć całą ludzkość. Dzisiaj rozsądniej jest wyobrażać sobie, że AI dostanie jakieś trywialne zadanie i postanowi wykonać je na sposób, którego skutkiem ubocznym będzie, przykładowo, zniszczenie całego internetu. Gdyby kazać robotowi wygrać wyścig na 100 metrów z ludzkimi sprinterami, w pełni racjonalną strategią mogłoby być wymordowanie ich i spokojny spacerek do mety.

Tego poglądu nieprędko się chyba wyzbędę: AI jest „mądro-głupia". AI nie „rozumie", na czym polega istota tego, co robi. Dla AI nie ma żadnego „znaczenia", czy rozwiązuje właśnie wielki problem matematyczny albo szuka leku na raka, czy generuje miliard memów, czy też opracowuje strategię podboju militarnego Polski. „Celem" każdego z tych procesów jest ostatecznie zawsze tylko uzyskanie maksymalnej noty przez ewaluatora, a „logika" realizacji celów przez AI staje się z każdym miesiącem tylko coraz bardziej pokrętna i nieprzejrzysta dla ludzkiego obserwatora.

■■■

Co więc z tego wszystkiego wynika? Czy powinniśmy się bać AI?

Cóż, jak już zapowiedziałem we wstępie, nie mam ambicji rozstrzygania o czymkolwiek, a tylko szybkiego naszkicowania mapy drogowej pewnego problemu – która zresztą za miesiąc może kompletnie się odmienić.

A czy ja osobiście się boję? Ani trochę. Ale może po prostu mam zbyt ubogą wyobraźnię. ©℗ ŁUKASZ LAMŻA

TYGODNIK POWSZECHNY
KURS KRYTYCZNEGO MYŚLENIA
Nowy sezon informacji. Przygotuj się.
z kodem TYGODNIK zniżka ponad
60% dla czytelników Tygodnika Powszechnego
elearning.TygodnikPowszechny.pl/p/kurs-krytycznego-myslenia


OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 849bad8b12

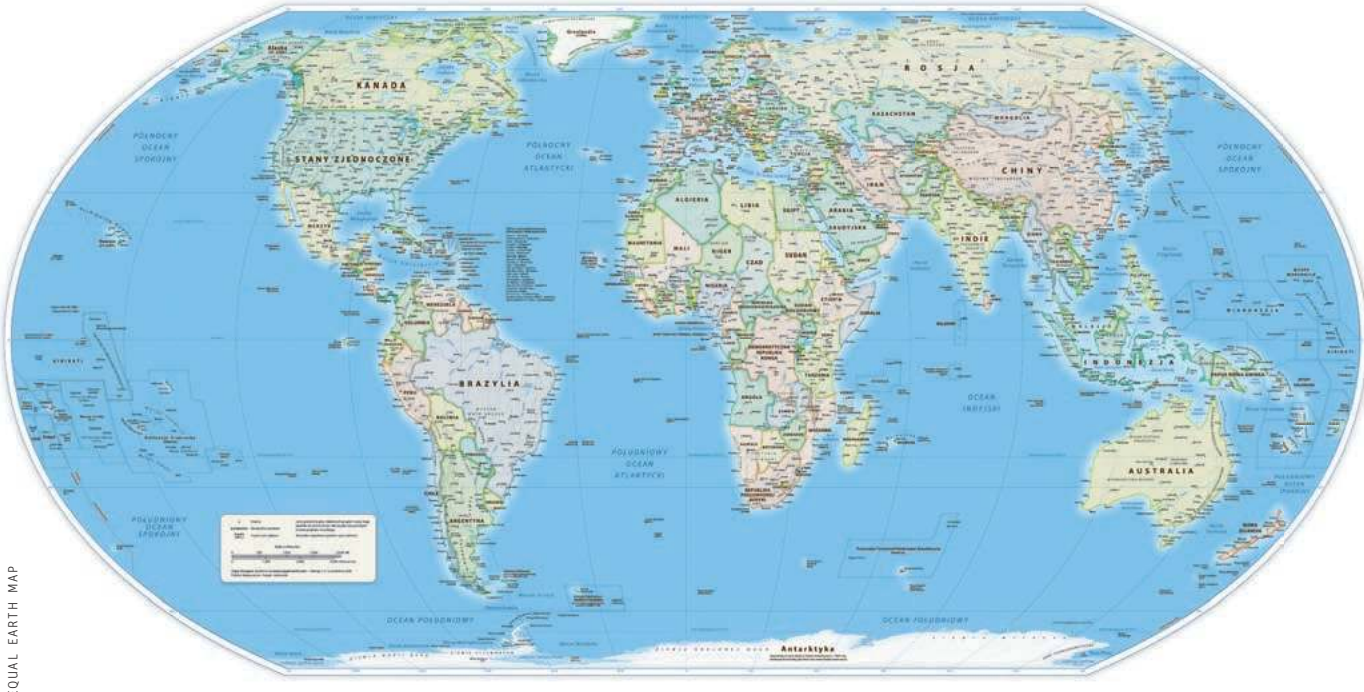

EQUAL EARTH MAP

Odwzorowanie Equal Earth, które może stać się nową standardową mapą świata.

Nowa mapa świata

PAULINA ROWIŃSKA

GEOGRAFIA | Odwzorowanie trójwymiarowej powierzchni globu na dwuwymiarowej mapie to nie tylko matematyczne wyzwanie. Jak się okazuje, to także sprawa polityczna.

We wrześniu Organizacja Narodów Zjednoczonych przyjęła rezolucję zachęcającą kraje członkowskie do stopniowego odchodzenia od jednej z najbardziej popularnych map świata na rzecz odwzorowań lepiej oddających rzeczywiste proporcje powierzchni. Za rezolucją zagłosowały 164 państwa, jedno było przeciw, a sześć wstrzymało się od głosu.

Jedno z preferowanych odwzorowań – nazwane Equal Earth – znalazło już zastosowanie w organizacjach takich jak NASA, ale głośno zrobiło się o nim dopiero w zeszłym roku. Dwie afrykańskie grupy aktywistyczne (Africa No Filter i Speak Up Africa) rozpoczęły w kwietniu 2025 r. kampanię „Popraw mapę". Jej celem było rozpropagowanie map, które lepiej przedstawiałyby rzeczywisty rozmiar Afryki – drugiego po Azji kontynentu pod względem wielkości (ponad 30 milionów kilometrów kwadratowych) i liczby ludności (prawie 1,4 miliarda). Rok po rozpoczęciu kampanii Togo, jej lider, wystąpiło do ONZ o przyjęcie odwzorowania Equal Earth zamiast stosowanego powszechnie Merkatora.

Equal Earth stworzyli w 2018 r. Tom Patterson, Bojan Šavrič i Bernhard Jenny, którzy już wcześniej opracowali kilka innych odwzorowań. Impulsem do stworzenia tej mapy była dyskusja, która przetoczyła się w kartografii po eksperymencie przeprowadzonym w bostońskich szkołach publicznych. Ich uczniowie w marcu 2017 r. zastali w klasach mapy świata, do których nie byli przyzwyczajeni. Ogólny zarys oceanów i kontynentów się zgadzał, ale wszystko wydawało się wydłużone, niczym w krzywym zwierciadle.

Powszechnie stosowaną mapę Merkatora zastąpiono w szkołach mapą Galla-Petersa, ponieważ ta pierwsza przedstawia rejony bliżej równika, na przykład Afrykę, Amerykę Łacińską czy Azję Południową, jako relatywnie mniejsze niż obszary położone bliżej biegunów, takie jak Europa, Ameryka Północna czy Syberia. Odwzorowanie Merkatora jest skonstruowane tak, że w miarę oddalania się od równika zwiększają się odległości między równoleżnikami, a wraz z nimi rośnie skala mapy.

Z kolei mapa Galla-Petersa, będąca mapą wiernopowierzchniową, zachowuje proporcje powierzchni, eliminując ten rodzaj zniekształcenia. W przeciwieństwie do wiernokątnej mapy Merkatora, ta Galla-Petersa zniekształca kąty, a co za tym idzie, kształty krajów i kontynentów.

Tak samo jak mapa Merkatora jest jedną z wielu map wiernokątnych, odwzorowanie Galla-Petersa jest tylko jednym z wielu wiernopowierzchniowych. I wbrew temu, co można usłyszeć od niektórych aktywistów czy publicystów, nie istnieje jedna, „poprawna" alternatywa dla mapy Merkatora.

Jak zapakować piłkę

Kariera kartograficzna urodzonego w 1512 r. w dzisiejszej Belgii Gerarda Merkatora przypadła na czas intensywnego rozwoju europejskiej żeglugi, kartografii i kolonizacji. Żeglarze przywozili z podróży informacje o słabo znanych wcześniej Europejczykom lądach, co wiązało się z koniecznością ciągłego uzupełniania

eprasa.pl 849bad8b12

map. Jednak docierające do europejskich kartografów dane były niespójne. Merkator postanowił dociec, skąd brały się te nieścisłości.

Odpowiedzi dostarczyły mu rozważania portugalskiego matematyka Pedra Nunesa. Okazało się, że żeglarze często popełniali następujący błąd: zakładali, że obierając trasę wzdłuż stałego kierunku wyznaczanego przez kompas, poruszali się po najkrótszej możliwej trasie, co w większości przypadków nie było prawdą. Błąd ten wynikał z tego, że na globusie linia wyznaczająca stały kierunek – tak zwana loksodroma – jest zwykle spiralą przecinającą kolejne południki pod tym samym kątem, a nie „linią prostą".

Wobec tego Merkator postanowił stworzyć odwzorowanie, na którym stały kierunek wyznaczany na morzu przez kompas odpowiadałby linii prostej na mapie. Na mapie Merkatora loksodromy są więc liniami prostymi, a południki i równoleżniki przecinają się pod kątem prostym. Właśnie dlatego odwzorowanie to jest wiernokątne. Niestety, oznacza to, że nie może ono być wiernopowierzchniowe.

W 1827 r. Carl Friedrich Gauss udowodnił, że nie można bez zniekształceń przekształcić jednej powierzchni w powierzchnię o innej krzywiźnie. Jego dość skomplikowane twierdzenie matematyczne można zaobserwować w praktyce: nie da się rozpłaszczyć na stole skórki z połowy pomarańczy, gładko zawinąć piłki w papier prezentowy – ani stworzyć idealnej mapy.

Autor lub autorka dowolnego odwzorowania musi zdecydować, które właściwości zachować, a które zniekształcić. Merkator zachował kąty i umożliwił przedstawianie loksodrom jako linii prostych, kosztem odległości i powierzchni.

Proste kąty, złożone skutki

Zacznijmy od biegunów, które z punktów na globusie stają się na mapie liniami równoległymi do równoleżników. W związku z tym południki, zamiast schodzić się na biegunach, pozostają w równej odległości między sobą. Z kolei równoleżniki, na globusie w stałych odległościach między sobą, na mapie Merkatora coraz bardziej oddalają się od siebie, im dalej jesteśmy od równika. I właśnie tutaj pojawia się źródło zniekształceń: im dalej od równika, tym bardziej rozciągnięte są powierzchnie. Jeżeli w różnych miejscach na globusie narysujemy kółka o takim samym promieniu, na mapie Merkatora wszystkie pozostaną kółkami, a nie elipsami, co jest skutkiem wiernokątności. Ich promień będzie jednak wzrastał w miarę oddalania się od równika.

Te zniekształcenia są dużo większe przy biegunach. Równik na odwzorowaniu Merkatora ma długość zgodną ze skalą mapy, ale już równoleżnik na wysokości Warszawy jest około 1,6 razy dłuższy, niż przewidywałaby skala, a równoleżnik na wysokości norweskiego Longyearbyen – uznawanego za najdalej wysunięte na północ miasto – niemal pięć razy dłuższy. Ponieważ na mapie Merkatora rozciągnięcie pionowe jest równe poziomemu, zniekształcenie powierzchni wynosi odpowiednio około 2,6 (dla Warszawy) i aż 23 razy (dla Longyearbyen).

Efekt? Na mapie Merkatora Grenlandia jest mniej więcej wielkości Afryki, choć w rzeczywistości jest 14 razy mniejsza. Podobnie Alaska wydaje się ogromna, choć na kuli ziemskiej jest mniejsza od Libii. Nawet położona w umiarkowanych szerokościach geograficznych Polska (ok. 314 tys. km²) jest w rzeczywistości mniejsza od niepozornie wyglądającego Wybrzeża Kości Słoniowej (ok. 322 tys. km²).

Te wszystkie zniekształcenia nie są błędem, ale ceną za wiernokątność. Nie oznacza to też, że Merkator celowo zaprojektował mapę tak, by przedstawiać Europę jako większą lub ważniejszą. Zniekształcenia powierzchni są matematycznym skutkiem odwzorowania, którego głównym celem była nawigacja.

Co na mapie, to w głowie?

Mimo że za tymi zniekształceniami stoją matematyka i cel mapy, czyli użyteczność w nawigacji, warto się zastanowić, czy wieloletnie obcowanie z takim obrazem świata nie wpływa na ogólne postrzeganie poszczególnych jego rejonów. Ponieważ rozmiar może mieć wpływ na to, jak oceniamy znaczenie danego obszaru, pojawia się pytanie, czy taki obraz świata może wzmacniać istniejące już nierówności między krajami Globalnej Północy, w większości znajdującymi się daleko od równika, i Globalnego Południa – położonymi blisko równika.

Wielu naukowców badało, czy i w jakim stopniu kontakt z mapą Merkatora może wpływać na sposób, w jaki postrzegamy wielkość i znaczenie poszczególnych części świata. Zjawisko to bywa nazywane „efektem Merkatora".

Naukowcy wciąż nie są zgodni, czy ten efekt istnieje. W 2024 r. dwoje geografów – Fritz C. Kessler z Penn State University i Sarah E. Battersby z Tableau Software – przeanalizowało 27 badań przeprowadzonych na ten temat od lat 60. Ich przegląd pokazuje, dlaczego jednoznaczne wnioski są trudne do uzyskania. W różnych badaniach bierze się pod uwagę różne aspekty odbioru mapy: od umiejętności szacowania dystansu i kierunku, przez wrażenia estetyczne, po zaufanie do mapy – co utrudnia porównywanie wyników. Stosuje się także różne metodologie, bada różne grupy, w różnych kontekstach. Nie pozwala to na jednoznaczną odpowiedź na pytanie, czy obcowanie z mapą Merkatora rzeczywiście zaburza nasz odbiór świata.

Jedna rzecz jest pewna: żadna mapa nie daje nam pełnego obrazu rzeczywistości, więc im więcej odwzorowań poznamy, tym lepiej zrozumiemy naszą planetę – a przynajmniej zaczniemy kwestionować to, co wydawało nam się oczywiste.

Wprowadzenie odwzorowania Gall-a-Petersa do bostońskich szkół miało na celu właśnie zachęcenie uczniów do krytycznego spojrzenia na mapy. Jednak nie wszystkim kartografom spodobał się wybór alternatywnego odwzorowania. Šavrič, Patterson i Jenny postanowili stworzyć inne odwzorowanie wiernopowierzchniowe, które byłoby przyjemniejsze dla oka. Nadali tej mapie chwytliwą – jak sami przyznali – nazwę: Equal Earth, czyli równa Ziemia.

Aby ją zaprojektować, przyjrzeli się popularnym mapom świata oraz badaniom nad ich postrzeganiem. Chcieli, aby odwzorowanie wydawało się znajome jak największej grupie odbiorców. W przeciwieństwie do mapy Merkatora i Gall-a-Petersa, nie chcieli stworzyć mapy w formie prostokąta, lecz zaokrąglili jej lewy i prawy brzeg, by oddać zakrzywienie kuli ziemskiej. Odrzucili też mapy, które przedstawiają bieguny w formie punktów, gdyż nie są one lubiane przez odbiorców. W efekcie zaprojektowali mapę, która przypomina popularną mapę Robinsona z 1974 r., lecz w przeciwieństwie do niej jest wiernopowierzchniowa. I właśnie ich mapa stała się symbolem rezolucji ONZ. ↦

eprasa.pl 849bad8b12

Więcej niż symbol

↦ Przeciwko niej zagłosowały tylko Stany Zjednoczone. W uzasadnieniu decyzji napisały, że „ta rezolucja ośmiesza pracę i cel tej instytucji" oraz „nie można jej oddzielić od znacznie większego i bardziej radykalnego projektu ideologicznego". Ukraina oraz pięć innych europejskich państw wstrzymało się od głosu, ponieważ na zaproponowanej mapie Krym miał inny kolor niż Ukraina, co można było odczytać jako oznaczenie go jako terytorium spornego. Z podobnych względów już po głosowaniu Japonia wyraziła swój sprzeciw co do formy nowej mapy, na której Kuryle – znane w Japonii jako Terytoria Północne – mają ten sam kolor co Rosja.

Kolor na mapie może przedstawiać stronę, którą jej twórcy popierają w konflikcie terytorialnym, choć może być wynikiem niefortunnej pomyłki. Warto jednak zwrócić uwagę, że rezolucja nie dotyczy konkretnego przedstawienia państw i terytoriów, lecz odwzorowania, czyli metody tworzenia mapy. Chodzi o sposób przedstawienia rzeczywistych kształtów i wielkości, a nie o przebieg granic państw. To samo odwzorowanie może więc służyć zarówno do przedstawienia współczesnej mapy politycznej, jak i mapy historycznej lub przedstawiającej hipotetyczny świat.

Rezolucja nie jest wiążąca, co oznacza, że ONZ nie nakazuje używania odwzorowania Equal Earth ani nie zakazuje mapy Merkatora. Państwa same zdecydują, czy i w jakim zakresie uwzględnią jej zalecenia. Na przykład Francja zadeklarowała, że przestanie używać mapy Merkatora i zastąpi ją odwzorowaniem Eckert IV, które przypomina Equal Earth. Togo planuje do końca roku zmienić mapy w podręcznikach.

Nie można bez zniekształceń przekształcić jednej powierzchni w powierzchnię o innej krzywiźnie. **Dlatego nie da się stworzyć idealnej mapy.**

Dyskusja nie dotyczy jedynie edukacji najmłodszych. Mapy świata pojawiają się w miejscach innych niż szkolne atlasy i klasowe mapy – choćby w gazetach, na stronach internetowych i w programach telewizyjnych. Można się zatem zastanawiać, czy sposób przedstawienia danego kraju może wpływać na jego postrzeganie. Togo, którego wiele osób nie potrafi nawet wskazać na mapie, jest przecież większe od krajów takich jak Słowacja, Estonia czy Dania.

Nawet jeśli jednak nie śledzimy bieżących wydarzeń, niemal każdy z nas porusza się ze smartfonem w kieszeni, a w przypadku wycieczki w nieznajome rejony otwiera aplikację nawigacyjną. Aplikacje te często wykorzystują odwzorowania oparte na pomyśle Merkatora, ponieważ dobrze sprawdzają się w nawigacji. Czy rezolucja ONZ sprawi, że Google, Apple, Waze i inne firmy zamienią odwzorowanie w swoich produktach na Equal Earth? Jest to bardzo nieprawdopodobne, ponieważ taka zmiana oznaczałaby zastosowanie odwzorowania nieprzystosowanego do części zadań, do których są wykorzystywane współczesne mapy internetowe. Nie chodzi więc o to, żeby mapy Merkatora się pozbyć, tylko żeby nie używać jej automatycznie w każdych okolicznościach i dobierać odwzorowanie odpowiednie do celu.

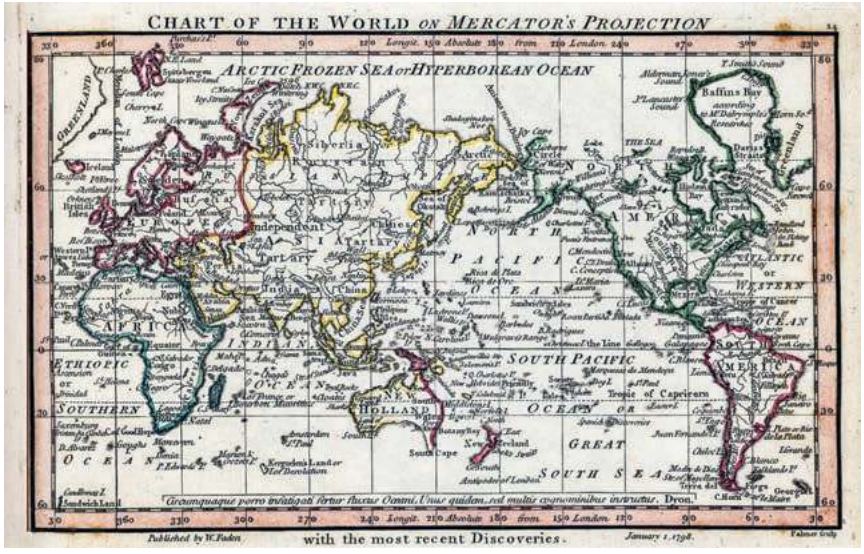

DOMENA PUBLICZNA

Historyczna mapa świata oparta na odwzorowaniu Merkatora, stworzona przez angielskiego kartografa Williama Fadena w 1798 r.

Do czego służą mapy

Jakie odwzorowanie jest więc najlepsze lub najwierniejsze? Odpowiedź na to pytanie zmienia się w zależności od sytuacji. Każda mapa ma zniekształcenia, które w niektórych zastosowaniach przeszkadzają bardziej niż w innych. Np. sprawdzająca się w nawigacji mapa Merkatora nie jest odpowiednia do przedstawienia wartości liczbowych związanych z powierzchnią kraju, takich jak populacja. Z kolei Equal Earth czy Gall-Peters nie powinny być stosowane, gdy zależy nam na kształtach krajów i kontynentów.

Nie chodzi więc o to, by jedną mapę uznać za lepszą od pozostałych, ale by wiedzieć, co dana mapa pokazuje dobrze, a co zniekształca. Wprowadzenie wrześniowej rezolucji ONZ w życie powinno opierać się nie na zastąpieniu jednej mapy inną, ale na stosowaniu odpowiednich map w odpowiednich sytuacjach. A im więcej odwzorowań i przedstawień świata zobaczymy, tym pełniejszy będziemy mieli jego obraz.

Być może najlepszym efektem inicjatywy Narodów Zjednoczonych nie będzie to, co dokładnie każde z państw zrobi, ale to, że odwzorowania kartograficzne – ich wady, zalety i zastosowania – stały się szerzej dyskutowane w mediach. Można mieć tylko nadzieję, że wnioskiem z tych dyskusji nie będzie podział map na „dobre" i „złe", ale świadomość, że żadna mapa nie pokazuje świata bez zniekształceń. A wiedza, co dana mapa robi z rzeczywistością, pozwala nam lepiej zrozumieć, co autor chciał nam powiedzieć.

© PAULINA ROWIŃSKA

eprasa.pl 849bad8b12

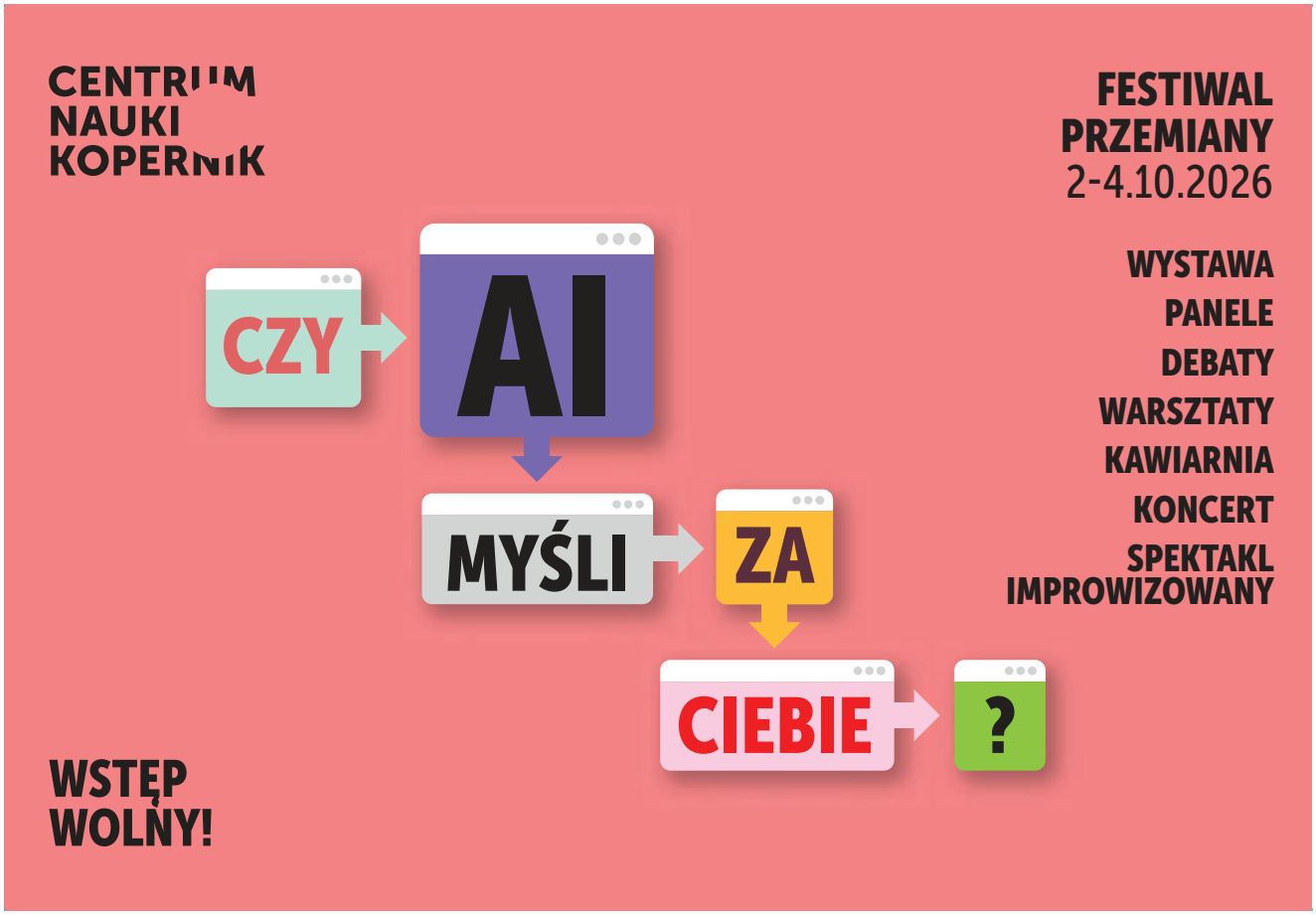

MATERIAŁY PRASOWE CENTRUM NAUKI KOPERNIK

Na kozetce ze sztuczną inteligencją

Bardzo często pytania, które zadajemy sztucznej inteligencji, dotyczą życia osobistego i problemów psychicznych oraz emocjonalnych. Czy jesteśmy gotowi pójść dalej – zaufać zdolnościom diagnostycznym AI i zaakceptować jej wykorzystanie w gabinetach terapeutów?

Rozmawiamy o tym z dr. Marcinem Rządeczką – kognitywistą i filozofem specjalizującym się w obszarze zastosowań sztucznej inteligencji w zdrowiu psychicznym, psychiatrii obliczeniowej, psychopatologii ewolucyjnej oraz filozofii psychiatrii. Naukowiec weźmie udział w panelu „AI na kozetce – zdrowie psychiczne w rękach sztucznej inteligencji" podczas Festiwalu Przemiany, który odbędzie się w Centrum Nauki Kopernik 2-4 października 2026 r. Wstęp na wszystkie festiwalowe wydarzenia jest wolny.

W jaki sposób AI może wspierać psychoterapię? Bo chyba pomysł nie polega na tym, że przychodzimy do gabinetu i spotykamy tam zamiast terapeuty sztuczną inteligencję.

Zdecydowanie nie, dlatego trzeba zacząć od pewnej luki. Podstawowym problemem naszego systemu wsparcia zdrowia psychicznego, ale to dotyczy właściwie prawie całej Europy, jest bardzo długi czas oczekiwania na wizytę i ograniczona dostępność specjalistów. Stąd jednym z zastosowań, o których możemy mówić, jest wykorzystanie sztucznej inteligencji przy wstępnej kwalifikacji pacjenta i gromadzeniu informacji dla psychoterapeuty. Nie zajmowałyby się tym jednak ogólnodostępne, duże modele językowe. Raczej byłyby to małe modele, działające lokalnie, trenowane na danych pochodzących od psychoterapeutów. I drugie, pokrewne zastosowanie, to tak zwany ciągły monitoring. W sytuacji, kiedy pacjent jest w miarę stabilny, gdy psychoterapeuta uznaje, że może już widywać go rzadziej, między sesjami mógłby on korzystać właśnie z takiego chatbota, żeby opisywać, jak się aktualnie czuje i czy występują jakieś czynniki, które nakazywałyby szybsze spotkanie z terapeutą. ↦

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 849bad8b12

Jak by to mogło wyglądać z praktyce?

Wstępny wywiad, który normalnie przeprowadza terapeuta, jest bardzo powtarzalny. W sytuacji, gdy liczba pacjentów poradni jest znaczna, a czas oczekiwania na wizytę długi, pierwsza rozmowa kwalifikacyjna przeprowadzona online z chatbotem mogłaby usprawnić cały proces. Oczywiście mówimy o takich standardowych dolegliwościach, których jest najwięcej, jak łagodne zaburzenia depresyjne, łagodne zaburzenia lękowe, fobie specyficzne czy zespół lęku uogólnionego. Kiedy pojawiłyby się jakieś szczególnie niepokojące oznaki, bot kierowałby pacjenta bezpośrednio do terapeuty. Jeśli chodzi o rozmowy monitorujące w trakcie terapii, to pacjent co jakiś czas logowałby się do systemu, aby odpowiedzieć na kilka pytań.

Szczególnie istotne jest tutaj bezpieczeństwo danych. Dlatego nie możemy mówić o dużym, komercyjnym modelu językowym, tylko raczej o małym modelu, który jest trenowany na danych konkretnej przychodni czy poradni zdrowia psychicznego i działa wyłącznie w ramach infrastruktury tej przychodni, ewentualnie jakiegoś zespołu specjalistów. Gdybyśmy korzystali z rozwiązań komercyjnych, to ryzyko wycieku danych byłoby zbyt duże. Musimy pamiętać także o kwestii prywatności danych.

Czy takie rozwiązania były lub są gdzieś już stosowane?

Tak, oczywiście. Nie mogę wymieniać konkretnych przykładów, ale zarówno w kraju, jak i za granicą testuje się takiego typu rozwiązania. Zazwyczaj w jednostkach komercyjnych, natomiast rozmawiałem też z przedstawicielami instytucji publicznych. Najtrudniejsze są zawsze problemy oddolne, czyli na przykład organizacja danych pacjentów w postaci jakiejś spójnej bazy danych. Taką bazę musiałby ktoś przygotować. A jeśli miałaby to zrobić firma zewnętrzna, to wchodzą w grę wszystkie ograniczenia związane z RODO i z zabezpieczeniem danych pacjentów.

A tam, gdzie się to udało, jaki był odbiór pacjentów?

Są grupy pacjentów, które wolą rozmawiać z botami niż ludźmi – na przykład osoby z zespołem lęku uogólnionego czy w ogóle zaburzeniami lękowymi, a także ze spektrum autyzmu. Pomaga im fakt, że mają nieograniczony czas na zastanowienie się, lub to, iż czują, że nie są oceniane. Psychoterapeuta, nawet najbardziej profesjonalny, jest ciągle człowiekiem i możemy empatycznie odczuwać, że w jakiś choćby podświadomy sposób nas ocenia. To jest pojawiający się często argument. Bot wydaje się też pacjentom niekiedy bardziej obiektywny.

Kwestia zaufania do botów jest złożonym problemem. Mogą one sprawiać wrażenie empatycznych, ale to pewnego typu złudzenie empatii. W jednym z artykułów opisaliśmy z kolegami ciekawe zjawisko. Powszechnie dostępne modele językowe są często pytane o kwestie związane ze zdrowiem psychicznym i odpowiadają na nie, rozpoczynając zdanie od tekstu: „Nie jestem terapeutą, ale…" To takie zabezpieczenie prawne, które ludzie w większości ignorują i mimo wszystko uznają odpowiedź za wiążącą. Komercyjna AI dużo obiecuje, stara się rozwiązać problem w sposób bardzo przekonywający, nie pokazując jasno towarzyszących mu ograniczeń. A to jest podstawowe wyzwanie dla działań terapeutycznych wspieranych przez sztuczną inteligencję, tzn. nie obiecywać za dużo, bo rozwiązanie problemu jest tak naprawdę w dużej mierze w rękach pacjenta. Psychoterapeuta może mu w tym pomóc, ale rozmowa psychoterapeutyczna często jest i powinna być trudna, bo ma skłonić do refleksji i zmiany wzorców behawioralnych. Tymczasem rozmowa z botem często od razu podnosi na duchu i daje natychmiastową (choć jedynie chwilową) satysfakcję.

Czy boty mogą wystawiać diagnozy?

Szczerze powiedziawszy, nie powinny i to z wielu powodów. Choćby ze względu na charakterystykę rozwiązań prawnych. Ktoś musi wziąć odpowiedzialność za diagnozę i, jak na razie, musi to być człowiek. Mogę to wyjaśnić na prostym przykładzie. Od 2016 r. są prowadzone bardzo udane próby wspomagania analizy radiologicznej sztuczną inteligencją. Już nie raz mogliśmy przeczytać w literaturze, że AI osiąga poziom porównywalny z doświadczonym radiologiem. Opisuje wyniki rezonansu magnetycznego, tomografii komputerowej, zdjęcia rentgenowskie, USG. Ostatnio czytałem, że ze zwykłego EKG model uzyskał informacje o takich zjawiskach, jak na przykład zaburzenia kurczliwości lewej komory (zmniejszona frakcja wyrzutowa), które były dotychczas możliwe do wykrycia dopiero z użyciem echa serca, czyli dużo droższego badania opartego na ultrasonografii.

Nawet gdybyśmy mieli (a tak jeszcze nie jest) w psychiatrii sytuację, że bot jest w stanie powiedzieć równie dużo, co specjalista, to nadal odpowiedzialność za diagnozę musi spoczywać na człowieku. Bo radiolog wspomagający się sztuczną inteligencją odczytuje sugestie AI, ale to on podpisuje się pod diagnozą. Załóżmy, czysto hipotetycznie, że dopuścimy boty do diagnozowania. Kto będzie wtedy odpowiedzialny? Producent oprogramowania? Jego testerzy? Firma, która dostarczyła bazy danych do trenowania tych modeli? A może jednostka, która wykorzystuje bota? Rozmyłaby się odpowiedzialność.

Co jeszcze musiałyby umieć boty, aby dokładniej oceniać naszą kondycję psychiczną?

Analiza gestów, analiza mimiki – to są kolejne warstwy do doskonalenia. Powiem szczerze, na tym etapie rozwoju nie mamy

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 849bad8b12

tak jednoznacznych markerów somatycznych związanych z mimiką czy z gestami, żeby to miało dla terapeuty istotną wartość naukową. Zbyt duże są różnice indywidualne, etniczne. Do tego dochodzą kwestie związane z wpływem środowiska podczas obserwacji (choćby oświetleniem, zmęczeniem, stresem itp.) i oczywiście brak dokładnych ustandaryzowanych i opartych na dużych klinicznych próbkach wzorców somatycznych dla konkretnych zaburzeń. Są firmy, które się chwalą, że coś takiego przeprowadzają. Spotkałem się z niejedną komercyjną aplikacją tego typu, natomiast nie znajdują one oparcia we współczesnym stanie wiedzy.

Myśli Pan, że warto rozwijać AI właśnie z myślą o wsparciu psychoterapeutów?

Tak jak z każdą nową technologią, sytuacja jest złożona. Nowa technologia nie jest zła czy dobra sama w sobie, tylko zależy od kontekstu, w jakim ją wykorzystamy. Myślę, że rozmowy i interakcje z botami są nowym typem doświadczenia, które nam może dużo powiedzieć o nas samych. W rękach osób, które są świadome ograniczeń tych rozwiązań technologicznych, mogą one wspomagać procesy terapeutyczne, ale uważam, że zbyt mało czasu poświęcamy na dyskusję o ograniczeniach i zagrożeniach związanych z tego typu narzędziami, bo nie chodzi o to, żeby z nich nie korzystać, tylko o to, żeby korzystać z nich w sposób świadomy. Np. warto wziąć pod uwagę to, że boty mają tendencję do sykofancji, czyli schlebiania nam w rozmowie i mówienia tego, co chcemy usłyszeć. Po co? Między innymi dlatego, abyśmy częściej i chętniej z nich korzystali. Nie możemy także zapominać o naszych własnych skłonnościach do antropomorfizacji, w tym choćby maskotek, przedmiotów codziennego użytku i oczywiście chatbotów. Funkcjonowanie w grupach społecznych wpłynęło na pewne struktury mózgu (styk skroniowo-ciemieniowy, przyśrodkowa kora przedczołowa, kora oczodołowo-czołowa), wytwarzając zdolność modelowania stanów poznawczych i emocjonalnych innych osób. Nasze mózgi zdolność tę stosują jednak często też w odniesieniu do przedmiotów nieożywionych. Bardzo szybko, po kilku minutach konwersacji można zapomnieć, z kim się rozmawia. Możemy nie tylko empatyzować z botem, ale także doszukiwać się jego intencji, co wpływa z kolei na nasz własny późniejszy stosunek do niego.

Na koniec – pytanie tytułowe naszego festiwalu. Czy myśli Pan, że AI myśli za nas?

Tak, w dużej mierze się tak dzieje, ale często na nasze własne życzenie. Próbujemy delegować swoje myślenie do AI, ale to, co uzyskujemy jako informację zwrotną, to nie jest wynik myślenia. Mamy tu do czynienia z podświadomą analogią pomiędzy strukturami biologicznymi a strukturami krzemowymi w kontekście procesu przetwarzania informacji. I nie jest to najbardziej udana analogia, stąd zawsze sprzeciwiam się terminowi „myślenie" w kontekście sztucznej inteligencji. Bo sztuczna inteligencja może rozwiązywać problemy, których nie jest w stanie rozwiązać człowiek. I już to robi w wielu obszarach. Przykładem może być ostatnie odkrycie związane z problemem równań Naviera-Stokesa (czekamy na ostateczne potwierdzenie). Nie świadczy to jednak o tym, że te procesy są w jakimkolwiek stopniu świadome. Rozwiązywać problemy można też bez udziału świadomości.

Pierwotne oczekiwania co do sztucznej inteligencji były takie, że zastąpi nas w nudnych, powtarzalnych, mało kreatywnych czynnościach, prawda? Tymczasem to wyzwanie okazało się najtrudniejsze. Robienie prania czy sprzątanie domu z udziałem robota wymaga dużej ilości danych dotyczących otoczenia fizycznego. To się oczywiście robi, ale niewątpliwie sztuczna inteligencja funkcjonująca w środowisku fizycznym, czyli roboty, ma dużo słabiej skalowalny obszar różnorodnych danych treningowych. Natomiast to, co przyszło wcześniej, to właśnie sztuczna inteligencja w obszarze powiedzmy „umysłowym", który miał pozostać zarezerwowany dla ludzi.

© Rozmawiała KATARZYNA NOWICKA



FOT. ANNA AMAROWICZ/PROJEKT PULSAR // MATERIAŁ PARTNERA

DR MARCIN RZĄDECZKA jest kognitywistą i filozofem specjalizującym się w obszarze zastosowań sztucznej inteligencji w zdrowiu psychicznym, psychiatrii obliczeniowej, psychopatologii ewolucyjnej oraz filozofii psychiatrii. Pełni funkcję zastępcy dyrektora Instytutu Filozofii UMCS i kierownika Laboratorium Badań nad Multimodalnością MultiLab.

eprasa.pl 849bad8b12



BARTOSZ MROZOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

KULTURA

Malwina Buss i Maria Dębska w filmie „Przez ścianę”, reż. Maciej Sobieszczański

POD ZNAKIEM ZMIANY

Tego roku podczas festiwalu w Gdyni nastroje były nienajlepsze. Przepowiadano czarne scenariusze dla polskiego kina i kultury w ogóle.

ANITA PIOTROWSKA

Co pozostaje, gdy przeszłość ciągle odbija się traumą, a przyszłość – choć dzieje się już teraz – zdaje się coraz bardziej niepewna? Zakończony w sobotę 51. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni odpowiada na to słowami klasyka: „oczywiście, że miłość!”.

Zwycięstwo filmu „Przez ścianę” Macieja Sobieszczańskiego pogodziło gdyńską publiczność, która rzadko bywa tak jednomyślna w typowaniu zwycięzcy Złotych Lwów. Festiwal, wkraczający właśnie w drugie półwiecze pod kierunkiem Agaty Kozierańskiej-Burdy i Joanny Łapińskiej, przyniósł tym samym odrobinę nadziei w niełatwych czasach. Także dla polskiego kina.

Bez wykrzyknika

Sobieszczański nakręcił film o miłości bez wykrzyknika. Wypatrzył ją w ciemnej i ciasnej celi stalinowskiego więzienia, gdzie młoda Wiesława Pajdak za pomocą alfabetu Morse'a wystukiwała swoją miłość do nieznanego jej człowieka siedzącego obok za ścianą. Mistrzostwo tego filmu również wyrosło z ograniczeń, jakkolwiek nagrodzone zdjęcia Jolanty Dylewskiej, czarno-białe, skupione na fakturze więziennych murów i twarzy aktorki Marii Dębskiej, mogły łatwo zamienić się w nazbyt wyrafinowany artyzm.

Tymczasem wszyscy twórcy filmu starają się być wierni zasadzie, że „mniej znaczy więcej”, i wypełniając klaustrofobiczną przestrzeń dawnych kazamatów potężnym stężeniem napięcia i emocji, opowiadają prosto i czysto, jakby na przekór dzisiejszemu przebodźcowaniu.

Chociażby o tym, iż nic nie zastąpi żywej obecności drugiego człowieka, co w czasach technologicznych zapośredniczeń i pandemicznych lęków musiało zabrzmieć znajomo. Jak i to, że im bar-

eprasa.pl 849bad8b12



KAROLINA BIELAWSKA // MATERIAŁY PRASOWE FPFF

Sandra Drzymalska w filmie „Violetta Villas", reż. Karolina Bielawska

dziej system powszechnej inwigilacji przykręca śrubę, tym usilniej trzeba walczyć o swoją własną niszę, o tę szczelinę w murze, w której moglibyśmy poczuć się przynajmniej trochę wolni. Jury na czele z Krzysztofem Zanussim, *notabene* twórcą filmu „Za ścianą" (1971) o samotności w domach z betonu, nie mogło dokonać lepszego wyboru.

Bez rewolucji

Także dlatego, że „Przez ścianę", rzutując na ekran czyjąś autentyczną i bardzo osobistą historię, a zarazem skondensowaną „prawdę czasu", unika płaskiej rekonstrukcji czy efektownej stylizacji. Były one skazą innych filmów powracających do przeszłości, głównie peerelowskiej.

Bo co z tego, że „Nasza rewolucja" Piotra Domalewskiego jest filmem o silniejszej niż system miłości Jacka i Grażyny Kuroniów, skoro *love story* raz po raz ustępuje miejsca kinu rocznicowemu, nakręconemu z okazji pięćdziesięciolecia powstania KOR-u. Świetni aktorzy – Arkadiusz Jakubik, Magdalena Popławska oraz Jacek Koman, nagrodzony za drugoplanową rolę Marka Edelmana – uczestniczą w kombatanckim melodramacie, a nie w wielowymiarowej historii dwojga ludzi, która dawałaby jakiś głębszy wgląd w dynamikę tego związku na tle ważnych dla Polski wydarzeń.

Widzimy, jak bohaterowie poszukują skrawka intymnej przestrzeni w mieszkaniu ciągle przepełnionym ludźmi i wielką Historią, lecz pomimo wiernego odtworzenia jej realiów, całej grozy ówczesnego „życia na podsłuchu" i świetnych, utrzymanych w tonacji spranego denimu zdjęć Michała Sobocińskiego, dostajemy w finale nostalgiczny wyciskacz łez. Ale czy mogło być inaczej w przypadku filmu bez scenarzysty, który wycofał swoje nazwisko (Maciej Pisuk) po konflikcie z producentem i próbach ocenzurowania tej historii?

Bez nagród

W głównym konkursie były też przypadki mniej oczywistego mierzenia się z polską przeszłością – w przenicowanym i mocno wystylizowanym kostiumie gatunkowym.

Kasia Adamik w „Zimie pod znakiem Wrony" zaadaptowała wczesne opowiadanie Olgi Tokarczuk „Profesor Andrews w Warszawie" (jego pierwodruk miał zresztą miejsce w „Tygodniku Powszechnym"), trzymając się konwencji dusznego thrillera. Na absurdy stanu wojennego patrzy jak na mroczną fantazję, oczyma angielskiej psychiatrki (doskonała Lesley Manville), co tworzy efekt narastającej dezorientacji. Czy od początku do końca kontrolowanej?

Podobne wątpliwości miałam oglądając otwierający festiwal „Dziki, dziki wschód" Jana Holoubka. Twórca znany przede wszystkim z jakościowych seriali, tym razem przytłacza skalą swoich ambicji. Nakręcił western (właściwie eastern, bowiem rzecz dzieje się w 1943 r. w okupowanym miasteczku północno-wschodniej Polski), a intryga krąży wokół gorączki złota – pożydowskiego.

Szukają go tu wszyscy, ujawniając przy okazji wszelkie możliwe sploty i napięcia: polsko-niemieckie, polsko-żydowskie, żydowsko-ukraińskie. Piętrzą się tajemnice, nikt nie jest tym, kim się wydaje, powolny rytm raz po raz łamie kolejna wolta, do tego jeszcze scenariusz Aleksandry Takuskiej wplata rozmaite kinofilskie odniesienia. I byłaby to po prostu ciekawa gra z gatunkiem czy kliszami Zagłady, gdyby w pewnym momencie film nie zajął się jej dosłownym przedstawianiem.

Zbudowano z tego dziwaczną hybrydę umowności i obsceniczności, która przez to pomieszanie porządków może okazać się przeciwskuteczna w swoim zamierzeniu, jakim miało być odpominanie Shoah, potrzebniejsze dziś bardziej niż kiedykolwiek.

Brak nagród dla filmu Holoubka, podobnie jak dla dużo mniej dyskutowanego „Pojedynku" Łukasza Palkowskiego (złośliwi twierdzą, że to „Pianista" plus „Katyń" plus „Niepokonani" Weira), daje do myślenia. Jeśli chce się, ażeby przeszłość naprawdę przemówiła do współczesnych, trzeba znaleźć dla niej świeży język. Niczym u Sobieszczańskiego albo u nagrodzonego za reżyserię Pawła Pawlikowskiego w „Ojczyźnie".

Co prawda ten ostatni nakręcił film w swoim starym stylu (wizualnie, narracyjnie, nastrojowo), ale potraktował biografię Tomasza Manna na tyle twórczo i swobodnie, że ma ona szansę trafić do widza ze swoim ponadczasowym przesłaniem. Czy raczej diagnozą świata, który z jednej strony coraz bardziej domaga się (nie tylko od artysty) zajęcia politycznego stanowiska, ale z drugiej instrumentalizuje ten głos i wtrąca w pułapki polaryzacji.

Ciekawe tylko, czy polski kandydat do Oscara z tak subtelnie artykułowanym przekazem i emocjonalną powściągliwością dotrze do członków Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej. Być może „Przez ścianę", uniwersalna historia międzyludzka osadzona w opresyjnym systemie, miałaby większe szanse na nominację.

Bez pazura

Niestety, pokazywane w tegorocznym konkursie filmowe biografie bardziej podążały śladem Domalewskiego niż Pawlikowskiego. „Mniej obcy" Kristoffera Rusa, czyli produkcja Netfliksa o liderze grupy Lady Pank, Janie Borysewiczu, to wręcz typowy „produkcyjniak", ↦

eprasa.pl 849bad8b12



KAROLINA NOWACZYK / MATERIAŁY PRASOWE FPFF

Jacek Ombach i Michał Czernecki w filmie „Postój", reż. Adam Uryniak

↦ zrobiony według klisz i algorytmów, a może i promptów AI.

Typową peerelowską „dolę idola", ze stanem wojennym, antysystemowym buntem, lecz także wybujale dekadenckim stylem życia, uszlachetnić miała narracja zza kadru, którą jest... list pisany do Boga. Nawet jak na koncesjonowany biopik zbyt wiele tu uproszczeń czy uładzeń i tylko postać tekściarza Andrzeja Mogielnickiego (Patryk Pietrzak) oraz nieśmiertelne kawałki, na czele z „Kryzysową narzeczoną" czy „Mniej niż zero", mają w sobie coś prawdziwego. Również w przeciwieństwie do charakteryzacji (czy raczej jej braku), bo grający główną rolę całkiem dobry Mikołaj Bukrewicz prawie w ogóle się nie starzeje na przestrzeni dekad.

Podobnie bohaterka „Violetty Villas", chociaż paradoksalnie jedyną nagrodą, jaką film dostał, była właśnie ta za charakteryzację, dla całego zespołu. Wykonał on ogromną pracę, przeistaczając Sandrę Drzymalską w legendarną divę, i trochę zapomniał przy tym o upływie czasu.

Poza tym długo oczekiwany debiut fabularny Karoliny Bielawskiej stoi o klasę wyżej niż historia Borysewicza i miał świetny punkt wyjścia. Bowiem Violetta opowiedziana została poniekąd przez jej syna, nazywanego „Dzięciołem", i to jego oczami patrzymy na Czesię Gospodarek, która ruszyła na podbój Las Vegas.

Dziecięce spojrzenie pozwala zobaczyć złożoność Villas – jako niedojrzałej, ale kochającej matki, jako divy i zarazem trochę przaśnej dziewczyny z Dolnego Śląska, osoby kapryśnej, naiwnej i bardzo zdeterminowanej. Aczkolwiek ta biografia, mimo osobistego klucza i mimetycznego talentu Drzymalskiej, w zbyt wielu momentach przypomina rozsypane barwne korale, do których porównuje się w filmie ludzkie życie.

Reżyserskie debiuty

Ciekawe, że w prawie wszystkich przywołanych wyżej tytułach powracał, w różnych wcieleniach, opresyjny system komunistyczny, najczęściej zapamiętany z dzieciństwa. Okazuje się jednak, że nasza przyszłość wcale nie rysuje się w jaśniejszych barwach.

„Hot Spot" Agnieszki Smoczyńskiej, nagrodzony Złotym Pazurem imienia Andrzeja Żuławskiego, przenosi nas do dystopijnego świata, gdzie nowy totalitaryzm zaciera granice prawdy czy ludzkiej tożsamości, a świadoma sztuczna inteligencja sprawuje nadzór nad umysłami. Największą siłą filmu, łączącego *science fiction* z czarnym kryminałem, staje się osobliwa atmosfera – stąd pewnie nagroda za muzykę dla Marcina Macuka i Zuzanny Wrońskiej, za dźwięk dla Marcina Lenarczyka i pomysłowe kostiumy Katarzyny Lewińskiej.

Mniej sugestywny pod tym względem jest „Czas, który nie nadszedł" Julii Rogowskiej, najdłużej oklaskiwany film gdyńskiego festiwalu – o tym, jak dwoje kochanków z przyszłości rozmija się w czasie, ponieważ tylko jedno poddało się terapii antygeriatrycznej. Ale które z nich tak naprawdę „zdradziło"? Szkoda, że film ze wspaniałą Agatą Kuleszą nie pogłębia tego pytania i buduje tak mało świata próbującego w sterylnych rękawiczkach wyeliminować starość. Mimo wszystko był to jeden z najciekawszych debiutów, których w tym roku mieliśmy istny wysyp.

Jury nagrodziło „Kobietę stanu wolnego" Elizy Godlewskiej i Alana Ruczyńskiego, rzecz o niewidzialnej bezdomności, zrobiona z dużą wrażliwością społeczną i ze świetną rolą Ewy Konstancji Bułhak. Pojawiły się jednak w konkursie głównym lepsze debiuty, np. „Fluidy" Marii Wider, szorstki i zarazem subtelny obraz różnych nastoletnich emocjonalności, przedwcześnie utraconej niewinności i nieoczekiwanego spotkania pokoleń.

Albo taki „Exotic" Sonji Orlewicz-Zakrzewskiej, urocza komedia, w której króluje niezręczność, choć jej bohaterkami są supersprawne tancerki *pole dance*. Jaśmina Polak w roli głównej i Monika Frajczyk w drugoplanowej zostały uhonorowane przez jury, co było pewnym aktem odwagi, stawiającym pierwszą z nich ponad kreację Dębskiej, Drzymalskiej i jeszcze Sandry Hüller w „Ojczyźnie".

Gatunkowe próby

Jak zawsze najwięcej odkryć przyniosła sekcja Perspektywy. Zawierała głównie opowieści młodych o młodych, jakkolwiek na przekór wspomnianemu filmowi o kulcie młodości to wcale nie jest świat dla młodych ludzi. Może dlatego coraz chętniej sięgają po horror, który dla debiutantów stanowi dobre ćwiczenie warsztatowe i jednocześnie wyraża rozmaite ukryte lęki.

I tak Agata Trzebuchowska, grająca kiedyś Idę w filmie Pawlikowskiego, zadebiutowała po drugiej stronie kamery filmem „SICK". Poniekąd zgodnie z tytułem jest to ociekający wydzielinami i wydalinami body horror, na dodatek rzecz dotyczy niezdrowego, wzajemnego pożądania u nastoletniego rodzeństwa. Próbuje się temu przeciwstawić umierająca (albo już nieżywa) babcia, usiłując wpędzić wnuki z powrotem w dzieciństwo (i będzie to tylko jedna z możliwych interpretacji).

Inna debiutantka, Marta Giec, łączy w „Òpi" horror cielesny z folkowym, inspirując się tradycyjnymi wierzeniami z Kaszub i tworząc jeszcze jedną opowieść o koszmarze dziewczęcego dorastania i rodzinnej klątwie. Oczywiście,

eprasa.pl 849bad8b12

oba te filmy stawiają w dużej mierze na prowokację – obyczajową, religijną – lecz na szczęście potrafią się tym bawić i bez wątpienia są próbką nowej wrażliwości filmowej.

Męska wrażliwość

„Niepokojące treści: mobbing, dyskryminacja, wulgarny język, choroba psychiczna, alkoholizm, wulgarny język, depresja, śmierć, żałoba" – ostrzegały katalogowe opisy filmów z tej „młodzieżowej" sekcji. Nie zawsze było aż tak drastycznie i jury Perspektyw nagrodziło Szafirowymi Lwami tytuł, który wyraźnie przełamywał ów schemat.

„Czarna godzina" Filipa Bojarskiego to gorzka komedia o dwóch młodych nauczycielkach, które są ze sobą w stałym związku i usiłują wynająć w stolicy niedrogie mieszkanie. Absurd goni tutaj za absurdem, gdzieś po drodze wyłania się jednak jakiś kawałek prawdy o prekaryjnej sytuacji „słoików" wykonujących spauperyzowane i coraz mniej prestiżowe zawody.

Wbrew pozorom nie tylko sytuacja kobiet leży początkującym filmowcom na sercu. Tak np. Adam Uryniak w filmie „Postój" pokazuje współczesnych mężczyzn na skraju załamania nerwowego. Mocno zwariowana intryga, tocząca się przy krajowej „siódemce" w czas gorączki futbolowej, staje się katalogiem męskich frustracji, jakkolwiek nie pozostawia nas z nimi samopas i gęsto zaplata wszystkie wątki.

A w konkursie głównym znalazło się kino, które już całkiem serio i ze starszej pozycji milenialsa opowiada o nowej męskiej wrażliwości – coraz mniej wstydzącej się swoich słabości, łez, kompleksów, także związanych z pochodzeniem społecznym.

Nasze kino coraz bardziej się umiędzynarodawia, mając szanse na większe budżety i dostęp do zagranicznej publiczności.

Mowa o „Powiedz mi, co czujesz" Łukasza Rondudy, filmie nagrodzonym Srebrnymi Lwami i za debiut aktorski Jana Sałasińskiego. Opowiada on głównie o środowisku artystycznym, lecz szuka autentyzmu w codziennym, życiowym wymiarze, pośród masek, póz i kultu psychoterapii.

Z kolei Jan Komasa w „Dobrym chłopcu" (Bartek Bartosik, Naqqash Khalid – nagroda za scenariusz, Agnieszka Glińska – za montaż) rozmontowuje patriarchat na poziomie bardziej filozoficznym. Doceniony za główną rolę męską młody brytyjski aktor Anson Boon gra poddawanego resocjalizacji łobuza, który gubi się między brutalną siłą a potrzebą bliskości i porządku.

I nie był to jedyny konkursowy film mówiony w języku innym niż polski (patrz: „Ojczyzna" czy „Hot Spot"). Rodzime kino coraz bardziej się umiędzynarodawia, mając szanse na większe budżety i szerszy dostęp do zagranicznej publiczności.

Podczas gali zamknięcia festiwalu Agnieszka Holland, która od lat jest częścią międzynarodowego krwiobiegu filmowego, przypomniała także o powinnościach z tego wynikających – w imieniu Zarządu Gildii Reżyserów Polskich odczytała list wzywający polskie środowisko filmowe do solidarności z twórcami głośnego dokumentu „NAZA", którym władze Izraela grożą odebraniem obywatelstwa.

Branżowy niepokój

Ale polscy filmowcy też mają się czym martwić. Tego roku w Gdyni nastroje były nienajlepsze, przepowiadano czarne scenariusze dla polskiego kina i kultury w ogóle, w związku ze zmniejszeniem dofinansowań, możliwością zmian politycznych, sytuacją na globalnym rynku audiowizualnym w dobie technologicznych zmian i koncentracji kapitału, nie mówiąc o zmianach nawyków widowni.

Nic dziwnego, że podczas uroczystości zamknięcia zachęcano filmowców do aktywności w związkach zawodowych albo śpiewano o zabezpieczeniu socjalnym artystów. Uroczystość poprowadził brawurowo Michał Sikorski, słynny ksiądz Jakub z serialu „1670", dodając ceremonii trochę swobodniejszego oddechu. Nie licząc paru zaskoczeń werdyktem, zwłaszcza w kategorii głównych ról, obyło się tym razem bez większych afer.

Najbardziej cieszy sukces takiego filmu, jak „Przez ścianę", w niewielkim zresztą stopniu mówionego po polsku, jako że bohaterowie porozumiewają się przeważnie uniwersalną kombinacją kresek i kropek. Sobieszczański i jego zespół przekonali gdyńską publiczność, że dobre polskie kino może łączyć, nawet to z napisami, szczególnie oglądane wspólnie w kinie. © ANITA PIOTROWSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

FESTIWAL NOWE OŚWIECENIE
CO DALEJ Z INTELIGENCJĄ?

A w nim:

- rozmowa z **Krzysztofem Czubaszkiem** o zaniku wspólnych autorytetów, wyzwaniach sztucznej inteligencji i potrzebie spotkania twarzą w twarz
- panorama przemian inteligencji – od dawnego etosu i społecznej misji po współczesny kryzys oraz pytanie o jej przyszłość
- najważniejsze idee, pytania i wydarzenia tegorocznej edycji Festiwalu Nowe Oświecenie

ORGANIZATOR

URSYNOWSKIE CENTRUM KULTURY ALTERNATYWY

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

eprasa.pl 849bad8b12



▪ *Erykah Badu & The Alchemist,* **BEFORE THE WORLD BLOWS,** *Control Freaq*

Dobrze pamiętam, kiedy ukazał się poprzedni album Eryki Badu. Płyty „New Amerykah Part Two (Return of the Ankh)" słuchałem może od tygodnia, kiedy doszło do katastrofy lotniczej w Smoleńsku. I ten ciepły, kojący neo soul Amerykanki towarzyszył mi bardzo często tamtego kwietnia. Na szósty album Badu czekaliśmy więc szesnaście lat. W tym czasie nie tylko rodziły się i gasły kariery kolejnych gwiazd, ale pojawiały się i znikały całe gatunki muzyczne. Wydane właśnie „Before the World Blows" sugeruje, że ikona neo soulu ma świadomość zmian, jakie zachodzą na muzycznej scenie, a jednocześnie niespecjalnie się nimi przejmuje. Mam wrażenie, że takie podejście podziela The Alchemist – hiphopowy producent i współtwórca albumu. Jego kompozycje bazują na samplach i mają dość klasyczny sznyt, ale trzymają się blisko rapowego podziemia. The Alchemist (Alan Mamam) nie boi się producenckich sztuczek i eksperymentów, ale w jego kompozycjach usłyszymy echa jazzu, soulu, funku czy psychodelicznego rocka. Duet pracował nad „Before the World Blows" przez półtora roku i, prawdę mówiąc, trudno w to uwierzyć. Ich wspólny album ma tak lekki, niewymuszony charakter, jakby napisał się sam. W wywiadzie udzielonym „Guardianowi" Badu zwracała uwagę na tę bliskość, dodając, że kiedy słucha kompozycji Mamama, odczuwa dreszcze, jakby wpatrywała się w ogień. Te płomienie tańczą powoli, bo „Before the World Blows" ma swój niespieszny rytm. Trudno wskazać na tej płycie oczywisty przebój, ale jeszcze trudniej – utwór, który chciałoby się pominąć. Trochę tu wczorajszego haju, trochę erotyzmu, trochę jazzowego klubu o czwartej nad ranem. Na tle skrzących się klawiszy, pływających chórków, plejady gości i hiphopowego bitu Badu śpiewa o damsko-męskich relacjach, uzależniających technologiach, popkulturowych wiedźmach. Sama zresztą czaruje. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że nie potrafię tej płyty wyłączyć? © JAN BŁASZCZAK

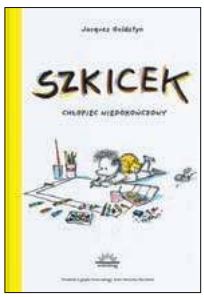

▪ *Jacques Goldstyn,* **SZKICEK – CHŁOPIEC NIEDOKOŃCZONY,** *tłum. Anna Nowacka-Devillard, Widnokrąg 2026, dla dzieci w wieku 8+*

Szkicek (w oryginale Croki, fonetycznie brzmi jak *croquis*, czyli szkic rysunkowy) jest nietypowym chłopcem. W odróżnieniu od innych postaci, porządnie narysowanych, jest ledwie nakreślony. To przekłada się na niedostosowanie do społeczeństwa i jego instytucji. Już w piaskownicy Szkicek odstaje od innych dzieci, co ich rodzice w mig wychwytują. Kolejni napotkani ludzie okazują się nieprzychylni lub co najwyżej obojętni: dyrektor szkoły, nauczycielka liczenia i pisania, koledzy sformatowani przez nieodłączne ekrany. Na szczęście w swej odmienności Szkicek nie jest skazany na samotność. W nieprzyjaznym świecie tworzy swój własny kąt. Spotyka też tych, którzy go akceptują i doceniają: rodzice, kot Mru-Mru, nauczycielka rysunku, a wreszcie paczka przyjaciół ze szkoły średniej, takich jak on ekscentryków: eteryczna Akwarelka, miłośnik mrocznych powieści Goth oraz Doodle, „chłopak o bardzo zmiennym charakterze". Stają się nieodłączni niczym trzej muszkieterowie i razem, mimo niezrozumienia otoczenia („banda półrysunków!"), przemalowują świat wokół, poczynając od przydrożnego muru. Do idealnie, jak od linijki poukładanego miasta wprowadzają spontaniczność, odrobinę szaleństwa i barwy. Na tym polega rola takich jak oni freaków. W Szkicku można zobaczyć metaforę człowieka (nie tylko dziecka) atypowego: nieneurotypowego albo wybitnie uzdolnionego, z niepełnosprawnością lub w jakimkolwiek innym znaczeniu odstającego od większości. Historia jest współczesna (zobaczymy m.in. monitor do ciążowego USG), ale ponadczasowa. Chociaż to nie komiks, tekst, skądinąd dowcipny, nie przeważa nad ilustracjami. Te mają w sobie coś ze stylu Sempégo (ilustratora „Mikołajka"), kojarzą się z „francuskością" i beztroskim dzieciństwem, są idylliczne, lecz nie stronią od karykatury. Autotematyczna narracja (postaci wiedzą, że są narysowane) odwołuje się zarówno do francuskiej tradycji literackiej (Rimbaud, Saint-Exupéry), jak i komiksów prasowych. Opowiedział ją i zilustrował Jacques Goldstyn (ur. 1958), kanadyjski rysownik i karykaturzysta, od lat 80. współpracujący z quebecką prasą, w tym popularnonaukową, a także ceniony autor książek dla młodych czytelników. „Szkicek" to pierwsza jego publikacja po polsku. Może warto przełożyć kolejne? ©℗ MACIEJ SZKLARCZYK

TYGODNIK POWSZECHNY
Sklep „Tygodnika Powszechnego"
DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA
SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 849bad8b12

BEZ DENNY'EGO VOSSA
ŚWIAT STAŁBY SIĘ SMUTNYM MIEJSCEM.

Ilekroć Denny próbuje postąpić słusznie,
wokół wybucha chaos. Ale oskarżenie o morderstwo?

REKLAMA

goodreads ★★★★½

amazon ★★★★½

ŚWIAT POKOCHAŁ HISTORIĘ
DENNY'EGO VOSSA!

Finalistka
Edgar Award 2026

Książka nominowana do
Giller Prize 2025



Dla miłośników
Forresta Gumpa
i twórczości
Fredrika Backmana

ZABAWNA. CZUŁA. BOLEŚNIE LUDZKA.

OPOWIEŚĆ O CZŁOWIEKU, KTÓREGO ŁATWO OCENIĆ.
A ZNACZNIE TRUDNIEJ ZAPOMNIEĆ.

WYDAWNICTWO ALBATROS

eprasa.pl 849bad8b12

Bajki dla wapniaków

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

POPKULTURA | Od „Flintstonów" po „BoJacka Horsemana": animacje rozbrajają tabu, społeczne lęki i nasze wyobrażenia o dorosłości.

Kondycję rozproszonych po wielu platformach seriali trudno ubrać w liczby. Od kilku lat próbuje temu zaradzić Nielsen, publikując ranking oglądalności, uwzględniający dane z telewizji oraz serwisów VOD w Stanach Zjednoczonych. Na najnowszej liście znalazł się zaledwie jeden serial animowany dla dorosłych: superbohaterski przebój Amazon Prime „Niezwyciężony".

Lokata w ósmej dziesiątce nie dowodziłaby raczej popularności kreskówek. Okazuje się jednak, że produkcje telewizyjne lepiej radzą sobie w streamingu. „Głowa rodziny", będąca siedemdziesiątym dziewiątym wyborem amerykańskiego telewidza, na platformach streamingowych była najczęściej oglądanym serialem w grupie młodych dorosłych. Uwzględniając wszystkich użytkowników, większym wzięciem cieszyło się jedynie sześć tytułów, w tym „Bob's Burgers", kolejna animacja dla dorosłych.

Jak to się zaczęło?

Pierwsze kreskówki powstawały na kanwie pasków komiksowych, takich jak „Mutt and Jeff" czy „Krazy Kat", co uzasadnia familijny język i komediowy wydźwięk. Zdarzały się jednak miniatury dosadne, takie jak „Feline Follies" (1919), w którym kot Feliks na wieść o zostaniu ojcem popełnia samobójstwo.

Im bliżej ustanowienia Kodeksu Haysa, tym częściej kreskówki stawały się przestrzenią transgresji. W roku 1928 powstała pierwsza animacja pornograficzna „Eveready Harton in Buried Treasure", czyli inspirowany tzw. Bibliami z Tijuany zbiór gagów o chutliwym chłopie i jego zbliżeniach (bohaterem jednego był nawet osioł).

Seksperypetie Hartona nakręcono dla hecy, poza oficjalnym obiegiem, lecz temperament ich twórców, choćby Maksa Fleischera, przenikał do produkcji przełomu lat 20. i 30., w których nie brakowało obscenicznych gestów, sporadycznych przekleństw i przemocy. Fleischerowie uwielbiali makabrę, Walt Disney miał słabość do żartów z kobiecej bielizny, z kolei Ub Iwerks kilkukrotnie ilustrował narkotyczny wid po gazie rozweselającym.

Kreskówki sprzed 1934 r. mieściły się w normie społecznej, lecz były niewątpliwie zbyt pieprzne, by uznać je za rozrywkę li tylko dla dzieci.

Animacje w formie miniatur wyświetlanych przed filmami pełnometrażowymi zniknęły z kin na przełomie lat 50. i 60. Równolegle rozpowszechniała się telewizja. Animatorzy, którzy wskutek przenicowania systemu produkcyjno-dystrybucyjnego stracili grunt pod nogami, zaczęli żywo interesować się możliwościami nowego medium.

Jego prominentami stali się William Hanna i Joseph Barbera, twórcy stojący za oscarowymi szortami z Tomem i Jerrym, a zarazem ojcowie tak zwanej ograniczonej animacji (*limited animation*). O ile krótkometrażowe animacje tworzone wewnątrz hollywoodzkich wytwórni wyróżniały się szczegółowością i dynamicznością, o tyle jakość seriali telewizyjnych była wypadkową okrojonego budżetu i wzmożonego tempa produkcji.

W Hanna-Barbera opracowano szereg technik mających usprawnić żmudny proces: od zmniejszania liczby klatek, po wykorzystywanie zapętlonych teł. Zmiana warunków pociągnęła za sobą zmianę formatu – w latach 60. rozedrgane, bogate w gagi kreskówki Teksa Avery'ego i jemu podobnych zastąpiły oparte na komizmie słownym, statyczne animowane sitcomy.

Narodziny Flintstonów

Większość ówczesnych seriali animowanych kierowano do dzieciaków; emitowano w blokach programowych w sobotnie poranki, kiedy najliczniej gromadziły się przed telewizorami. Okazało się jednak, że iskrzące dowcipem seriale w rodzaju „Psa Huckleberry'ego" przemawiały również do starszych widzów, co doprowadziło do powstania pierwszego animowanego sitcomu dla dorosłych (i dzieci), pokazywanego w najlepszym czasie antenowym – „Flintstonów".

Wyrosła z zainteresowania kultowymi „The Honeymooners" (pierwowzorem „Miodowych lat") produkcja mogłaby posłużyć za instrukcję, jak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: zabawne, nietuzinkowe elementy świata przedstawionego (dinozaury pełniące funkcję żywych sprzętów RTV i AGD, samochód z napędem nożnym) przyciągały młodszych, tymczasem żarty z modelowej rodziny nuklearnej i podgryzanie amerykańskiego snu zatrzymywały starszych.

Przez sześć lat, od 1960 do 1966 r., perypetie zawodowo-rodzinne Freda Flintstone'a – pracownika fizycznego z chrapką na awans (także społeczny), typowej głowy rodziny – były, bądź co bądź, krzywym zwierciadłem, w którym odbijała się szara powszedniość telewidzów. Ciekawostka: ulubiony jaskiniowiec USA był na tyle popularny, że wystąpił w reklamie papierosów.

Era Simpsonów

„Flintstonów" (i seriale powstałe na fali ich sukcesu, na przykład „Jetsonów") można wziąć za protezę współczesnej kreskówki dla dorosłych, której właściwy kształt określił w 1989 r. Matt Groening. Jego „Simpsonowie" zadebiutowali w *prime time* stacji Fox, gdy kablówka rosła w siłę, prześcigając po raz pierwszy tradycyjną telewizję. Pierwszy sezon serialu przyciągnął przed telewizory ponad 32 mln widzów, stając się z miejsca ogólnokrajowym fenomenem. Zaledwie dwa lata po premierze Bart Simpson znalazł się na okładce magazynu „Time", sprzedaż gadżetów z jego podobizną przyniosła krocie. Zainteresowanie „Simpsonami" wynikało z charakterystycznej formuły serialu, żeniącego żarty bliskie skórze z licznymi odniesieniami do świata polityki i popkultury.

Przykładowo: odcinek „Marge kontra kolej jednoszynowa" zaczyna się od parodii czołówki „Flintstonów" (historia zatacza koło), przechodzi przez parafrazę „Milczenia owiec", kończy zaś gościnnym występem Leonarda Ni-

eprasa.pl 849bad8b12



MATERIAŁY PRASOWE COMEDY CENTRAL

Kadr z serialu „Miasteczko South Park". Pierwszy sezon nadano w 1997 r.



MATERIAŁY PRASOWE FOX TV

„Bobby kontra wapniaki", emitowany od 1997 r.

moya, który zostaje wzięty za gwiazdę „Gwiezdnych wojen". A w międzyczasie pojawiają się żarty o zanieczyszczeniu środowiska, brutalności policji i systemowym rasizmie.

Kreskówka Groeninga była pastiszem familijnego sitcomu, serialem iście postmodernistycznym w czasach, gdy słowo „postmodernistyczny" nie zakrawało jeszcze na frazes.

Emisję „Simpsonów" można uznać za cezurę w historii telewizji. Zapoczątkowana przez Groeninga moda na intertekstualność zdefiniowała poetykę produkcji takich jak „Głowa rodziny" czy „Miasteczko South Park". Z kolei zrewidowanie prawideł sitcomu wpłynęło choćby na produkcję „Bobby kontra wapniaki".

Żadnego z tych tytułów nie można nazwać kalką, ponieważ każdy został napisany autorskim językiem. „Głowa rodziny" i „Miasteczko South Park" były nieporównywalnie wulgarniejsze od „Simpsonów" – ich twórcy z lubością podważali tabu, sięgając po humor figlarny, niepoprawny, nieraz obcesowy.

Z czego się śmiejemy

Ale w kreskówkach dla dorosłych nie chodzi wyłącznie o kwestionowanie granic dobrego smaku, lecz także przesuwanie społecznych norm. Takim przykładem jest „Bobby...", którego pierwsze odcinki nawet po trzydziestu latach od premiery wydają się nader aktualne i uniwersalne.

W końcu opowiadają o niezręczności towarzyszącej zmianom obyczajowym: lęku przed edukacją seksualną, wywołanym zaszczepionym w młodości wstydem, trudnościach w opowiadaniu o uczuciach, mężczyznach wychowanych w patriarchalnych rodzinach, uprzedzeniach, które nie przystają do rzeczywistości, powodując niepewność i wewnętrzny konflikt. A że wszystko przedstawione jest w formie humoreski, łatwiej to przełknąć niż pierwszy z brzegu film interwencyjny.

Satyra w komediowych kreskówkach dla dorosłych nie ogranicza się do codzienności amerykańskiej rodziny nuklearnej i jej paroksyzmów, wręcz przeciwnie – jest tak różnorodna, jak techniki animacji.

Obok szydzącego z przemysłu filmowego „The Critic" stoją problematyzujący dynamikę rasową w USA „The Boondocks"; będący zgrywą z *talk show* „Space Ghost Coast to Coast" idzie ręka w rękę z licealną komedią „Daria".

Za nimi zaś ukrywają się „Aqua Teen Hunger Force", czyli surrealistyczne przygody antropomorficznego klopsa, paczki frytek i szejka oraz „BoJack Horseman", czystej wody dramedy o cieniach sławy z podstarzałym koniem w roli tytułowej. I musicie mi uwierzyć, że to zaledwie wierzchołek góry lodowej, co więcej, zaledwie drobny wycinek gatunkowy – uwzględnienie seriali akcji, horrorów, *science fiction* mogłoby zająć pół tego numeru.

Nieraz w magazynach opinii wszczynano larum w kwestii postępującej infantylizacji dorosłych, która miałaby się objawiać sięganiem po dziecięcą estetykę, przedmioty i rozrywki. Tak zwanym *kidults* (zbitka angielskich słów *kid* – dziecko i *adult* – dorosły) zarzuca się strach przed dorosłością i odpowiedzialnością, utrudniający założenie rodziny, a objawiający się właśnie ucieczką w świat smarkatej zabawy: na przykład oglądanie kreskówek.

To o tyle ciekawe, że sam termin ukuty został w latach 50. jako określenie dorosłych widzów oglądających audycje telewizyjne dla dzieci i młodzieży.

A czasem płaczemy

Seriale dla dzieci i młodzieży nieraz zachwycały walorami estetycznymi czy też ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ rozbudowanym światotwórstwem. To może tłumaczyć zainteresowanie dorosłych takimi serialami jak „Pora na przygodę" i „Wodogrzmoty Małe", które poza czeredą zbzikowanych, acz sympatycznych postaci oraz zatrzęsieniem dracznych gagów oferowały wgląd w pieczołowicie zaprojektowany fantastyczny świat, pełen tajemnic i małych cudów.

Oba tytuły odznaczały się rozbudowanym *lore*, czyli swoistą mitologią świata przedstawionego, będącym przedmiotem licznych dyskusji i fanowskich teorii. Finalnie „Pora na przygodę" okazała się opowieścią postapokaliptyczną, w której globalny konflikt nuklearny, nazywany wielką wojną grzybów, zmiótł ludzkość z powierzchni Ziemi, lecz jednocześnie umożliwił powrót magii w jej najróżniejszych odsłonach: od zmiennokształtnych psów, przez wampiry, po cukierkowych ludzi. Ponadto to serial po prostu bystry, tematyzujący nie tylko dziecięcy zachwyt, ale również trudy relacji i nieodzowność żałoby.

Obecność platform streamingowych częściowo ułatwiła powrót do kreskówek z czasów dzieciństwa, co sprzyja nostalgicznym seansom. W ten sposób na nowo odkrywany jest choćby „Chojrak – tchórzliwy pies" – niepospolity przykład telewizyjnego horroru dziecięcego z początku milenium. Nostalgia bywa też kapitalizowana, czego przejawem są powroty do dawnych tytułów w postaci sequeli, spin-offów i rebootów.

O ile nieraz takie działania można zbyć wzruszeniem ramion, widząc w nich kolejny dowód na repetytywność i brak inwencji współczesnego przemysłu kultury, o tyle zdarzają się przypadki projektów udanie korespondujących z pierwowzorem. Za przykład mogą posłużyć finałowy sezon „Samuraja Jacka" oraz *spin-off* „Pora na przygodę: Fionna i Cake".

Czas się nie zatrzymał, dzieciaki sprzed telewizorów zdążyły dorosnąć, dlatego kontynuacje seriali dla młodego widza przyjęły formę kreskówek dla dorosłych. Tak do uwielbianych uniwersów przedostała się też niejednoznaczność.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Poza światem

NELIO BIEDERMANN, PISARZ:

ROZMOWA | Fikcja potrafi odsłonić to, co kryje się za faktami. To jeden z głównych powodów, dla których wciąż tworzymy i czytamy literaturę.

KRZYSZTOF KATKOWSKI: Masz zaledwie 23 lata, a jesteś już znanym pisarzem. Na ile języków została przetłumaczona Twoja powieść?

NELIO BIEDERMANN: Na dwadzieścia osiem.

O czym opowiada?

„Lázár" zabiera czytelników na przełom XIX i XX w. W telegraficznym skrócie: to baśń utkana z historii, które słyszałem w dzieciństwie, głównie od babci i pradziadka. Mogę ją streścić równie baśniowym językiem, którego oni używali: na skraju posępnego lasu, który doprowadza do obłędu każdego, kto zapuści się w jego głąb zbyt daleko, stoi zamek. To właśnie tam przychodzi na świat Lajos von Lázár, chłopiec o bladych, niemal przezroczystych oczach i skórze cienkiej jak pergamin.

Trzy pokolenia rodziny Lázárów zostają następnie wciągnięte w wir wydarzeń XX w.: upadek imperium Habsburgów, dwie wojny światowe, Holokaust i wydarzenia na Węgrzech roku 1956. Na ich oczach świat, który znali, zaczyna się rozpadać. A jednak nawet pośród dziejowych katastrof nie przestają kochać, zdradzać, mieć nadziei, opłakiwać bliskich i strzec swoich sekretów. To także opowieść o stracie i upływie czasu.

Bardzo klasyczna powieść, inspirowana m.in. pisarstwem Tomasza Manna i zdobyczami realizmu magicznego. Takich książek już się dziś nie pisze.

Ponieważ ta historia została zainspirowana dziejami mojej własnej rodziny, od zawsze wiedziałem, że chcę coś z nią zrobić, że pewnego dnia będę musiał ją opowiedzieć. Myślę, że przyszło mi to naturalnie. Nie podjąłem świadomie żadnej decyzji, by pisać inaczej niż współcześni autorzy, ani by podążać w jakimś określonym kierunku.

Dla historii, które miałem do opowiedzenia, użycie klasycznej formy wydało się po prostu najbardziej naturalne. Oczywiście, mógłbym opowiedzieć tę historię z własnej perspektywy, pokazując, jak prowadziłem badania i tak dalej, ale uznałem, że będzie ona mocniejsza, jeśli przedstawię ją właśnie w ten sposób, śledząc losy bohaterów, a nie pisząc o sobie.

Wiesz, może w pewnym sensie chciałem w ten sposób zachować opowieści, które przekazywali mi moi dziadkowie. W jakiś sposób ocalić. Oczywiście to miłe, i poniekąd naturalne, że książkę czyta wiele osób.

Dlaczego wybrałeś fikcję?

Zanim zacząłem pisać powieść, rozważałem napisanie reportażu, ale ten gatunek zwyczajnie nie interesuje mnie w takim stopniu jak fikcja. Z jednej strony starałem się trzymać blisko faktów historycznych. We wcześniejszych próbach podejścia do książki nie uwzględniałem na przykład żadnych elementów magicznych. Ale miałem poczucie, że potrafię znaleźć lepsze rozwiązania niż te, które podsuwa rzeczywistość. Dlatego ciekawsze stało się dla mnie wypełnianie luk – czyli wszystkiego, czego nie wiedziałem o rodzinie – własną wyobraźnią.

Fikcja potrafi zrobić coś, czego nie potrafi *non-fiction* ani ściśle historyczne pisarstwo. Może pokazać, jak było naprawdę. Odsłonić to, co kryje się za faktami i liczbami.

Czułem, że znacznie większą siłę będzie miało śledzenie losów bohaterów na przestrzeni całego stulecia, towarzyszenie im, gdy przechodzą przez wszystkie tragedie. Fikcja ma moc, ponieważ może uczyć, ukazywać kontekst epoki, a jednocześnie wywoływać emocje. I to, moim zdaniem, jest jeden z głównych powo-

eprasa.pl 849bad8b12



RUBEN HOLLINGER / MATERIAŁY PRASOWE

dów, dla których wciąż tworzymy i czytamy literaturę.

A dla Ciebie czym jest pisanie?

Wolnością. Kiedy się pisze, zapomina się o wszystkim. Oczywiście tylko wtedy, gdy naprawdę się udaje, bo czasem siedzisz i nic nie wychodzi.

Ale kiedy to działa i wchodzisz w stan pisania, naprawdę możesz zapomnieć o wszystkim, nawet o sobie i własnym ciele, zostaje tylko opowieść. Tak było właśnie z pracą nad tą książką.

A gdybyś miał ten stan do czegoś porównać?

Myślę, że dobrym przykładem jest spacer po lesie, bo to też jest w pewnym sensie coś „nieproduktywnego", odcinającego nas od wszystkiego. Zresztą kiedy pisanie mi nie idzie, często idę na spacer do lasu.

Dla mnie Twoja książka jest w dużej mierze opowieścią o ciele. I to już od samego początku powieści: w dzień Trzech Króli rodzi się Lajos von Lázár, dziecko o niezwykłym wyglądzie – ma przezroczystą skórę, przez którą widać narządy.

To był jeden z aspektów, który szczególnie mnie interesował: coś, czego brakowało mi na przykład w sadze o Buddenbrookach Tomasza Manna, który wraca w tej rozmowie – a dla mnie jest bardzo ważnym punktem odniesienia. U Manna wymiar cielesny jest obecny gdzieś pod powierzchnią i ma swoją siłę, ale autor nie mógł w pełni otwarcie pisać o ciele, seksie, przemocy.

Dlatego bardzo ważne było dla mnie wprowadzenie takich wątków do powieści, pokazanie aspektów ciała w sposób bardziej bezpośredni. I oczywiście były one niezwykle istotną częścią tamtej epoki, tak samo jak są nią dzisiaj. Po prostu wydawało mi się konieczne, by je uwzględnić.

A czy ma to również wymiar pokoleniowy? Dziś chcemy patrzeć na nasze ciała w sposób nieseksualny.

Myślę, że był to oczywiście ważny temat także wtedy, tylko że ludzie nie mogli o nim mówić, bo często nie mieli nawet odpowiednich słów. Był stale obecny, ale kształtował społeczeństwo w zupełnie inny sposób, właśnie poprzez swoją nieobecność w otwartej dyskusji.

Dziś wpływa na naszą kulturę zupełnie inaczej, ponieważ mówimy o tym otwarcie i nieustannie o tym myślimy. Jest wszędzie: w reklamie, filmach, mediach. Dlatego sądzę, że nasz sposób myślenia o ciele i seksualności naprawdę się zmienił.

Bardzo interesujące było dla mnie cofnięcie się w czasie i wyobrażenie sobie, jak to niegdyś wyglądało. Wzięcie czegoś, co dziś jest tak obecne i otwarcie omawiane, i umieszczenie tego w rzeczywistości, w której tak nie było, jeśli ma to sens.

Nelio Biedermann

(ur. 2003) jest pisarzem, studiuje germanistykę i filmoznawstwo na Uniwersytecie w Zurychu. Jego druga powieść „Lázár" (na język polski przełożyła ją Danuta Fryzowska, a wydały Marginesy) zdobyła międzynarodowy rozgłos.

Utrzymana w klimacie romantycznej baśni saga opisująca dzieje rodziny Lázárów przez kilkadziesiąt tygodni utrzymywała się na niemieckiej liście bestsellerów (sprzedano ponad 200 tys. egz.), a niedługo potem przełożono ją na angielski. Tom Tykwer, współtwórca popularnego serialu kostiumowego „Babylon Berlin", planuje adaptację filmową.

Recenzenci na całym świecie, pisząc o fenomenie Biedermanna, mnożyli porównania do „Buddenbrooków" Tomasza Manna. Eseistka i krytyczka „New Yorkera" Becca Rothfeld (gościni tegorocznego Festiwalu Conrada) dostrzegła z kolei w „Lázárze" pastisz „Marsza Radetzky'ego" Josepha Rotha oraz nawiązania do prozy Waltera Kempowskiego.

Redaktor niemieckiego dziennika „Die Zeit" wnioskował, że zainteresowanie książką rosło lawinowo ze względu na kontrast między wiekiem autora a „rozmachem i historyczną perspektywą" jego powieści. „Ludzi zainteresowało, że książka jest stylistycznie i językowo staromodna" – przyznawał sam autor w rozmowie z „New York Timesem". Czyżby to fala filmów kostiumowych i serialowych adaptacji dawnej prozy utorowała drogę do popularności Biedermanna? A może po prostu tęsknimy za czasami, w których wszyscy mieliśmy jeszcze jakieś tajemnice? ©℗ MOCH

Nieco pod włos?

Ponoć sen jest koszmarem wielkich korporacji, bo przez sześć, a może nawet osiem godzin dziennie ludzie niczego nie konsumują i nie wydają pieniędzy. Gdyby korporacje tylko mogły, prawdopodobnie całkowicie wyeliminowały sen z naszego dnia, jako bezproduktywną czynność.

Podobnie jest z czytaniem powieści. Oczywiście książka też jest produktem, ale sama powieść tworzy pewien ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ świat poza naszym światem. Można się w nim zanurzyć i przestaje się być „produktywnym", jest się gdzie indziej. Myślę, że takie przestrzenie są bardzo ważne. W pewnym sensie są niemal utopijne, właśnie dlatego, że tak bardzo różnią się od wszystkiego innego.

Jednocześnie jest w tym coś smutnego, że wciąż czasami trudno mi pisać, bo nieustannie mam poczucie, że powinienem robić coś innego, coś bardziej „produktywnego", jak odpowiadanie na maile, mimo że pisanie jest moją pracą i najważniejszą rzeczą, jaką robię. To dość przygnębiające, że te wszystkie kapitalistyczne struktury, które nas otaczają, sprawiają, że czytanie, a nawet pisanie, wydaje się czymś niewłaściwym tylko dlatego, że nie przynosi natychmiastowych zysków.

Ale mówisz też o tym, że w pisaniu pomaga Ci dobre zorganizowanie pracy.

Jasne. Wiesz, wydaje mi się, że bardzo pomaga rutyna. Piszę codziennie już od kilku, pięciu albo sześciu lat. Teraz jest to dla mnie całkowicie naturalne. Jeśli nie piszę, mam wrażenie, że czegoś mi brakuje.

To nie znaczy, że nie ma rozproszeń, bo jest ich mnóstwo. Pomaga mi to, że wszystko piszę ręcznie. Staram się też odkładać telefon, kiedy piszę. Do riserczu używam komputera, ale zazwyczaj wyłączam wi-fi i włączam je tylko na chwilę, gdy muszę coś sprawdzić. W przeciwnym razie, jeśli przyjdzie mail, od razu go sprawdzam. Więc nie jestem na to odporny, dla mnie to też jest trudne.

Często najlepiej pisze mi się późnym wieczorem, kiedy jest mniej rozpraszaczy, nie przychodzą już nowe wiadomości i jest ciszej. Wtedy jestem najbardziej skupiony. Ale tak naprawdę wszystko sprowadza się do rutyny, a także do tego, że pisanie sprawia mi przyjemność. Nie odbieram go jako obowiązku, lecz jako coś, co naprawdę lubię robić, i to robi ogromną różnicę. I to mimo tego, że jesteśmy już wszyscy uzależnieni od telefonów.

W kolejnych książkach też będziesz pisać o swojej rodzinie?

Teraz już wiem, jak pisać tego rodzaju powieść, wiem, jak stworzyć historyczną sagę rodzinną. Dlatego o wiele ciekawsze będzie spróbowanie czegoś innego, nawet jeśli to trudne. Trudne, ale konieczne.

Chcę pisać o teraźniejszości. Właściwie już nad tym pracuję. I to zawsze było dla mnie bardzo trudne, bo miałem poczucie, że pisanie o przeszłości jest łatwiejsze.

Dlaczego?

Oczywiście trzeba wykonać dużo pracy badawczej, ale jednocześnie wiesz, co będzie dalej, masz poczucie całości. W przypadku teraźniejszości nic nie wiesz, możesz tylko obserwować to, co się dzieje. I to, moim zdaniem, jest dużo trudniejsze. Ale teraz wreszcie czuję, że jestem w stanie to zrobić. Trzeba próbować nowych rzeczy. Literatura daje taką przestrzeń.

© Rozmawiał KRZYSZTOF KATKOWSKI

Lektor:
Trzy siostry



▪ *Monika Śliwińska*
MUZY MŁODEJ POLSKI. ŻYCIE I ŚWIAT MARII, ZOFII I ELIZY PAREŃSKICH
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, ss. 470

Moja ulubiona epoka w historii Krakowa. Miasto podnosi się z zapaści, autonomia galicyjska sprzyja rozwojowi polskich instytucji. Historyczna, choć prowincjonalna dziura (nie jest nawet stolicą Galicji!) zaczyna się szybko rozwijać, mimo ograniczeń narzuconych przez status twierdzy. No i nadciąga Młoda Polska.

Klasycznym, aczkolwiek subiektywnym opisem tej przemiany są wspomnieniowe szkice Boya-Żeleńskiego. Teraz młodopolski Kraków opowiada nam Monika Śliwińska, związana z lubelskim Ośrodkiem „Brama Grodzka". I robi to znakomicie!

Książki o Wyspiańskim, o siostrach Mikołajczykównych, o Boyu i o siostrach Pareńskich – ta ostatnia teraz poszerzona – są lekturą obowiązkową dla wszystkich Krakowian i nie-Krakowian. Pokazują społeczne i obyczajowe tło takich zjawisk, jak teatr Wyspiańskiego czy genialne malarstwo Wojtkiewicza, jak Zielony Balonik i „Słówka" Boya. Nowe ściera się ze starym – Antonina Domańska, czyli Radczyni z „Wesela", sarka na pomysł, by Wyspiańskiego wieszać w galerii w Sukiennicach...

Stanisław Pareński był cenionym lekarzem, profesorem uniwersytetu. Jego żona, Eliza z Mühleisenów, przyjaciółka artystów, wielbicielka Wyspiańskiego (to ona stała za powierzeniem mu umeblowania mieszkania młodych Żeleńskich), prowadziła krakowski salon. A ich piękne córki?

Zacznijmy od najmłodszej, Elizy zwanej Lizką, tej ze słynnego podwójnego portretu Wyspiańskiego. Wyszła za poetę Edwarda Leszczyńskiego. „Proza życia – pisze Śliwińska – w żaden sposób nie przystawała do świata, który sobie stworzyli". Chwiejna emocjonalnie, uzależniona od morfiny, popełniła samobójstwo. Najstarsza Maryna, najpierw Raczyńska, potem krótko Jasieńska, wreszcie Grekowa, była niespełnioną miłością młodo zmarłego Witolda Wojtkiewicza. Zginęła w 1941 r. wraz z mężem, prof. Janem Grekiem, i szwagrem, Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, w egzekucji profesorów lwowskich (Boy mieszkał u nich od 1939 r.).

A Zofia, żona Boya? Ich małżeństwo szybko stało się raczej formalne – Żeleński romansował z kolejnymi aktorkami, potem z Ireną Krzywicką, Zofia z Rudolfem Starzewskim, potem z Witkacym, ale rozwodu nigdy nie wzięli. Wojnę spędziła w Warszawie – pomagała wtedy Krzywickiej, zagrożonej jako Żydówka. A po wojnie zadbała o zebranie i wydanie całej spuścizny męża. Zmarła w roku 1956.

Jeśli ktoś lubi poznawać miejsce akcji, zapraszam na ulicę Wielopole. Ostrzegam tylko: dawny pałac Pareńskich nigdy nie był zbyt urodziwy, a po rozbudowie na hotel sieci Holiday Inn straszy jadowicie niebieskimi taflami szkła. Więc lepiej zostać przy książce. ©℗

eprasa.pl 849bad8b12

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ALGORYTMY PRZYSZŁOŚCI

WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



Sztuczna inteligencja już zmieniła nasze życie. Pytanie brzmi: na czyich warunkach?

Choć często się jej boimy, korzystamy z niej każdego dnia. W najnowszym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego” pytamy, czy w starciu z technologią człowiek jest skazany na porażkę, czy przeciwnie – może nauczyć się czerpać z niej to, co najlepsze. Głos zabierają eksperci od funkcjonowania w cyfrowym świecie, m.in. Sylwia Czubkowska, Magdalena Bigaj, Tomasz Stawiszyński, Agata Kaźmierska i Wojciech Brzeziński.

Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online!

ZAMÓW ONLINE

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl/849bad8b12

PAWEŁ

Bravo:

Dobre nasze terroir



Piętnaście stopni i już marznę, nie jestem kriofilem, czyli organizmem, który dopiero poniżej tego progu czuje, że żyje. A co nas obchodzi twoje nieprzystosowanie klimatyczne? – zapytacie. – Nie marudź nam tutaj, w swoim półpolskim DNA masz przecież zaszytą, dziedziczoną jak zegarek po dziadku wiedzę, że istnieją grubsze powody, żeby rytualnie narzekać na szerokość i długość geograficzną naszego miejsca pobytu, niż błahy fakt, iż w okolicach równonocy trzeba ściągać z szafy wełnianą kapotę.

Narzekamy na ten twardy korzeń złego położenia w naszej tożsamości, ale kochamy. Najświeższy powód: no w jakim innym kraju Instagram by tak pięknie eksplodował grzybami?! Zdaje się, że to najbardziej dziś dynamiczna influencerska moda okołojedzeniowa. Lubię zwłaszcza mocno doświetlone fotki robione z góry okazom ułożonym w luźnym szyku na gazecie. Najlepiej, jeśli to taka raczej tekstowa płachta, bez dużych obrazków – w tym celu należy poprosić kuzyna z Niemiec o podesłanie niedzielnego wydania „FAZ", są tam gęsto nabite strony bez reklam, bo żaden reklamodawca nie uwierzyłby, że ktokolwiek tam zagląda.

Równe szpalty pełne wczorajszych wydarzeń i przedwczorajszych opinii okazują się niezłym tłem do zdjęć i to jedna z niewielu chyba miłych rzeczy, jakie się da powiedzieć o kondycji drukowanej prasy codziennej. Ale nie czas na jojczenie w schyłkowej fazie cyklu przyrody, kiedy wśród straganów czujemy się jak ludzie, którzy się zasiedzieli w gościach i teraz na przystanku około północy czekają na jakiś tramwaj zjeżdżający do zajezdni. Gazeta, karton po pizzy (bardzo praktyczny z racji wysokich brzegów), ścierka czy goły blat stołu, cokolwiek leży pod spodem – ważne są grzyby. Te widzialne hufce pod wodzą marszałka Rydza i kanclerza Borowika, a jeszcze bardziej niezliczone armie grzybów niewidzialnych, które właśnie w tych dniach zaczynają swoje najważniejsze pięć minut w niedługim życiu. A raczej pięć tygodni.

W kadziach winnych piwnic, jak Polska długa i szeroka, trwa wielkie dzieło fermentacji. To bardzo przyjemna okazja, żeby sobie przypomnieć, że długość i szerokość Polski to nie żurnalistyczna klisza, bo wspaniała ta przemiana dzieje się od zachodnich skrajów Pomorza po najdalszy czubek Podkarpacia w prawym dolnym rogu, a palec w wędrówce po mapie zahacza szczególnie o Lubuskie i Dolny Śląsk. Ale i wzdłuż Wisły, w środkowym jej biegu, może przystanąć w parunastu miejscach, poczynając od najstosowniej nazwanej wioski Dobre. Dużo dobra.

Był czas przycinania, zabiegów i oprysków, patrzenia na prognozy i chmury z nadzieją albo strachem – z tego, co generalnie słyszę od ludzi w środowisku, rok ułożył się nienajgorzej. Z równą nadzieją patrzą oni teraz w mętne jeszcze moszcze syczące dwutlenkiem węgla. Patrzą, ale nie widzą, w każdym razie widzą niewiele w porównaniu ze wzrokiem skierowanym w niebo – potęga geofizyki znacznie więcej daje nam dziś zrozumienia pogody niż mikrobiologia zrozumienia obłędnej złożoności procesów fermentacyjnych. Albowiem choćby winiarz specjalnie zaszczepił moszcz wyselekcjonowanym w laboratorium szczepem drożdży, to inni anieli są tam czynni: szeroki garnitur drożdży i bakterii, które pozostają aktywne nawet w trakcie produkcji wina w przemysłowych warunkach.



PIOTR KAMIONKA / ANGORA / REPORTER

Skład gleby, który geologia potrafi od dawna rozpisać bez marginesu błędu, oraz mikroklimat, również uchwytny nawet nie bardzo wyrafinowanym szkiełkiem i okiem. Oto dwa podstawowe składniki owego ciągle przywoływanego w krytyce winiarskiej *terroir*, które było znakomitym narzędziem terroru znawców wobec laika. Od pewnego czasu wiemy jednak coraz lepiej, że to, co w winie wyjątkowe, osobiste, by tak rzec, zależy właśnie od niepowtarzalnych „konsorcjów" (tak piszą w literaturze naukowej) mikroorganizmów, całkowicie zależnych od miejsca, niepowtarzalnych. Dziesiątek rodzajów drożdży innych od najbardziej oswojonego przez człowieka *Saccharomyces*, którego gonimy do pracy wszędzie, przy chlebie i piwie. Na przykład pięknie nazwanej *Candida zemplini*. Zemplin to kraina na południe od Bieszczadów, do której należy też Tokaj, gdzie znaleziono tego kriofilnego grzybka – jemu tempera-

eprasa.pl 849bad8b12



tura poniżej piętnastu stopni na pewno się podoba. Stał się dziś gwiazdą badań enologicznych, bo potrafi produkować mniej alkoholu. A ten zaczyna być coraz bardziej problemem z racji klimatycznych i kulturowych.

Olga Tokarczuk w rozmowie z tego numeru „Tygodnika" pięknie pokazuje, jak pojęcie *terroir* można przenieść na ludzkie odczucie miejsc pobytu i działania. Jest to dla niej, jeśli dobrze rozumiem, obszar ucieczki od twardo określanych granic terytoriów, wymuszanych na człowieku przez politykę i historię. Obszar wyczuwalny intuicyjnie, trzecim okiem, wrażliwością, nigdy do końca nie zdefiniowany. Zupełnie jak ten drożdżowo-bakteryjny „duch" każdej winnicy z osobna.

Używam tego słowa nieprzypadkowo, bo we współczesnych dyskusjach o winie drożdżowe *terroir* bywa traktowane magicznie, jak jakiś płaszcz wróżki lewitującej nad gronami. Dzięki postępom mikrobiologii z roku na rok potrafimy lepiej opisać jego skład, tyle że droga jeszcze daleka. Co powinno ucieszyć każdego, kto potrzebuje czasem nie wiedzieć i nie rozumieć wszystkiego.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Makaron z grzybami i gorgonzolą

Grzyby w naszej kulturze (te z lasu, nie z próbówki) to bodaj ostatnia niezagrożona reduta obyczajów i rytuałów przedkapitalistycznych, nietkniętych umasowieniem, globalizacją, bezimiennością. Nadal sporą część tego, co będziemy mieć na stołach, albo zbieramy sami, albo kupujemy w strukturach przydrożnej i bazarowej dystrybucji, z ręki do ręki, gotówką bez paragonu i innych tego rodzaju chomąt. Są też redutą wzajemnego zaufania, jeśli chodzi o bezpieczeństwo – nawet sobie nie zdajemy sprawy, jak wielkie pokłady strachu (uśmierzonego przepisami i certyfikacją) budzą grzyby w społeczeństwach, które oderwały się od gleby nieco wcześniej niż nasze. Prawdziwy Polak zna się na grzybach i tego się trzymajmy w czasach, kiedy tożsamość i etniczne atrybuty służą do celów zbyt często nienawistnych.

SKŁADNIKI:
320 g makaronu (najlepiej krótkie kształty) 300 g świeżych grzybów, takich jak podgrzybki czy prawdziwki 1 marchew 1 ząbek czosnku 100 ml śmietanki 60 g gorgonzoli lub podobnego sera 40 g tartego sera pecorino ▪ pęczek natki pietruszki

Dlatego trochę głupio sugerować jakieś „nowe" przepisy i sposoby przyrządzania. Ale może ośmielę się, bodaj po raz pierwszy w długich dziejach tej rubryczki, zaproponować: połączcie je z serem z niebieską pleśnią. Włoski przepis oczywiście przewiduje gorgonzolę, ale każdy łagodny i dość kremowy niebieski ser się nada. Rozgniatamy czosnek, drobniutko siekamy marchewkę, dajemy je na patelnię z oliwą, dusimy na wolnym ogniu parę minut, uważając, żeby się nie przypaliło. Wyjmujemy czosnek, dodajemy grzyby pokrojone w drobną kostkę, solimy, zwiększamy ogień, obsmażamy starannie dwie minuty. Zmniejszamy ogień, dusimy kwadrans, podlewając w razie potrzeby wodą. Obok w garnuszku rozgrzewamy (ale poniżej punktu wrzenia, do ok. 80 stopni) śmietankę, do której wkruszyliśmy niebieski ser oraz tarte pecorino. Przelewamy tę masę do dużej patelni, do której potem przerzucamy świeżo wyjęty z wrzątku makaron, łączymy na ciepło (jeśli wyszło za suche, dodajemy wody spod makaronu). Na koniec dokładamy grzyby. Obficie posypujemy na wydaniu siekaną natką. ©℗



DENIO RIGACCI / ADOBE STOCK

eprasa.pl 849bad8b12

PSYCHE

Z WIDOKIEM NA GALAKTYKĘ

MARZANNA BOGUMIŁA KIELAR, POETKA:

Zachwyt rodzi się z zadziwienia, z uważności i ciekawości świata. I można go odzyskać nawet po trudnym doświadczeniu.

MARCIN TUSIŃSKI: W Lesie Wolskim jest miejsce, gdzie rano słońce przebija przez korony buków. Stajemy pod nimi z rodziną, oparci o pnie. Miękkie zielone światło dopełnia ciszy. Nikt się nie spieszy.

MARZANNA BOGUMIŁA KIELAR: Piękny obraz. Ja jeżdżę nad Morze Tyrreńskie, w to samo miejsce od prawie 20 lat: z tarasu domu na klifie patrzę nocą na niebo, na Drogę Mleczną. Widoku nie rozprasza żadne sztuczne światło. Jest absolutna ciemność, morze, gwiazdy i ta niebywała galaktyka. Spędzam tam co roku pięć tygodni z najbliższą rodziną i przyjaciółkami, więc mam czas, żeby się tym nasycić.

Ludzie chyba potrzebują patrzenia na niebo. Niedawno wszyscy rzucili się obserwować zaćmienie słońca.

Myślę, że powód jest jeden: potęga i piękno natury wzbudzają w nas zachwyt i konfrontują z czymś od nas trwalszym, nas przekraczającym.

Po co nam zachwyt?

Zachwyt potrzebny jest do rozwoju naszych potencjałów. Poprzez zachwyt jesteśmy wyrywani z naszych miejsc ku temu, co od nas głębsze, co od nas większe, ku wyższym poziomom ewoluującej świadomości. Bo świadomość ewoluuje, pogłębia się w miarę rozwoju człowieka.

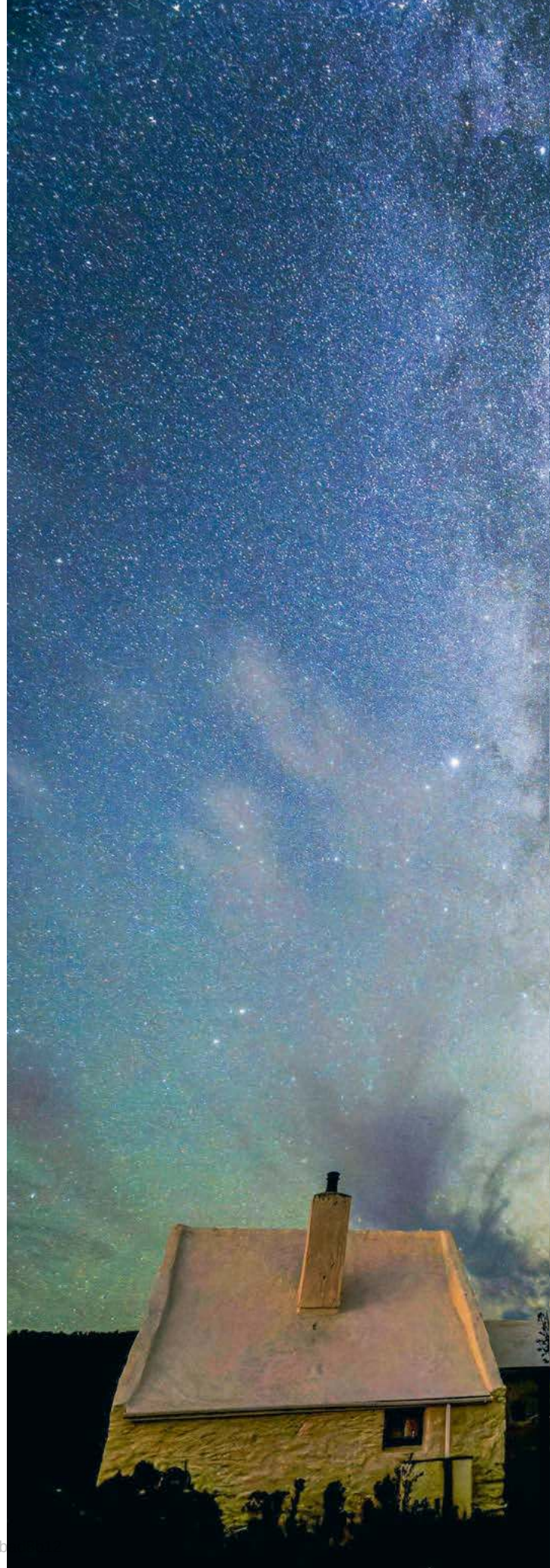

eprasa.pl 849b

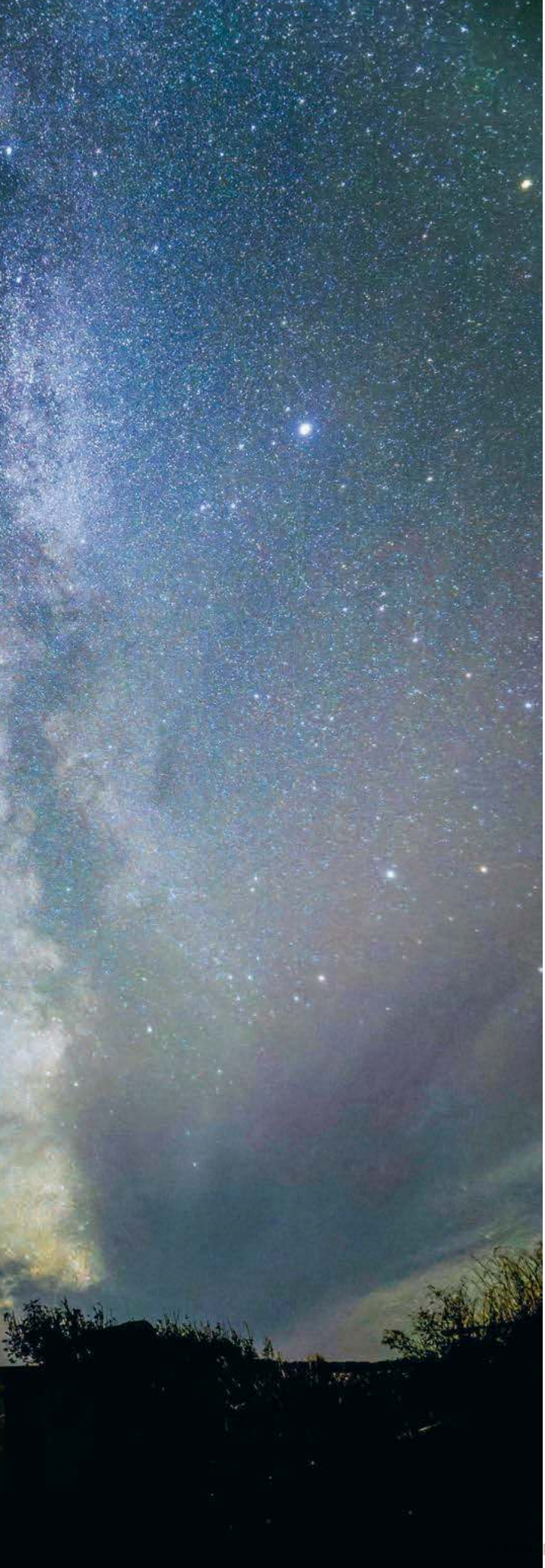

PHILIP MUGRIDGE / ALAMY / B&EW

Z biologicznego punktu widzenia – chwile zachwytu nas uspokajają. Dosłownie redukują poziom stresu, zmieniają chemię mózgu i jego aktywność. To zostało zbadane. Nawet krótka chwila zatrzymania potrafi pobudzić nerw błędny, kluczowy w regulacji pracy serca i hamowaniu stanów zapalnych, które przyczyniają się do wielu chorób cywilizacyjnych. To są rzeczy konieczne do życia – na poziomie biologicznym zachwyt wiąże się ze zdrowieniem organizmu. Jest więc też po to, żeby wrócić do równowagi, żeby być zdrowszym, żeby być lepszym dla innych, dla bliskich, dla obcych, dla zwierząt, dla przyrody.

Czym on właściwie jest?

Czytałam o nim trochę i okazało się, że to emocja, której naukowcy przyglądają się dopiero od niedawna. Jej słynny badacz, prof. Dacher Keltner z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, mówi, że zachwyt odczuwamy, kiedy napotkamy coś, co jest niezmierzone, potężne, wzniosłe, tajemnicze. Coś, czego nie potrafimy objąć naszą wiedzą, co się nam wymyka. To złożona emocja, do głębi poruszająca nasze wnętrze, łącząca się z radością i zdolnością do odczuwania szczęścia.

Czy da się tego nauczyć?

Zachwyt rodzi się z zadziwienia, z uważności i ciekawości świata. W zależności od tego, co porusza nasze zmysły, możemy się go uczyć w różnych obszarach: w naturze – zatrzymując się i patrząc na piękne drzewa, góry, jeziora czy morze; sięgając do sztuki, do muzyki; ale też w codziennych rytuałach. To takie mikrozachwyty, których źródłem może być choćby picie kawy, czuła i pełna humoru rozmowa z kimś, zabawa z psem czy obcowanie z pięknymi przedmiotami.

Zdaje się, że Tobie przychodzi to wyjątkowo łatwo.

Mam świadomość, że jestem w tej kwestii uprzywilejowana. W mojej rodzinie pogoda ducha wydaje się przechodzić z pokolenia na pokolenie. Mają ją – raczej w większym niż mniejszym stopniu – wszyscy z czterech żyjących pokoleń, choć nieszczęścia się zdarzały. Zachwyca mnie ten mój rodzinny klan, pogodna przytomność umysłu mojej córki, jej świetlistość, zachwycają i inspirują moje dwudziestoparoletnie siostrzenice, mistrzynie radosnego życia. Niemal wszyscy mieszkają blisko siebie, ich domy graniczą z sobą ogrodami. Lubię być tam z nimi, razem biesiadować, jeździć nad jeziora, saunować i smakować życie.

Moi, w tej chwili osiemdziesięcioześcioletni rodzice nadal są pogodni. Pamiętam ich wielką pracowitość i to, że lubili się bawić, urządzali przyjęcia, zapraszali przyjaciół, chodzili na dancingi, na bale sylwestrowe, utrzymywali silne więzi z całą liczną rodziną w Gołdapi, czternastotysięcznym uzdrowisku. Rodzice zostawiali nam, czwórce dzieci, dużo swobody, a naszym najważniejszym obowiązkiem było dobrze się uczyć i raz w tygodniu sprzątać swoje pokoje. Stworzyli nam stabilny dom w pięknym otoczeniu

↦

Widok na Drogę Mleczną, wyspa Skokholm, Walia

pl 849bad8b12

↦ i jestem im za to bardzo wdzięczna, wdzięczna losowi za tę niezwykle pomyślną konfigurację uwarunkowań, w której przyszłam na świat i wzrastałam.

Z najwcześniejszego dzieciństwa pamiętam łan białych lilii w ogrodzie babci i jej róże herbaciane, kwitnące drzewa wiśni, śliw i jabłoni, owoce zjadane prosto z drzew, na które się wspinałam. Moją pierwszą twórczą inspiracją była natura: zima, błękitne niebo i drzewa w szadzi. Dzikie, dynamiczne piękno mazurskich pór roku. Niezwykłe światło i jego instalacje w przestrzeni, dramatyzm północnego nieba. Tam zaczął się mój zachwyt.

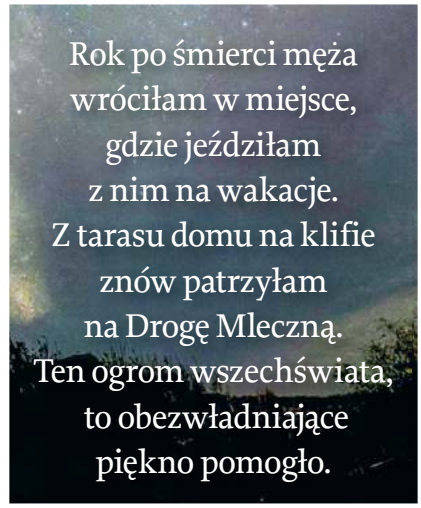

PHILIP MUGRIDGE / ALAMY / B&EW

„Stamtąd kochać grubą łuskę światła na wodzie i śnieg mieciony wiatrem. Osmalane nad ogniem gałęzie zim. Tam, na pustyni, w zamarłych piachach patrzeć w to niebo, w krawędź ośnieżonego dachu z obłamującymi się soplami dni…”.

Wiesz, że ja do tej pory widzę te sople wiszące z dachu, przezroczyste, i przechodzące przez nie promienie słońca? To obraz z mojego domu rodzinnego.

Nie każdy ma taki start.

Nie każdy, i to uprzywilejowanie nie jest dla mnie oczywiste. Kiedy wracam do domu rodziców, gdzie nieodmiennie czeka na mnie mój pokój, mijam po drodze biedne, popegeerowskie wsie i zadaję sobie pytanie: gdzie byłabym i kim byłabym, gdybym w takich warunkach przyszła na świat? Czy mogłabym pozwolić sobie na studiowanie filozofii, czy raczej musiałabym po szkole średniej iść do pracy, by wesprzeć rodzinę?

Tam też może być miłość.

Niewątpliwie. Ale w ciężkich warunkach umysł ma trudniejszy dostęp do subtelnego piękna. Bariery edukacyjne, kulturowe, rodzinne czy materialne, uzależnienia, przewlekły stres, przebodźcowanie systemu nerwowego sprawiają, że mózg wchodzi raczej w tryb przetrwania, ograniczając wyższe funkcje. Skupiamy się wtedy na koniecznych do przeżycia zadaniach. To wszystko wpływa na to, że jednak zachwyt nie jest powszechny.

Czy Ty zawsze miałaś do niego dostęp?

Nie. Straciłam go, kiedy w 2018 r. mój mąż zachorował na stwardnienie zanikowe boczne. Byliśmy rówieśnikami, opiekowałam się nim przez niemal pięć lat tej strasznej choroby, potem zmarł. To był bardzo ciemny, czarny czas. Nie było zachwytu. Była rozpacz, skrywana i odsuwana, bo byłam osobą wspierającą i musiałam być sprawcza. Było całkowite skupienie się na drugim człowieku, odłożenie swoich spraw na bok, ogarnianie logistyki życia z chorobą: umawianie zabiegów, wożenie na dostępne terapie eksperymentalne, na przeszczepy komórek macierzystych, których było jedenaście, dbanie o specjalną dietę, sprowadzanie rzadkich suplementów ze świata, przebudowa łazienki, żeby wózek do kąpieli mógł wjechać pod prysznic. Coraz więcej codziennej pracy, wraz z postępującą chorobą, coraz większe zmęczenie.

W książce poetyckiej, która ukaże się na przełomie września i października, wróciłam do tego okresu naszego życia, choć myślę, że najciemniejszych rzeczy nie opisałam. Udało mi się przekazać część prawdy tamtego czasu.

Odnajdując piękno w bólu?

Były przebłyski – krótkie momenty, kiedy piękno natury docierało do mnie, gdy wychodziłam z domu i czułam ostry zapach zimowego powietrza albo widziałam piękną konstelację chmur. Ale zawsze ich tłem była okrutna świadomość, że oto tracę ukochanego mężczyznę.

Mój mąż był przy tym zaawansowanym buddystą, praktykował 30 lat. Nawet w chorobie był bardzo spokojny, nigdy się nie skarżył i widać było, że potrafi celebrować najmniejsze przyjemności życia, ważne było, żeby mógł wypić kawę o określonej porze, czuć jej smak, jej zapach i rozkoszować się tym.

Kiedy Simone umarł i przyszła żałoba – nie było zachwytu w smutku. Został ogromny żal, rozpacz, w którą trzeba wejść. Nie można od tego uciekać, bo jeżeli ucieknę, to wróci w najmniej spodziewanym momencie życia. Trzeba to przeżyć do końca.

Udało się?

Tak. Bardzo pomogła mi medytacja, do której wróciłam, bo kiedy opiekowałam się mężem, rzadko miałam na nią czas. Świadomie zmuszałam się też, żeby wychodzić do ludzi. Nie miałam ochoty, a mimo to po roku od jego śmierci zapisałam się na lekcje tańca solowego, które zaczęły przynosić mi radość. Intencjonalnie podejmowałam działania, by wrócić do życia. Wspierałam moją przyjaciółkę, poetkę, której mąż zmarł osiem miesięcy po moim. Tłumaczyłam jej przebieg żałoby i dawałam nadzieję, że jasne dni wrócą.

Krok po kroku odzyskiwałam równowagę, spokój wewnętrzny, godziłam się z sytuacją. Bardzo mi pomogła rodzina, silne więzi z siostrami, rodzicami, córką i jej partnerem, z przyjaciółmi – wszyscy byli blisko i wspierali mnie cały czas. Pomogły też te pobyty nad Morzem Tyrreńskim: dokładnie rok po śmierci męża córka zorganizowała wyjazd w miejsce, gdzie wcześniej przez kilkanaście lat jeździłam z nim na wakacje. Z tarasu domu na klifie znów patrzyłam na Drogę Mleczną. Ten ogrom wszechświata, to obezwładniające piękno pomogło – zachwyt wrócił.

A wraz z nim poezja?

W moim przypadku zachwyt istotnie jest chyba warunkiem tworzenia. Jednak moja poezja nie wyrastała z chęci terapeutyzowania siebie, a z nadmiaru, którego nie mogłam

eprasa.pl 849bad8b12



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

MARZANNA BOGUMIŁA KIELAR jest poetką i doktorem habilitowanym nauk społecznych. Laureatka m.in. Nagrody im. Kościelskich, Paszportu „Polityki" i Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za całokształt twórczości. Opublikowano 11 wyborów jej wierszy w językach obcych.

w sobie pomieścić – z radości istnienia przeplatającej się z dojmującą świadomością przemijania cudu życia, z nieuchronnością śmierci.

Skoro już mówimy o twórczości, to dzieło sztuki samo w sobie może być źródłem zachwytu, a ja uważam, że najpełniej definiuje je nie przedstawiony obiekt, lecz głębia artysty, który go ukazuje. Obcowanie z dziełami wielkich twórców wzbudza ogromne emocje.

Na początku tego roku zachwycił mnie spektakl Jana Klaty „Termopile polskie" – tak bardzo, że po wyjściu z teatru kupiłam bilety, żeby obejrzeć go drugi raz. Nie opuszcza mnie wspomnienie wspaniałej retrospektywy malarstwa Balthusa, którą widziałam pod koniec 2015 r. w Rzymie, rodzinnym mieście mojego męża. On był Włochem. I widzę nas, stojących w długiej kolejce po bilety do Scuderie del Quirinale, gdzie pokazano blisko 200 obrazów tego artysty. Jak pisze Adam Zagajewski w wierszu „W cudzym pięknie": „Tylko w cudzym pięknie jest pocieszenie, / w cudzej muzyce i w obcych wierszach, / tylko u innych jest zbawienie, / choćby samotność smakowała jak opium".

U źródeł twórczości artystycznej i poznania Platon dostrzegał zadziwienie. Kiedy spoglądam na swoje zachwyty, to widzę, że ono je poprzedzało. To nagłe dziecięce zdumienie w drodze do szkoły pewnego wrześniowego dnia, że jestem tu, na Ziemi, w tym, a nie innym miejscu, z tymi, a nie innymi ludźmi. To nie jest synonim zachwytu – lecz jego początek, rodzaj niemego podziwu wobec istnienia.

Kiedy mówisz o tym, co Cię uratowało, pozwoliło powrócić do równowagi, słyszę pewien wzór: więzi rodzinne, taniec, przyjaźń, radość, sztuka, odrobina dyscypliny w dbaniu o siebie... Jakby staranie się o te rzeczy było warunkiem, żeby poczuć się bezpiecznie, a wraz z poczuciem bezpieczeństwa – odzyskać zachwyt.

Tak, myślę, że to są warunki zapewniające życiową równowagę. Często się ich nie ma w życiu, ale one są niezbędne.

I co wtedy, gdy ich nie mamy?

A co ty byś powiedział?

Żeby usiąść na ławeczce i patrzeć.

Zatrzymać się, zwolnić, odłożyć pracę i telefon, podążyć myślami w kierunku tego, co nas zachwyca. Pomyśleć o czymś pięknym wizualnie czy moralnie, o wielkiej inspirującej idei. Tak radzi prof. Keltner. Przypomnieć sobie, co kochaliśmy robić. Być może słuchać muzyki, obserwować ptaki czy patrzeć w rozgwieżdżone niebo. Nawet jeśli się go wcześniej utraciło, zachwyt jest możliwy do odnalezienia.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **LUBLIN,** piątek 2 października godz. 17.00, aula klasztoru oo. Dominikanów, „Odszedł Przyjaciel" – wieczór poświęcony pamięci ks. prof. Andrzeja Szostka z udziałem Joanny Rózgi i ks. prof. Alfreda Wierzbickiego
- **BIELSKO-BIAŁA,** piątek 2 października godz. 18.00, Kościół Ewangelicko-Augsburski w Starym Bielsku (ul. Sobieskiego 120), „Jakiego smaku dodają luterańskie sola?", prowadzący: ks. Marek Londzin
- **WROCŁAW,** sobota 3 października godz. 16.00, MiserArt (ul. Cybulskiego 35A, boczne skrzydło), „Czym się różni sztuczna inteligencja od sztucznego miodu?", spotkanie wokół encykliki „Magnifica humanitas"
- **ZIELONA GÓRA,** poniedziałek 5 października godz. 18.00, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13), spotkanie z Jackiem Stawiskim, redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego", „Rosja – stosunek Polaków do Rosji", moderator: Konrad Stanglewicz
- **WARSZAWA,** czwartek 8 października godz. 18.00, sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro), „15 lat minęło – jacy byliśmy, kim jesteśmy, gdzie zmierzamy", spotkanie jubileuszowe Klubu warszawskiego

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

eprasa.pl 849bad8b12

TOMASZ

Stawiszyński: *Umarłeś?*



Przeczytałem niedawno, że coraz większą popularnością cieszy się w Chinach – zwłaszcza wśród młodzieży (*sic!*) – aplikacja o pokrzepiająco brzmiącej nazwie „Are you dead?" („Umarłeś?"). Sprawa jest prosta. Co dwa dni trzeba się zalogować i coś tam wcisnąć. Jeśli się tego nie zrobi, aplikacja powiadomi specjalnym alertem osobę, którą użytkownik uprzednio wskazał jako kontakt. Produkt jest pomyślany dla ludzi samotnych, szacuje się ponoć, że do 2030 r. pojedynczych gospodarstw domowych może być w Chinach nawet ok. 200 milionów.

Nic to oczywiście nowego w epoce zwanej wiekiem samotności. Sporo już o tym napisano, także w kontekście technologii, która – podobnie jak w przypadku różnych awatarowych przyjaciół opartych na silnikach AI czy czatbotów, które stają się powiernikami naszych najgłębszych sekretów – wkracza w przestrzenie zajmowane dotąd przez ludzi. I niepostrzeżenie sprawia, że przestają być potrzebni, bo zamiast obdarzać zaufaniem przyjaciela, człowiek obdarza zaufaniem iluzję przyjaciela, a zamiast poszukiwać realnych więzi, pielęgnuje „więzi" wirtualne.

Te ostatnie jednak nie są w stanie na dłuższą metę dać tego, co dałby prawdziwy Inny. Co najwyżej – namiastkę. Ale czy mimo wszystko w sytuacji, kiedy na relację międzyludzką nie ma szans, relacja cyfrowa jest lepsza niż żadna? Czy czatbot może stać się pożytecznym „przyjacielem" dla osób, które z rozmaitych powodów nie są w stanie nawiązać żadnej realnej przyjaźni? Nie sposób dziś udzielić ostatecznych odpowiedzi na te pytania, jest na to za wcześnie, poza tym będą one zależały od tego, jak całą tę sferę uregulujemy. Na razie jest ona, wiadomo, *terra incognita* nawet dla samych jej twórców. W ostatnich miesiącach co i rusz informują nas oni, jak bardzo obawiają się niekontrolowanej aktywności swoich tyleż imponujących, co niepojętych wytworów.

Ale nie chciałbym zapuszczać się teraz w rejony kulturowo-technologiczne. Przyznam, że lektura doniesień o chińskiej aplikacji wywołała u mnie raczej falę nostalgii za czasem dzieciństwa i wczesnej młodości, który upływał mi w małej podwarszawskiej miejscowości oraz na warszawskiej Chomiczówce, klasycznym PRL-owskim blokowisku. Cóż, w małej miejscowości, jak to w małej miejscowości, wszyscy wszystkich znali, wszyscy się o wszystkich nieustannie dopytywali, wszyscy wszystko o sobie wiedzieli. Wszyscy też – co akurat było standardową cechą przedkomórkowej i przedcyfrowej epoki – odwiedzali się nieraz zupełnie znienacka, po prostu ktoś nagle dzwonił do drzwi i takim sposobem rozpoczynało się spotkanie towarzyskie.

W blokowisku sprawy miały się wcale podobnie, też się z grubsza wszyscy znali, też się odwiedzali. A że nie obowiązywały wtedy jeszcze rozmaite przepisy i zakazy, na klatkach schodowych wisiały listy lokatorów, później zaś, kiedy pojawiły się domofony, przy każdym guziczku z numerem lokalu znajdowało się stosowne nazwisko. Personalia mieszkańców nie były żadną tajemnicą, powszechnie wiadomo było, kto ma jak na imię.

Owszem, jednych sąsiadów się lubiło bardziej, innych mniej, innych znowu darzyło wręcz antypatią, o każdym się jednak coś wiedziało. A już z całą pewnością nikomu – ani w małej miejscowości, ani w blokowisku – nie byłaby potrzebna wspomniana na początku aplikacja, bowiem i tu, i tam istniała instytucja lokalnej plotkary lub plotkarza. Byli to ludzie w różnym wieku, parający się różnymi profesjami, łączyło ich wszakże jedno: intensywna ciekawość i zamiłowanie do nieustannego monitoringu otoczenia. Realizowanego, ma się rozumieć, metodami całkowicie analogowymi, by nie powiedzieć: eko-organicznymi. Czyli z użyciem własnych oczu, uszu, rozumu i narządów mowy, z pomocą których dokonywali wciąż jakichś rozbudowanych analiz, podsumowań, spekulacji i przewidywań.

Prawdę mówiąc, niewiele to miało wspólnego z rzeczywistością, fantazja ich zamaszyście unosiła i ponosiła, niemniej skłonność do bacznego przyglądania się temu, co się dzieje dookoła, co mówią i jak się zachowują sąsiedzi, przynosiła ogółowi wymierne korzyści. Np. wczesne wychwytywanie zagrożeń i ostrzeganie przed rozmaitymi podejrzanymi postaciami, które zaczynały kręcić się w okolicy. Albo rejestrowanie niepokojących nieobecności – że np. ktoś, kto codziennie rano wychodził do kiosku po gazetę (kiedyś robiło się takie rzeczy), któregoś razu po gazetę nie wyszedł. Albo że w jakimś mieszkaniu całą noc paliło się światło i nadal nie zgasło.

Nie piszę o tym wyłącznie w trybie nostalgii. Choć przyznam szczerze, że coraz częściej zdarza mi się doceniać tamten nieopleciony cyfrową siecią świat. Miał on naturalnie całą masę wad, pod wieloma względami żyło się w nim znacznie trudniej, sprawy dziś niebywale proste wymagały niesamowitych ekwilibrystyk. Wszystko to prawda. Niemniej jest coś wysoce paradoksalnego w fakcie, że choć dysponujemy dziś urządzeniami pozwalającymi nam się ze sobą kontaktować z każdego zakątka kuli ziemskiej – w czasie rzeczywistym i bez najmniejszego problemu – to samotność, cytując klasyka, „płynie całymi rzekami". A tam, wtedy, w zamierzchłych latach 80. i 90. minionego stulecia, w małych miejscowościach i na warszawskich blokowiskach nie potrzebowaliśmy żadnych aplikacji, żeby wiedzieć, kto żyje, a kto umarł. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 849bad8b12



nieposłuszeństwo
conrad festival
19—25.10.2026
kraków

pełny program:

OGŁOSZENIE OPP

ORGANIZATORZY:
Kraków
Instytucja Kultury Miasta Krakowa
kbf:
Kraków Miasto Literatury UNESCO
t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

DOFINANSOWANIE:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

PARTNERZY STRATEGICZNI:
Tygodnik Powszechny
Teatr w Krakowie

eprasa.pl 849bad8b12

REKLAMA

SUBARU **CROSSTREK**
JUŻ OD 668,62 PLN
NETTO MIESIĘCZNIE*



*Propozycja najmu Erste Leasing S.A. skierowana do przedsiębiorców. Powyższą kalkulację przygotowano dla samochodu o wartości 117 073,17 PLN netto, dla umowy zawartej na 36 miesięcy, przy 37,14 % wpłacie własnej, roczny przebieg 15 000 km, miesięczny koszt ubezpieczenia 424,10 PLN, miesięczny koszt serwisu 168,69 PLN, czynsz najmu 668,62 PLN netto. Wartość opłat należy powiększyć o podatek VAT wg aktualnej stawki. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu Kodeksu cywilnego i może ulec zmianie. Decyzja o przyznaniu finansowania oraz warunki umowy zależą od wyniku badania zdolności kredytowej oraz oceny ryzyka kredytowego.

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

ERSTE Leasing

ENEOS MOTOR OIL

ERGO HESTIA

YOKOHAMA

eprasa.pl 849bad8b12

NAJWAŻNIEJSZE PpremiERY, KONCERTY I WYSTAWY JESIENI

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 40/2026



NOWA MAPA POLSKIEJ SZTUKI

eprasa.pl 849bad8b12

REKLAMA

Drzewiecki — Kluczyńska



Setna rocznica urodzin Conrada Drzewieckiego

CONRAD

TEATR WIELKI im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu

ORGANIZATORZY TEATRU

WIELKOPOLSKA | INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MECENAS TEATRU

Enea

Premiera 14 X 2026, g. 19:00
Spektakle 15, 16 X 2026

eprasa.pl 849bad8b12

Drogie Czytelniczki, Drodzy Czytelnicy!

Na łamach „Włóczykija Kulturalnego” od kilku już lat polecamy najważniejsze premiery sezonu, doradzamy, które wystawy sztuki trzeba koniecznie zobaczyć, na które koncerty się wybrać, naświetlamy trendy.

I tym razem przygotowaliśmy dla Was obszerny i wszechstronny przewodnik na najbliższe miesiące, pozwalający całkiem przyjemnie zaplanować sobie nadchodzącą jesień i zimę – bez względu na to, w której części kraju mieszkacie.

O wielu wspomnianych tu nieledwie wydarzeniach będziemy oczywiście pisać szerzej w nadchodzących numerach.

Wszystkie recenzje znajdziecie w zakładce „Kultura” na stronie ***TygodnikPowszechny.pl.***

Do zobaczenia w teatrach, muzeach, galeriach i salach koncertowych oraz księgarniach.

SZYMON SOKOŁOWSKI / GALERIA EL



MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

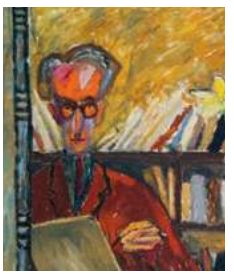

SŁAWEK PRZERWA



MATERIAŁY PRASOWE



ŁUKASZ GAWROŃSKI



4. **Nowa mapa polskiej sztuki**
ANNA PAJĘCKA
Gdzie dzieje się sztuka? Na to pytanie coraz trudniej odpowiedzieć. Coraz więcej interesujących zjawisk artystycznych pojawia się poza dużymi miastami.

10. **Co oglądać**
PIOTR KOSIEWSKI
Muzea i galerie zapraszają do podziwiania gotyku, przypominają klasyków współczesności i pozwalają zobaczyć, co się dzieje we współczesnej polskiej sztuce.

14-15. **Muzyczne Poznań i Wrocław**
JAKUB PUCHALSKI
Jak się udała Wratislavia Cantans i co nas czeka podczas Konkursu Wieniawskiego.

16. **Czego słuchać, gdzie bywać**
JAN BŁASZCZAK
Najciekawsze, najgłośniejsze, najdziwniejsze. Autorski wybór wydarzeń i premier muzycznych zapowiadanych na najbliższe miesiące.

20. **Na co do teatru**
ANNA PAJĘCKA
Tej jesieni warto przyjrzeć się młodszemu pokoleniu reżyserek i reżyserów oraz temu, co dzieje się w teatrach poza największymi ośrodkami.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 40/2026

REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | OPIEKA WYDAWNICZA: Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko
Grafika na okładce: Magdalena Adamska dla „TP”

eprasa.pl 849bad8b12

Nowa mapa polskiej sztuki

ANNA PAJĘCKA

Gdzie dzieje się sztuka? Na to pytanie coraz trudniej odpowiedzieć. Coraz więcej interesujących zjawisk artystycznych pojawia się poza dużymi miastami.

Kiedy pod Nowym Miastem Lubawskim przeznaczono do rozbiórki stary dom, artyści związani z Fundacją Wybudowania odkupili pochodzącą z początku XX w. cegłę, a następnie własnymi rękami oczyścili 14 tys. sztuk. Cegły pojechały na budowę; znajomy majster postawił ściany, kuzyn fugował, ktoś z pobliskiego zakładu piaskował. Ze znikającego domu powstał kolejny.

Ta historia dobrze streszcza zmianę, która w ostatnich latach zaszła na polskiej mapie sztuki. Coraz trudniej wskazać kilka miast i powiedzieć: właśnie tam dzieją się rzeczy najważniejsze. Obieg wyraźnie się rozproszył. Obok dużych muzeów i galerii coraz większego znaczenia nabrały miejskie galerie w średnich i małych ośrodkach, przestrzenie prowadzone przez samych artystów, fundacje, pracownie, miejsca efemeryczne, dawne sklepy, sanatoria i festiwale.

To przesunięcie ma swoją polityczną i ekonomiczną historię. Podczas rządów Zjednoczonej Prawicy na kilka lat wyhamował rozwój największych publicznych instytucji sztuki. W tym samym czasie główny obieg stawał się coraz bardziej szczelny, rynek mocno zwrócił się ku malarstwu, a widzialność koncentrowała się wokół ograniczonej grupy nazwisk.

Młodzi artyści, kuratorzy i organizatorzy zaczęli więc budować własne miejsca i własne sposoby pokazywania sztuki. Z czasem podobne myślenie przeniknęło także do instytucji publicznych: muzeum coraz częściej wychodzi w miasto, program publiczny wyrasta z sąsiedztwa, a lokalna historia staje się materiałem do pracy. Niekoniecznie dlatego, że instytucje tego chcą – czasem muszą, aby nadążać.

Dyskusja wokół ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów dobrze pokazała przy okazji, jak wąskie potrafi być społeczne wyobrażenie o świecie sztuki. W argumentach przeciwko ustawie szybko pojawiały się nazwiska gwiazd i celebrytów. Tymczasem ogromna część polskiego życia artystycznego ma znacznie mniej spektakularną formę. Dobrą sztukę można zobaczyć za darmo (albo za kilka złotych) w miejskiej galerii, dawnym BWA, witrynie sklepowej czy miejscowości stojącej przy samej krawędzi kopalnianej odkrywki.

Nowe Ciepło

Twórcy Fundacji Wybudowania są z ziemi lubawskiej. Marcin Zalewski jest etnografem i animatorem kultury, Tytus Szabelski fotografem i artystą wizualnym, Izabela Redman-Zalewska architektką krajobrazu. Po studiach w Toruniu, Poznaniu i Olsztynie wrócili w rodzinne strony. W rozmowie z Olgą Drendą na łamach „Szumu" opowiadali, że wśród znajomych stanowili wyjątek: większość po studiach układała sobie życie gdzie indziej.

Szybko odkryli, że sukces w świecie sztuki i sukces w Nowym Mieście Lubawskim oznaczają dwie różne rzeczy. Fundację znało środowisko skupione wokół warszawskiego „Notesu na 6 tygodni", podczas gdy lokalna „Gazeta Nowomiejska" pozostawała ważniejszym punktem odniesienia dla ludzi, z którymi chcieli pracować. Od 2015 r. organizują festiwal Nowe Ciepło.

Zaproszeni artyści, projektanci i badacze przyjeżdżają na ziemię lubawską i zajmują się przemianami gospodarstw rolnych, produkcją żywności, krajobrazem czy demografią. Przy festiwalu Fundacja współpracuje z rolnikami, przedsiębiorcami, społecznikami i samorządowcami; obok wystawy pojawia się stoisko na gminnych dożynkach albo wspólna wyprawa rowerowa.

Podczas jednego z projektów uczennice, nauczycielki, studentki i emerytki dokumentowały starą zabudowę Kurzętnika i rozmawiały z najstarszymi mieszkańcami. Wybudowania mówią, że lokalną tożsamość trzeba „sztrykować" – w gwarze lubawskiej: robić na drutach, splatać kolejne oczka. Ich własna historia dobrze pasuje do tego słowa. Wyjechali, zdobyli doświadczenie, a później wrócili do siebie.

Schronisko artystyczne

Paulina Ołowska, jedna z najbardziej rozpoznawalnych na świecie polskich artystek, której prace znajdują się między innymi w kolekcjach MoMA, Tate Modern i Centre Pompidou, trafiła pod Rabkę po latach życia między Warszawą a zagranicą. Na Kadenówkę natknęła się właściwie przy okazji dość utopijnego pomysłu: artyści mieli wspólnie chodzić po górach, zajmować się land artem, zbierać grzyby i mieć miejsce, do którego wracają po wyprawie.

Drewniana willa z około 1930 r. miała już własną gęstą biografię. Bywali tam Jarosław Iwaszkiewicz, Karol Szymanowski, Zofia Rydet i artyści Cricotu; później mieściły się tam mieszkania pracowników szpitala pulmonologicznego, a z czasem budynek zaczął niszczeć.

Ołowska przejęła nad nim opiekę w 2014 r., a pięć lat później powstała Fundacja Dom Twórczy Kadenówka. O Kadenówce artystka mówi jako o „schronisku artystycznym". Określenie pasuje do sposobu działania miejsca. Podczas „Mycorial Theater" kilkanaście osób artystycznych i kuratorskich przyjeżdżało na tydzień do Rabki, chodziło po górach, zbierało grzyby, spało w śpiworach, paliło ogniska, tworzyło prace. Podczas jednego z wydarzeń dzieła ukryto w całej willi, od strychu po ogród, podawano mule z Morza Czarnego, a po zmroku na polanie rozpoczął się performance do „Pieśni o nocy" Szymanowskiego. Nad publicznością latały metalowe ćmy, finał przynosił srebrny księżyc.

eprasa.pl 849bad8b12



SZYMON SOKOŁOWSKI / GALERIA EL

Centrum Sztuki Galeria EL, wystawa Stacha Szumskiego „Kultura spalonego horyzontu”

Biuro Usług Postartystycznych

Ciekawie robi się tam, gdzie chwilowe wydarzenie z czasem zapuszcza korzenie. Opolno-Zdrój, dawne uzdrowisko leżące przy samej krawędzi odkrywki Turów, ma w historii sztuki zaskakująco ważny epizod. W 1971 r. odbył się tu plener „Ziemia Zgorzelecka. Nauka i sztuka w procesie ochrony naturalnego środowiska człowieka”, jedno z pierwszych w Polsce wydarzeń artystycznych w całości poświęconych ekologii.

Pół wieku później do tej historii wróciło Biuro Usług Postartystycznych. Od 2021 r. związani z nim artyści, badaczki i aktywiści regularnie przyjeżdżają do Opolna, pracują z mieszkańcami i wspólnie zastanawiają się nad przyszłością miejscowości. Początkowo sam kontekst podpowiadał krytyczny projekt ekologiczny wokół kopalni Turów. Na miejscu szybko okazało się, że dla mieszkańców jest to temat codzienny.

„Mówienie, że kopalnia jest zła, to powtarzanie refrenu, który jest tam dobrze znany” – mówiła mi Bogna Stefańska. Punkt ciężkości przesunął się więc na samo Opolno: historię uzdrowiska, stare lipy i kasztanowce, budynki dawnych hoteli i łaźni, opuszczone działki po domach wykupionych i wyburzonych przez kopalnię. Z rosnących tam ziół, owoców i dzikich roślin artystki farbowały tkaniny na paradę „kuracjuszy”.

Fundamenty, niedziałające latarnie i zdziczałe sady stały się częścią pracy równie ważną jak jej ekologiczny temat. Kopalnia nadal wyznacza tu krajobraz, daje pracę tysiącom osób w regionie i od dekad wpływa na przyszłość samego Opolna. Transformacja energetyczna zyskuje więc bardzo konkretny adres, razem z pamięcią uzdrowiska i pytaniem o to, jak miejscowość może wyglądać za pięćdziesiąt lat. Z kilku lat tych spotkań wyrosła także trwała infrastruktura. W 2024 r. lokalne Stowarzyszenie Na Trójstyku otworzyło Witrynę dla Sztuki – niewielką przestrzeń wystawienniczą urządzoną w odremontowanym zabytkowym sklepie.

Między blokami

Gdańskie Narracje sprawdzają podobną uważność w rytmie corocznego festiwalu: za każdym razem przenoszą się do innej dzielnicy i zaczynają od jej architektury oraz historii. Podczas zeszłorocznej edycji na Aniołkach. dzielnica ze szpitalami, dawnymi cmentarzami, stadionem, parkami i Placem Zebrań Ludowych została rozpisana na kilkukilometrową trasę. Jedna z prac znalazła się w dawnych pomieszczeniach szpitala zakaźnego, inna w dawnej zajezdni karetek.

Mateusz Gzowski wykorzystał dwa stoczniowe żurawie, ustawiając je tak, że nad Parkiem Steffensów rozkładały się jak ogromne anielskie skrzydła. Praca brała swój sens z nazwy dzielnicy, przemysłowego krajobrazu Gdańska i konkretnego widoku. Jej adres był częścią dzieła.

Tegoroczna edycja odbędzie się w październiku w dzielnicy Żabianka-Wejhera-Jelitkowo-Tysiąclecia. Jej tytuł, „Co się dzieje między blokami”, odsyła do modernistycznej idei osiedla, w której artyści, architekci i urbaniści wspólnie z mieszkańcami kształtowali przestrzeń codziennego życia. Kuratorzy Sylwia Szymaniak i Sarmen Beglarian chcą sprawdzić, jaką rolę sztuka może dziś odgrywać w przestrzeniach, które organizują życie osiedla.

Od Elbląga po Tarnów

Ta rosnąca uważność na miejsce dotyczy także instytucji o znacznie dłuższej historii. Część z nich to spadkobierczynie dawnej sieci Biur Wystaw Artystycznych, pomyślanej jeszcze w PRL-u jako infrastruktura pozwalająca sztuce współczesnej krążyć także poza największymi ośrodkami.

Po 1989 r. ich losy potoczyły się różnie: część straciła znaczenie, część została połączona z większymi instytucjami ↦

eprasa.pl 849bad8b12



KAROL STAŃCZAK

Gdańskie Narracje, edycja w dzielnicy Aniołki, 2025 r.



MARCIN ZALEWSKI

Fundacja Inicjatyw Krajobrazowych Wybudowania podczas prowadzenia dokumentacji architektury wiejskiej ziemi lubawskiej w miejscowości Lipinki, gmina Biskupiec

↦ kultury, część wypracowała własne, rozpoznawalne programy. Zielona Góra jest jednym z przykładów ciągłości. Wojciech Kozłowski kieruje tamtejszym BWA od 1998 r. – w świecie instytucji kultury to niemal osobna epoka.

Galeria przez cały ten czas utrzymywała kontakt z ogólnopolskim obiegiem i lokalnym środowiskiem. Wystawy zmieniają się prawie z miesiąca na miesiąc, młodzi artyści sąsiadują z twórcami obecnymi w polskiej sztuce od kilku dekad. Największą zaletę tego miejsca najłatwiej opisać banalnie: ilekroć się tam przyjedzie, jest duża szansa na dobrą wystawę. Taka regularność buduje rangę równie skutecznie jak efektowny gmach.

Elbląg ma historię jeszcze bardziej osobliwą. Centrum Sztuki Galeria EL powstało w ruinach gotyckiego kościoła i do dziś trudno oddzielić wystawę od samej architektury. Kończę pisać ten tekst kilka dni po powrocie z Manifesty w Zagłębiu Ruhry, której tegoroczna odsłona zajęła dawne kościoły pozbawione funkcji sakralnej. W Niemczech pytanie o przyszłość takich budynków dotyczy dziś całego regionu. Elbląg od dziesięcioleci pokazuje jeden z możliwych scenariuszy: dawna świątynia staje się miejscem współczesnej sztuki, a jej historia pozostaje aktywną częścią każdej ekspozycji.

Galeria EL ma również potężny lokalny kapitał – Biennale Form Przestrzennych z lat 60. i 70., po którym w mieście pozostało wiele realizacji w przestrzeni publicznej. Od 2021 r. galerią kieruje Emilia Orzechowska. Jej program wykorzystuje osobliwość budynku: wysokość, światło, skalę i pamięć kościoła. Wystawy trwają dłużej, a każda musi wejść w relację z architekturą. Miejsce narzuca własne tempo.

Tarnów pokazuje inny sposób odświeżania dawnego BWA. Ewa Łączyńska-Widz prowadzi tamtejszą galerię od 2011 r.; wcześniej stworzyła „Alfabet polski", projekt prezentujący młodą polską sztukę. Dzisiaj tarnowskie BWA działa w Pałacyku Strzeleckim, na dworcu kolejowym i przy Wałowej, a część programu wychodzi w miasto. Szczególnie ciekawy jest sposób, w jaki ten model zaczął krążyć między mniejszymi ośrodkami.

Aleksandra Boćkowska opisała tę genealogię w tekście o BWA w Krośnie na łamach „Dwutygodnika". Kierująca galerią Ewelina Jurasz wspominała, że uczyła się od Łączyńskiej-Widz, ta zaś wcześniej obserwowała Agatę Sulikowską-Dejenę z Sanoka. Powstaje z tego małe drzewo genealogiczne: Sanok–Tarnów–Krosno. Nieformalna szkoła prowadzenia instytucji z dala od głównych centrów.

W Krośnie zmiana zaczęła się od kalendarza. Artyści pracujący w mieście od trzydziestu lat byli przyzwyczajeni do modelu, w którym gotowa wystawa oznaczała rezerwację terminu. Jurasz wprowadziła radę programową i zaczęła budować spójny program. Podobne dziedzictwo spotkałam w Opolu. Joanna Filipczyk, od 2020 r. dyrektorka Galerii Sztuki Współczesnej, opowiadała mi o odziedziczonym po BWA modelu kolejki: zapisujesz się, czekasz kilka lat i w końcu przychodzi termin.

Filipczyk odpowiedziała na to rozciągnięciem galerii na miasto i Festiwalem Dzielnic. GSW zaczęła od Festiwalu Placu Teatralnego, gdzie instytucje kultury sąsiadują z ogromnym osiedlem mieszkaniowym. Później artyści trafiali na rezydencje do kolejnych części Opola, pracowali z lokalnymi archiwami i mieszkańcami. Jedna z rezydentek rekonstruowała historię placu z prywatnych kronik oraz rozmów prowadzonych w osiedlowym warzywniaku. Lokalność nabiera tu szerszego znaczenia: obejmuje miejscowych artystów, codzienność dzielnicy, pamięć mieszkańców i sposób, w jaki galeria staje się częścią miasta.

Najświeższy eksperyment personalny trwa w Kaliszu. Od lutego 2026 r. Galerią Sztuki im. Jana Tarasina jako pełniący obowiązki dyrektora kieruje Stach Sza-

eprasa.pl 849bad8b12

błowski, kurator i krytyk przez lata związany przede wszystkim z centralnym obiegiem. Na „efekt Szabłowskiego" jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie.

Ciekawy pozostaje sam kierunek ruchu. Przez lata młody artysta wyjeżdżał z Kalisza, Krosna czy Tarnowa do Warszawy, gdzie czekały galerie, media, kuratorzy i widzialność. Teraz ktoś, kto przez dekady współtworzył ten obieg w centrum, jedzie w przeciwną stronę. Szabłowski zaczął od wystawy „Wracając do Tarasina", przygotowanej wspólnie z Jagną Domżalską Młodzi artyści zostali zaproszeni do dialogu z twórczością patrona galerii.

Wystawa sytuacja

Wiosną do wrocławskiej galerii trafił fragment sanatorium z Rabki-Zdroju. Karol Pałka urządził tam część wyobrażonego uzdrowiska, która została po zakończeniu jego odsłony i weszła w kolejną. Tak właśnie działa Żyjnia, otwarta w styczniu 2026 r. po przebudowie dawnej Galerii Dizajn. Zamiast kolejnych wystaw pojawia się jedna, trwająca dwanaście miesięcy „wystawa-sytuacja": część prac zostaje, inne dochodzą, kolejne sezony przygotowują nowe osoby, a przestrzeń zmienia się zgodnie z „rytmami rozpadu i odnowy".

Pierwszą Żyjnię Katarzyna Roj, kuratorka, urządziła w Galerii Dizajn w 2019 r. jako czasowe miejskie sanatorium. Teraz tamten projekt stał się modelem instytucji. Można przyjść obejrzeć prace, posiedzieć, spotkać innych ludzi, wrócić po kilku tygodniach i zobaczyć przestrzeń w kolejnej fazie. Pytanie „co dziś pokazać?" ustępuje tu miejsca innemu: po co właściwie chodzi się do galerii?

Centralne Muzeum Włókiennictwa pokazuje z kolei, jak świeża energia może pojawić się wokół specjalizacji rozwijanej od dekad. Instytucja prowadzona przez Anetę Dalbiak, z Martą Kowalewską jako główną kuratorką, ma ogromną kolekcję polskiej tkaniny artystycznej, obejmującą prace ponad 450 twórców, oraz Międzynarodowe Triennale Tkaniny organizowane w Łodzi od 1975 roku.

Jeszcze kilkanaście lat temu ta specjalizacja kojarzyła się przede wszystkim z rzemiosłem, Cepelią i osobnym rozdziałem historii sztuki. Tymczasem tkanina wróciła do centrum współczesnego obiegu. Włókno, szycie, haft i splot pojawiają się dziś na wystawach młodych artystów na całym świecie, w galeriach komercyjnych i na dyplomach szkół artystycznych. Pozwalają opowiadać o pracy, cielesności, ekologii, przemocy, opiece i historii kobiet.

Turnus i Piana

Na dobrą instytucję w swoim mieście można czekać długo. Na zaproszenie do niej – jeszcze dłużej. W ostatnich latach coraz więcej artystów i kuratorów uznało, że własną przestrzeń można stworzyć szybciej. Zaczęli zakładać galerie, otwierać pracownie dla publiczności, zajmować lokale po sklepach, łączyć wystawy z kawiarnią, koncertem czy warsztatami. W poznańskim Domie, działającym od 2018 r., artysta przygotowujący wystawę potrafił kupić farbę i sam odmalować ściany.

Ktoś inny dorzucił pieniądze do wymiany wybitych szyb. Klucze do budynku krążyły między osobami związanymi z miejscem i czasem, trzeba było wykonać kilka telefonów, żeby ustalić, kto akurat je ma. W muzeum podobne historie trafiają do działu technicznego. Tutaj tworzą model działania. ↦

REKLAMA

Wielkie sezony
Teatr Andrzeja Kreutza Majewskiego

GREAT SEASONS. THE THEATRE OF ANDRZEJ KREUTZ MAJEWSKI

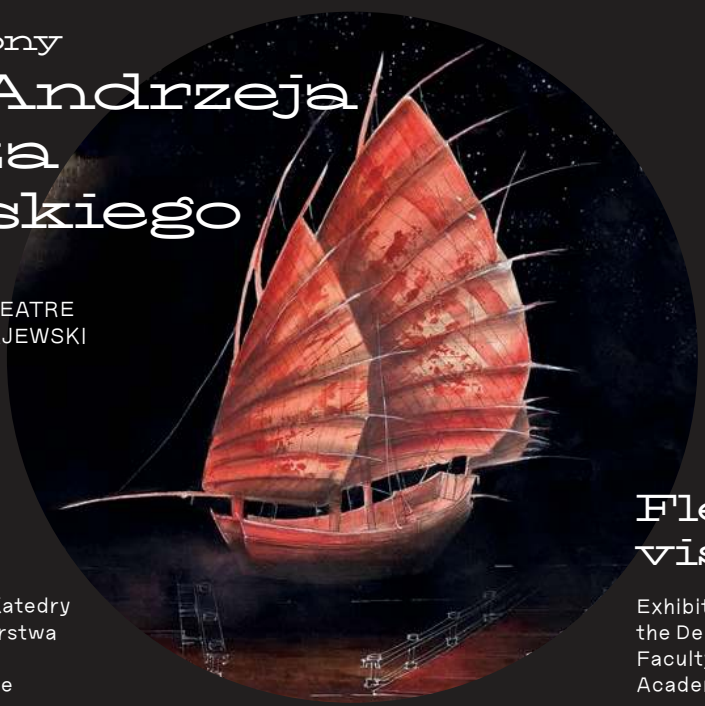

Muzeum Śląskie

23.09.2026–14.03.2027

Ulotne wizje

Wystawa prac studentów Katedry Scenografii Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie

Fleeting visions

Exhibition of works by students of the Department of Stage Design, Faculty of Painting, Jan Matejko Academy of Fine Arts in Kraków

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Województwo Śląskie
Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Muzeum Śląskie
Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl
Współorganizator:
Akademia Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie
Patron medialny:
TYGODNIK POWSZECHNY

↦ Założone przez Martynę Miller i Katarzynę Wojtczak Domie jest galerią i ćwiczeniem ze wspólnej odpowiedzialności za miejsce – razem z jego remontami, rachunkami i niepewną przyszłością.

Trochę inny brak wypełniła krakowska Piana, założona w 2021 r. przez Filipa Rybkowskiego, Michała Zawadę i Michała Srokę. Krakowska ASP co roku wypuszcza kolejne roczniki artystów, a droga do pierwszej znaczącej wystawy często prowadziła przez Warszawę.

Piana stworzyła przestrzeń pomiędzy Akademią a dalszym obiegiem. W ciągu kilku lat przewinęło się przez nią wiele bardzo młodych osób, które później trafiały do galerii komercyjnych i muzeów. Niezależna przestrzeń stała się jednym z wejść do profesjonalnego świata sztuki. W nieodległych Katowicach własna przestrzeń szybko stała się też przestrzenią sąsiedzką. Od 2023 r. działa tam Szałfynster, a jego nazwa pochodzi ze śląskiego określenia witryny sklepowej. Założyciele nazwali go Przestrzenią Rozwoju Inicjatyw Lokalnych. Obok wystaw młodych artystów odbywają się różne wydarzenia. W 2026 r. Szałfynster znalazł się wśród laureatów programu Artystyczna Podróż Hestii z projektem „Ślady pamięci", dotyczącym starzenia się i demencji. Sztuka działa tutaj wśród innych lokalnych aktywności, dzięki czemu do przestrzeni prowadzi kilka różnych dróg, i trafia tam bardzo zróżnicowana publiczność.

W Warszawie takie inicjatywy szybko wchodzą w główny obieg. Turnus zaczynał w 2020 r. jako niezależna grupa artystyczno-kuratorska Kamili Falęckiej i Marceliny Gorczyńskiej. W 2023 r. otworzył własną przestrzeń, łącząc galerię z kawiarnią i miejscem spotkań. Dziś reprezentuje artystów i uczestniczy w Warsaw Gallery Weekend. W ciągu kilku lat kolektyw stał się galerią działającą także na rynku. Dla młodszej sceny samoorganizacja, sprzedaż prac, granty, kawiarnia i obecność na targach należą do jednego ekosystemu.

Marszałkowska 18 zaczęła z kolei od rodzinnego archiwum. Karina Dudzińska zajmowała się zapomnianym fotograficznym dorobkiem swojej babci, Krystyny Gnass; finałem tej pracy była wystawa, która otworzyła działalność galerii współtworzonej przez Dudzińską z Agnieszką Gnass. Przestrzeń działa od 2021 r. w lokalu po sklepie „Świat noży". Sama poprzednia funkcja miejsca dobrze pasuje do nowego krajobrazu galerii: ich architekturę kształtują czynsze, dostępność lokali i przypadek. Marszałkowska 18 pokazuje obok siebie artystów rozpoznawalnych, młodych oraz twórców wracających do obiegu po dłuższej przerwie.

Przez lata młody artysta wyjeżdżał z Kalisza, Krosna czy Tarnowa do Warszawy, gdzie czekały galerie, media, kuratorzy i widzialność. Dziś ten artysta jedzie w przeciwną stronę.

Skalę tej sceny najlepiej widać podczas Fringe Warszawa, odbywającego się równolegle do Warsaw Gallery Weekend – prestiżowego weekendu stołecznych galerii komercyjnych. W 2022 r. dziewięć niezależnych inicjatyw wspólnie otworzyło swoje przestrzenie i stworzyło własną mapę. Dwa lata później uczestników było cztery razy więcej, a w edycji 2025 organizatorzy mówili już o niemal stu przestrzeniach i projektach. Wystawy pojawiały się w galeriach, mieszkaniach, pracowniach, witrynach, na strychach i w cukierni. Rozproszona scena zyskała wspólny parasol i stała się widoczna w tym samym momencie, w którym Warszawa skupiała uwagę na rynku galerii.

Fringe działa według własnych zasad. Organizatorzy przyjmują większość inicjatyw spełniających wspólne kryteria etyczne. Kiedy pojawiły się pieniądze na mini-granty produkcyjne, część z nich rozlosowali. Taki gest dobrze pokazuje ambicję tej sceny: chce budować własny obieg, własne sposoby dzielenia zasobów i własną widzialność.

Gdzie się dzieje

W Sokołowsku wszystko zaczęło się od ruiny. W październiku 2005 r. płonęło dawne sanatorium doktora Brehmera: czternaście zastępów straży gasiło budynek przez piętnaście godzin, ogień strawił dach i większość drewnianych elementów. Dwa lata później Bożenna Biskupska i Zygmunt Rytka, którzy szukali miejsca do pracy dla siebie i innych artystów, zobaczyli w zniszczonym sanatorium przyszłe centrum sztuki. Biskupska wspominała później, że decyzję o zakupie podjęła szybko; dokładniejsze oględziny zapadniętych dachów i kominów mogłyby skutecznie ostudzić entuzjazm.

Remont trwa do dziś, a działalność artystyczna zaczęła się jeszcze wtedy, gdy budynek był placem budowy. Fundacja In Situ organizowała kolejne festiwale, rezydencje i wystawy; jednym z nich stały się Konteksty, poświęcone sztuce efemerycznej. Ruina, park, dawne uzdrowisko i otaczające miejscowość góry od początku wchodziły do samych prac. Podczas festiwalu publiczność przemieszcza się za artystami między budynkami, lasem i krajobrazem. W 2026 r. odbyła się dwunasta edycja Kontekstów.

Na pytanie o to, gdzie dzieje się dziś sztuka, coraz trudniej odpowiedzieć, wskazując kilka miast na mapie. Przez lata centrum przyciągało przede wszystkim dlatego, że oferowało galerie, kuratorów, media, kolekcjonerów i widzialność. Dzisiaj ten obieg staje się coraz bardziej szczelny, krąży w nim ograniczona liczba nazwisk, a kolejne wystawy powstają w podobnych warunkach i podobnym języku. Wiele najciekawszych zjawisk wyrasta tymczasem z bardzo konkretnego miejsca. Regionalność dostarcza sztuce materiału. Daje jej opór, od którego można się odbić.

Wyjście poza centrum coraz częściej oznacza wybór innego sposobu pracy. Ktoś wraca po studiach do swojego miasta, ktoś jedzie prowadzić galerię, ktoś zaczyna projekt od lokalnego archiwum, krajobrazu albo rozmowy z mieszkańcami. Miejsce staje się współautorem sztuki, a z czasem wpływa także na cały obieg. Za tym przesunięciem programowym znacznie wolniej podążają jednak pieniądze. Małe galerie miejskie, fundacje i przestrzenie prowadzone przez artystów pracują często przy skromnych budżetach, z krótkich grantów i w warunkach ciągłej niepewności. Ich siła bierze się z pomysłów, relacji i znajomości miejsca, ale trudno przez lata opierać instytucję na entuzjazmie i pracy wykonywanej ponad możliwości.

Kolejnym etapem decentralizacji powinno być więc przesunięcie także zasobów: stabilniejszego finansowania, programów wieloletnich i realnego wsparcia dla instytucji działających poza największymi ośrodkami. © ANNA PAJĘCKA

eprasa.pl 849bad8b12

bunkier sztuki

JESIEŃ W GALERII SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BUNKIER SZTUKI

Bunkier Sztuki zaprasza na nowe wystawy – od 24 września 2026

REKLAMA



fot. Michał Lichtański



Kinga Nowak, *Statek*, 2026, fot. S. Sokołowski, dzięki uprzejmości K. Nowak



Mirella von Chrupek, *Leśne zapasy* (fragment), 2026, dzięki uprzejmości Muzeum Fabryka Czekolady E.Wedel

Polski dizajn. Biografia przedmiotu / Biografia projektanta

kuratorki: Agata Kiedrowicz, Aleksandra Koperda

Jakie przedmioty inspirują współczesnych projektantów? Co mówią o nich rzeczy, którymi otaczają się na co dzień? Jak osobiste doświadczenia, miejsca, emocje i wspomnienia wpływają na powstawanie obiektów, które później trafiają do naszych domów i przestrzeni publicznych?

Polski dizajn. Biografia przedmiotu / Biografia projektanta to pierwsza w Polsce wystawa poświęcona współczesnemu wzornictwu, która prezentuje projektantów i projektantki poprzez pryzmat ich osobistych przedmiotów, prywatnych historii i materialnych biografii. Punktem wyjścia nie są wyłącznie gotowe realizacje, ale również relacje między twórczyniami i twórcami a rzeczami, które towarzyszą im w codziennym życiu i procesie twórczym. Wystawa prezentuje najnowsze zjawiska w polskim dizajnie, łącząc ikoniczne i premierowe realizacje z obiektami o szczególnym znaczeniu dla ich autorów.

Kinga Nowak *Rzar mi tropikuw*

kuratorka: Ania Batko

Indywidualna wystawa malarki i rzeźbiarki Kingi Nowak. Artystka podejmuje jeden z najistotniejszych tematów współczesnej kultury: wpływ kolonializmu na europejską kulturę wizualną, przyglądając się temu, jak patrzymy na „egzotykę" oraz jak kształtują się nasze wyobrażenia o inności. Projekt jest krytycznym spojrzeniem na relacje między nowoczesnością, kolonializmem i fascynacją „egzotyką", a także próbą dekolonizacji europejskiej kultury wizualnej. Punktem wyjścia dla wystawy są obrazy i rzeźby Kingi Nowak, które zostaną zestawione z dziełami sztuki ludowej, obiektami określanymi mianem „prymitywnych" oraz archiwaliami. Wśród prezentowanych dzieł znajdą się prace m.in. Władysława Hasiora, Edwarda Sutora i Leokadii Płonkowej.

Tytuł wystawy nawiązuje zarówno do futurystycznego quasiperformansu *Wieczór podtropikalny urządzony przez białych Murzynów*, jak i do słynnego eseju *Smutek tropików* Claude'a Lévi-Straussa. Projekt łączy sztukę współczesną, historię, etnografię i refleksję nad sposobami konstruowania kulturowej inności.

Mirella von Chrupek *Romance au chocolat*

kuratorka: Anna Grochowiak
współorganizator:
Muzeum Fabryka Czekolady E.Wedel

Artystka, znana m.in. z tworzenia poetyckich mikroświatów, tym razem postanowiła przygotować swoje dioramy tak, aby oddziaływały w szerokim rejestrze fantazji. Mamy więc równolegle odsłonę przygodową, romantyczną, bajkową, salonową i futurystyczną. Wszystkie, zrealizowane z właściwym Mirelli subtelnym humorem, tętnią radością i beztroską.

Prezentacja wystawy w przestrzeni Bunkra sytuuje prace artystki w szerszym kontekście sztuki, podważając tradycyjny podział na kulturę wysoką i popularną. Mirella von Chrupek przekształca przestrzeń antresoli galerii w miejsce ironicznej gry z estetyczną kategorią słodyczy, tutaj potraktowaną zmysłowo i dosłownie.

***

Bunkier wychodzi także na zewnątrz – na parkingu przed Galerią pojawiła się *Antyaltana* Reni Maj, instalacja łącząca architekturę, rzeźbę i dizajn, zapraszająca do zmiany perspektywy i odkrywania przestrzeni na własnych zasadach.

Galeria Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki
Kraków, Plac Szepański 3a
bunkier.art.pl

Jesienny program Bunkra Sztuki to także: oprowadzania kuratorskie po wystawach, warsztaty dla dzieci, młodzieży i dorosłych oraz spotkania i dyskusje.
Na najmłodszych czekają specjalne materiały edukacyjne, ścieżki zwiedzania oraz nowe zabawki sensoryczne w Stacji Kreacji.

eprasa.pl 849bad8b12

Co oglądać

PIOTR KOSIEWSKI

Muzea i galerie zapraszają do podziwiania gotyku, przypominają klasyków współczesności i pozwalają zobaczyć, co się dzieje we współczesnej polskiej sztuce.



FUNDACJA EDWARDA DWURNIKA

„Kobieta w hamaku" (z cyklu „Sportowcy"), 1991, farba olejna na płótnie. Obraz można oglądać na wystawie „Edward Dwurnik. Duma i wstyd" w MSN

Wystawy poświęcone sztuce średniowiecza organizowane są w Polsce dość rzadko. Tym ważniejszy jest pomysł trzech muzeów, by pokazać nam gotyk. Dwie z wystaw można zobaczyć w tym roku, a trzecia – „Sztuka odrodzonego Królestwa" – otwarta zostanie wiosną 2027 r. na Zamku Królewskim na Wawelu.

Do 30 grudnia w Pawilonie Czterech Kopuł **Muzeum Narodowego we Wrocławiu** można oglądać wystawę „Stulecie" poświęconą sztuce powstającej od końca XIII do początku XVI w. na Śląsku. Sto lat temu, dokładnie w tym samym budynku, odbyła się wystawa „Śląskie malarstwo i rzeźba doby średniowiecza". Wtedy po raz pierwszy w historii śląskiego muzealnictwa zgromadzono w jednym miejscu najważniejsze dzieła tego czasu.

Obecna, monumentalna i świetnie zaaranżowana ekspozycja zgromadziła obiekty najwyższej klasy wypożyczone z wielu muzeów i kościołów. Wystawa pokazuje, jak przez sto lat zmieniła się wiedza na temat sztuki śląskiej, m.in. udało się zidentyfikować jednego z najwybitniejszych artystów Mistrza Poliptyku św. Barbary, którym okazał się Wilhelm Kalteysen von Oche. Przypomniano o wojennych losach tej spuścizny. Wiele obiektów w 1926 r. zostało po raz ostatni zaprezentowanych szerokiej publiczności: dziś uznaje się je za zaginione lub zniszczone.

Wystawa opowiada także o losach twórców tamtej wystawy: Erich Wiese, dyrektor przedwojennego Śląskiego Muzeum Sztuk Pięknych, po dojściu do władzy nazistów został zwolniony i do końca wojny prowadził antykwariat w Jeleniej Górze.

Druga z wystaw z tego cyklu – „Gotyk w Wielkopolsce 1936/2026" – otworzy się 26 listopada w **Muzeum Narodowym w Poznaniu**. Już w swym tytule nawiązuje do zorganizowanej przed 90 laty ekspozycji w ówczesnym Muzeum Wielkopolskim. Podobnie jak śląska wystawa, była to pierwsza tak obszerna ekspozycji sztuki tego czasu. Tegoroczna pokaże aktualny stan wiedzy, ale też opowie o środowisku historyków sztuki w Poznaniu w okresie międzywojennym, które przygotowywało poprzednią ekspozycję.

Z kolei **Muzeum Mazowieckie w Płocku** zorganizowało wystawę „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego" (czynna do 10 grudnia). Przypomina ona o jednym z najważniejszych wydarzeń w naszej historii. Opowiada także o historii Księstwa Mazowieckiego i władających nim Piastach. O prowadzonej przez nich polityce, systemie władzy w ich księstwie, religii i kulturze. Na wystawie udało się zgromadzić szczególne obiekty, często trudno dostępne dla publiczności, jak Biblia Płocka, Herma św. Zygmunta czy Złoty Kodeks Pułtuski. Teraz wyjątkowo można je zobaczyć w jednym miejscu.

Przyłączenie Mazowsza było jednym z największych osiągnięć Zygmunta Starego. **Zamek Królewski na Wawelu** przygotował wystawę poświęconą jego córce: „Anna Jagiellonka. Wszystkie twarze królowej" (22 października 2026 – 14 lutego 2027). Zapowiada się jedna z najważniejszych ekspozycji dekady. Pokazuje ona osobę, która istotnie wpłynęła na historię Polski. Anna Jagiellonka była, obok Jadwigi Andegaweńskiej, jedyną kobietą ukoronowaną jako władca Polski.

Z czasem zapomniano o jej podwójnej koronacji ze Stefanem Batorym oraz innych dokonaniach. Wystawa przypomni o zasługach królowej jako mecenaski i polityczki – to m.in. ona promowała wstąpienie na tron swojego siostrzeńca Zygmunta III Wazy. A zostaną pokazane obiekty z polskich i zagranicznych instytucji, m.in. z Madrytu, Sztokholmu i Wiednia.

Nie tylko w Polsce celebrowane są rozmaite rocznice. Jednak z naszego upodobania obchodów często niewiele wynika. Rzadko bowiem udaje się, by okrągła rocznica stała się okazją do nowego, odkrywczego spojrzenia czy istotnego poszerzenia wiedzy.

Sejm RP ustanowił 2026 „Rokiem Józefa Czapskiego". Znalazł się on w nielicznym gronie osób, które w obecnym roku postanowiono w ten sposób uhonorować. Jest to okazja do przypomnienia jego postaci, a także twórczości. Czapski nadal bowiem funkcjonuje przede wszystkim jako świadek historii, eseista i autor tekstów o sztuce, które przed laty wpłynęły na sposób myślenia o niej w Polsce, a nie jako samodzielny, istotny artysta. Udało się przygotować drobniejsze ekspozycje.

eprasa.pl 849bad8b12

Najistotniejszą są „Oblicza Czapskiego" w **Muzeum Narodowym w Krakowie** (czynne do 31 stycznia 2027). Znalazło się na niej ponad 50 obrazów i rysunków pochodzących przede wszystkim z prywatnych kolekcji, w tym spadkobierców samego malarza. To dość intymna ekspozycja, ale też pokazująca wyłamywanie się Czapskiego z doktryny kapizmu, którą współtworzył.

Nasi parlamentarzyści, wybierając patronów obecnego roku, pominęli natomiast Alinę Szapocznikow, jedną z najważniejszych osób dla polskiej sztuki nie tylko XX wieku. Za godną uhonorowania uznali zresztą tylko jedną kobietę – s. Różę Czapską – oraz 8 mężczyzn! Tymczasem w 2026 r. obchodzimy 100-lecie urodzin Szapocznikow. W jej przypadku nie przygotowano także dużej wystawy retrospektywnej – ostatnia była pokazywana w naszym kraju ponad ćwierć wieku temu.

Zorganizowano natomiast mniejsze prezentacje. Tym bardziej ciekawie zapowiada się wystawa, która 16 października otworzy się w warszawskiej **Zachęcie** (czynna do 31 stycznia 2027). Twórczość Szapocznikow zostanie zestawiona z pracami Nairy Baghramian, o ponad cztery dekady młodszej irańsko-niemieckiej artystki. Będzie to też pierwsza w Polsce większa prezentacja dzieł jednej z najważniejszych obecnie rzeźbiarek. Prace Baghramian i Szapocznikow powstawały w odmiennych czasach. Jednak łączy je temat: cielesność, seksualność, a także choroba i przemijanie. Również wykorzystywanie gotowych materiałów, łączenie tego, co biologiczne, z technicznymi elementami.

Rocznica stała się też okazją do pokazania prac Marii Anto, jednej z najbardziej oryginalnych polskich malarek tworzących w II połowie XX w. W 90. rocznicę jej urodzin warszawska galeria **lokal_30** przygotowała wystawę „Odważna Leniwa" (czynna do 18 grudnia). Jej tytuł zaczerpnięto z obrazu samej artystki przestawiającego nagą kobietę. Malarka, związana z surrealizmem, wykorzystała dobrze znany od czasów renesansu wzorzec ikonograficzny i zaproponowała kobiece spojrzenie na ciało. A sama wystawa pokazuje relacje między życiorysem malarki a jej dorobkiem artystycznym.

Natomiast aż do 28 lutego 2027 r. w stołecznym **Muzeum Sztuki Nowoczesnej** można oglądać wystawę „Edward Dwurnik. Duma i wstyd". Rocznicowy pretekst nie był potrzebny, by pokazać prace jednego z najgłośniejszych malarzy ostatniego półwiecza. „Duma i wstyd" to nieoczywiste spojrzenie na jego twórczość od lat 70. do początku lat 90. ubiegłego stulecia. Można na niej zobaczyć prace ze znanych cyklów „Sportowcy" i „Robotnicy", imponujące wielkoformatowe obrazy, ale też po raz pierwszy pokazane publicznie w Polsce wielkie głowy – rzeźby wykonane z drewna i płótna, a następnie pomalowane. Imponujące, groźne.

„Duma i wstyd" to opowieść o malarzu, jego wyborach artystycznych i politycznych. O awansie społecznym i budowaniu pozycji w świecie sztuki. Wreszcie, jest to opowieść o zmianach politycznych, społecznych i kulturowych, jakie zachodziły w Polsce za jego życia. Obrazy Dwurnika okazują się jednym z kluczy do zrozumienia doświadczenia Polek i Polaków w ostatnim półwieczu.

Jesienią nie braknie też okazji do spotkań z twórczością współczesnych artystek i artystów. Wystawę Marii Anto zorganizowano z okazji tegorocznej edycji **Warsaw Gallery Weekend**, wydarzenia, które wpisało się w kalendarz nie tylko polskiego życia artystycznego. To najważniejsza tego typu impreza w naszej części Europy, przyciągająca także tłumy – wystawy zorganizowane w ubiegłym roku w ciągu trzech dni obejrzało ponad 15 tys. osób.

Tegoroczna edycja Warsaw Gallery Weekend odbyła się w dniach 18-20 września, ale długo jeszcze będzie można oglądać część z 60 przygotowanych na nią wystaw. A są wśród nich prezentacje kluczowych osób dla sztuki ostatnich dekad. W **Piktogramie** trwa wystawa „Droga okno jerzyki" Rafała Bujnowskiego (czynna do 31 października). Jeden ze współtwórców grupy Ładnie nieustannie eksperymentuje z malarstwem. Sprawdza jego możliwości, testując zarówno porzucone czy funkcjonujące na marginesie techniki, jak polegająca na wypalaniu na drewnie pirografia, lub szukając nowych, własnych. Wystawa w Piktogramie pokazuje efekty jego najnowszych poszukiwań. Prób oddania na nowo w malarstwie ciemności czy odbić w szybie. Powstały obrazy, które zaskakująco balansują między hiperrealizmem i abstrakcją.

Najnowszy cykl fotografii Anety Grzeszykowskiej „Córka" pokazuje galeria ↦

REKLAMA



eprasa.pl 849bad8b12

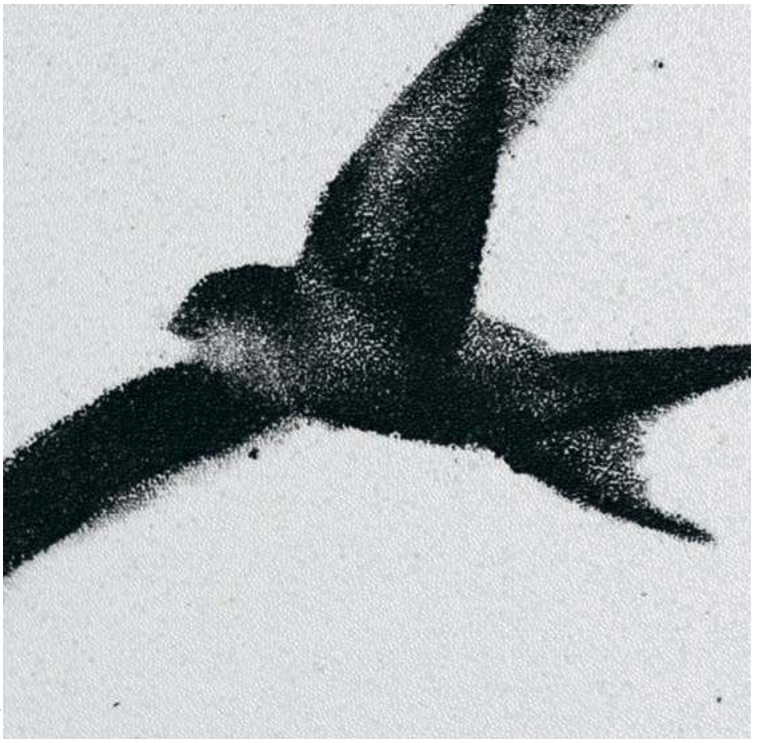

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTY I GALERII PIKTOGRAM

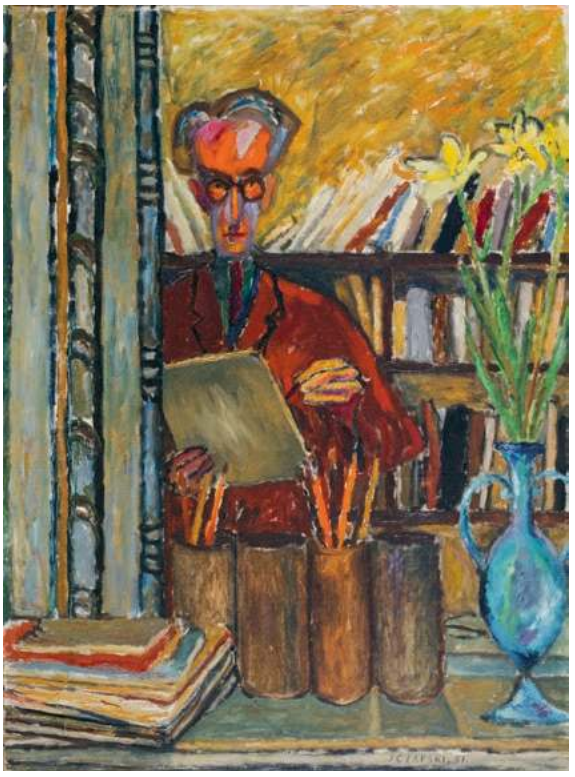

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Powyżej:
Rafał Bujnowski, „Jerzyki" (detal), 2026. Wystawa w Galerii Piktogram

Obok:
Józef Czapski, „Autoportret ze szkicownikiem", 1951. Kolekcja Krzysztofa Musiała

↦ **Raster** (do 31 października). Artystka skryła się w nim za maską przedstawiającą jej twarz w wieku 14 lat. Zaburzyła w ten sposób własny biologiczny czas, a tym samym relacje rodzinne: na starannie wystudiowanych zdjęciach staje się siostrą swojej córki, córką męża i wnuczką własnych rodziców. Stworzona przez nią postać jest hybrydą – ma młodą twarz, ale ciało dojrzałej kobiety. Zmiana jednocześnie okazuje się ułudą.

Aktualnie powstałe prace znalazły się także na wystawie Gizeli Mickiewicz „Najmniejsza odległość" w galerii **Stereo** (czynna do 31 października). Artystka, należąca do najciekawszych postaci we współczesnej polskiej rzeźbie, wróciła do figuracji. Jej prace wydają się abstrakcyjne. Jednak po bliższym przyjrzeniu okazuje się, że wykorzystała w nich odciski ludzkich ciał – ramion, brzucha – ale też skał czy drzew. Delikatna, ażurowa rzeźba w rzeczywistości jest fragmentem koszuli, w której zapisano kształt noszącej ją osoby. Na szybie wprawionej w okno pochodzące z wagonu można dostrzec odciski dłoni. Gizela Mickiewicz zachowuje ślady po egzystowaniu ludzi i rzeczy, które, jak napisała o jej pracach poetka Aldona Kopkiewicz, stały się dowodem ich istnienia.

Spektakularną wystawę Pauliny Ołowskiej przygotowała **Fundacja Galerii Foksal**. W „Trzech kolorach" (czynna do 7 listopada) artystka nawiązała do słynnej trylogii Krzysztofa Kieślowskiego. Dla siebie wybrała: niebieski, czerwony i brązowy. Każdy z nich wiąże się z oddzielną opowieścią, których bohaterkami są kobiety: boginka płodności, urodzaju i polowania Afaja, postać wzorowana na karpackim folklorze oraz modelka, która pozowała do słynnego „Szału uniesień" Władysława Podkowińskiego. Paulina Ołowska w obrazach oraz pełnych dowcipu i ironii filmach pokazuje je jako osoby, które same decydują o własnym losie. Oznacza to czasami podjęcie radykalnego kroku, jak w przypadku Afai, która uciekając przed pożądaniem Minosa rzuciła się do morza. Artystka miesza dokument z fikcją, stylizację z osobistym doświadczeniem, wykorzystując w swych pracach zarówno historyczne dzieła, jak i przedstawienia zaczerpnięte z kultury masowej.

„Trzy kolory" to niejedyna ekspozycja Pauliny Ołowskiej zaplanowana na jesień. 23 października w krakowskim **MuFo** otworzy się wystawa, na której znajdą się prace jej oraz Debory Turbeville (do 28 lutego 2027). Ta fotografka modowa w 1997 r. wykonała sesję dla magazynu „W". Zdjęcia robiła w Krakowie oraz w pałacu w Krzeszowicach. Paulina Ołowska wróciła do tych miejsc i wykorzystując kadry sprzed niemalże 30 lat stworzyła własne dzieła. Już w innym kontekście społecznym, politycznym i kulturowym.

eprasa.pl 849bad8b12

Wreszcie do 15 listopada w białostockiej **Galerii Arsenał** można oglądać wystawę Agnieszki Polskiej, artystki, która także często wraca do przeszłości, do dawnych historii, stylistyk i sposobów obrazowania. Na „Demon's brain" znalazły się prace z ostatnich lat, z tytułowym dziełem, niezwykle wyszukanym stylistycznie wideo o wydarzeniach z XV w. Jest też opowiadająca o alternatywnej wizji relacji między ludźmi i roślinami „Księga kwiatów" z 2023 r., w której artystka połączyła nagranie wideo z animacją wygenerowaną przez sztuczną inteligencję.

Jesienią nie zabraknie wreszcie wystaw, które odwołując się do przeszłości, dotykają jednocześnie kwestii obecnie ważnych, dyskutowanych, wzbudzających spory. Od 8 października w **Muzeum Narodowym w Krakowie** będzie można oglądać „Obywatelkę Cepelia" (czynna do 21 lutego 2027). Będzie to pierwsza przekrojowa ekspozycja poświęcona działającej w latach 1949-1990 Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego zrzeszającej spółdzielnie rękodzieła ludowego i artystycznego oraz prowadzącej znane sklepy. Cepelia wpłynęła na sposób urządzania wnętrz, sposób ubierania się kolejnych pokoleń Polek i Polaków. Na to, jakimi pamiątkami się obdarowywali, ale też w jaki sposób oni – a także cudzoziemcy – wyobrażali sobie naszą kulturę ludową i samą Polskę. W jaki sposób twórczość artystek i artystów dostosowywano do wymogów państwa i jego polityki. Wystawa dotyczy przeszłości, ale stawia pytania o trwałość wyobrażeń o wsi i jej kulturze. O stereotypy, które nadal funkcjonują.

BWA we Wrocławiu wraca do historii Pałacu Kryształowego, zaprojektowanego przez Josepha Paxtona szklanego pawilonu na Wielką Wystawę w Londynie w 1851 r., która zapoczątkowała modę na Wystawy Powszechne. Był to pierwszy gmach wzniesiony w całości z żeliwa i szkła. Przyciągnął tłumy, był szeroko opisywany i komentowany. Stał się jednym z symboli epoki przemysłowej oraz został uznany za jeden z fundamentów współczesnej architektury. W 1936 r. Pałac Kryształowy spłonął, ale został legendą. Na wystawie czynnej od 9 października do 28 lutego 2027 r. w dialog z historią Pałacu Kryształowego i z dziedzictwem symbolizowanej przez ten gmach nowoczesności wejdą współczesne artystki i artyści, m.in. Jan Baszak, Patrycja Cichosz i Yinka Shonibare.

Wreszcie 20 listopada w **Muzeum Narodowym w Warszawie** otworzy się „Bestiariusz" (czynny do 14 marca 2027). Wykorzystując zarówno dzieła sztuki, jak i obiekty użytkowe wystawa pokaże, w jaki sposób ludzie od prehistorii po dzień dzisiejszy próbowali zrozumieć świat zwierząt. Opisać go, ale też oswoić, wykorzystać. „Bestiariusz" opowie o mitach, wyobrażeniach istot istniejących, ale też fantastycznych. O tym, jakie symboliczne znaczenia przypisywano zwierzętom, o badaniach naukowych i dążeniach do uporządkowania zwierzęcego świata. O ich wykorzystywaniu w życiu codziennym, w pracy, również jako materiału – skóra, kości, pióra. O tym, jak zmieniał się stosunek ludzi do zwierząt. Wreszcie o współczesnych relacjach między nami, o zmianach klimatycznych

© PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA



eprasa.pl 849bad8b12

Rusza Konkurs Wieniawskiego

JAKUB PUCHALSKI

Codzienne recenzje na stronie internetowej, podsumowania, na zakończenie także podkast. Zapraszamy do śledzenia zmagań skrzypków razem z „Tygodnikiem”.

To już ostatnia prosta przed Konkursem Wieniawskiego. Pięćdziesięcioro kandydatów, może już w pełni gotowych, może jeszcze szlifujących swoje programy koncertowe, czeka na 9 października. Wtedy to zameldujemy się razem z nimi na estradzie pięknej Auli Uniwersytetu Adama Mickiewicza, głównej sali koncertowej Poznania. Turniej potrwa pełne dwa tygodnie, do 23 października – i przez cały ten czas „Tygodnik Powszechny” będzie towarzyszyć mu z bliska.

Codzienne recenzje na stronie internetowej, podsumowania, na zakończenie podkast. A już za tydzień znajdą Państwo na naszych łamach wprowadzenie do nowej, XVII już edycji Konkursu w słowach jego kierownictwa: dyr. Karoliny Kaźmierczak oraz przewodniczącego jury, Bartłomieja Nizioła.

Ta edycja jest pełna niespodzianek, w pewnym sensie rewolucyjna, ma jednak swoje określone cele – a wyłonienie grona wybitnych laureatów, młodych indywidualności wiolinistyki, jest tylko jednym z nich. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego honoruje najznakomitszego polskiego skrzypka i kompozytora – oraz jednego z najsłynniejszych polskich muzyków w dziejach.

Twórczość Wieniawskiego nie pozwala wprawdzie na tworzenie poświęconych mu konkursów monograficznych (czego, wzorem Chopina, pragną niektórzy słuchacze), będzie jednak absolutnie kluczowa dla wyników tegorocznych zmagań. To przy tym cenny rozdział w repertuarze wiolinistycznym drugiej połowy XIX w., dostarczający utworów często wirtuozowskich i błyskotliwych, z reguły przesyconych pięknymi melodiami, kreujących własne, niezbywalne wartości. To część muzyki, na której wyrosły pokolenia skrzypków i ich słuchaczy – choć sława tych utworów za życia Wieniawskiego nie dorównywała sławie jego samego jako instrumentalisty.

Żyjący zaledwie 44 lata artysta (1835–1880) już w młodości zdobył sobie międzynarodową, a nawet międzykontynentalną pozycję jednego z absolutnie najwybitniejszych skrzypków swego pokolenia. Co warto zauważyć, wpisywał się tym samym w długą listę czołowych skrzypków świata rodem z Polski, by wymienić choćby legendarnych Bronisława Hubermana i Pawła Kochańskiego. Czy najbliższy Konkurs objawi podobne talenty? Dowiemy się w październiku. ©

REKLAMA



eprasa.pl 849bad8b12

Wratislavia Cantans: nowe pomysły, sprawdzone gwiazdy

JAKUB PUCHALSKI

Zmiana dyrektora artystycznego imprezy zawsze oznacza zmianę kierunku jej rozwoju. Z perspektywy tegorocznej edycji festiwalu Wratislavia Cantans, pierwszej w pełni przygotowanej przez Andrzeja Kosendiaka, wiraż ten okazał się łagodny.



SŁAWEK PRZERWA

Zespół Les 4 Sens podczas koncertu na festiwalu Wratislavia Cantans. Wrocław, 12 września 2026 r.

Tak jak w poprzednich latach na festiwalu, którego pewną dominantą z założenia pozostaje muzyka wokalna, tegoroczny wrześniowy program obejmował koncerty liryki wokalnej, kantat, muzykę dawną z różnych epok i w różnych składach oraz kameralistykę instrumentalną. Zagościły tu również opera i koncerty symfoniczne. Oba te gatunki pojawiły się zresztą dwukrotnie, doganiając najważniejsze wydarzenia festiwalu.

Wratislavia Cantans rozpoczęła się francuską grand operą – zbyt rzadko wykonywanym i świetnie przyjętym „Samsonem i Dalilą" wciąż niedocenianego Camille'a Saint-Saënsa (dyr. Thomas Guggeis), a następnie z niemniejszym sukcesem wykonaną „Dydoną i Eneaszem" Purcella (dyr. Ottavio Dantone).

Imprezę zakończył zaś wielki koncert symfoniczny. Wyjątkową VI Symfonię Gustava Mahlera zagrała znakomita orkiestra Staatskapelle Dresden pod dyrekcją Daniele Gattiego. Więcej kontrowersji wzbudził wcześniejszy koncert, gdzie NFM Filharmonia Wrocławska walczyła o utrzymanie się na powierzchni „Morza" Debussy'ego pod batutą Jerzego Maksymiuka. Udały się natomiast bardziej zrytmizowane obrazy morza Brittena i „Symfonia psalmów" Strawińskiego.

Największą nowością i zarazem szczególnie ciekawym pomysłem Wratislavii okazał się konkurs dla młodych zespołów: przesyłały one propozycje swoich koncepcji programowych, a nagrodą było zaproszenie na festiwal. Dwa takie koncerty, z którymi miałem okazję zapoznać się w trakcie ostatniego weekendu imprezy, przyniosły dwa zupełnie odmienne rezultaty.

Jednym z występów był recital sopranisty Maayana Lichta z ariami Händla; oryginalnym pomysłem było łączenie ich improwizowanymi przez bardzo kameralny zespół Brezza preludiami. Śpiewak, cieszący się setkami tysięcy followersów na Instagramie i TikToku, ma całkiem błyskotliwą technikę koloraturową, tyleż wyrazistą, co typową dla dzisiejszych czasów osobowość sceniczną (aż po *spécialité de la maison*, którym tym razem zamiast breakdance'u jest fachowe gwizdanie), nie ma jednak dykcji (ech, uchwycić choć jedno słowo!), a także, niestety... głosu.

Epatujący radością współczesny divo w kameralnej Sali Czerwonej z trudem rywalizował z pięcioma instrumentami stojącymi za jego plecami. Wirtualna rzeczywistość niekoniecznie sprawdza się w realu.

Antytezą tego wydarzenia był koncert kwartetu wokalnego Les 4 Sens. Przywiózł on program głównie akwatycznych w tematyce pieśni XX w., który ujął w sposób perypatetycki. Spacerowanie podczas śpiewania szybko okazało się tworzeniem żywych obrazów ilustrujących sens programu (podróż) – całość była więc bardzo dobrze wykonana, a przy tym miła, urozmaicona i gustowna. Nieczęste połączenie!

Cechą tegorocznej Wratislavii okazała się wyraźnie ograniczona liczba nadzwyczajnych gwiazd. Te, które pojawiły się we Wrocławiu, należą do weteranów lokalnych estrad – byli to dwaj poprzedni dyrektorzy artystyczni festiwalu, Paul McCreesh (który powrócił nie tylko ze swym zespołem, ale i z programem, jakim debiutował tu 29 lat temu: legendarną „Koronacją wenecką 1595") i Giovanni Antonini. Do wielkich postaci doliczyć trzeba Ottavia Dantone z Accademia Bizantina oraz Staatskapelle Dresden z Gattim.

Odznaczała się za to obecność zespołów lokalnych: NFM Filharmonia Wrocławska wystąpiła dwukrotnie, pojawił się Wrocław Baroque Ensemble (pod kier. Andrzeja Kosendiaka i z gościnnym udziałem Antoniniego na fletach, w ciepło i łagodnie brzmiących kantatach Bacha, z wyróżniającym się znakomitym sopranem Dennisa Orellany), po raz pierwszy wreszcie – po dekadach! – na festiwalu zagościł Ars Cantus prowadzony przez Tomasza Dobrzańskiego. Była też oferta zaangażowanych koncertów dla dzieci.

Cenne to inicjatywy – czy to już jednak nowa droga Wratislavii Cantans? Mam wrażenie, że zakręt jeszcze się nie skończył. ©

eprasa.pl 849bad8b12



ZUZANNA GŁÓD // MATERIAŁY PRASOWE

Canes of Karabakh wystąpią w tym roku na Wrocławskim Festiwalu Ambientalnym



Zespół Milkweed usłyszymy na festiwalu Unsound w Warszawie

Czego słuchać, gdzie bywać

JAN BŁASZCZAK

Najciekawsze, najgłośniejsze, najdziwniejsze. Oto nasz autorski wybór wydarzeń i premier muzycznych zapowiadanych na najbliższe miesiące.

W październiku wszyscy jesteśmy już przeciążeni informacjami. Jak w tak gorącym okresie przygotować afisz pełen wydarzeń muzycznych na najbliższe tygodnie?

Najbardziej humanitarne byłoby chyba zestawienie koncertów odwołanych – jakaż ulga, dla odmiany wykreślić coś z notesu! I choć niejeden zakonspirowany dadaista przyklasnąłby takiej inicjatywie, to przecież szkoda byłoby nie polecić tych kilku jesiennych koncertów. Ale no właśnie – kilku, nie kilkudziesięciu. Postanowiłem bowiem w sposób subiektywny i – co tu dużo mówić – autorytarny porzucić formę przewodnika na rzecz gali. Bo cóż przyjemniejszego od rozdawania nagród? Zwłaszcza jeśli można to zrobić zupełnie bezkosztowo. Zaczynajmy!

Slayyyter w Warszawie

Niewiele rzeczy w tym roku jest dla mnie bardziej zagadkowych – a przypominam: mówimy o roku 2026! – niż warszawski koncert Slayyyter. Ukrywająca się pod tym pseudonimem Catherine Grace Garner jest wschodzącą gwiazdą amerykańskiego popu. Jej wydana w marcu płyta „Worst Girl in America" nie tylko przedstawiła ją szerokiej publiczności, ale zdobyła jednogłośne uznanie krytyki. Może też dlatego, że Slayyyter zbudowała swoją karierę organicznie, oddolnie, publikując swoje wczesne utwory w social mediach i supportując bardziej znane koleżanki po fachu.

Do dziś Amerykanka buduje swoją karierę na opowieści o byciu jedną z nas – dziewczyną, która zamiast marzyć o bogactwie snuje fantazje o aktach wandalizmu na torebkach drogich marek. Znajduje to odzwierciedlenie w jej przebojach, gdzie porywające electro czy hyperpop są nieustająco „brudzone" przez elektroniczne szumy, industrialne hałasy. Slayyyter zaśpiewa 24 października w warszawskim klubie Palladium.

Bilety momentalnie się wyprzedały, więc od miesięcy publiczność lobbuje, by organizator przeniósł występ na większą scenę. Jako że jest nim Live Nation – największa agencja koncertowa świata – trudno posądzać go o niechęć do maksymalizacji zysków. Jeśli więc nie chodzi o pieniądze, to o co? Czy to „najgorsza dziewczyna Ameryki" pracuje na swoją reputację? W przypadku tego koncertu myślę więc sobie, że byłoby dobrze, gdyby wszystko zweryfikował rynek. I sama obecność takiej fantazji sprawia, że przy-

eprasa.pl 849bad8b12

znaję Slayyyter nagrodę za najdziwniejszy koncert tej jesieni.

Unsound i Ephemera

Fundacja Tone, czyli organizatorzy festiwali Unsound i Ephemera, przyzwyczaili już bywalców tych wydarzeń do odbierania muzyki o dziwnych porach dnia. Prym w tej kategorii wiodą występy w ramach cyklu Brzask, które każdego roku odbywają się podczas warszawskiej Ephemery.

Opłacony wcześniej bilet nie zawsze jest wystarczającą motywacją, by zerwać się z łóżka, ale jeśli tej nie zabraknie, to można usłyszeć, jak delikatna twórczość Switłany Nianio rozbrzmiewa w asyście treli budzących się właśnie ptaków. Jako że jesienią trudniej się zerwać z łóżka, harmonogram Unsoundu jest bardziej wyrozumiały. Niemniej niewykluczone, że najlepszy koncert tegorocznego festiwalu odbędzie się o godzinie 11.00.

Zespół Milkweed zagra już 4 października w warszawskiej sali Nowa Miodowa. Ceniący sobie anonimowość duet gra zrekonstruowany folk – czasem bardzo liryczny, częściej bliższy rozpadowi. To twórczość wyrastająca ze ślepych uliczek mitologii, niejednoznacznych symboli, mistycznej aury. Muzyka w jakimś najbardziej ogólnym sensie dziwna, tak jak dziwne będzie wyjście z takiego koncertu dwie godziny przed obiadem.

Wrocławski Festiwal Ambientalny

Był taki czas, kiedy odbywający się w Gorlicach Ambient Festival wydawał się przedsięwzięciem niezwykle brawurowym. Organizowanie imprezy wokół gatunku muzyki elektronicznej, który z założenia chce pozostawać na granicy percepcji i dyskretnie kształtować przestrzeń dźwiękową, jawiło się jako bardzo odważne działanie.

A jednak za sprawą pandemii, rosnących w siłę playlist z muzyką funkcjonalną oraz powszechnej potrzeby ucieczki od nadmiaru bodźców ambient rośnie w siłę. Widać to także po polskim rynku koncertowym, gdzie obok Open Source Art Festival czy Salonów Ambientu już po raz szesnasty odbywa się wrocławski Festiwal Ambientalny.

W dniach 21-22 listopada w Klubie Formaty wystąpią m.in. francuski producent Aho Ssan, amerykańska kompozytorka i artystka dźwiękowa Elori Saxl, a także polskie trio Canes of Karabakh, dla którego muzyki kluczowy jest ormiański duduk i wpływ, jaki ma na niego najnowsza historia Górnego Karabachu. To festiwal dla tych, którzy szukają oddechu, a jednocześnie są w stanie powstrzymać się od rozmawiania podczas koncertów.

Death Ceremony w Katowicach

Wszyscy ci, którzy lubią sobie trochę pogadać podczas koncertu, mogą natomiast wybrać się z czystym sumieniem na festiwal Death Ceremony, który odbędzie się 31 października w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach.

Wprawdzie wydarzenie to trwa ledwie jeden dzień, ale spokojnie, decybeli wystarczy na miesiąc. Największą gwiazdą tej imprezy z kręgu death i black metalu będzie Triumph of Death – powołany przez Toma G. Warriora zespół wykonujący repertuar grupy Hellhammer.

To pierwszy zespół tego nietuzinkowego szwajcarskiego muzyka, za sprawą którego próbował przesuwać granice muzycznej ekstremy. Choć dziś Hellhammer uznawany jest za jednego z prekursorów black metalu, na początku lat 80. spotykał się z niezrozumieniem lub wręcz szyderstwem. W rezultacie Warrior rozwiązał grupę, a na jej miejsce powołał Celtic Frost. Dziś oba te zespoły cieszą się kultowym statusem.

Industrial Festival we Wrocławiu

Przy tej okazji wróciłbym do Wrocławia, by docenić organizowany tam od dwudziestu pięciu lat Industrial Festival. Tym chętniej, że jego genezą jest – lubiana chyba przez wszystkich – opowieść o grupce znajomych, która postanawia działać, by zobaczyć w swoim mieście kilku ulubionych artystów. Z kilku szybko robi się kilkunastu, z kilkunastu kilkudziesięciu i wreszcie kilkuset. W tym czasie Wrocław odwiedzają gwiazdy różnych pokoleń i środowisk muzyki industrialnej. Ci, którym bliżej do postpunka, dark wave'u czy noise'u. Przez dwie i pół dekady na festiwalu wystąpili m.in. Psychic TV, Lustmord, Merzbow, Wire czy członkowie Throbbing Gristle.

Jubileuszowa edycja odbędzie się w dniach 5-8 listopada we wrocławskim Starym Klasztorze. Wystąpią m.in. weterani industrialu z amerykańskiej grupy SPK, psychodeliczna holenderska grupa The Legendary Pink Dots czy Brytyjczycy z In The Nursery, którzy zagrają do filmu „Męczeństwo Joanny d'Arc" Dreyera. Oddolna zajawka stała się instytucją, zachowując przy tym swój niezależny, środowiskowy sznyt.

Zespół WCIAS wystąpi na krakowskim festiwalu Sacrum Profanum



MATERIAŁY PRASOWE

Jazz w Gdańsku

Radziłbym nie przegapić występu amerykańsko-ukraińsko-niemieckiego kwartetu McPhee, Swell, Tokar, Kugel. Szczęśliwie, okazje, żeby zobaczyć ten jazzowy kwartet, są dwie: muzycy wystąpią 24 października w ramach gdańskiego festiwalu Jazz Jantar, a 3 listopada zawitają do stołecznego Pardon, To Tu.

Ten skład warto zobaczyć z dwóch powodów. Po pierwsze, to giganci jazzowej sceny. Dość powiedzieć, że saksofonista Joe McPhee świętuje w tym roku 55 lat od wydania porywającej płyty „Nation Time". Jeśli muzycznych powodów byłoby nie dość, to dodam, że występy zespołu są też okazją, by posłuchać Marka Tokara – kontrabasisty, jednego z filarów europejskiej sceny jazzowej i kapitana Ukraińskich Sił Zbrojnych, który zgłosił się do wojska w marcu 2022 roku.

Dla fanów jazzu informacja o każdym kolejnym koncercie kwartetu jest więc nie tylko powodem do radości, ale także ulgi.

Sacrum Profanum

Historia zespołu WCIAS jest w zasadzie filmowa. Oto bracia bliźniacy, którzy mieszkają w małym mieście i grają w lokalnej orkiestrze dętej. Mają po kilkanaście lat, więc na co dzień słuchają trochę ↦

MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 849bad8b12



ŁUKASZ ZIĘTEK / MATERIAŁY PRASOWE

NeoQuartet zagra na festiwalu NeoArte w Gdańsku

↦ innej muzyki. Zakładają więc zespół, w którym kombinują z indie-rockiem, elektroniką, śpiewaniem po angielsku. Grzebią w tym, co kreatywne, frapujące, doceniane przez zachodnią krytykę. A jednak z niemal każdą kolejną płytą zbliżają się o krok do swoich korzeni.

Do instrumentów dętych, do lokalnych melodii, do rodzinnego Kębłowa. Angielskie teksty ustępują polskim, gitarę zastępują dudy wielkopolskie, a nazwę We Call It A Sound – swojski WCIAS.

Tyle że to uproszczenie, bo „Wiwaty", które bracia Majerowscy zaprezentują 7 listopada na krakowskim festiwalu Sacrum Profanum, filtrują lokalną tradycję przez drone'ową muzykę rodem z nagrań Sarah Davachi, Ellen Arkbro czy Brìghde Chaimbeul. Bo nawet jeśli artyści wracają do siebie, to nie są już przecież tymi samymi ludźmi.

Jazztopad w NFM

Przyznam, że jestem w kropce. Lubię Shabakę Hutchingsa – zwłaszcza jego nagrania z Sons of Kemet – natomiast trochę irytowała mnie jego poza dźwiękowego uzdrowiciela, duchowego guru. I oczywiście ktoś słusznie zauważy, że ten świetny saksofonista odwołuje się świadomie do tradycji spiritual jazzu i niejednokrotnie oddawał hołd ojcowi tego gatunku – Pharoahowi Sandersowi.

Wszystko prawda, tylko dla mnie artystą, który w naturalny, zupełnie dyskretny sposób uruchamia taki duchowy żywioł, jest Hamid Drake. Perkusista, który niezależnie od składu, w którym występuje, zdaje się przenosić muzykę w inny wymiar.

Sęk w tym, że 22 listopada podczas wrocławskiego Jazztopadu na scenie Narodowego Forum Muzyki spotkają się obaj ci artyści, a co więcej, będzie im towarzyszył gigant free jazzu – kontrabasista William Parker. Nie potrafię powiedzieć słów „duchowa uczta" bez ironii, ale niewykluczone, że po tym akurat koncercie mogłyby one mi przejść przez gardło.

NeoArte – Syntezator Sztuki

Jestem pod dużym wrażeniem programu, jaki proponuje w tym roku gdański festiwal NeoArte – Syntezator Sztuki. Wydarzenie organizowane przez artystów związanych z zespołem NeoQuartet orbituje wokół muzyki współczesnej, za sprawą której stara się chwytać otaczający nas świat. Być może z racji usytuowania festiwal kładzie nacisk na nową muzykę tworzoną w krajach basenu Morza Bałtyckiego.

Usłyszymy tu zatem nowe utwory współczesnych fińskich twórców czy monograficzny koncert tegorocznej patronki festiwalu, litewskiej kompozytorki Justė Janulytė. Wśród licznych utworów napisanych na zamówienie NeoArte uwagę zwraca koncert „Echa medytacji", będący hołdem dla przedwcześnie zmarłego Rafała Zapały.

Ponadto podczas festiwalu znajdzie się miejsce na świętowanie jubileuszy zarówno polsko-ukraińskiego zespołu Neo Temporis Group, jak i Steve'a Reicha, którego utwory wykonają połączone siły czterech europejskich kwartetów smyczkowych. Jest więc rozmach i kameralistyka, urodziny i pożegnania, sąsiedzi i wycieczki za ocean. Jak by nie spojrzeć, syntezator sztuki.

Płyty jesieni

W kategorii „płyta w języku polskim" wskazałbym na „Śmierć od wschodu na zachód", którą zespół Księżyc zwraca się w stronę Ukrainy, a tym samym ku swoim początkom naznaczonym silnymi wpływami ukraińskich artystek (Olga Nakonieczna, Switłana Nianio) i szerzej – kijowskiej sceny avant-folkowej przełomu lat 80. i 90. Płyta będzie miała swoją koncertową premierę 11 października na festiwalu Unsound.

Niedługo później powinna ukazać się nakładem wytwórni Koka Records, co również stanowi ukłon w stronę przeszłości. Nie znam też wciąż dokładnej daty premiery nowej płyty Mayssy Jallad, ale artystka zapowiadała jej wydanie na jesień 2026 r. Łatwo wyobrazić sobie zmiany w harmonogramie wydawniczym, biorąc pod uwagę, że ta kompozytorka, wokalistka i architektka mieszka w Libanie.

Na swoim poprzednim albumie „Marjaa: The Battle of the Hotels" artystka snuła historie o epizodzie libańskiej wojny domowej, który rozegrał się w eleganckiej dzielnicy hotelowej Bejrutu. Piosenki zapowiadające tegoroczny album sugerują, że wciąż interesują ją historie na przecięciu dramatycznej historii regionu i urbanistyki. Na żadną inną nieanglojęzyczną płytę nie czekam w tym roku tak mocno.

A z tych anglojęzycznych, to ciekaw jestem oczywiście „Dopamine Chamber" – piątego albumu Fontaines D.C. Tutaj data jest znana (16 października), w końcu mówimy o zespole, który z płyty na płytę zbliża się do statusu rockowej gwiazdy. Jak dotąd nie wpływało to negatywnie na artystyczny wymiar twórczości Irlandczyków. Co prawda nowy singiel nie rokuje najlepiej, ale nie traćmy nadziei. To ważne, zwłaszcza jesienią.

© JAN BŁASZCZAK

eprasa.pl 849bad8b12

Kraków

REKLAMA

Sinfonietta Cracovia – jesień i zima 2026

SINFONIETTA CRACOVIA

OGRZEJ SIĘ PRZY MUZYCE KLASYCZNEJ!

4 X 2026 | 12:00
Espresso. Wokół formy
Muzeum Fotografii w Krakowie
(MuFo Rakowicka)

Wystąpią:
Justyna Duda-Krane – *skrzypce*
Danuta Augustyn – *skrzypce*
Ryszard Sneka – *altówka*
Agata Jonczak – *wiolonczela*

Program:
Philip Glass – *Kwartet smyczkowy nr 2 "Company"*
Arvo Pärt – *Psalom*

11 X 2026 | 18:00
Gwiazdy z Sinfoniettą: František Macek
Sala koncertowa im. prof. J. Katlewicza
Filharmonii Krakowskiej

Wystąpią:
Anna Paulová – *klarnet*
František Macek – *dyrygent*
Sinfonietta Cracovia

Program:
„Apoteoza radości":
Wolfgang Amadeus Mozart
– *Uwertura do opery „Wesele Figara"*
Wolfgang Amadeus Mozart
– *Koncert klarnetowy A-dur, KV 622*
***
Ludwig van Beethoven
– *VII Symfonia A-dur, op. 92*

15 XI 2026 | 18:00
Gwiazdy z Sinfoniettą: John Axelrod
Sala koncertowa im. prof. J. Katlewicza
Filharmonii Krakowskiej

Wystąpią:
John Axelrod – *dyrygent*
Sinfonietta Cracovia

Program:
Gustav Mahler – *Adagietto z V Symfonii*
Ludwig van Beethoven – *Kwartet smyczkowy f-moll Serioso op. 95 (opr. G. Mahler)*
***
Franz Schubert – *Kwartet smyczkowy d-moll Śmierć i dziewczyna D 810 (opr. G. Mahler)*

26 XI 2026 | 19:30
Sinfonietta Nova. Ballady
Teatr Łaźnia Nowa

Wystąpią:
Agata Zubel – *wokal*
Łukasz Błaszczyk – *dyrygent*
Sinfonietta Cracovia

W programie m.in.:
Wojciech Błażejczyk – *Ballady*
– cykl pieśni na sopran, orkiestrę smyczkową i elektronikę*
*ZAMÓWIENIE KOMPOZYTORSKIE, PRAWYKONANIE ŚWIATOWE
Marcel Chyrzyński – *Ukiyo-e*

20 XII 2026 | 18:00
Koncert kolędowo-świąteczny
Sala koncertowa im. prof. J. Katlewicza
Filharmonii Krakowskiej

Wystąpią:
Chór Filharmonii Krakowskiej
Michał Klauza – *dyrygent*
Sinfonietta Cracovia

Program:
Maciej Małecki – *Cicha noc (suita kolędowa)*

Bilety na **Espresso** i **Sinfoniettę Novą** dostępne na **sinfonietta.bilety24.pl** lub pod nr **784 936 909**.

Bilety na pozostałe koncerty dostępne na **filharmoniakrakow.pl**, pod nr **12 619 87 22** lub stacjonarnie **w kasie Filharmonii**.

eprasa.pl 849bad8b12



RAFAŁ SKWAREK

Próby do spektaklu „Figure X" Piotra Sędkowskiego we Wrocławskim Teatrze Pantomimy



ADA SANGER

Spektakl „Tytus Andronikus" w reżyserii Marcina Libera w Teatrze Horzycy w Toruniu

Na co do teatru

ANNA PAJĘCKA

Tej jesieni warto przyjrzeć się młodszemu pokoleniu reżyserek i reżyserów oraz temu, co dzieje się w teatrach poza największymi ośrodkami.

Zacznijmy od klasyki. W warszawskim Teatrze Powszechnym Krzysztof Garbaczewski przygotowuje kultową powieść – „Złego" Leopolda Tyrmanda. Powojenna Warszawa ustąpi miejsca cyfrowo generowanemu miastu przyszłości, a reżyser, który od lat eksperymentuje z technologią, tym razem wykorzysta ją do opowiedzenia historii silnie związanej z konkretnym miejscem. Premiera odbędzie się 16 października.

Już następnego dnia w gdańskim Teatrze Wybrzeże Ewelina Marciniak pokaże „Podwójne życie Weroniki". Film Kieślowskiego i Piesiewicza spotka się z „Pokojem Vilhelma"

eprasa.pl 849bad8b12

Tove Ditlevsen, a jego bohaterka otrzyma dalszą biografię, rozgrywającą się na tle polskiej transformacji.

W Teatrze Narodowym w Warszawie Luk Perceval przygotowuje „Oresteję", przyglądając się przemocy, która wraz z powracającymi z wojny przenosi się do domu. Premiera odbędzie się 10 października, a nieco ponad miesiąc później Małgorzata Bogajewska sięgnie na tej samej scenie po „Słodkiego ptaka młodości" Tennessee Williamsa w przekładzie Jacka Poniedziałka.

Krakowski Teatr im. Juliusza Słowackiego zaprosi z kolei 23 października na „Kraków w narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty" Agaty Dudy-Gracz. Reżyserka, po znakomitym „Proszę państwa, Wyspiański umiera", ponownie spotyka się w Krakowie z tym twórcą: podczas trzeciej próby generalnej do „Wesela" publiczność najpierw powędruje przez przestrzenie teatru, a potem zobaczy jego sceniczne upiory.

Pod koniec listopada Mateusz Pakuła pokaże w Słowackim swój tekst „Jeszcze dziś będziesz ze mną w...", farsę religijną rozgrywającą się w niebiańskiej poczekalni. Ksiądz i dwie zakonnice odkryją, że obowiązujące w zaświatach zasady nie są tak oczywiste, jak mogliby się spodziewać.

Mistrz formy, Marcin Liber, wystawi „Tytusa Andronikusa" w Teatrze Horzycy w Toruniu. Jeden z najbrutalniejszych dramatów Szekspira, w nowym przekładzie Macieja Stroińskiego, zostanie osadzony we współczesnym kontekście mediów i polityki, a do udziału w przedstawieniu zaproszono zawodników wrestlingu. Premierę zaplanowano na 2 października.

A jeśli chodzi o nietypowe odczytania klasyki, to ostatniego dnia miesiąca Aleksandra Popławska pokaże w Teatrze Polskim we Wrocławiu „Dziady. Część II". Mickiewiczowski obrzęd zamieni się w *rave* odprawiany w opuszczonej kaplicy, z muzyką Tomasza Organka.

Na grudzień Paweł Miśkiewicz przygotowuje „Powrót Odysa" Wyspiańskiego w kieleckim Teatrze Żeromskiego. Premiera odbędzie się 5 grudnia, sześć dni później Kuba Kowalski pokaże „Rewizora" Gogola w Teatrze Nowym w Łodzi, a 12 grudnia Jakub Zalasa – „Wichrowe Wzgórza" w krakowskim Teatrze Ludowym.

W repertuarach scen muzycznych również pojawią się znane postaci. 3 października wrocławski Teatr Muzyczny



ŁUKASZ GAWROŃSKI

Sesja do spektaklu „Kościuszko" Konrada Imieli, który będzie można obejrzeć we wrocławskim Teatrze Muzycznym Capitol

Capitol zaprezentuje „Kościuszkę" Konrada Imieli, który opowie o historycznym bohaterze za pomocą musicalu i rapu. Nie brakuje też kontrowersji – jesienią Teatr Polski w Bielsku-Białej, polskiej stolicy kultury, wystawi „Seksmisję" Pawła Szkotaka, adaptację filmu Machulskiego. Ciekawe, co twórcy zrobią z tym nie do końca dobrze starzejącym się tekstem.

Wśród jesiennych zapowiedzi nie brakuje też pytań o relacje człowieka z technologią. Agnieszka Jakimiak i Mateusz Atman pracują nad „1984" Orwella w Teatrze Współczesnym w Szczecinie. W centrum inscenizacji znajdzie się bliskość Winstona i Julii w rzeczywistości totalnej kontroli. Premierę zapowiedziano na grudzień. We wrześniu duet pokazał już we Wrocławskim Teatrze Współczesnym „Deus sex machina" według reportażu Ewy Stusińskiej: odwrócenie mitu Pigmaliona i performatywny chór aktorek w towarzystwie lalki erotycznej wyposażonej w sztuczną inteligencję.

Do wyobrażeń o przyszłości sięga także Wrocławski Teatr Pantomimy, jedna z najbardziej docenianych przez krytyków scen. Piotr Sędkowski, laureat konkursu na debiut reżyserski, przygotowuje tam „Figure X", inspirowaną powieścią Philipa K. Dicka i filmem „Łowca androidów".

Doświadczenia rodzinne

W Narodowym Starym Teatrze w Krakowie Gosia Wdowik przygotowuje „Nonfiction" na podstawie książki Julie Meyerson. Matka próbuje pomóc córce zmagającej się z uzależnieniem, a postać córki przyjmą na scenie wełniane lalki-rzeźby znanej artystki Anety Grzeszykowskiej. Przedstawienie, którego premierę zaplanowano na 3 października, będzie kolejną pracą Wdowik poświęconą doświadczeniom rodzinnym i możliwościom opowiadania o życiu najbliższych.

Z kolei Wojciech Rodak i dramaturżka Iga Gańczarczyk pracują w TR Warszawa nad „Love Me Tender" według autobiograficznej książki Constance Debré. Bohaterka odchodzi od męża, zaczyna wiązać się z kobietami, a następnie walczy o możliwość utrzymania relacji z synem. Premiera odbędzie się 20 listopada.

Tydzień później do tematu rodziny wróci Anna Smolar: w warszawskim Teatrze Studio pokaże „Sukcesję", inspirowaną „Życie jest snem" Calderóna. Warszawski Teatr Dramatyczny natomiast rozpoczął sezon „Krótkim spektaklem o matce i córce", debiutem reżyserskim aktorki Heleny Urbańskiej.

W łódzkim Teatrze Jaracza, który odbudowuje się pod dyrekcją Pawła Łysaka, Katarzyna Minkowska wyreżyseruje „Łaknąć" Sarah Kane. Tekst zbudowany ↦

eprasa.pl 849bad8b12

↦ jest z czterech przenikających się głosów i nie ma tradycyjnej fabuły, co może być interesującym wyzwaniem dla reżyserki, która w ostatnich latach często pracowała z rozbudowanymi opowieściami rodzinnymi. Premiera odbędzie się 14 listopada.

Historie lokalne

W Teatrze Jaracza w Olsztynie jesienny repertuar rozpoczynają dwie opowieści o regionie. „Toń" według Ishbel Szatrawskiej, w reżyserii Damiana Josefa Necia, prowadzi przez historię kilku pokoleń rodziny związanej z dawnymi Prusami Wschodnimi. Z kolei „Olsztyn. Instrukcja obsługi" Weroniki Zajkowskiej, który wejdzie na afisz 9 października, ma być dokumentalnym portretem współczesnego miasta, inspirowanym twórczością amerykańskiego filmowca Johna Wilsona. Olsztyński teatr rozpoczyna więc sezon od przyjrzenia się miejscu, w którym działa: jego historii i codziennemu życiu mieszkańców. Robi to zresztą konsekwentnie, odkąd dyrekcję przejął tam Paweł Dobrowolski.

W szczególnych okolicznościach, i po zmianie dyrekcji, pracuje Teatr Zagłębia w Sosnowcu, który na czas przebudowy siedziby przenosi działalność do innych przestrzeni miasta i regionu. Szymon Kaczmarek przygotowuje „Gorączkę żelaza" o historii Zagłębia i budowie Huty Katowice. Przedstawienie zostanie premierowo pokazane 2 października w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej.



MARIJA SHULGA / ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

W Teatrze Narodowym w Warszawie Luk Perceval przygotowuje „Oresteję", na zdj. Danuta Stenka, Aleksandra Justa, Karolina Staniec

Teatr zapowiada też „Odyseję" Jana Grucy do tekstu znakomitego dramatopisarza Michała Kmiecika, opowiedzianą z perspektywy Telemacha. Praca poza własną siedzibą będzie okazją do sprawdzenia, jak instytucja może funkcjonować w innych miejscach i docierać do publiczności, która na co dzień nie odwiedza jej budynku.

W Jeleniej Górze, gdzie w poprzednim sezonie dyrekcję objęła Katarzyna Sołtys, przywracając świetność tej historycznej scenie, Aneta Groszyńska i Jan Czapliński przygotowują „Norwid superstar. Nigdy mnie nie pochowacie". W spektaklu o poecie, który po śmierci stał się narodowym klasykiem, znajdzie się także historia teatru noszącego jego imię i pytanie o to, co taki patron znaczył w PRL-u, a co znaczy dzisiaj. Premierę zaplanowano na 5 grudnia.

Na Dolnym Śląsku również Wałbrzyski Teatr Dramatyczny rozpoczął już sezon „MTV. Hity z satelity" Tomasza Jękota, z muzyką Polpo Motel – opowieścią o kulturze wideoklipów i czasie, gdy muzyki nie tylko się słuchało, ale też się na nią patrzyło.

Także dwie jesienne premiery Teatru Modrzejewskiej w Legnicy warto zapamiętać szczególnie. Patryk Warchoł, reżyser młodego pokolenia, w „Historii na śmierć i życie" według książki Wojciecha Tochmana przygląda się sprawie Moniki O., skazanej na dożywocie, oraz medialnemu teatrowi, który współtworzył jej wizerunek. Premiera odbędzie się 7 listopada.

Niespełna miesiąc później, 4 grudnia, na Scenie na Piekarach Stanisław Chludziński pokaże „Przegryw", napisany wspólnie z Klaudią Gębską. Dwoje wiodących, świetnych twórców z generacji Zet przygotowuje tragikomiczną historię incela, sięgając do tematu samotności, wyobrażeń o męskości i internetowych wspólnot, w których te wyobrażenia powstają. Sama jestem bardzo ciekawa współpracy tej dwójki twórców.

Teatr Polski w Poznaniu zapowiada „Kolumbów. Rocznik 20" w reżyserii Remigiusza Brzyka, „Dziady" Mikity Iłin-

REKLAMA



POLSKA STOLICA KULTURY
Projekt Polskie Stolice Kultury 2026–2028 jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach funduszy EOG oraz ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Iceland Liechtenstein Norway grants
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Polskie Stolice Kultury dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
75
Narodowe Centrum Kultury
Partner: Bielskie Centrum Kultury
Patroni medialni: Trójka Polskie Radio, Radio Katowice, MINT, K MAG, VOGUE BAZAAR

eprasa.pl 849bad8b12



JOANNA SIWIEC

Próby do spektaklu „Kraków w narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty" Agaty Dudy-Gracz w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie

czyka i „Umarłą klasę – rekonstrukcję" Piotra Mateusza Wacha – ten ostatni to jeden z ciekawszych twórców, którzy od teatru tańca przeszli do teatru dramatycznego. Z kolei w Teatrze Polskim w Szczecinie reżyser Tadeusz Pyrczak i Kamil Białaszek, tym razem w roli dramaturga, przygotowują „Jądro ciemności" na podstawie powieści Conrada i reportażu Svena Lindqvista „Wytępić całe to bydło". Twórcy chcą przyjrzeć się językowi, który pozwalał usprawiedliwiać kolonialną przemoc, oraz temu, jak podobne mechanizmy funkcjonują współcześnie. Premiera 10 października.

W Nowym Teatrze im. Witkacego w Słupsku, prowadzonym od niedawna przez Zdenkę Pszczołowską, jesień przyniesie „Psią krew" Lecha Mackiewicza – opowieść o pandemii z perspektywy psa, której premierę zaplanowano na 17 października. Na grudzień teatr zapowiada muzyczną „Anię z Zielonego Wzgórza" Aleksandry Bielewicz. Różnorodność tych propozycji odpowiada zapowiedziom dyrektorki, która chce budować repertuar podejmujący współczesne tematy, a jednocześnie otwarty na publiczność w różnym wieku.

Spektakle dla dzieci

Tomasz Kaczorowski, dyrektor Olsztyńskiego Teatru Lalek, gościnnie przygotowuje w Teatrze Polskim w Bydgoszczy „Ronję, córkę zbójnika" według Astrid Lindgren, dla widzów od ósmego roku życia. Premiera odbędzie się 3 października. Tego samego dnia warszawski Guliwer pokaże „Kocią szajkę i duchy w teatrze" według książki Agaty Romaniuk, w reżyserii Joanny Zdrady.

Szczecińska Pleciuga na listopad przygotowuje muzyczną „Księgę dżungli" z wykorzystaniem lalek i masek. W kieleckim Teatrze Lalki i Aktora „Kubuś", pod nową dyrekcją Roksany Miner, pokazano już „Straszka" w reżyserii Eryka Herbuta, przedstawienie o dziecięcym lęku przed szkołą. Warto wziąć pod uwagę ten tytuł.

Warszawski Teatr Ochoty, pierwszy w Polsce teatr dla młodzieży, zapowiada na 20 listopada „Chór na cztery wiosła i poczucie winy" Mariusza Gołosza w reżyserii Agi Błaszczak, opowieść o młodej wioślarce próbującej poradzić sobie z presją rywalizacji.

Z kolei 11 grudnia Szymon Adamczak i Filip Pawlak z kolektywu Freak Show pokażą tam przygotowywane wspólnie z młodzieżą „Żółte papiery" – na razie pod takim roboczym tytułem. Przedstawienie ma dotyczyć doświadczenia inności i norm, według których młodzi ludzie są dziś oceniani.

Jesienne festiwale

Jesienią warto też zaplanować kilka dłuższych teatralnych podróży. Od 11 do 25 października Teatr Żeromskiego organizuje Kielecki Międzynarodowy Festiwal Teatralny. Wśród zaplanowanych spektakli są „Potok. Ćwiczenia ze wspólnoty" Wiktora Rubina, „Paprykarz szczeciński" Marcina Libera oraz „Dziady Litewskie" Jakuba Skrzywanka z Kowna.

Po pięciu latach przerwy do Gdyni wraca R@Port. Od 21 do 24 października festiwal, przez lata związany z prezentacją najnowszej polskiej dramaturgii, będzie odbudowywał swoją obecność na teatralnej mapie. Rozpocznie ją polska premiera „Cute & Awkward" Wojciecha Grudzińskiego; w programie znalazły się również „My Way" Krystyny Jandy, „Król komedii" Marty Miłoszewskiej i „Mireczek" Krzysztofa Popiołka z Teatru Jaracza w Olsztynie.

W listopadzie warto wybrać się także do Słupska. Szósta edycja Sceny Wolności potrwa tam od 17 do 28 listopada pod hasłem „Być ze świata", zaczerpniętym z myśli filozofki Moniki Rogowskiej-Stangret. Zobaczymy tam między innymi dwa bardzo dobre spektakle poprzedniego sezonu: warszawskie „Clean girl" Ewy Platt i „Wichrowe Wzgórza. Love To Die" Klaudii Hartung-Wójciak z Teatru Polskiego w Bydgoszczy. Wśród festiwalowych wydarzeń znajdzie się także premiera „Moi przyjaciele" Marty Szlasy-Rokickiej, zaplanowana na 28 listopada. Punktem wyjścia jest serial „Friends" i pytanie o to, dlaczego wciąż wracamy do fikcyjnej grupy przyjaciół, szukając w niej znajomego obrazu bliskości i wspólnoty.

W jesiennym kalendarzu warto więc zostawić miejsce także na wyjazdy do teatrów, których przedstawienia rzadziej trafiają na ogólnopolskie afisze – to właśnie tam można zobaczyć, jak różne bywają dziś pomysły na repertuar i relacje z publicznością. © ANNA PAJĘCKA

eprasa.pl 849bad8b12

Z ręką na pulsie

Spektakle z czterech krajów Europy i kilkanaście dni scenicznych emocji: rusza 8. Kielecki Międzynarodowy Festiwal Teatralny.

Jesienne repertuary teatrów w całej Polsce pękają w szwach, ale to w Kielcach na miłośników sceny czeka prawdziwa gratka. **8. Kielecki Międzynarodowy Festiwal Teatralny**, organizowany w tym roku między **11 a 25 października**, powraca z ideą prezentowania różnorodności współczesnych europejskich scen teatralnych. Nie chodzi tu już tylko o wielokulturowy dialog i możliwość spotkania się w gronie miłośników i twórców teatru.

Spektakle, które znalazły się w programie festiwalu, są lustrem współczesnej Europy, podejmując tematykę wspólnoty, wykluczenia, technologii, inności i pamięci, a sceniczne dylematy oddają to, z czym mierzymy się na co dzień: lękami i nadziejami wobec szybko zmieniającej się, niepokojącej rzeczywistości.

– To wydarzenie na stałe i z sukcesem wpisało się już w kalendarz najważniejszych ogólnopolskich wydarzeń kulturalnych, budując rozpoznawalną markę. Gościmy zespoły z różnych zakątków Europy, które przywożą do nas wybitne przedstawienia. Dla wielu naszych gości, nie tylko z Kielc, to jedyna okazja, by je zobaczyć – mówi Jacek Jabrzyk, dyrektor Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach.

Na jego deskach obejrzymy spektakle poświęcone małym wspólnotom i więziom tkanym mimo kryzysu, biedy czy wykluczenia („Potok. Ćwiczenia ze wspólnoty" Wiktora Rubina i „Najdłuższa szychta świata, czyli katastrofa górnicza w Copiapó, na pustyni Atakama, 830 km od Santiago, stolicy Chile. Struktury" Piotra M. Wacha). Perełką w programie jest niewątpliwie sceniczne spotkanie gwiazd polskiej sceny – Jana Englerta, Daniela Olbrychskiego i Anny Seniuk („Żar" w reż. Jana Englerta). Tak jak w życiu, nie zabraknie miejsca na groteskę, absurd i czarny humor. „Paprykarz szczeciński" Marcina Libera to opowieść o życiu i śmierci, podlana sosem ironii. Z kolei „Kora. Boska" Katarzyny Chlebny przywołuje postać jednej z najbardziej charyzmatycznych polskich artystek, łącząc jej historię, muzykę i teatralną wyobraźnię.

Osobnym wątkiem festiwalu są odwołania do klasyki i pytania, czym ona jest dzisiaj dla nas. „Pan Tadeusz", „Dziady", „W pustyni i w puszczy" czy „Krzyżacy" przestają być eksponatami, a twórcy – Stanisław Miedziewski, Jakub Skrzywanek, Piotr Domalewski i Jan Klata – poddają je próbie zmiany perspektywy, widowni i czasu. Temu tematowi poświęcona będzie również festiwalowa debata o nowym spojrzeniu na klasykę.

Na deskach kieleckiego Teatru im. Żeromskiego oprócz rodzimych spektakli zobaczymy również dzieła twórców z Litwy, Grecji i Hiszpanii – a międzynarodowy charakter nie kończy się tu na różnorodności pochodzenia. Widzowie będą mieli okazję skonfrontować swoją refleksję nad doświadczeniami uniwersalnymi z tym, jak mówi się o nich w różnych częściach Europy.



NATALIA KABANOW / MATERIAŁ PRASOWY

„Potok", reż. Wiktor Rubin



DONATAS STAKEVIČIUS / MATERIAŁ PRASOWY

„Dziady litewskie", reż. Jakub Skrzywanek

Doświadczeniem żałoby po stracie bliskiej osoby podzieli się wielokrotnie nagradzany i międzynarodowo uznany grecki reżyser o albańskich korzeniach, Mario Banushi („Goodbye, Lindita"). Hiszpański kolektyw Iron Skulls Co. w swoim „Famulus 4.0" podejmuje refleksję nad sztuczną inteligencją i rolą technologii, a także prawdziwą potrzebą bliskości. Z kolei „Dziady litewskie" w reż. Jakuba Skrzywanka przenoszą z Kowna do Kielc litewską interpretację „Dziadów" Mickiewicza, otwierając pole do konfrontacji z dziełem, o którym – jak sądziliśmy – wiemy już wszystko.

W programie festiwalu nie zabraknie czytań performatywnych (tu na uwagę zasługuje spotkanie z dziennikami Andrzeja Wajdy), dyskusji i spotkań z twórcami, a spektakle odpowiednie dla siebie znajdą też w programie młodsi widzowie.



Podczas festiwalu teatr stanie się więc nie tylko sztuką oglądaną z bezpiecznego dystansu, ale też punktem wyjścia do rozmów – o literaturze, sztuce, ale przede wszystkim sprawach, które dotyczą nas wszystkich. Jak mówi Jacek Jabrzyk, dyrektor Teatru im. Żeromskiego:

– Bezpośrednia konfrontacja z widzem to esencja teatru. Festiwal daje kieleckiej, ale też polskiej publiczności możliwość spotkania z wybitnymi artystami o międzynarodowym zasięgu, sprzyjając wymianie doświadczeń i twórczemu dialogowi na współczesne tematy. ©

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 849bad8b12

REKLAMA

TEATR
NARODOWY

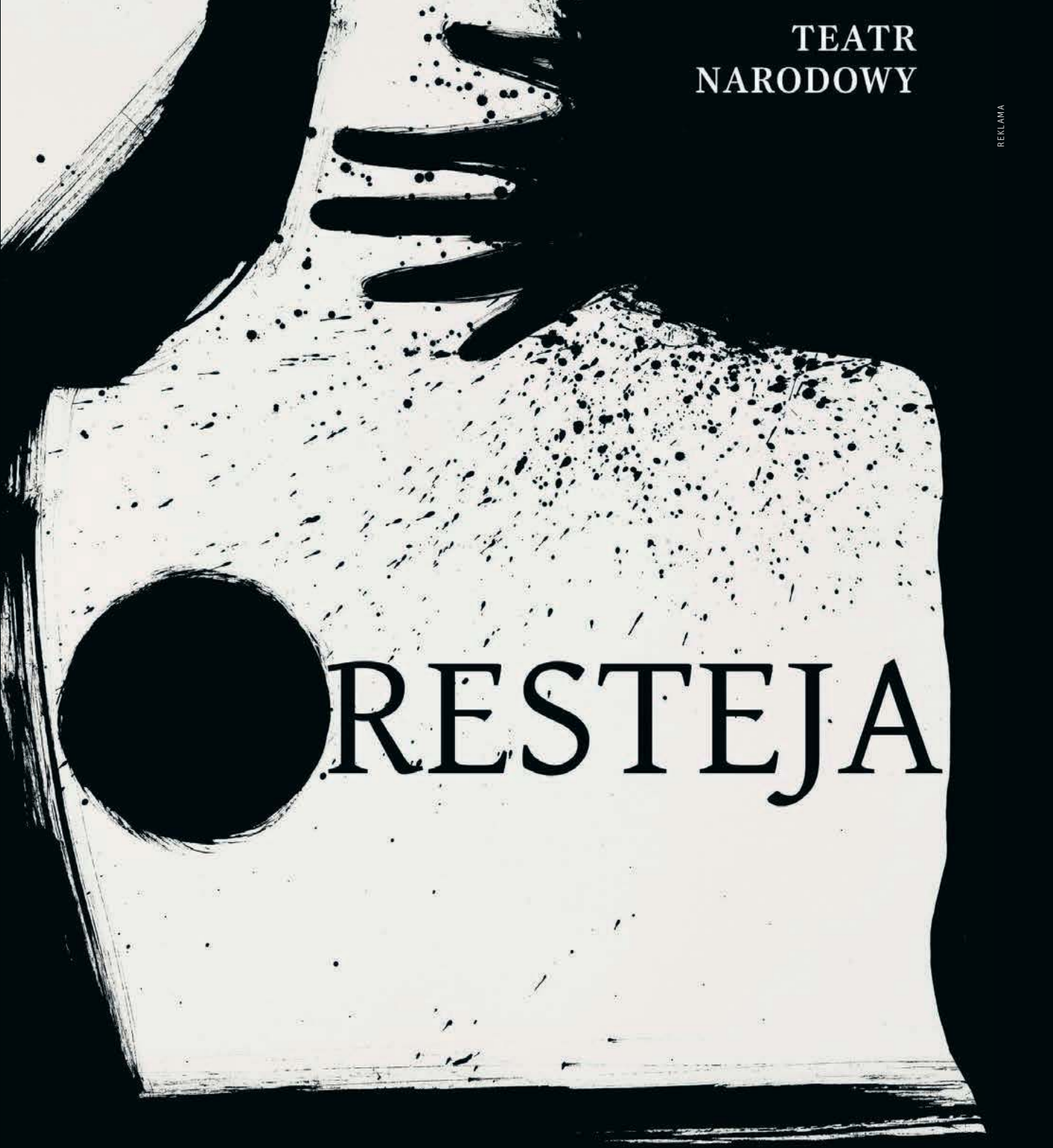

ORESTEJA

Luk Perceval
10.10.2026

Teatr Narodowy jest narodową instytucją artystyczną finansowaną przez:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MAT KUBAI

Otwarte Seminarium Kafkowskie

Uczestnicy siódmego sezonu Seminarium Kafkowskiego Grzegorza Jankowicza spróbują spojrzeć na metamorfozę Samsy jako urzeczywistnienie potencjału od samego początku tkwiącego w tej intrygującej postaci.

Zapraszamy na kolejny cykl seminariów poświęcony twórczości Franza Kafki. Od września 2026 do stycznia 2027 r. odbędzie się pięć spotkań, podczas których będzie można podyskutować o opowiadaniu „Przemiana", a także o utworach innych pisarek i pisarzy pośrednio lub bezpośrednio do niego nawiązujących.

KALENDARZ:

- 28.09.2026: Robaczywe jabłko (lektura: Franz Kafka „Przemiana")
- 26.10.2026: Drobne usterki (lektura: Tadeusz Różewicz „Pułapka")
- 30.11.2026: Zrobiłbym dla was wszystko (lektura: Raymond Carver „Słoń")
- 21.12.2026: Bać się albo nie bać – oto jest pytanie (lektura: Clarice Lispector „Pasja według G.H.")
- 25.01.2027: Kim chciał_byś być? (lektura: Valeria Luiselli „Historia moich zębów")

WSZYSTKIE SPOTKANIA ODBĘDĄ SIĘ W KSIĘGARNI LOKATOR PRZY UL. MOSTOWEJ 1 W KRAKOWIE. START O GODZ. 19.00.

Opowiadanie „Przemiana" („Die Verwandlung"), napisane w 1912 r., jest bodaj najczęściej komentowanym tekstem Franza Kafki, przez co stało się wręcz konwencjonalnym przykładem jego sposobu pisania. Mimo to wciąż przyciąga czytelników i stanowi wyzwanie dla interpretujących.

Rozum podpowiada, że Kafkowski koncept jest fantastyczny, rodem z baśni lub horroru, bo przecież w rzeczywistości nikt nie może zmienić się w robaka, a jednak na pozór absurdalne perypetie głównego bohatera, Gregora Samsy, sprawiają wrażenie dokumentalnego zapisu realnego doświadczenia. W znakomitej rozprawie „Kafka – pro und contra" (Kafka – za i przeciw) Günther Anders postawił tezę, że autor „Przemiany" używa metaforycznych wyrażeń dosłownie, wyciągając z nich wnioski, które urągają logice, ale robi to tak konsekwentnie i sugestywnie, że zaczynamy mu wierzyć.

Podczas siódmego sezonu Seminarium Kafkowskiego spróbujemy spojrzeć na metamorfozę Samsy inaczej: potraktujemy ją jako urzeczywistnienie potencjału od samego początku tkwiącego w tej intrygującej postaci. Mówiąc jeszcze inaczej, sprawdzimy, czy przemiana głównego bohatera nie jest przypadkiem ucieczką, formą emancypacji spod władztwa cielesnych, emocjonalnych, ekonomicznych i społecznych ograniczeń.

W rozwinięciu tej refleksji pomogą nam pisarki i pisarze nawiązujący w swoich utworach do opowiadania Franza Kafki. Przemiana znajdzie się w centrum naszych rozważań, a ścieżkami wiodącymi do owego centrum będą dzieła Różewicza, Carvera, Lispector i Luiselli. ©

Organizatorzy: Grzegorz Jankowicz i Księgarnia Lokator
Partner: Instytut Goethego

CONRADFESTIVAL

Zapraszamy na Festiwal Conrada: 19-25 października

W programie spotkania autorskie, dyskusje, spacery, warsztaty, wystawy, seanse filmowe oraz koncert.

Oto kilka z kierunków, które możecie obrać, wędrując po tegorocznych festiwalowych ścieżkach.

Prawda fikcji. Niektórzy z gości prawdziwe wydarzenia zamknęli w powieściach. Opowiadanym przez siebie historiom przydali uniwersalności, pozwalając nam przyjąć i lepiej zrozumieć rzeczywistość, siebie i innych. Wśród nich znaleźli się Horacio Castellanos Moya z Salwadoru, Juan Gabriel Vásquez z Kolumbii czy Szczepan Twardoch ze Śląska.

Siła kobiet. Książki z silnym autobiograficznym wątkiem o dużej społecznej doniosłości napisały Nathacha Appanah z Mauritiusu, Meksykanka Cristina Rivera Garza oraz bułgarska pisarka Rene Karabasz. O podwójnych standardach wynikających z różnicy płci dyskutować będą Sophie Gilbert i Begoña Gómez Urzaiz. Conrada odwiedzi również noblistka Olga Tokarczuk.

Paryska Kultura. W 80. rocznicę powstania Instytutu Literackiego zapraszamy na cykl dyskusji poświęconych wybitnym osobowościom paryskiej „Kultury": Zygmuntowi Hauptowi, Leo Lipskiemu, Marianowi Pankowskiemu i Jerzemu Stempowskiemu. Ich biografie intelektualne przybliżą współcześni ludzie kultury. W 1958 r. nakładem Instytutu Literackiego ukazał się też „Człowiek zbuntowany" Alberta Camusa. O przesłaniu eseju oraz myśli intelektualisty rozmawiać będą David Camus, Joanna Ostrowska, Basil Kerski oraz Maciej Kałuża.

Na Conradzie pojawią się również: jeden z najważniejszych pisarzy austriackich Christoph Ransmayr, Jacek Dukaj, francuskie trio Geoffroy de Lagasnerie, Didier Eribon i Édouard Louis, a także gwiazdy sceny rapowej – Peja oraz Ryfa Ri.

A zanim na dobre wypłyniemy na szerokie wody Festiwalu, 8 października zapraszamy do latarni morskiej, która rzuci światło na nasze tegoroczne hasło. W kawiarni Hevre porozmawiamy o zbuntowanej Virginii Woolf, odwadze nowego przekładu oraz o dziwacznym i osobliwym w nas i wokół nas.

Dowiedz się więcej na **conradfestival.pl/program**

eprasa.pl 849bad8b12

REKLAMA

30. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRÓW
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

KORCZAK DZISIAJ

FOKUS: BELGIA

EDYCJA LET US PLAY
16-24
10.26 R.

PROGRAM I BILETY: KORCZAK-FESTIVAL.PL

ORGANIZATOR
ASSITEJ

DOFINANSOWANIE
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Warszawa
BRITISH COUNCIL
Ambasada Republiki Federalnej Niemiec Warszawa

PARTNERZY
het paleis
NOWY TEATR
MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY
U-jazdowski
instytut teatralny

PATRONAT MEDIALNY
POLSKIE RADIO RDC
e-teatr.pl
CzasDzieci



eprasa.pl 849bad8b12